

BIBLIOTEKA „ISKIER”

**Z. URBANOWSKA**



**RÓŻA BEZ KOLCÓW**

**KSIĄŻNICA-ATLAS**



BIBLIOTEKA „ISKIER”

---

15.

ZOFJA URBANOWSKA

RÓŻA BEZ KOLCÓW

TOM II

## BIBLIOTEKA „ISKIER“

### DOTYCHCZAS WYSZŁY:

1. *Karol Dickens*. Maleńka Dorrit, powieść w opracow. Cecylji Niewiadomskiej
2. *Jadwiga Marcinowska* W upalnym sercu Wschodu. Wrażenia z podróży po Egipcie, Indjach, Cejlonie i Jawie. Z ilustr.
3. *J. H. Fabre*. Szkodniki. Pogadanki o owadach szkodliwych, w tłum. Z. Bohuszewiczówny Z ilustracjami.
4. *J. H. Fabre*. Nasi sprzymierzeńcy. Pogadanki o zwierzętach pożytecznych, w tłum. Z. Bohuszewiczówny i M. Górskiej. Z ilustracjami.
5. *Bronisława Ostrowska*. Bohaterski Miś czyli przygody pluszowego niedźwiądka na wojnie. Dla dzieci od lat 10 do 100. Z ilustracjami. Wyd. IV.
6. *K. A. Czyżowski*. Szalony lotnik. Powieść fantastyczna.
7. *Dwanaścieka*. 12 nowel nowoczesnej literatury światowej, w tłum. Merwina.
8. *Walter Scott* Kwintyn Durward. Powieść z czasów Ludwika XI, w opracowaniu Teresy Tatariewiczowej.
10. *Antoni Pisuliński*. Szlakiem słonia afrykańskiego Wrażenia z podróży i polowań w Afryce środkowej.
11. *Karol Dickens*. Dawid Copperfield. Powieść w oprac. Cecylji Niewiadomskiej.
12. *Walter Scott* Talizman. Powieść z czasów wojen krzyżowych, w opracowaniu Teresy Tatariewiczowej.
13. *Zbigniew Sosnowski*. Życie w akwarjum.
14. *Z. Urbanowska*. Róża bez kolców. Powieść. Tom I.
15. *Z. Urbanowska*. Róża bez kolców. Powieść. Tom II
16. *H. Allorge* Walka światów. Powieść. Tłumaczył W. Topoliński.
17. *K. A. Czyżowski*. Jim żeglarz. Powieść.

B I B L J O T E K A „ I S K I E R “

ZOFJA URBANOWSKA

# RÓŻA BEZ KOLCÓW

OPOWIADANIE Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI  
OSNUTE NA TLE PRZYRODY TATRZAŃSKIEJ

Z LICZNYMI RYCINAMI W TEKŚCIE

TOM II

WYDANIE II



K S I A Ź N I C A - A T L A S

ZJEDNOCZONE ZAKŁADY KARTOGRAFICZNE I WYDAWNICZE

TOW. NAUCZ. SZKÓŁ ŚREDN. I WYŻ. — SP. AKC.

LWÓW — WARSZAWA

1 9 2 8

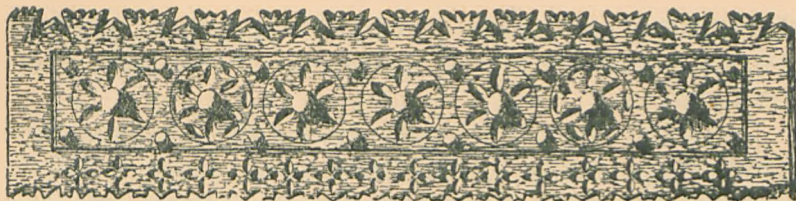


Zb. S.

K-1445

821. 162. 1-3

2137



## I.

### DWAJ POECI.

*Ogień pryska z piersi pstrąga.  
Puchem fiołków pachnie głąz.  
A kosodrzew się przeciąga,  
Jak zaklęty w drzewo płąz.*

*Deotyma: Płoszka w Karpatach.*

Następnego dnia chłodne, orzeźwiające powietrze prześlasknięte było zapachem świerkowych iglic i fiołków, zwłaszcza nad potokami, w których leżące głązy i kamienie, czerwonym pokryte porostem, wydawały ten miły zapach. Lekki wietrzyk poruszał czasami gałęzie drzew, więc w powietrzu drżały jakby ciche szepty i westchnienia, a kryształowe wody potoku, spadając kaskadami, grały po dawnemu metalicznym dźwiękiem.

Drogą przez Krupówki ku lasowi zmierzali nasi znajomi: Witold, Jakób i Henryk, z dwoma przewodnikami.

Chłopiec z rozkoszą wciągał w płuca aromatyczne, żywicą przesycone powietrze i powiedział, zwracając się do Jakóba:

— Proszę pana, czuję, że tu oddycham inaczej niż w Miratyczach, a chciałbym wiedzieć, co jest tego przyczyną: czy wysokość, na jakiej się znajdujemy?

— Tak. W miarę wznoszenia się gruntu nad poziom morza, nie tylko ilość wszelkich drobnoustrojów zmniejsza się w atmosferze, ale także i powietrze jest rzadsze, ciśnienie

nie mniejsze, co sprawia, że oddechy są głębsze, częstsze, a wskutek tego wzmacnia się energia ruchu serca i krążenia krwi.

Dochodząc do starej typowej chaty Kuby, stojącej wśród poważnych jesionów, ujrzeni dwóch ludzi: jeden w dużym, okrągłym kapeluszu z czarnego filcu, miał twarz śniadawą z czarnymi wyrazistymi oczyma i ciemnym zarostem i wyglądał na Włocha; drugi w niewielkim słomianym kapeluszu, z pod którego widać było włosy ciemno blond i piękne klasyczne rysy, miał oczy modre, żywe i bystre, i wyglądał na marzyciela i poetę. Cera delikatna, jak u kobiety, bladą była, a policzki nieco zapadłe.

— Oto dwaj ludzie najwięcej rozkochani w Tatrach — odezwał się pan Jakób: malarz Stanisław Witkiewicz, autor książki „Na przełęczy“ i doktor Matlakowski, który napisał „Budownictwo ludowe na Podhalu“. Jest on bardzo chory i szuka tutaj zdrowia, ale pomimo choroby pracuje ciągle, a obecnie przygotowuje dzieło o „Zdobieniu ludowym na Podhalu“.

Witkiewicz rysował, trzymając w ręku teczkę, a towarzyszył jego wskazywał ręką małą i wychudzoną, na jakiś szczegół chaty. Mówili z ożywieniem. Gdy nasi znajomi nadeszli, nastąpiło przywitanie i przedstawienie obu panom młodego pogromcy niedźwiedzia, o którego przygodzie już tamci wiedzieli. Doktor Matlakowski, zajęty przedewszystkiem swem dziełem, zaczął:

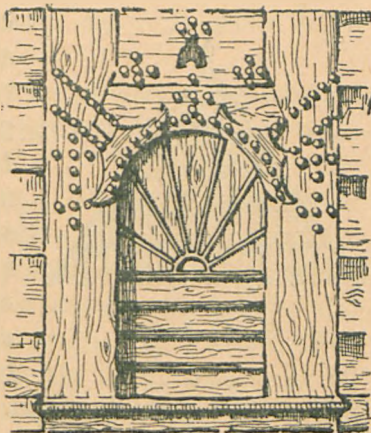
— Mówimy właśnie, że jakkolwiek budowa to niesłychanie prosta i nie złożona, jednakże we wszystkich jej częściach leży piętno pewnego stylu, pewnego motywu linii. Od zacięcia belki do ostrego szczytu, od pazdura do ornamentów rzniętych wewnątrz, wszystko prawie ma ten sam charakter linii, przecinających się pod dość ostrym kątem.

Na to odezwał się Witkiewicz:

— Tylko łukowato wygięte drzwi wchodowe wrywają się z ogólnego charakteru i stanowią całość odrębną, nie-



zależną, oryginalną i pełną. Wydają się jakby osobno skądinąd przeniesione i wstawione między dwa zręby ścian, bez względu na związek organiczny z niemi. Drzwi takie, rude od starości, ozdobione dziwnym ornamentem z pracowicie ostruganych kołków, wyglądają jakby jakieś znaki symboliczne. Na tle szerokich gładkich balów, złączone wrąbaniami w nie i wyciętymi w kształcie rogów wiązadłami, z leżącymi u progu głazami, ze sterzcącymi dokoła końcami belek, drzwi takie wydają się wejściem do jakiejś tajemniczej świątyni. Na tle czarnych ścian chaty, świecą one jak mosiężna spinka na piersiach zasmolonego juhasa.



Drzwi.

— A dlaczego belki, krzyżujące się na węglach chaty, tak bardzo wystają? — zapytał Henryk.

— To jest właśnie charakter podhalskiego budownictwa — odrzekł pan Jakób — to jego ozdobność. Czy widzisz, jak te końce belek są harmonijnie rznięte? Zowią się one rysiami.

— A co to jest pazdur?

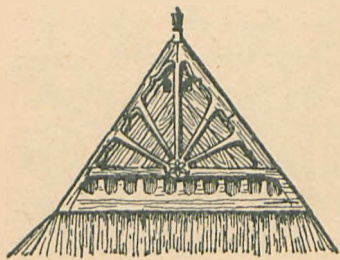
— To ta wysoka na końcu dachu ozdoba, przypominająca zakończeniem czapkę książęcą lub królewską koronę. Wszystko to razem składa się na harmonijną całość.

— Uważam je za tak piękne, racjonalne i stylowe — odezwał się doktor Matlakowski, siadając na leżącym pniu drzewa — że pragnę, aby ten sposób budowania rozpowszechnił się jak najwięcej i żeby młodzież zwłaszcza nauczyła się miłować i oceniać piękno rodzime. Gdyby ode mnie zależało, kazałbym ro-



Pazdur.

bić dla dzieci zabawki poglądowe, np. „budownictwo“, ułożone z modeli chat góralskich, w miejsce zagranicznej brzydkiej i oklepanej tandety. Człowiek cywilizowany z Warszawy, spoglądając obojętnie na niepozorną izbę górala, ani



Szczyt domu.

czuje, że on mieszka prawdziwie artystycznie, bo go otaczają utwory indywidualnej sztuki, podczas gdy dumny przybysz ze stolicy żyje wśród banalności zmiennej mody. Publiczność nasza tak jeszcze nie dorosła umysłowo, że nie zdoła odróżnić i należycie uszanować tych świadectw skromnej, ale niewątpliwiej, szczerzej sztuki ludu. Za jej radą lub grymasem,

górale heblują rzeźby i napisy, i stawiają brzydkie, banalne domki, byle się przypodobać gościom, którzy nie wiele lepiej zachowują się w tym razie, jak „blade twarze“ wobec Azteków i murzynów. Za lat kilkanaście nie pozostałoby śladu z dawnego staroświeckiego stylu, wypartego już w Zakopanem przez formy cudzoziemskie, gdyby nie pan Witkiewicz, który walczy z nimi energicznie. Zakała ta szerzy się jak zaraza nawet po wsiach okolicznych, zatruwając smak ludu, niszcząc stary porządek. Wielki czas otoczyć opieką te zabytki samorodnej kultury.

— Pańskie dzieło o „Budownictwie ludowym na Podhalu“, uratuje je od zniszczenia — powiedział Jakób. — Czytałem je: czuć, że jest pisane z miłością.

— On pracuje nad większym jeszcze dziełem p. t. „Zdobienie ludowe na Podhalu“, dziełem prawdziwie pomnikowym, jakim rzadko która literatura poszczycić się może — powiedział Witkiewicz.

— Ale dodaj pan, że bez twojej pomocy nie dokonałbym go tak łatwo — dodał Matlakowski z uśmiechem — i że pan pierwszy zastosowałeś motywy góralskie do wszystkich

sprzętów. Dzięki panu Witkiewiczowi, ołtarze w nowym kościele zakopiańskim będą w stylu miejscowym i dzięki jemu, budują się wille prywatne, które będą prawdziwymi w tym duchu arcydziełami.

— Byle mocno stały na gruncie, żeby ich wiatr halny nie poznosił — rzekł pan Jakób.

— Ach, ten wiatr, to orkan prawdziwy — powiedział Matlakowski — urząda on prawdziwie dantejskie widowisko.

— Potężniejsze od dantejskiego — wtrącił Witkiewicz.

— Już sam prolog jest wspaniały i zarazem straszliwy: na głównym łańcuchu gór od południa położył się ciężki wał chmur, niby czarny potwór, z jaśniejszym prześwietlonym grzbietem, i jął się posuwać wolno na wschód. Miejscami kotłowało się w nim, targały się kudły grzywy, a wichher odrywał jeden kędzior po drugim, rzucając je w bezdenne, niebieskie topiele. Bo choć w górach zrywały się już szalone podmuchy ze swych pieleszy, na Czerwonym Wierchu słońce przygrzewało jeszcze, na północy wisały prześwietlone chmurki srebrne na niebieskim atłasie, a atlas ten był niebywałej czystości, jak wśród najpiękniejszej pogody. Ale w naturze wisała już groza, którą ptaki odczuwały, odzywając się żałośnie w gąszczach, a w górze słychać było głuchy szum, jak ryk dalekiego oceanu.

— Straszna była noc — rzekł Witkiewicz — myślałem, że wichher ten nie wypuści nas żywych. Zdawało się, że skrzydła olbrzymiego ptaka z szumem piór wielkich, jak masztowe sosny, uderzają o ściany chałupy, zmiatają łby świerków i znowu gdzieś giną w bezdeń czarnej nocy. Grał najrozmaitszemi głosami, dudnił po dranicach dachu, jakby jakieś bosc stopy tańczyły tam zapamiętałe, świszczął i jęczał w konarach świerków, furkotał, roztrącając się o ściany chałupy, a w przerwach jego podmuchów, groźnie ryczał i bełkotał wezbrany ulewą potok. Mój gazda powiedział o nim: „O to je morowy wiatr. On ta i nie powinienby teraz

duć, dy to nie jego pora, cheba że cosi, kajsi w niebie gazdowstwo się popsowało, kiej duje. Kieby to zawsze tak po leku duł, jak dzisiok. Ale wiecie panie, jak on to duchnie jesieniom, to, ludzie na świecie! Kany co najdzie: las, to skręci i wyłamie; chałupę praśnie o ziem, a owies albo i jarec, potardze, wiecie, do znaku, het, wyłamie, co i ździebełka nie ostanie“.

Tu pan Jakób odezwał się, że dla niego i dla Witolda noc ta była obfitą w przygody. Mają pokoik na górze w lichym, niedawno zbudowanym domku nad potokiem, w miejscu, nieosłoniętem nawet drzewami i bezbronem wobec wściekłości wichru. Drzwi jeszcze nie mają kluczy, a klamki się źle zamykają, co im obu dotąd nie wadziło. Ale wicher halny jak wziął trząść domem, tak szyby im z okien powytrącał, a drzwi ustawicznie z trzaskiem otwierał i zamykał. Byli obaj jak Robinson z Piętaszkim na bezludnej wyspie, bo na dole nikt nie mieszka, a wszystkie pobliskie chaty szczelnie pozamykano przed wichrem i przy jego ryku niktby nawet nie posłyszał głosu ich pukania. Wpadli więc na pomysł, żeby do klamki u drzwi przywiązać ciężki kuferek, ale kuferek zaczął jeździć tam i napowrót, a drzwi nie przestawały się otwierać.

— No — pomyślałem sobie — mam ja inny pewniejszy sposób, który stanowczo złemu zaradzi. Przywiązałem grubym sznurem klamkę do nóg łóżka i położyłem się na niem.

— No i cóż? — zapytali jednocześnie Matlakowski z Witkiewiczem. — To nareszcie pomogło?

— A cóż, jeździłem z łóżkiem całą noc i zrobiłem pewnie ze dwadzieścia kilometrów drogi.

To rozśmieszyło wszystkich.

— Gdzież to panowie idziecie? — zapytał Matlakowski.

— Na wycieczkę.

— To widzę; ale dokąd?

— Nie wiemy.

— Jakto! Wybraliście się na wycieczkę i nie wiecie, dokąd idziecie?

— W dolinie Jaworzynki mamy się spotkać z Warburtonem, i tam dopiero dowiemy się o kierunku wyprawy. Spotkanie naznaczone na dziesiątą, więc mamy jeszcze czas.

— Widzieliśmy tutaj przeciągający cały jego orszak: wyprawa na wzór słynnych wypraw Chałubińskiego. Narachowaliśmy dziesięciu górali. Niesiono także namiot.

— A, to coś na wielką skalę — dodał Witkiewicz — chyba na kilka dni zamierzona wyprawa! Jakże się Anglikowi podobają Tatry?

— Jeżeli Anglik może się czem zachwycić, to śmiało twierdzę, że jest zachwycony.

— O! — rzekł Matlakowski. — Trzeba być gruboskórym fizycznie i moralnie, żeby uroków tego kraju nie odczuwać. Na łąkach, w lasach, nad brzegami potoków buja tu przepyszna roślinność, suta, rozpanoszona, soczysta tak, że prawie aż zdźbła są przejrzyste; jędrna od wody tak, że w rękę po zerwaniu więdnie, a jaka barwna! Trawy tu są zieleńsze, chabry modrzejsze, jaskry żółciejsze. U nas, gdy ktoś przez niedbalstwo pola nie obsieje, nie wyrosnie na niem nic, prócz bursztynowej ognichy i psiego rumianku, a na wiosnę głodomorku. Tutaj przestrzeń zostawiona samej sobie, w pierwszym roku zmieniałaby się w cudowną, kwiecistą prerję. Łąka, to wielki bukiet, w którym na tle przedziwnej delikatności zieleni bieli się tysiące białych chryzantemów i parnassyj, różowieje tysiące mieczyków, błękitnieją dzwoneczki, i złoci się nieprzeliczona moc dzwońców i bratków; kobierzec, po którym rozsypane niezliczone oczy żółtych okrążków, promieniste, fioletowe kółeczka chabrów, potężne łby ostrożni na wybująłych łodygach, oryginalne łodygi z czerwonymi kwiatami mieczyków. A nad tem bujają ogromne kity tymotki, drżą kłoski drzączki, chwieją się nikle jak pajęczyna wikliny polne, pochylają stokłosa i inne dziesiątki gatunków najzieleńszych, najdelikatniej-

szych, prawie bezcielesnych źdźbeł trawek. Co za cudowny kontrast barw szarej turni, wystającej wśród ciemno-zielonego lasu, lub dalekich szczytów granatowo modrych, w zmroku chmury, a prześwietlonych, eterycznych, prawie niecielesnych, pod zachód słońca w dni pogodne?

— Pan jesteś poetą!

— Zewsząd, z łąk, pól, od kwiecia, od bojowniczej świerczyny w reglach, od kosówki, wkraczającej na nagie turnie, od niezapominajek lazurowej barwy, rosnących na brzegu tającego śniegu, bije taka woń przecudna, że ta woń, ta niebieszcz przeczysta dali, ta zieleń łąk, ta para w powietrzu i ta rzeźwość atmosfery sprawia, iż życie samo, o ile bóle lub widok innych ludzi nie przerywa złudzenia, zdaje się marzeniem, nie rzeczywistością, i wśród ciszy na szczycie przychodzą złudy w kształcie drgających przed oczyma mroków. Słysząc najsubtelniejsze szmery, których źródłem tylko krew, krążąca w uchu; czuć jakieś mrowienia, których źródło nie z zewnątrz pochodzi. Człowiek mimowoli ogląda się za muchą, spędza ją z brwi, a to elektryczność podnosi włosy na skroni.

— O panie, pan ukochałeś Tatry prawdziwie, bo widzisz i czujesz rzeczy niedostępne dla innych!

— W tej błogości wreszcie zdrowy człowiek po raz pierwszy spostrzega, że on oddycha czemś, co w niego wchodzi; poznaje zmysłami powietrze, które tylko albo znał z fizyki, albo zdradzał mu je węch, gdy było zanieczyszczone. Tu po raz pierwszy oddychanie sprawia mu nieznaną przyjemność, wytwarza uczucie rzeźwości i świeżości!

Piękna twarz mówiącego słabym pokryła się rumieńcem, pod wpływem uniesienia, z jakim mówił. Zmęczyło go to. Witkiewicz, jakby chcąc to przerwać, zapytał:

— Jakże Anglik zapoznał się z Sabałą?

— Schodził właśnie granią Kościeliskiej doliny w chwili, gdy Anglikowi opowiadałem o nim i jego oryginalnej filo-

zofji. Zatrzymaliśmy go więc na wieczór i na noc i słuchaliśmy jego opowiadania „O śpiących rycerzach“.

— Ależ Anglik nie mógł tego zrozumieć!

— Tłumaczyliśmy mu na poczekaniu.

— O! — rzekł pan Stanisław Witkiewicz. — Sabała, to też jedna z największych osobliwości tych gór. Umie zaledwie czytać i pisać, a cała jego nauka zasadza się na obserwacjach, zebranych w walce z dziką naturą, ale dusza niepospolita rzuca na jego postać światło, bijące od dzieł wszystkich wielkich poetów! Cały świat górski żyje w jego mowie: wierchy i przepaście, orły, niedźwiedzie, świstaki i kozice, blaski słońc, cienie chmur i mroki nocy; skały i śniegi i wonna zieleń smereków i czarne krzaki kosodrzewiny i szum wód spienionych. Jego nieporównanie ruchliwa twarz mieni się wszystkimi odcieniami uczuć, jakie wspomina. Sabała w opowiadaniu jest i sobą i niedźwiedziem i orłem i skałą i Liptakiem i kozicą. Jego ręce rysują w powietrzu kontury grani, opadają po stromych ścianach skał, lub ważą się jak orle skrzydła nad przepaściami. Kiedy Sabała mówi: „do wirchu“, wznosząc oczy i palce ku górze, to widzi się szczyt zaobłoczny. Temperament Sabały, to temperament arabskiego rumaka, ognisty, lotny, odważny, zręczny a łagodny.

— O, pan także jesteś poetą! — rzekł Jakób, a pan Witkiewicz mówił dalej:

— Gwara góralska, uderzająca bogactwem wyrazów i form językowych, użyta przez Sabałę, staje się czemś tak artystycznym, że niektóre jego opowiadania lub bajki są skończonymi wzorami doskonałości wyrażenia ludzkiej duszy zapomocą słowa. Zwięzłość, wyrazistość, jasność i dobitność jego określeń jest niezrównana! Ale widzę, że my tu panów zatrzymujemy, a „komu w drogę, temu czas“. Idźcie już, idźcie, a my będziemy rysowali.

— Nam znów nie tak bardzo pilno. Mamy tam być na dziesiątą, a do dziesiątej jeszcze daleko. Pójdziemy sobie,

nie zanadto się śpiesząc i oszczędzając nóg na później. Do widzenia.

Zamieniono uściski dłoni i dwaj poeci zostali przy starej chacie, a trzech nasi wędrowcy ze swymi przewodnikami szli przez las i Kuźnice, zmierzając do Jaworzynki. Henryk po tem, co słyszał od doktora Matlakowskiego, innemi oczyma teraz patrzył na otoczenie.

Po łące rozlegały się dzwonki krów i nawoływania pasterzy. Słońce przygrzewało, ale w lesie był miły chłód i rosa leżała na liściach. Henryk, wywijając ciupagą, spłoszył wiewiórkę, która sunęła w jednej chwili na wierzchołek drzewa, i patrzyła na niego wystraszona, puszystym nakrywszy się ogonem. Na smerekach wieszały się i wspinały po gałęziach, przy pomocy skrzyżowanego dzioba, całe gromady krzyżodzióbów, dobywając ziarno z szyszek, które obficie obrodziły w tym roku. Dzieciół opukiwał drzewa, niby lekarz badający chorego i wyszukiwał w korze owadów, a środkiem drogi biegła po ziemi siwa ptaszyna z białą piersią, skacząc i potrząsając bezustannie ogonkiem nadół i do góry.

— Pliszka biała, śliczny wesóły ptaszek — rzekł Jakób, patrząc nań z upodobaniem — *Motacilla alba*. Są jeszcze dwie pliszki w Zakopanem, pstra i żółta; widywałem je po łąkach i młakach<sup>1)</sup>. Żółta pliszka cieszy się szczególnymi względami pasterzy; towarzyszy zwykle trzodom zwierząt domowych i uwalnia je od owadów dokuczliwych, jak liszki, muchy, koniki polne i inne tym podobne stworzenia. Jest to ich dobrodziejka! Widziałem raz, jak się uwijała między odpoczywającymi owcami. Ciemne ich oczęta bystro przypatrują się runi, a gdy owad spostrzeżę, ptaszek pochyla się, czai jak kot i spada z szybkością strzały na upatrzoną ofiarę.

— O, to należałoby te pliszki pożyteczne jak najwięcej

---

<sup>1)</sup> Mokradła.



rozmnożyć — rzekł Witold poważnie. — Ale co to za ptaszek cały nakrapiany, siedzi na lewo na korze smereka, przypięty do pnia. Rozczapierzył skrzydełka i pełza ku górze, podpierając się ogonkiem jak dzięcioł. Czyby to była odmiana dzięcioła?

— To jest pełzacz, bardzo pożyteczny ptaszek. Nie kuje w korę, ale wydobywa pędraki długim swoim dzióbem.

Czas jakiś szli nad brzegiem strumienia, przysłuchując się jego graniu: nagle chłopiec zatrzymał się, mówiąc:

— Jak tu fiołki pachną! Czy pan czuje, panie Jakóbie?

— Niepodobna nie czuć — odpowiedział — zapach miejscami jest bardzo silny.

— Czuję ten zapach już od pół godziny, a jednak niema tu nigdzie fiołków, bo okrągławe ich listki poznałbym od razu — mówił chłopiec dalej. — Myślałem, że to tylko moje osobiste złudzenie, ale skoro i pan to zauważył...

— I ja także — wtrącił Witold.

Jakób uśmiechnął się.

— Czyż nie pachniały nam fiołki w dolinie Kościelskiej? — zapytał.

— Pachniały, ale tam przynajmniej widzieliśmy je.

— To prawda — przyznał Henryk — a dziwna rzecz, że fiołki najwięcej pachniały mi nad strumieniem.

— Mianowicie tam, gdzie była obfitość kamyków ciemnoczerwonych, jak te oto. Nieprawdaż?

— Być może, ale nie zwróciłem na to uwagi. Ach! Już wiem: to one pachną! Pamiętam, jak pan Jakób, unosząc się raz nad pięknosciami tego kraju, mówił nam, że tu ściany pachną wanilią, a kamienie fiołkami. Było to wtedy, gdy ujrzałem pierwszy raz góry, wychylające się ze mgły, w której byliśmy uwięzieni.

I rzucił się do zbierania woniejących kamyków. Wyglądały one jakby proszkiem czerwonym obsypane. Jakób tłumaczył mu, że ten proszek jest gatunkiem wodorostu, zwanego bisiorciem fiołkowym, który mocniej pachnie za po-

tarciem, a po deszczu wydaje woń jeszcze silniejszą, zwłaszcza gdy go słońce przygrzeje — i dodał, że bisiorek znajduje się nietylko w Tatrach, ale i w innych górach, mianowicie w Alpach.

Chłopiec ucieszył się bardzo z tego odkrycia, pozwalającego mu obdarzyć siostrzyczkę taniem perfumami.

— Doktorze — odezwał się malarz — nie jestem przyrodnikiem, ale niektóre rzeczy z dziedziny przyrody budzą moją ciekawość. Słyszałem, że te drobne twory roślinne są bardzo różnorodne i nie mają wcale liści. Prawdaż to?

— Formalnych liści rzeczywiście nie mają. Są to rośliny plechowate. Roślina cała składa się z t. zw. plechy, czyli tworów bądź to nitkowego, bądź wstęgowatego, bądź innego kształtu, lecz nie zróżnicowanego na liście, pędy i korzenie. Rośliny plechowe nie mają kwiatów ni owoców, ale posiadają przyrządy zawierające zarodniki, z których się rozmnażają. Tak pospolite tu wszędzie na kamieniach, zmurszałych pniach i gałęziach świerków porosty — to także rośliny plechowate.

— Widziałem tutaj w lesie bardzo ładny porost, składający się z malutkich kubeczków, przybranych koralami — mówił Henryk — a także na domu, w którym mieszkamy, żółty, jakby z zeschniętych liści złożony, wogóle zresztą często na starych płotach, murach i kamieniach napotykanym.

— Najpospolitszy, ale także najszkodliwszy dla drzew jest porost *Usnea barbata*, brodac, porastający całe drzewa świerkowe, jakby siwymi włosami i wyniszczający je doszczętnie — powiedział Jakób — jest go tu dosyć.

— Ach, tak — rzekł Witold — znamy go dobrze!

— Skąd pan to wszystko wie?

— O, to rzecz powszechnie znana! Ja bardzo mało umiem, ale są tacy, co dowiedzieli się wielu rzeczy nowych i ciekawych przez długie i pracowite badania. Opisał porosty tatrzańskie dr. Rehman, a Gutwiński opisał glony czyli wodorosty.

— Że też to uczeni tak drobnemi zajmują się istotami!

— Te drobne istoty są najwytrwalsze ze wszystkich na ziemi. Na nagich, twardych skałach, gdzie żadne ziarnko utrzymać się nie może, porosty ukazują się najpierwsze. Do nich zastosować można słowa Pisma Świętego, że „przysposabiają drogi Pańskie“. Są to najpierwsi osadnicy. One to rozkruszają kamień i gnijąc, powlekają go cieniutką warstwą ziemi rodzajnej; one kładą się niejako pod stopy następnych pokoleń, a te, z kolei po sobie następując, ukazują się coraz bujniejsze, doskonalsze, aż utworzy się grunt rodzajny, w którym drzewa bezpiecznie zapuszczają korzenie. Porosty — to skromni pracownicy, bez których potężne dęby nie mogłyby istnieć! Bóg, jak słusznie mówi prof. Strand, często używa maluczkich do wielkich spraw swoich.

— To prawda — pomyślał Henryk — dżdżownice są także małe i tak brzydkie, że spostrzegłszy je między grudkami ziemi, odwracamy się od nich ze wstrętem, a przecież pracują bezustanku nad spulchnieniem ziemi. Jakże my, ludzie, pracować powinniśmy, żeby nie doznawać upokorzenia wobec porostów i dżdżownic!

Ślady wichru halnego spotykali wszędzie po drodze. Miejscami drzewa wyrwane z korzeniami leżały pokotem.

Na zakręcie drogi, ujrzeni rysującą się zdala sylwetkę mężczyzny. Wzrost średni, ubranie popielate, okrywające szczupłą figurę, włosy ciemno blond, wyglądające z pod słomianego kapelusza, wreszcie krok żywy, elastyczny, składały się na całość sympatyczną. Zmierzał prosto ku nim.

— Oto trzeci poeta — odezwał się Witold, poznavszy idącego. — Zbiera on z zapałem, nawet z namiętnością, zabytki góralskie z dawnych czasów. Dom jego, to Muzeum etnograficzne Podhala. Bo i czego tam niema! Od rzeźbionych listew, sprzętów, naczyń, do zarzuconych już dziś staroświeckich ubiorów. Są tam pasy juhaskie, noże zbójnickie, spinki mosiężne; są fajki, gęśliki i bogata kolekcja najrozmaitszych łyżników. Człowiek ten objeżdża Podhale i ku-

puje wszystko, co tylko ma jakąś wartość, chroniąc tym sposobem stare zabytki od zniszczenia. Niema chaty, do którejby nie zajrzał.

— Kto to jest, ten pan, ten poeta, jak się pan o nim wyraził? — zapytał Henryk zaciekawiony.

— Bronisław Dembowski, autor „Słownika gwary podhalskiej“.

— Więc on zbiera nietylko sprzęty i ubrania, ale i wyrazy?

— One także są cennymi zabytkami, które może wkrótce ustąpią pod wpływem niwelacyjnej kultury przybyszów z równin — odrzekł Jakób.

Ten, o którym była mowa, przystanął zrównawszy się z nimi, i uściskawszy im dłonie, zaczął odrazu:

— Wyobraź sobie, panie Witoldzie, że był tu w jednej chałupie prześliczny sosrąb bogato cyfrowany: mówię panu, koronka! Chciałem go nabyć do moich zbiorów i nie targowałem się nawet o cenę; tymczasem zheblowali go. Ach, co za barbarzyństwo!

Zaczerwienił się cały, mówiąc to, z oburzenia, i targnął długi, płowy wąs, a w szarych rozumnych oczach był gniew i żal zarazem.

Jakób pokręcił głową.

— To dziwne! — rzekł — Górale cenią swoje dawne zabytki i obchodzą się z niemi z nabożeństwem, o jakim my „ludzie dólscy“ nie mamy pojęcia. A przytem, nie targowałeś się pan, jak mówisz, o cenę!

— Tu właśnie tkwiła przyczyna złęgo. Nie właściciel chaty, w której był ów sosrąb, to zrobił, ale inny góral, mój przyjaciel, pod nieobecność tamtego, z wielkiej o moją kieszeń troskliwości, bo mu się wydało, że za wiele wyrzucam pieniędzy na te rzeczy. Ach, co za zbrodniarz!

— Niedźwiedzia przysługa — mruknął Witold — ale i ja mam panu coś do powiedzenia. Widziałem na Chramcówkach starożytny kostjum góralski: jedwabną wzorzystą spód-

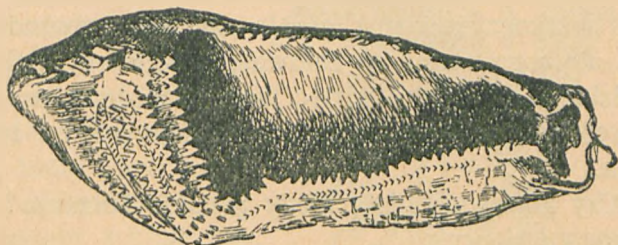
nicę, żółte buty i gorset uszyty z makaty, przerabianej złotem. Deseń przypomina ornaty kościelne.

— U kogo? Gdzie? — zapytał z żywością. — Idę tam zaraz!

— I jeszcze kożuszek barani z rękawami, kryty czerwonym sukniem i haftowany srebrną nicią.

— Na miłość Boską, mów pan prędko, gdzie i u kogo?

— Już nic niema. Nabył te rzeczy profesor Gerson.



Kierpiec.

— No, to w dobre dostały się ręce — rzekł uspokojony.

— A ja nabyłem starożytną koszulę męską, z rękawami tylko do łokcia.

— Mam i ja taką.

— Przyjdziemy kiedy obejrzyć pańskie Muzeum i przyprowadzimy Warburtona.

— Dobrze, przyprowadźcie, a ja panu powiem, że wkrótce wzbogacę je czemś, co już zupełnie zaginęło, bo i wyraz nawet istnieć przestał. Staszyc w swem „Ziemiorodztwie Karpat“ wspomina o naszyjniku męskim, złożonym z kilkunastu sznurków różnobarwnych szkiełek, który się zwał „gombica“, a spinał się pod brodą na sprzęgę mosiężną, z pod której kilka łańcuszków, mosiężnych także, spadało na piersi. Trzeba uratować od zagłady, ten jedyny może zabytek, choćby mnie to miało nie wiem co kosztować! Żle, źle się dzieje! Już kobiety zarzucają białe rańtuchy, w które się owijały, wyglądając jak istoty nie z tego świata,

a zaczynają nosić szkaradną niemiecką tandetę. Mężczyźni strzygą włosy i chodzą w butach z cholewami, choć nie znam nic wygodniejszego i piękniejszego jak kierpce. Jest to obuwie prawdziwie klasyczne.

— A tak — przemówił, śmiejąc się Henryk — że wygodne, to pewno; nabierze się w nie wody, góral podniesie nogę, potrząśnie nią i już znowu ma sucho.

— Do chodzenia po górach jedyne — dodał Jakób — stopa miękka podeszwą obejmuje kamień jak ręką.

— I warkoczyków już górale nie plotą z przodu, koło uszów, ale tego niema co żałować, bo to nie było piękne — powiedział Witold. — Widzieć jeszcze można ten obyczaj u starych, gdy się zejda z wsi okolicznych na mszę do kościoła.

— Czy górale oglądają kiedy pańskie Muzeum? — zapytał znowu Henryk.

— A jakże! Pokazuję każdemu, kto tylko chce oglądać. Oglądają i cieszą się, widząc tyle miłych swym oczom przedmiotów zgromadzonych razem.

— Niemała pańska zasługa!

— To moja żona dała początek: odkryła na Furmanowej oryginalny łyżnik i ten stał się kamieniem węgielnym mych zbiorów. Zaczęła też zbierać wyszycia góralskie na suknie i wedle góralskich motywów robić dywany. To była pierwsza sztuka stosowana. P. Butowt Andrzejkowiczówna pracowała w tym samym kierunku, rysowała sprzęty, a już najwięcej dokazał Witkiewicz z Matlakowskim.

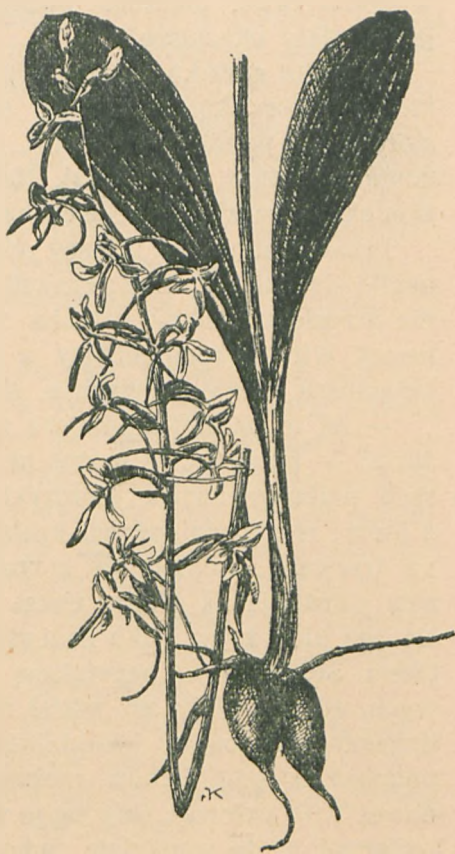
— Zostawiliśmy ich obu przy chacie Kuby.

— A, to bądźcie zdrowi, bo właśnie mam do nich interes. Wy pewnie na wycieczkę, co?

— A jakże, idziemy z Anglikiem, tak sobie, wygodnie, nie śpiesząc się, bo punkt zborny w Jaworzynce naznaczony na dziesiątą.

— Piecuchy! Jak ja idę na wycieczkę, to wyruszam przed wschodem słońca.

Po obu stronach drogi były mokradła, a wśród mokradeł bujnie rosły wełnianki, chwiejąc jedwabnymi pióropuszcami za najłżejszym wiatru powiewem; błyszcząły złotem kaczence i niebieściły się niezapominajki, tak żywej, tak prześlicznej barwy, jakiej nie mają nigdy na równinach! Rosły wreszcie storczyki, rośliny ozdobne na wysokich łądkach, których piękne kwiaty bladolila i fioletowe zebrane były w kłosy. Dorodniejsze były te, które liście miały ciemno-centkowane, ale nie pachniały, a blade lila i białe, które rzadko się tylko ukazywały, wydawały miłą, delikatną woń. Nie były to wyłącznie górskie rośliny, bo na równinach naszych, po lasach i po łąkach spotkać je można; ale klimat tatrzański szczególnie im dobrze służy, więc tworzą tu liczne osady, zdala dające znać o sobie barwami i wonią. Doktor wyjął z kieszeni małą żelazną łopatkę, którą zawsze przy sobie nosił, i schylał się raz po raz, wykopując roślinki z korzeniami, przyczem można było zauważyć, że każda miała małą bulwę. Bulwki te odcinał i wsuwał do kieszeni, a kwiaty zbierał w bukiet. Henryk, znający zamiłowanie Jakóba do



Storczyk: Podkolan biały. *Platanthera bifolia*.

roślin, nie dziwił się temu, ale nie pojmował, co za użytek może być z korzeni storczyków. Czyżby doktor miał zamiar te bulwki zasadzić w ogrodzie w Zakopanem? Ale w takim razie, dlaczego pomijał storczyki plamiste, mające kwiaty okazalsze?

Znajoma góralka zastąpiła im drogę z koszykiem poziomek. Doktor skorzystał z tej okazji, żeby posłać bukiet storczyków pannie Katarzynie, a Henryk wręczył jej fiołkowe kamienie dla Marysi. Natomiast kupili od niej poziomki, które zjedli na poczekaniu.

Przewodnicy, nie lubiący ciągłego zatrzymywania się, naglili do dalszej drogi; ruszyli więc dalej żwawo, a doktor nie przestawał mówić z takim zapalem o storczykach, że nawet Witold, spoglądający z litościwym uśmiechem na botaniczną manję przyjaciela, słuchał z zajęciem.

— Są to najdziwniejsze w świecie rośliny — mówił Jakób — napotkać je można na całej kuli ziemskiej. W sferach umiarkowanych, storczyki żyją w ziemi i wyrastają z bulw; w zwrotnikowych krajach najczęściej sadowią się na drzewach, czepiają się korzonkami szczelin, gdzie czasem natrafiają na grudkę ziemi. Większość zresztą obchodzi się bez niej, żyjąc tylko zbutwiałą korą, wilgocią i powietrzem. Storczyki są największą ozdobą lasów zwrotnikowych, gdzie kwiaty ich wśród masy zieloności, przybierają najjaskrawsze barwy i najdziwniejsze postacie. Są one podobne do pantofelków, pszczoł, much, do motyli, ptaków, nawet i do zwierząt. Gdy się je widzi w cieplarniach, trudno uwierzyć, że te wspaniałe zamorskie rośliny są braćmi naszych skromnych kwiatów łąkowych!

— A to co za gatunek? — zapytał Henryk, zrywając roślinkę, której kwiaty ułożone były kulisto.

— To jest storczyk kulisty, wysokim tylko górcom właściwy: *Orchis globosa*.

— Ani trochę niepodobny do kłosowych — powiedział



Henryk. — Ale jeżeli storczyki są tak rozmaite, po czemże je można poznać?

— Każdy z nich ma kwiat nieforemny i zawsze jakieś podobieństwo do hełmu; każdy ma dwa rozpostarte na boki okwiato-listki i część szerszą (miodowargę) jakby zwisłą klapkę. Złożone są z sześciu okwiatolistków, pięknie i całkiem różnie zabarwionych i bogate rysunki na sobie posiadających. W środku zaś niema tak, jak w innych kwiatach rozwiniętych pręcików, cienkich nitek z woreczkami, z których delikatny wysypuje się pyłek, ale w głębi osadzone są dwie małe maczużki, złożone ze zrosniętych pyłków. Storczyki gruntowe mają jeszcze jedną cechę osobliwą: są to rośliny wędrujące.

— Jakto? Czy wiatr je przenosi z miejsca na miejsce?

— Nie. Bulwa ich składa się właśnie z dwóch bulwek połączonych, z których jedna jest znacznie większa i z tej właśnie wychodzi łodyga; druga zaś mniejsza szykuje się na rok następny, aby dorósłszy, taką samą łodyżkę wydać. Co rok nowa bulwka starą za sobą pozostawia i tym sposobem roślina ciągle posuwa się naprzód. Powolny to pochód, jeden krok na rok i jeszcze krok taki maleńki! W ciągu lat dwudziestu storczyk posunąć się może zaledwie o jedną stopę; wciągu całego wieku o pięć.

— O, jakiż to marudny wędrowiec! Proszę pana, czy... na drodze, którą idziemy, można napotkać różę?

— Można, o ile nie pójdziemy bardzo wysoko. Pewnie ci idzie o różę bez kolców. Nieprawdaż?

Chłopiec zaczerwienił się.

— Tak jest — powiedział otwarcie. — Sir Edward w dolinie Kościeliskiej okazał mi tyle dobroci, że radbym...

— Przysłużyć mu się...

— Pomóc, jeżeli można, do znalezienia tej osobliwej róży.

— Podoba ci się więc sir Warburton?

— Bardzo, i dziwię się temu, co mówi pan Walter, że robotnicy jego są mu wdzięczni, ale go nie kochają. Zdaje

mi się, że pokochać go musi być bardzo łatwo: jest dobry i nieszczęśliwy... Ale czy pan widzi? Tam, tam, krzak róży! Prawda?

— Zdaje się — odrzekł, przysłaniając oczy. — Idź zobacz.

Witold, idący ciągle naprzód w milczeniu, przystanął, spojrział na doktora, otworzył nawet usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale powstrzymał się. Wreszcie, gdy Henryk odbiegł na stronę, odezwał się półgłosem:

— Zrobiłem odkrycie: nasz przybysz z za morza ma polskie upodobania.

— Skądże pan to wiesz? — zapytał Jakób.

— Poszedłem wczoraj na gazety do restauracji pod Różą, gdy wszedł Anglik. Nie widział mnie, bo siedziałem w drugim pokoju, zasłonięty uchylonemi do połowy drzwiami, ale ja doskonale widziałem go w lustrze, wiszącym naprzeciw. Wszedłszy, rzucił badawczem okiem po sali: nie było nikogo, bo zegar wskazywał zaledwie pół do dwunastej. Zażądał po niemiecku karty i wybrał... zgadnij pan jaką zupę!

— Anglicy zup nie jadają.

— A jednak baronet jadł zupę.

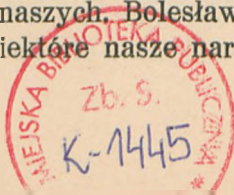
— Hm... a więc chyba buljon.

— Jadł... wyobraż pan sobie... chłodnik litewski!

— Tak?... To ryzykowne... w takim wieku... Chołodziec jest zupą wyborną i co do mnie, daję mu pierwszeństwo przed innemi; ale trzeba na to młodego, bardzo zdrowego żołądka.

— Ale czy pana nie dziwi, że to smakowało Anglikowi? Przypuszczałem, że dysponując, nie wiedział, co mu dadzą i gdy spróbuje, położy łyżkę. Tymczasem zjadł wszystko!

— Widocznie mu przypadł do gustu — rzekł obojętnie napozór Jakób, któremu stanęła w myśli noc, spędzona na Starej Polanie. My Polacy tyle jadamy zamorskich przy-smaków... czas, żeby cudzoziemcy odwzajemnili się nam i zasmakowali w naszych. Bolesław Prus oddawna już nawołuje, abyśmy niektóre nasze narodowe potrawy zaczęli



wysyłać za granicę. Sprowadzamy w zalutowanych puszkach pasztety sztrasburskie, za drogie pieniądze, choć zawierają tylko chorobliwie powiększoną wątrobę pospolitych gęsi; moglibyśmy natomiast posyłać cudzoziemcom w zalutowanych również puszkach, polski bigos lub flaki i zrazy. Cóż sir Warburton jadł więcej?

— Właśnie to, czem pan chcesz obdarzyć cudzoziemców: zrazy z kaszą. Zrazy są wprawdzie znane w Anglii, bo je nawet Nelson wymyślił, ale kasza... Anglik, jedzący kaszę, to osobliwość taka sama, jak Anglik, jedzący chłodnik.

— Najwidoczniej chce poznać naszą kuchnię narodową i jeżeli w niej zagustuje, pewnie każe niektórych potraw wyuczyć się swemu kucharzowi. Dzięki jemu, sława polskiej kuchni rozejdzie się po całym państwie Wielkiej Brytanji. Czy był jaki deser?

— Był, ale go nie tknął. Zato zjadł do okruszyny chleb razowy, którego spory kawał leżał obok białego chleba. Na widok tego chleba oczy jego zabłysły, jak na widok starego, dawno niewidzianego przyjaciela, i gdy po niego sięgał, uważałem, że ręka mu drżała.

— Przesadzasz pan. Chleb Grahama jest wynalazkiem angielskim.

— Tylko że to nie był chleb Grahama, ale zwyczajny gruby razowiec, pieczony na liściach ajeru.

— Ajeru?

— Tataraku, jeżeli pan wolisz.

— Co za przywidzenie! Tataraku nie znajdziesz pan w Tatrach. Nie znosi on płytkiego kamienistego dna górskich strumieni. Wyrasta po brzegach odlewisk rzecznych i stawów. Trzebaby iść po niego aż w Beskidy.

— Ależ posłuchaj mnie pan cierpliwie: u nas, na Litwie, po małych dworach szlacheckich wypiekają ten chleb i gdy ma iść w piec, kładą go na liściach ajeru, od którego nabiera przyjemnego, charakterystycznego smaku. Jest tutaj pewien stary Litwin z pod Kowna, który innego chleba nie

jada; restaurator miejscowy sprowadza umyślnie ajer dla niego raz na tydzień aż z Żywca.

— Hm... Zdaje mi się, że pan przeceniasz znaczenie tych szczegółów. Jeżeli Anglik wybrał polskie potrawy, nie znaczy to jeszcze, aby był z nimi dawniej obeznany. Wiadomą jest przysłowiowa oryginalność Anglików: chciwi są wrażeń i pochopniejsi od innych do próbowania różnych obrzydliwości chińskich, afrykańskich, czemużby polskich potraw obawiać się mieli, smaczniejszych dla ich podniebień, jak przypuszczam, od gniazd jaskółczych, lub smażonej szarańczy, albo wreszcie od wielkich brazylijskich pajaków, uważanych jednak przez krajowców za wielki przysmak.

— Ja zaś inne wyrobiłem sobie o tem pojęcie i wymyśliłem sposób przekonania się, czy moje domysły są prawdziwe.

— Jakiż to sposób?

— To już moja tajemnica.

I począł gwizdać ulubioną piosenkę, co czynił zwykle, gdy był z siebie zadowolony.

— Ma kolce! — wołał żałośnie Henryk, wracając z gałązką różanego kwiecia. — Co za szkoda!

Jakób wziął gałązkę i rzekł:

— Róża polna, czyli psia, której Rzymianie przypisywali własności lecznicze.

Około dziesiątej stanęli w dolinie Jaworzynki, przy potoku, rozbijającym się z hukiem o głazy. Henryk wyraził głośno swój zachwyt nad malowniczością tego ustronia, na co odezwał się przewodnik:

— U nas w Tatrach nic brzyckiego niema, ale dopiero z hali Królowej coś ujrzycie.

I spojrzawszy w górę, zawołał:

— Patrzcie, no, patrzcie! Czy widzicie? Myszolów!

Wszyscy podnieśli głowy, i ujrzeli w górze dużego ptaka, z rozpostartymi skrzydłami, wiszącego w powietrzu. Czy stał

czy leżał, nie można było widzieć, ale był nieruchomy, bo nie poruszał wcale skrzydłami.

— Jak on się może tak utrzymać w powietrzu? — zawołał Henryk.

— To jego sztuka. Potrafi tak wisieć przez kilka minut, i zdaje się, że mu to przychodzi bez wysiłku. Pewnie upatruje tu sobie zdobyczy. Biedne myszki polne, biedne zajączki i ptaszki!

— On jada także szczury, węże i owady — wtrącił przewodnik.

— To znak, że idziemy w krainę orłów. W tej dolinie zjawia się też czasem sokół pustułka. Ale jak tu cicho!

— Tylko strumień gra, a w strumieniu uwijają się pstrągi — rzekł Henryk, patrząc w wodę.

— Jednej rzeczy brak uczuвам w górach, to świata skrzydlatego — rzekł Witold. — Czasem odezwie się jakiś ptaszek pojedynczo, jak ten oto, niby głos wołającego na puszczy; ale gromadnej skrzydlatej orkiestry, odzywającej się ciągle na równinach, nie słychać tutaj wcale. W krainie orłów, jastrzębi i puha-czy, niema widać miejsca dla drobiazgu, który jednakże jest taki miły i wdzięczny, tak ożywia lasy i pola!

— Tak znowu źle nie jest — odrzekł doktor. — Przyjedź pan tu na wiosnę, a usłyszysz w kniejach tokujące



Róża polna czyli psia.  
*Rosa canina.*

głuszcze i jarząbki lub z kosodrzewiny odzywający się głos cietrzewia.

— Ja mówię o drobnych ptaszkach.

— I te można często widzieć, tylko nie urządzają koncertów tak tłumnych, jak na równinach. Jaskółki krążą koło domów, ze świstem przecinając powietrze; kukułki odzywają się w lasach; siwarniki świergocą w miejscach wilgotnych, a wśród młaków odzywają się czyżyki, obsiadłszy czuby olch. Skowronki dzwonią w górze, wznosząc się na tysiące stóp wysoko, a żaden ton z ich pieśni nie ginie. Nie dokaże tego żaden słowik!

— Widzę, że pan jesteś szczególnie wielbicielem skowronka.

— O, bo też żadne gardło nie może iść w zawody z gardziółkiem skowronka, tak pod względem pełni i dźwięczności śpiewu, jak i wytrwałości! Obok tego znakomitego solisty śmiało stanąć może jako primadonna zięba sosnowka. Znakomity ornitolog niemiecki, Bechstein, utrzymywał, że śpiew zięby zbliża się najwięcej do mowy ludzkiej i studjował z zamiłowaniem tę oryginalną muzykę. A srebrne głosiki sikorek, to skracając, to przedłużając tony, czy nie śliczną wygrywają melodję? Drozd, krewny kwiczoła, to także śpiewak nie bez zalet. Regestr jego tonów jest bardzo bogaty: począwszy od jednostajnego świergotania, przebiega całą skalę aż do tonów najwyższych, a głos ma srebrzysty i rozległy. A maleńki zwinny zniczek, *Regulus ignicapillus*, koliber tatrzański? Czy go pan nigdy nie widziałeś, jak buja uczepiony do liści, z drobnego gardziółka wyrzucając ton dźwięczny, metaliczny i donośny?

— Jakże on wygląda?

— Upierzenie ma żółtawe i ognisto czerwoną łatkę. A nie zdarzyło się panu kiedy słyszeć w górze odgłosu podobnego do warczenia bębna?

Witold namyślał się.

— Słyszałem, błędząc po zaroślach i mokradłach.

— Wydają go kuligi.

— Rodzina Bekasowatych?

— Tak, one to reprezentują bas w tej orkiestrze.

— Ależ ja właśnie utrzymuję, że nie słyszę nigdy orkiestry, tylko same sola, same duety, wreszcie tercety i kwartety. Raz tylko słyszałem bardzo liche chór trznadli, odzywający się w zaroślach nad drogą.

— Ale są jeszcze polni śpiewacy: rudziki, białozytki, i wiele innych. Nie pierwszorzędni to wprawdzie artyści, ale każdy śpiewa jak umie, i w muzyce górskich odgłosów do ogólnej przykłada się harmonji.

— Ale ja tutaj w górach spodziewałem się czegoś oryginalnego, a pan mi wymieniasz pospolite ptactwo z równin.

— Cierpliwości! Zapoznasz się pan z ptactwem halnym i turniowym: spotkamy je pewnie po drodze. Mamy iść przecież w krainy nagich turni. Na piargach szukaj różowego mentla pomurnika, *Tichodroma muraria*. Na halach przy szałasach, przebywa kopciuszek, zwany przez górali gazdą szałasnikiem, *Ruticilla tithys*. Na wyżynach płocacz alpejski, *Accentor alpinus*, i jerzyk, jaskółka turniowa, *Cypselus apus*. Poznasz ją po wyciągniętych długich skrzydłach i ogonie, który w locie zwija, co jej nadaje kształt krzyża. Wśród lasów i nad potokami przebywa pluszcz kordusek, *Cinclus aquaticus*. Nuci zcicha, ale ma głos bardzo miły.

— Widzę, że pan niemniej od Bechsteina polubiłeś ptasią muzykę — rzekł, śmiejąc się Witold. — W Muzeum Tatrzańskim widziałem sporo ptaków, alem się im nie przypatrywał.

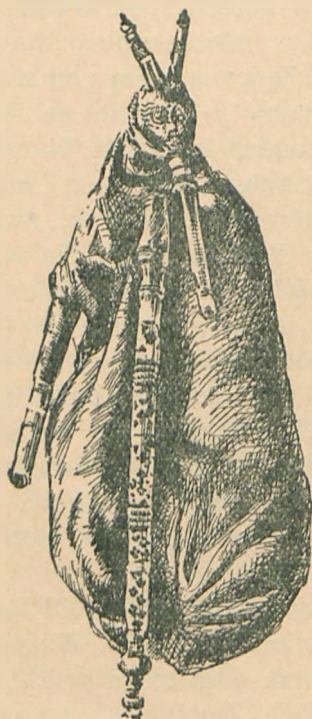
— Muzeum posiada 408 ptaków i 909 okazów jaj i gniazd. Ma też 73 okazy zwierząt ssących. Wszystko to nabyte jest od Antoniego Kocyana, leśniczego w Zuberu, który pisał o ptakach tatrzańskich. Zajmuje się on stale faunistyką tatrzańską i jest najlepszym znawcą tego przedmiotu. Zbiegali jeszcze i oznaczali okazy Ślósarski i Nowicki.

Dochodzili właśnie do miejsca, gdzie się dolina rozsze-

rza, a zdaleka widać kilka rozrzuconych, szałasów. Witold założył binokle i rzekł:

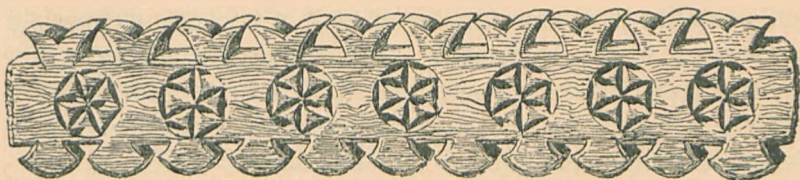
— Widzę przy szałasach jakichś ludzi: spora nawet gromadka. Czy to nie jest czasem odpoczywający orszak baroneta?

— Zdaje mi się, że to oni — odrzekł doktor, przymrużając oczy. — Ludno i zbrojno idzie Anglik na zdobycie róży bez kolców. Sir Warburton, Walter i dwaj przewodnicy mają strzelby.



Kobza.





## II.

### MORSKI WAŻ.

*Na koniku, okazale,  
Pasterz jedzie z dolnych pól.  
Tuż pod gwiazdy, na swe hale,  
Jak w swem państwie jedzie król.*

*Deotyma: Płosnka w Karpatach.*

Tamci spotrzegli ich zaraz i zdaleka witać zaczęli, machając kapeluszami. Górali było dziesięciu: dwóch do niesienia namiotu, czterech pod bagaże i trzech przewodników. Był i Obrochta z gęślikami. Sir Edward w serdaku i z kijem alpejskim w ręku, wyglądał na prawdziwego wodza wyprawy. Twarz jego, zwykle spokojną jak z marmuru, na widok Henryka rozjaśniła błyskawica radości. W ruchu, z jakim wyciągnął rękę do chłopca, było coś więcej niż uprzejmość, a w zapytaniu, czy zdrow jest po niedawnej z niedźwiedziem przygodzie, brzmiał jakiś ciepły ton. Ale powściągnął się natychmiast i odwrócił nagle, a oczy jego spotkały się z oczami małego hrabiego, który stał z boku, śledząc wyraz twarzy dziadka. Rzecz bowiem niesłychana: sir Edward, szydzący zawsze z obaw o zdrowie wnuka, interesował się teraz zdrowiem tego obcego w lichem ubraniu.

Powitanie wzajemne chłopców było bardzo sztywne. Henryk w skierowanym na siebie spojrzeniu Dawida wyczytał źle ukrytą niechęć, ale policzył ją na karb nie-

zadowolenia z wycieczki, do której widocznie wciągnięto go wbrew woli jego własnej. Naturę swego rówieśnika zrozumiał on już przy pierwszym spotkaniu w Kościeliskiej dolinie i trafnie go ocenił; zasmucił go natomiast brak profesora Stranda, umiającego tyle ciekawych rzeczy opowiadać. Baronet wyjaśnił, że profesor prosił, aby na niego nie czekano, i obiecał stawić się przed południem na hali Królowej. Jeden z górali odezwał się, że profesor zapewne urządził sobie wycieczkę na własną rękę, bo szukał wczoraj przewodnika — a drugi dodał, że widział nawet tego przewodnika, jak kupował pochodnie.

Gdy te słowa przetłumaczono sir Edwardowi, okazał zdziwienie, ale nie wątpił, że Strand dotrzyma słowa i stawi się na czas w oznaczonym miejscu.

— Bardzo byliby mi przykro — dodał — gdybyśmy zostali pozbawieni tak miłego towarzysza.

Pochodnie jednak dały do myślenia wszystkim, chociaż malarz utrzymywał, że profesor miał już chyba dosyć grot Raptawickich. Doktor jednak był przeciwnego zdania.

— Ależ tak, tak — potwierdził — tu niedaleko jest Magóra; on niezawodnie zboczył po drodze do groty w Magórze.

— To już nie rozumiem, po co by tam laźł — mruknął Witold, wzruszając ramionami — chyba nowego szuka guza!

— Co takiego przypuszczacie panowie? — dopytywał się sir Edward.

Doktor powiedział mu swoje domysły, a baronet zdecydował, żeby iść ku Czarnemu Stawowi, jak było postanowione — bo skoro Strand wyszedł o świcie z Zakopanego, to zapewne ułatwi się wkrótce ze wszystkim i przyjdzie, a może już nawet jest na hali.

— Idźmy więc, żeby nie czekał na nas długo — dodał.

— Czy można zapytać pana, sir, jaki jest plan wyprawy? — zagadnął malarz.

— Z planem czekałem na was, moi panowie. Znacie te

góry, więc lepiej odemnie potraficie wyznaczyć marszrutę. Jam tutaj obcy...

Wydało się Witoldowi, że przy tych wyrazach głos baroneta miał nienaturalne brzmienie.

— Z naznaczenia punktu zbornego na Hali Królowej wnoszę, że masz zamiar, sir, iść do Morskiego Oka.

— Tak, ale idzie właśnie o wybranie drogi takiej, któraby nam dostarczyła najsilniejszych wrażeń.

— Najwspanialszych widoków — poprawił Walter.

— I pozwoliła znaleźć różę bez kolców, nieprawdaż? — dodał malarz, a na ustach jego zabłąkał się szczególnie uśmiech.

Warburton dostrzegł ten uśmiech i rzekł:

— Obiecałem sto funtów nagrody temu, kto ją pierwszy spostrzeże i mam nadzieję, że jeśli tylko róża ta rośnie na drodze do Morskiego Oka, znajdziemy ją z pewnością.

— Nie chcę panu zaprzeczać, sir, ale na takich wysokościach różę nie zwykły się osiedlać.

— O, co do tego, jestem innego zdania. Może one w Tatrach rosną niżej, ale nie mów pan, że nie lubią się osiedlać na wysokościach. Widziałem różę w Ameryce Północnej, na stokach gór, których wierzchołki wieczny śnieg pokrywa.

— Więc on był w Ameryce — myślał Witold — no, no!

— Oprócz jednej Australji, różę są wszędzie i bynajmniej nie są niewytrzymałe na zimno. Rosną one w dzikich pustyniach Grenlandji, Kameczatki i Islandji; w Syberji nawet znajduje się kilka ciekawych gatunków. Przywózono mi je do Rochdale ze wszystkich stron świata. Mam różę z Meksyku, Abisynji, Chin, Persji, Egiptu. Nawet skraje Sahary posiadają jeden gatunek róży, rozweselającej pustynię białem kwieciem i zdobiącej wstępy do piaszczystego morza.

— Posiadasz pan różę z całego świata i różę bez kolców przyszedłeś u nas szukać!

— Przyszedłem ją znaleźć — poprawił sir Edward, a uśmiechając się, dodał: — Szkoda, że niema profesora, bo wzięłby z nami udział w naradzie.

— On także jest tu obcym — wtrącił Walter — i Tetry zna tylko ze strony naukowej.

— Masz słuszość; zresztą profesorowi nie idzie o wrażenia, tylko o Branchiopoda, przebywającego jedynie w jeziorach. Idźmy więc tak, abyśmy jak najwięcej jezior spotykali po drodze.

— Właśnie najwięcej używana droga do Morskiego Oka, wiedzie przez dolinę Stawów Gąsienicowych i dolinę Pięciu Stawów.

— Czy który z panów ma mapę?

— Oto jest — rzekł doktor, sięgnawszy do kieszeni, i rozłożył ją na olbrzymim gładzie, jak na stole.

Anglik pochylił się nad nią i patrzył uważnie, a malarz odezwał się:

— Jeżeli idzie o silne wrażenia i wspaniałe widoki, to radziłbym od Czarnego Stawu wrócić do Zakopanego, a jutro przez Jaszczurówkę, Psią Trawkę i Pańszczycę iść na Krzyżne.

— Krzyżne? Co to jest takiego? — zapewne szczyt jakiej góry?

— Jest to połączenie górskich szczytów, których ramiona tworzą krzyż. Widok jest stamtąd wspaniały na dolinę Pięciu Stawów, dokąd zejść można, i następnie przez Świśtówkę dojść do Morskiego Oka.

— Dodaj pan — zrobił doktorowi uwagę malarz — że po drodze zboczymy do Siklawy, największego w Tatrach wodospadu.

— Chciałem to właśnie powiedzieć — odrzekł Jakób — oraz że z Morskiego Oka możemy wrócić do Zakopanego przez Zawrat.

— Tego nie radzę: ci, co wracają przez Zawrat, często dostają zawrotu głowy. Co innego, gdy się idzie pod górę,

nie mając pod nogami przepaści! Zresztą, po co przebywać dwa razy dolinę Pięciu Stawów? Wracajmy lepiej przez Waksmundzką polanę. Trzeba, żeby sir Edward miał różnorodność wrażeń.

— Moi panowie, nie mamy się co sprzeczać, którą wracać będziemy. Przy Morskiem Oku możemy odbyć powtórny naradę. Plan wasz podobał mi się. Prowadźcie mnie na Krzyżne, ale oświadczam, że wracać się nie będę. Nie zwykłem nigdy zawracać z raz wytkniętej drogi. Hasłem rodu Warburtonów z Rochdale, jest: naprzód!

Baronet wypowiedział to ze stanowczością, a Jakób dodał:

— A więc musimy iść do Morskiego Oka przez Zawrat, bo przejścia na Krzyżne niema.

Warburton zmarszczył brwi, jak człowiek nie znoszący oporu, ale nie raczył już zrobić żadnej w tym przedmiocie uwagi. Spojrzał tylko na zegarek i rzekł:

— Już dziesiąta, nie traćmy czasu, panowie. Nasi przewodnicy niecierpliwą się.

Ruszono po drodze kamienistej, bystro w górę wiodącej — którą niegdyś wożono rudę z kopalni w Magórze — napatykając po drodze ślady zarzuconych sztolni.

Głos żałośny, przeciągły, przeszył powietrze, głos jakiejś samotnej ptaszyny.

— To gazda szalaśny — rzekł przewodnik — zowie się kopcuszek.

Mały hrabia szedł obok swego gubernera pogrążony w myślach, a na jego twarzy pojawił się wyraz dotąd tam nie bywały, wyraz skupienia. Rzucił od czasu do czasu ciekawe spojrzenia na swego rówieśnika, z którym rozmawiał w tej chwili jego dziadek. Tak życzliwego wyrazu twarzy, tak dobrotliwego uśmiechu nigdy u niego nie widywał! On się bał tego posępnego starca, drżał przed bystrym, nawskróś przenikającym wzrokiem. Głos baroneta, ilekroć doń przemawiał, był zawsze surowy, a teraz ten sam

głos brzmiał łagodnie, przyjacielsko, jakby ten ubogi, skromnie ubrany chłopak był mu równy! Matka miała słuszość, gdy go ostrzegała, że ktoś obcy może się wkraść w łaski despotycznego starca. Czyżby on właśnie miał być tym obcym? Trzeba się zatem mieć na baczności, ale gdyby i tak być miało, on, Davy, nigdy temu nie przeszkodzi; nie potrafi pozyskać jego serca i nie będzie nawet usiłował. Jakkolwiek był leniwy, zepsuty, rozpieszczony, ale miał swoją dumę, a duma ta czyniła mu wstrętne upokarzające zabiegi, które nawet, jak sądził, byłyby bezużyteczne, bo przenikliwy dziadek odgadłby ich cel natychmiast. On, Davy, mógł tylko patrzeć i czekać, nic więcej. Mimo to czuł wzrastającą niechęć do Henryka. Na tę wycieczkę szedł z wielkim przymusem, z wyraźnej woli matki; nie zachwycał się więc pięknnością otoczenia, a zły jego humor wzrastał co chwila. Nieprzyzwyczajony do chodzenia, zmęczył się bardzo prędko i ciągle siadał, co niecierpliwiło baroneta. Walter musiał go nieustannie zachęcać.

— Siadać na wycieczce, jest to szukać zmęczenia i bólu nóg — mówił do niego. — Górale nigdy nie siadają, chyba przy wieczornem już ognisku przed spaniem.

Henryk zato grzeszył w inny sposób, bo bezustannie wysuwał się naprzód, zbierał kwiaty, czepiając się skał, zaglądał w szczeliny i wyszedłszy poza ścieżkę, zmuszony był wracać. Przewodnik raz po raz wołał:

— Wrócić się, wrócić, szkoda czasu! Przewodnika trzeba słuchać!

A Jakób dodawał:

— Kto oszczędza sił z rana, zyskuje drugą parę nóg wieczorem.

Im wyżej wstępowali, tem coraz szerszy widok odsłaniał się przed nimi na góry okoliczne, zwłaszcza na Giewont. W jakimkolwiek bowiem kierunku idzie się na wycieczkę z Zakopanego, wszędzie jak duch zjawia się stary Giewont, ukazując swoją szczerbę.

Gdy skręcili na ścieżkę, którą już wygodnie iść można ku hali Królowej, doktor pokazał Warburtonowi baniaste wzniesienie na środku góry i miejsce, gdzie się znajduje grota Magóry. Ale przy grocie nie było widać nikogo. Zato niżej spostrzegli dwa czarne ruchome punkty. Punkty te rosły, zbliżając się i przybierały ludzkie kształty. Jeden zaczął zdaleka poruszać chustką. Nie było już wątpliwości, że za chwilę cała wyprawa znajdzie się w komplecie. Orszak zatrzymał się, czekając na profesora, a sir Edward, popatrzywszy przez lunetę, spostrzegł, że Strand niesie jakiś duży okrągławy przedmiot i oddawszy szkło doktorowi, zapytał co sądzi, że to być może. Jakób popatrzył i przyznał, że nie wie. Przedmiot ten wygląda na kamień, ale nie jest nim napewno, bo profesor niesie go zbyt swobodnie; a kamień takiej objętości potrzebowałby większego wysiłku przy wstępowaniu na górę.

Zkolei wziął lunetę malarz i zdecydował, że to musi być jakiś przedmiot cenny, skoro mając przewodnika przy sobie, nie oddał mu swego ciężaru. Może bryła złota, ukryta niegdyś przez zbójników w jaskini! Bądź co bądź, musi to być coś osobliwego, bo uczony Strand przystaje co chwila i spogląda na to z uwagą, a okulary ma zsunięte na czoło, jak zwykle, gdy jest w uroczystym nastroju.

— Może profesor znalazł w grocie jezioro, a w niem swego Branchiopoda — odezwał się Henryk.

— Co znowu! W Magórze niema jezior, a Branchiopod jest małym skorupiaczkiem.

— Jeżeli jest tak małym skorupiaczkiem, to może właśnie nie można go było ująć inaczej, tylko z większym przedmiotem, na jakim osiadł. Ale jeżeli pan utrzymuje, że w Magórze niema jezior...

Gdy już tylko kilkadziesiąt kroków dzieliło profesora od krawędzi skały, gdzie znajdował się orszak baroneta, Wiltold, któremu ten przedmiot zagadkowy nie dawał spokoju, zawołał:

— Co pan takiego zdobyłeś, panie profesorze! Od kwadransu obserwujemy pana i nie możemy zgadnąć.

Uczony Strand, czerwony od zmęczenia, popatrzył na obecnych i przemówił z tłumionem wzruszeniem:

— Znalazłem czaszkę niedźwiedzia jaskiniowego!

I podniósł do góry niekształtny, poczerniały czerep — przyczem postawa jego, wyprowadzona tym ruchem z równowagi, zachwiała się i byłby się stoczył nadół, gdyby go idący za nim przewodnik nie podtrzymał. Górale też na skinienie baroneta podbiegli, pochwycili profesora i prawie wnieśli na górę. Był zmęczony i ledwie dyszał, a ubranie jego znajdowało się w bardzo smutnym stanie i nosiło ślady chodzenia na czworakach. Włosy też były w okropnym nieładzie, a żyły na głowie i czole mocno nabrzmiały. Szedł zaprędko i siły jego wyczerpały się.

— Znalazłem ją w grocie Magóry, w bocznej pieczarze, między odłamami lodu — mówił, oddychając ciężko. — Prawda, że piękny okaz?

I podał baronetowi, który obejrzawszy, oddał z kolei doktorowi, mówiąc:

— Hm, zapewne, że jest to cenna zdobycz, jeżeli istotnie należała do zwierzęcia, któremu ją pan przypisujesz. Co do mnie, nie znam się na tem. Ale siądźże pan czempredzej, bo widzę, że zaledwie możesz utrzymać się na nogach.

Górale skupili się koło profesora, przyglądając się ciekawie i wyrażając głośno swoje zdania. Jeden dowodził, że to łeb barana, inny że cielecia, a doktor, oglądając czaszkę, zagadnął doktora Stranda, czy słyszał o odkryciu Rotha.

— Jakiem odkryciu? Mów pan! — zawołał z ożywieniem.

— Staraniem Towarzystwa Tatrzańskiego prowadzi się systematyczne badanie jaskiń. Otóż Roth znalazł w jednej z pieczar kości dwudziestu ośmiu gatunków zwierząt, pomiędzy którymi, prócz gatunków dziś jeszcze w Tatrach i na Podhalu żyjących, znajdowało się wiele takich, które



obecnie tylko mroźne okolice podbiegunowe zamieszkują, mianowicie kości renifera...

— Renifer w Tatrach! — zawołał Henryk ze zdumieniem. — Tegobym nigdy nie przypuścił!

— Kości zająca bielaka, dwóch lemingów — wyliczał dalej Jakób — pardwy i zaginionego niedźwiedzia jaskiniowego, do którego, jak pan utrzymujesz, ta czaszka należy.

— Te zwierzęta żyły tu w okresie lodowym — rzekł profesor z ożywieniem, a wypierane stopniowo z ociepleniem się klimatu, z dawniejszych siedzib, cofały się ku północy i zatrzymały dopiero w mroźnych okolicach podbiegunowych. Ale ślady tej fauny przechowały się tutaj dotąd, bo do niej zaliczyć należy kozicę, świstaka, sorka alpejskiego i smużkę, żyjące tu obecnie.

Doktor mówił dalej:

— A profesor Wierzejski znalazł w jednym z jezior szczególnego skorupiaka, zwanego zadychwą, który oprócz Tatr znanym jest jedynie w Skandynawji i w Grenlandji.

Strand pobladł ze wzruszenia i zerwał się na równe nogi.

— Ale w którym, panie, w którym? Mów, na miłość Boską! To mój Branchiopod, którego szukam!

W zapale chwycił obiema rękami za kamizelkę doktora i trząśł nim gwałtownie.

— Domyślałem się tego — odrzekł Jakób z uśmiechem. — Ale ostrożnie, bo mi pan podrzesz ubranie.

— Domyślałeś się i nic nie mówiłeś! A cóż za człowiek z pana! Masz serce z kamienia!

— Z tego powodu profesor Wierzejski uważa to zwierzętko za arktyczne.

— Ależ naturalnie! Naturalnie!

— Przypuszcza, że w okresie lodowym było ono pospolitem w Europie, że wyginęło wskutek ocieplenia się klimatu, a przechowało się po dziś dzień jako niemy świadek wielkiego, dawno minionego zjawiska, jedynie w Tatrach,

znalazłszy w chłodnej wodzie tych jezior przyjazne dla swego istnienia warunki.

— Tak, ale w którym? W którym? — wołał profesor coraz głośniejszym głosem, trzęsąc jeszcze mocniej doktorem. — Mów pan, jeżeli masz Boga w sercu!

— Nie pamiętam, wierzaj mi pan.

Profesor opuścił ręce i obrzuciwszy Jakóba pełnym wzgardy spojrzeniem, wyrzekł, trzęsąc się z oburzenia:

— Nie pamiętać miejsca zamieszkania Branchiopoda! I to ma być człowiek!...

I ukrył twarz w dłoniach, pogrążony w rozpacz.

— Ależ panie profesorze, pociesz się pan — uspokajają go Warburton, dotykając jego ramienia. — Jesteśmy w drodze do Pięciu Stawów; będziesz pan mógł czynić poszukiwania, i jeżeli tylko pański Branchiopod istnieje rzeczywiście, niezawodnie go znajdziemy.

I wyjąwszy cygarnicę, dodał:

— Mam przy sobie wyborne cygaro: zapal je pan; to orzeźwia i uspokaja. Niech co chcą mówią lekarze o szkodliwym działaniu tytoniu na organizm: ja utrzymywałem zawsze i utrzymuję, że dymek z cygara spędza troski z czoła i myślom daje skrzydła. Czy masz pan zapałki?

— Mam — odrzekł Strand, biorąc cygaro i sięgnął do kieszonki kamizelki, a nie znalazłszy ich na zwykłym miejscu, zapuścił rękę w kieszeni surduta i cofnął ją natychmiast ze wstrętem.

— Co panu jest? — zapytał baronet. — Coś pan tam znalazł?

— Nic, nic — bąkał zmieszany — to tylko... to jest... myślałem, że to zapałki...

— Ej, czy nie żaba weszła panu do kieszeni? Okazałeś wstręt tak widoczny... a pamiętam z czasów pobytu pańskiego w Rochdale, że o mało nie złamałeś nogi w parku, obawiając się nastąpić na żabę.

— Jeżeli tak, to pana od niej oswobodzę — powiedział

Jakób, chcąc zanurzyć rękę w kieszeń profesora, ale ten odskoczył jak oparzony, wołając z gniewem:

— Nie dotykaj mnie pan! Niech się nikt nie waży mnie dotykać!

Niespodziany ten wybuch u łagodnego i flegmatycznego z natury człowieka zdziwił wszystkich. Spoglądali na siebie, nie umiając wytłumaczyć sobie przyczyny, a uczony Strand, ochłonawszy nieco, dodał, jakby usprawiedliwiając się:

— Nie czułem nigdy wstrętu do żab, ani do najlichszego stworzenia, bo wszystkie mają cel swego istnienia i są dowodem mądrości Bożej, a jeżeli okazał przestach w parku Rochdale, to dlatego jedynie, że nie chciałem wyrządzić krzywdy nieszkodliwemu zwierzątku.

— Profesor Strand ma tylko wstręt do niewiast, choć także są dowodem Bożej mądrości — wtrącił Witold z uśmiechem.

— I do wszystkiego, co ma z niemi związek — dodał Jakób, a niewinne te wyrazy, bez złośliwej wymówione intencji, widocznie zaniepokoiły uczonego. Spojrzał niechętnie na obu przyjaciół i odwróciwszy się, ruszył w drogę, nie troszcząc się o resztę orszaku. Czaszka niedźwiedzia jaskiniowego, z którą nie chciał się rozstać, sprawiała mu niemało kłopotu.

— Moi panowie — rzekł półgłosem baronet do doktora i malarza — nie mówciez nigdy profesorowi o kobietach, bo widzicie, że mu to psuje humor.

— Ciekawy jestem, co on znalazł w kieszeni? — szepnął Witold.

— Widocznie coś takiego, czego nie chce nam pokazać — odrzekł Jakób. — Może jest to jakaś zdobycz naukowa, mająca do czasu pozostać tajemnicą, i o której dopiero dowiemy się kiedyś z dzienników.

— Ej, nie — powiedział Witold — na twarzy profesora pojawił się wyraz takiego wstrętu, gdy cofał rękę, jakby się dotknął przypadkiem gadu jadowitego.

— W istocie, to bardzo dziwne — szepnął Warburton.

Na halę Królowej wiedzie ścieżka, wijąca się nad krawędzią przepaści. Miejscami jest tak wąska, iż wędrowcowi zdaje się, że się na niej obie jego nogi nie zmieszczą, ale idąc przekonywa się, iż mogą wygodnie obok siebie postępować. Widok jest stamtąd na dolinę Jaworzynki, leżącą na dnie przepaści niby obrazek uroczy. Mały hrabia, gdy się do tego miejsca zbliżył, zbladł, trząść się zaczął i w żaden sposób nie mógł się odważyć go przekroczyć. Próżno przekładał mu przewodnik, że „droga łatwa i babsko studentnie wlaźłoby na nią“ — Dawid słuchać nie chciał. Ani obawa gniewu dziadka, ani uspokajające przedstawienia Waltera, ani zapewnienia doktora, że tędy góralki jeżdżą konno z obońkami<sup>1)</sup>, napełnionymi mlekiem, nic nie pomogły. Odwrócony plecami od przepaści, rękami przypiął się do skały i wołał, że nie pójdzie dalej za nic w świecie, że chce wracać do Zakopanego, i wśród tego lamentu został zdradziecko przez owo drażliwe miejsce przeciągnięty; jeden z górali go popchnął, drugi naprzód pociągnął. Gdy poczuł, że niebezpieczeństwo minęło, odetchnął i lękliwem spojrzeniem obrzucił twarze obecnych, a to, co na nich wyczytał, pokryło mu twarz ciemnym rumieńcem, zwłaszcza, że ścieżka teraz nie wydała mu się tak wąska jak przed chwilą. Odczuł całą śmieszność swego postępku, i miał ochotę się rozpląkać, ale spojrzawszy na Henryka, biegnącego naprzód wesoło, powstrzymał gwałtem łyżę i z zaciśniętymi ustami szedł w milczeniu, poddając się losowi. A gdy obejrzawszy się jeszcze na ową drogę fatalną, zobaczył jadącego tamtędy na koniku górala z obońkami, z fajką w zębach i niedbałą swobodą na ogorzałej i dumnej twarzy — gorycz załała jego serce.

Zeszli na halę Królowej, pokrytą prześliczną zielonością, niby puszystym kobiercem. Pragnienie ujrzenia przedzej

---

<sup>1)</sup> Naczynia drewniane.

turni, których brzegi wychylały się zdala — rosnąc powoli i ukazując płaty śniegu, leżące na ich ostrych żlebach — dodawało im siłę, choć byli zmęczeni. Wreszcie wśród malowniczo rozrzuconych złomów, bujną otoczonych kosodrzewiną, odsłonił im się prawdziwie majestatyczny widok. Przewodnik, wskazując ręką, mówił:

— Ta góra długa na lewo z granią czarną, to Koszysta wielka, a przy niej bliżej Buczynowe turnie. Między niemi jest Krzyżne. Zaraz przy niej jest druga, żółta kieby siarka, co ma wierzch trójkanciasty, to się nazywa Żółta turnia, dlatego, że na kamieniu rośnie taki żółty porost, jak siarka. Te dwa czuby przy sobie nazywają się Granaty, bo przed wschodem słońca są całe czerwono umalowane. Ten wierzch środkiem wyszczerbiony, to Kozi wirch, bo się kozy po nim często spinają. Dalej Zawrat: tamtędy się idzie do Morskiego Oka. Ta na przodku dzieląca Czarny Staw od Pięciu Stawów Gąsienicowych nazywa się Kościelec, bo do kościoła podobna.

— A gdzie jest Czarny Staw?

— Czy widzicie ten kamienisty wał, co idzie od Żółtej turni do Kościelca? Za nim jest Czarny Staw. Przypatrzcie się państwo stawom: widać tu ich zwierciadła.

— Raczej zwierciadełka — szepnęła Henryk.

Profesor nie słuchał. Z roztargnieniem rozglądał się, szukając śladu lodowców.

Nasyciwszy oczy wspaniałym widokiem, wędrowcy ruszyli ścieżką nadół ku szłaśom, gdzie zwróciły ich uwagę duże głazy granitowe, rozsypane po zboczu wapieniowej góry.

Profesor przystanął i patrzył na nie zamyślony. Warburton zatrzymał się także i rzekł:

— Co te granity robią na wapieniu? Jakim sposobem bryły tak potężne dostały się tutaj? Chyba poprzemieniły je tu jakieś bajeczne olbrzymy?

— To jest ślad lodowca! — odrzekł profesor. — Głazy

te z przeciwległego grzbietu nie mogły się dostać inaczej, jak po lodowcu, który niegdyś zaścierał całą dolinę Gąsienicową.

— Ot, co to jest być uczonym — wtrącił malarz. — Profesor Strand z głazów odczytuje dzieje tej krainy z przed wielu tysięcy lat, a my patrzymy na nie i nic nie widzimy. Dla nas martwe, nieme, dla niego są księgą pełną treści.

— To prawda — myślał Henryk. — Jakim to potężnym skarbem jest wiedza! Ona daje klucz do wszystkich tajemnic. Człowiek uczony jest jasnowidzącym.

— Ślady lodowców spostrzegam tu wszędzie — mówił Strand dalej — w postaci wygładzeń po skałach, szram i głazów narzutowych.

Doktór odezwał się:

— Uczeni badacze utrzymują, że w okresie lodowym po obu stronach Tatr, południowej i północnej, zarówno doliny, jak i boki gór pokryte były potężnymi lodowcami, które u podnóża ich łączyły się z sobą i zachodziły daleko poza dolinę Nowotarską.

— Tak jest — odrzekł Strand — zostały one bardzo wymowne ślady swego istnienia. Lodowce Tatr z dolin staczały się aż na wyżyny podtatrzańskie, a każda dolina posiadała swój własny. Z tych czasów pozostały tylko owe płyty śniegu, kryjące się pod głównym grzbietem Tatr, pod osłoną skalistych turni.

— Proszę pana — zapytał Henryk, słuchający bardzo uważnie — wszakże lodowce ze śniegu powstają?

— Nie inaczej.

— Dlaczego więc tworzą się tylko w górach, chociaż zimą śnieg pada także na równinach?

— Śnieg, gromadzący się na wyniosłych szczytach i grzbietach gór w porze letniej, topnieje na powierzchni, a woda, z topnienia tego pochodząca, przesiąka do wnętrza. Że zaś ciepłota na takich wysokościach spada na noc do zera, więc woda owa marznie i w ten sposób śnieg zamienia się bezustannie w zlodowaciałą masę.

— Ale jakim sposobem lodowce mogą odbywać wędrówki? Przecież to nie są żywe, zdolnością ruchu obdarzone istoty!

— Obsuwają się one nieustająco po pochyłej powierzchni gór i spuszczają powoli w doliny, wypełniając je w postaci wydłużonych języków. Im silniejsze jest nachylenie gruntu, a grubość lodowca i jego ciężar większe, tem i ruch szybszy.

— A więc gdy lodowiec spuści się w dolinę, to wtedy już tam zostaje, nieprawdaż?

— O, nie; ruch nie tylko nie ustaje wtedy, gdy dno doliny przybiera położenie poziome, ale popychany zgóry, ciągle powiększającym się ciężarem masy zlodowaciałej, wznosi się czasem nawet do znacznej wysokości i przesadza mniejsze przeszkody, jak nierówności dna i skaliste zapory, tamujące mu drogę.

— A jaka jest szybkość tego pochodu?

— W Alpach ruch lodowca wynosi 20 do 30 centymetrów na dobę.

— To jest 92 metry rocznie — liczył Henryk — ruch bardzo powolny.

— Bo też lodowce nie są zjawiskiem jednej chwili — odrzekł Strand — lecz do rozwoju swojego potrzebują długiego przeciągu czasu.

— A co się staje z lodowcem, gdy zawędruje w niskie okolice?

— Jeżeli te okolice są dość ciepłe, to daje początek rzekom.

— Myślałem, że rzeki powstają tylko ze źródeł podziemnych.

— I źródła podziemne nie z ziemi biorą początek, ale z wód deszczowych, które przesiąkają w ziemię i krążą pod jej powierzchnią, jak to ma miejsce na Kalatówkach, gdzie przyłożywszy ucho do ziemi, słyszeliśmy doskonale ich szmer.

— A jeżeli kraj, przez który posuwa się lodowiec, jest zimny i lód nie zamieni się w rzekę, to co się wtedy dzieje?

— W takich krajach lodowiec schodzi aż do morza: tam koniec jego ułamuje się i spuszcza jak okręt na wodę. Tak powstają góry lodowe.

— To te lodowce zatem muszą być olbrzymie?

— Bywają czasem długie na kilkanaście kilometrów, a grube na metrów kilkaset.

— Lód chyba posiada twardość kryształu, przy tak strasliwym ciśnieniu. Proszę pana, czy mogę pana jeszcze o jedno zapytać?

— I owszem, mój młody przyjacielu, pytaj o co chcesz.

— Powiedział pan niedawno, że głazy, które tu widzimy rozrzucone, są śladami lodowca. Cóż to ma jedno do drugiego?

— Bo lodowce na grzbietach swych unoszą rumowisko skalne, które się zgóry nadół nasypało. To się zowie „moreną“. Po stopnieniu lodowca, rumowisko takie osiada na gruncie.

Jakób przerwał.

— U nas rozsiane kamienie polne są takimi rumowiskami, przyniesionymi ze Skandynawji na grzbietach lodowców, które dawniej, gdy na świecie było zimniej i wilgotniej, rozciągały się od Skandynawji aż do nas i pokrywały cały kraj, oraz równiny Niemiec i północnej Rosji.

— Jakto, te lodowce szły przez morze?

— Morze nie dzieliło wtedy Szwecji i Norwegji od reszty Europy. Półwysep ten stanowił jedną całość z lądem stałym.

— Dlaczego jednak kamienie polne są po większej części okrągłe?

— I to ma swoją przyczynę. Znaczna część okruchów skalnych wpada w szczeliny, powstające w lodowcu bezustannie wskutek nierówności podłoża, po jakim się posuwa. Że zaś lodowiec topnieje od spodu, a przyrasta u góry świeżo spadłym śniegiem, więc okruchy skalne, strącone przez wichry lub lawiny, tym sposobem dostają się na sam spód i przygniecione całym ciężarem masy zlodowaciałej,



wystawione są na niesłychanie silne tarcie przy ruchu lodowca. Kruszą się one, obcierają o siebie wzajem, przybierają postać palcowatą, wieloboczną lub okrągłą; wygładzają się, lub ulegają porysowaniu, a znaki są tak charakterystyczne, że odrazu poznać je można.

— Jeżeli to jest tak straszliwy ciężar, cóż się dzieje z dnem, po którym szoruje lodowiec?

— Ulega częściowemu uszkodzeniu. Jeżeli owe głazy i odłamy skalne trafiają na litą skałę, gładzą ją i rozcierają, rysują nawet i tworzą w niej znaczne zagłębienia, lub wyrównywają dna, usuwając progi i zapory. Tak samo obchodzi się lodowiec ze skalistemi bokami doliny: obcierając je bezustannie, odrywa ich kawałki i zostawia na nich szramy i wygładzenia, które nawet po zupełnem zniknięciu lodowca, długo się przechowują.

— Więc lodowce zmieniają postać gruntów?

— O, dokonywają one jeszcze większych rzeczy; materiał morenowy, gromadzący się na spodnim końcu lodowca, wpływa najbardziej, na zmianę charakteru miejscowości, gdyż tworzy potężne wały kamieni, progi, powstrzymuje w biegu górskie potoki, powoduje częściowe zalanie dolin i staje się powodem powstawania jezior. Jeziora tatrzańskie powstały właśnie w dawnych miednicach głazów, naniesionych przez lodowce.

— Ale gdy śnieg stopniał i zamienił się w wodę, to wreszcie i woda powinna była wyparować.

— I parowała też ciągle, ale w atmosferze jest niewyczerpane źródło wody, ciągle oddające ziemi napowrót to, co z niej uchodzi w postaci pary.

Strand umilkł i zaczął znowu przyglądać się swojej czaszce, a Henryk mówił sobie, że podczas gdy on, patrząc na zwały lodowe, widział tylko kamienie, profesor miał przed oczyma wielkie kataklizmy i widział je tak dokładnie, jakby się działy wczoraj. Podczas gdy on, patrząc na czaszkę niedźwiedzia jaskiniowego, widział tylko czerep, pro-

fesor miał przed oczyma zwierzę żywe, jego obyczaje i warunki, w jakich istniało. Czy też on znajdzie swego Branchiopoda? Ale gdzie jest róża bez kolców? Jeżeli jej nie było w dolinie Jaworzynki, ani pod kopą Magóry, ani na początku hali Królowej, to już i przy Stawach Gąsienicowych chyba jej nie będzie! O, ileż dałby za to, żeby zdobyć tę różę dla sir Edwarda! Taki był dobry dla niego, tyle życzliwości okazał mu dziś przy powitaniu! Wypytywał o babunię i siostrzyczkę. Rzecz dziwna, że obcego człowieka interesują te szczegóły!

Nagle Dawid, idący trochę naprzód, cofnął się gwałtownie, wołając:

— Wąż, wąż!

— Gdzie? Co? — pytali wszyscy na wyścigi i cały orszak zatrzymał się.

Chłopiec blady, przerażony, wskazał między głazami, w miejscu, gdzie od wielkich świerków padał cień, a ziemia pokryta była obficie igliwem, pełzającego węża. Jasno-popielaty, gruby na palec, a długi przeszło na dwa łokcie, dziwny ten wąż nie miał wcale głowy i posuwał się naprzód ruchem falistym: ciało jego usiane było cienkimi kreseczkami, a każda kreseczka miała na sobie czarny punkcik.

Malarz, który widział żmije tatrzańskie w Muzeum Chałubińskiego, utrzymywał, że to być musi jaki nieznany gatunek, a Jakób, rzuciwszy okiem na węża, zawołał:

— Pleń!

I obejrzał się na profesora, który tak silnego doznał wrażenia na ten widok, że aż upuścił czaszkę niedźwiedzia jaskiniowego.

— Ta to pleń — powtórzyli górale, a przewodnik dodał:

— Kilka lat temu Wala z Sieczką spotkali plenia przy Stawach Gąsienicowych, skąd podlaźł z lasu.

— Ja go dwa roki temu spotkał pod regłami — odezwał się drugi przewodnik.

— Pleń, pleń, co to znaczy — dopytywał się malarz, nieukrywający wstrętu. — Do jakiegoż gatunku należy to dziwne stworzenie bez głowy i oczu?

— Jest to jeden z najosobliwszych objawów w świecie zwierzęcym, zwłaszcza owadzi — odezwał się Strand. — Ten wąż pozorny jest nieprzeliczoną gromadą beznożnych gąsieniczek muchy ziemioroki, *Sciara militaris*, które instynktem wiedzione zlepiają się z sobą, a utworzywszy węża, pełzają w cieniu lasów. Przypadek nadarzył nam sposobność ujrzenia tego rzadkiego zjawiska, za którym ubiegają się uczeni różnych narodowości; bo, moi państwo, pleń rzadko się pojawia, a że dziwnym zbiegiem okoliczności pojawienie się jego poprzedzało zawsze jakieś katastrofy dziejowe, jakieś wojny, więc ludzie drżeli na jego widok, upatrując w nim proroka, przepowiadającego rozlew krwi. Gdyby pleń zjawiał się rok rocznie, ludzie przyzwyczailiby się do niego, ale, że czasem nie słychać o nim przez kilka lub kilkanaście lat, więc sam jego widok zabobonnym strachem przejmuje ludzi. I nic dziwnego: widok nieprzeliczonego, zwartą kolumną idącego wojska gąsieniczek, mógł nasunąć myśl o wojnie. Był czas, że brano go za jedno z „wężem morskim“, o którym oddawna błąkały się po lądach i morzach legendy.

— Pleń ta, widzicie, nikomu nie zrządza żadnej szkody — odezwał się przewodnik — ludzie nasi plenia zbierają, suszą, posypują nim sásieki, stajnie, izby, bo chleb, widzicie, trzyma się domu takiego.

— Czy pleń pojawia się tylko w Tatrach? — zapytał Warburton.

— Bywa w Beskidach, bywa i pod Bochnią. Widział go też ks. Jundziłł gdzieś w okolicach Niemna, czy Wilji. Pojawia się on w niektórych krajach północnej Europy, a także w Niemczech i Tyrolu. Kraje gorące prawie go nie znają; pleń nie znosi upału i światła słonecznego, lubi cień i chłód, a pojawia się zwykle tam, gdzie jest dużo igliwia rozsypanego.

Wszyscy przypatrywali się temu niezwykłemu zjawisku, a wąż pętał ciągle falistym ruchem, posuwając się nieznacznie.

— Może to pleń bywał przyczyną w wiekach średnich tylu bajek o wężu morskim? — odezwał się malarz.

— Jestem prawie tego pewny — odparł Strand.

— Jakim sposobem one się tak mocno z sobą trzymają? — zapytał Henryk.

— Lepka ciecz na powierzchni ciała każdej gąsieniczki spaja wszystkie tak silnie, że pleń niejako jedno tworzy ciało.

— Ale jeżeli te gąsieniczki są beznożne, jakim sposobem posuwają się naprzód?

— Pochód jest wynikiem posuwania się naprzód wszystkich gąsieniczek razem. Każda z nich bowiem ślizgnie po towarzyszkach sobie najbliższych; wyprężając co chwila przód ciała i posuwając tył za sobą, posuwa się tym sposobem o jeden milimetr, a jedna prześciga drugą w kierunku pochodu. Przez to ustawicznie zmieniają swe położenie; wierzchnie cisną się pod spód, a spodnie wychodzą nawierzch. Mają one zawsze przewodniczki i co te przedsięwzją, tamte, jakby za poprzedniem porozumieniem, naśladują. Dowódtwo nie jest stałe. Każda może przewodzić, skoro tylko dotrze do spodu, a przewodniczki nie różnią się niczem od innych.

— Jest to więc coś nakształt republikańskiego ustroju.

— Jaka jest szybkość tego pochodu? — zapytał Witold.

— Możemy to łatwo sprawdzić: te, na które tu patrzymy, uszły w pięciu minutach dwa cale drogi, więc na godzinę stóp dwie, a na całą dobę czterdzieści ośm. Zatem dla odalenia się o ćwierć mili, potrzebowałyby czterech miesięcy.

— A jednak patrząc na ruch plenia, zdaje się, że się prędzej posuwa.

— W istocie, takie czyni wrażenie.

— Jaki jednakże jest cel tych pochodów?

— Tego stanowczo orzec niepodobna. Uczeni bardzo się już nad odgadnięciem tego biedzili, ale napróżno. Jest to przedziwna właściwość, jakiej żadne inne zwierzę nie posiada, a cel jest dotąd i może pozostanie na zawsze tajemnicą, do której klucz spoczywa w ręku Boga, ukazującego nam w pleniu jeden ze Swych cudów. Co jednak zadziwia najwięcej u tych wątych gąsieniczek, to ich wytrzymałość. Wyobraźcie sobie, że one pół dnia, dobę nawet, idą bez odpoczynku, a zachowują się jak karne i dobrze wyćwiczone wojsko.

— Ileż w tej armji, którą widzimy przed sobą, może być żołnierzy? — zapytał Warburton.

— Co najmniej piętnaście tysięcy.

Przewodnicy nieradzi tak długiemu zatrzymywaniu się podróży, zaczęli naglić do drogi, bo słońce szło coraz wyżej — ale profesor Strand jął kręcić się i trzeć czoło z widocznym zakłopotaniem, aż baronet zapytał, co go tak niepokoi.

— Chciałbym — rzekł — zabrać z sobą plenia.

— Zabrać z sobą — zapytał zdumiony Anglik — a na cóż panu to potrzebne? Czy z jego pomocą chcesz znaleźć swego Branchiopoda?

— Chcę zobaczyć, jak pleń zachowuje się w niewoli. Krzywdy mu przez to żadnej nie uczynię. Furaż dla tego wojska, stanowią cetynki<sup>1)</sup> świerkowe, korzonki i mech, a tego mu w drodze nie zbraknie.

Warburton pokręcił głową, ale nie sprzeciwiał się. Przewodnik zaś wziął od jednego z górali koszyczek z zapasami, przełożył jego zawartość do torby, wyłożył koszyk gałązkami, nasypał próchnicy i cetynek, poczem ostrożnie ciupagą jął zgarniać węża do koszyka. Nasypał znowu próchnicy na wierzch, przykrył wiekiem, ku wielkiemu zadowoleniu profesora, poczem orszak ruszył w dalszą drogę.

---

<sup>1)</sup> Iglice.

— Nie przypuszczałem, że na zdobycie róży bez koleców, będę szedł w piętnaście tysięcy wojska — rzekł, śmiejąc się, baronet.

Wkrótce znaleźli się na hali, wśród licznej osady pastery i pasterek: między szałasami błądziły krowy i kozy, a juhas i juhaska wyprawiali skoki. Ale turyści nasi nie mieli czasu na to patrzeć. Napiwszy się mleka kwaśnego, ruszyli dalej ku Czarnemu Stawowi. Szli przez tak zwaną Suchą Wodę, to jest łożysko potoku, którego nie widać, bo płynie gdzieś pod głazami. Słychać tylko jego szum i chwilami błyska z pod kamieni żywe srebro. Przewodnik prowadził ich teraz drożyną, wyrobioną w zboczach góry i ukazał z dumą wysokie kopulaste drzewo z długimi, jedwabistymi frendzlami iglic, mówiąc:



Goryczka żółta. *Gentiana lutea.*

— Limba!

Na ziemi leżało sporo błyszczących, jakby politurowanych szyszek, pod łuskami których były drobne ziarna orzeszkowate. Chłopcy nakładli w kieszenie, ile się zmieściło, górale bowiem powiedzieli im, że są jadalne. Spróbowawszy, przekonali się, że smakują jak migdały, a doktor dodał, że z drzewa limbowego i z kory jego otrzymywany bywa balsam, zwany „karpackim“.

— Niegdyś — mówił — było w Tatrach znacznie więcej limb, została już tylko mała ilość tych drzew, które też troskliwą otoczono opieką, aby je od zagłady uchronić. Limbę zowią także cedrem sybirskim. Towarzystwo Tatrzańskie przez sześć lat wysiewało nasiona limby, sprowadzone z Syberji i Insbrucku, do czego szkółka założona została w Rostoce. Jest nadzieja, że kiedyś znowu piękn

te drzewa tutaj się rozmnożą: teraz jednak tak ich jest mało, że się to nawet w pieśni odbija:

„Mówiło mu dziewczę, zalało się łzami:  
Jasiu najmilejszy, nie chodź z zbójnikami.

Nie przystawaj ku nim, huzary cię chwycą.  
Będiesz ziąbł na mrozie popod szubienicą.

Głowiczkę ci zetną, zaryją cię w grobie,  
Siwe moje oczy wypłaczę po tobie.

Jak się za jastrzębiem cień po ziemi włóczy,  
Tak za tobą wszędy lecą moje oczy.

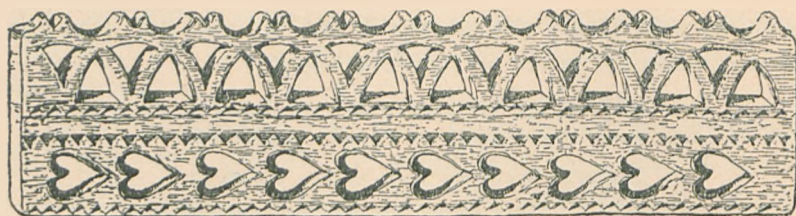
Kie mie ty odejdiesz, cóż mi hań zostanie,  
Będę jak ta limba samiutka w polanie“.

Między głazami, w pobliżu limb, rosły na wysmukłych silnych łodygach żółte goryczki, z których jedną wyrwał przewodnik i pokazując gruby korzeń, mówił, że jest lekarstwem na różne choroby żołądkowe i niemoce ogólne ciała. Grubością łodyg tak się różniły od innych goryczek, że zdaleka można je było wziąć za rośliny krzewiaste.

Henryk dopytywał się raz po raz, gdzie jest ów Czarny Staw, a górale swoim zwyczajem odpowiadali ciągle: „nie prec“, ale stawu nie było, choć już widzieli amfiteatr gór, otaczających go i domyślali się, że jest blisko. Zastłaniał go przed oczyma idących wał kamieni, zostawionych przez lodowiec. Trud dał się im już uczuwać. Szli między głazami i kosodrzewiną, a szkielety białych uschłych świerków, porośniętych brodaczem, raz po raz zastępowały im drogę, niby duchy umarłych. Zaczęli wstępować na wał i szyba jeziora, wyglądającego jak szmaragd w oprawie szarego marmuru, odsłoniła się w całej okazałości.



Nóż zbójnicki.



### III.

## ŻYWE KRYSZTAŁY.

*Głos odradza się cudownie,  
Gada w echu dusza gór,  
Stoją skały jak warownie,  
Okłębione dymem chmur.*

*Deotyma: Płosnka w Karpatach.*

Górale pozrzucałi z pleców swoje ciężary i zabrali się żwawo do ich rozpakowywania. Porozpościerali pledy na gałęziach kosodrzewiny, sposobiąc dla strudzonych podróżników miękkie, uginające się lekko posłania, nie ustępujące sprężynowym materacom. Towarzysze baroneta rzucili się na nie z rozkoszą, on tylko sam nie kwapił się do spoczynku; wodził wzrokiem po gładkiej szybie jeziora, nad którym pietrzące się Granaty, Kozi Wirch i Kościelec, podobny kształtem do fasady gotyckiego kościoła, szczególnie dziki nadawały mu charakter. Profesor Strand chciał natychmiast rozpocząć swoje poszukiwania, ale widząc wszystkich pomęczonych i przewidując opór, postanowił uzbroić się w cierpliwość i czekać. Tymczasem usiadł za przykładem innych, a usiadłszy, ocenił przyjemność wypoczynku — bo przewodnik urządził mu z gałęzi kompletny fotel, z miękkim dla pleców oparciem.

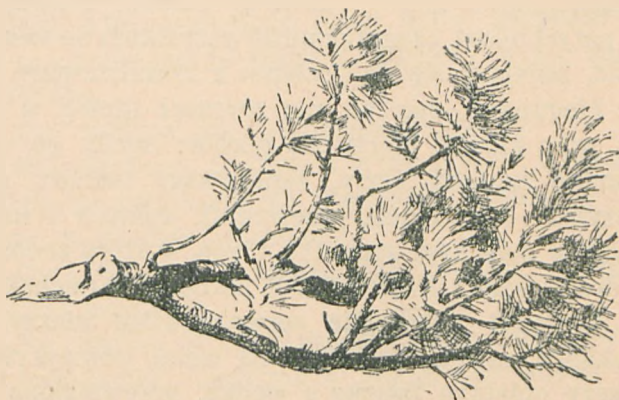
— Ciekawy jestem, od czego pochodzi ciemna barwa tej wody — odezwał się Strand. — Słońce nie łatwo prze-



dostaje się przez otaczające je półkolem kolosy, które też cień na jezioro rzucają.

— Musi tu być głębia niezmierna — szepnął baronet. — Czy wiadomą jest głębokość tego jeziora?

— Wszystkie stawy tatrzańskie pomierzył Eugenjusz Dziewulski — odrzekł Jakób — ten tu pod Kościelcem do-



Kosówka.

chodzi do 47 metrów głębokości. Co zaś do rozległości, zajmuje trzecie miejsce w rzędzie stawów tatrzańskich. Czy Wasza Miłość zwraca uwagę na dziwną przezroczystość tej wody?

— Zastanowiła mnie już ona — powiedział Warburton. — Do głębokości kilkunastu co najmniej metrów widać głazy, wyścielające dno przy brzegach.

— Wszystkie jeziora o dnie granitowem mają wodę nadzwyczaj czystą — wtrącił Strand. — Rozbiór chemiczny wody jezior tatrzańskich wykazał bardzo małą ilość składników mineralnych rozpuszczonych, stałych. Jest ona miękka, jakby dystylowana i temu to zapewne brakowi kwasu węglowego należy głównie przypisać ubóstwo stawów w rośliny i zwierzęta; to też mieszkańcy stawów są prawie wszyscy mikroskopijnie drobnymi istotami.

— No, i zbyt zimno jest także dla wszelkich innych stworzeń w tej wodzie, mającej na powierzchni 11, a na dnie tylko 5 stopni Celsjusza — odezwał się Jakób — tylko pański arystokratyczny Branchiopod, którego przodkowie sięgają okresu lodowego, może się tu czuć dobrze i nie dostać kataru.

— Branchiopod, ach! — zawołał Strand, zrywając się i usiadł natychmiast, czem pobudził wszystkich do wesołości.

Dawid, bujający się na postaniu z kosodrzewiny, jak na fotelu z biegunami, raz po raz zwracał głowę w stronę ogniska, przy którym kręcili się górale: nęciły go dolatujące stamtąd zapachy. Jerry, zapasawszy fartuch, smażył jaja z szynką, a Bachleda, przewodnik doktora i malarza, odgrzewał w żelaznym rondelku bigos, w który zaopatrzyła ich na drogę panna Katarzyna. Z kotliczków buchała para. Henryk wydobył z koszyka serwetę, kilka talerzy, noże, łyżki, widelce, rozłożył nakrycie na mchu, położył chleb — a wzięwszy oplataną flaszkę z wódką, przywiezioną z Miratycz, oraz srebrny stary kubeczek i napełniwszy go po brzegi, podał Warburtonowi.

— Może Wasza Miłość raczy spróbować naszej litewskiej nalewki — powiedział uprzejmie.

— I naszego bigosu — dodał Witold, posuwając ku niemu dymiący rondelk.

— I owszem — odrzekł Warburton, rzuciwszy przelotne spojrzenie na butelkę, na której drobnem kobiecym pismem widniał napis: „Żubrówka“, a obok niego data.

Wziął w rękę kubek, i gdy go niósł do ust, nozdrza mu się rozděły jak u rumaka stepowego, gdy poczuje w bliskości zapach burzanów. Wypiwszy, przypatrzył się kubkowi i puścił czarkę w kolej. Witold, nie spuszczając z niego oczu, zauważył, że na twarz baroneta z lewej strony, wystąpił mały, ceglasty rumieniec.

— Patrz pan — szepnął do Jakóba — patrz tylko na niego. W dolinie Kościeliskiej pił stary tokaj jak wodę,

szklanka po szklance, a kieliszek nalewki litewskiej poszedł mu do głowy!

— To mocniejsze, niż koniak i whisky — odrzekł doktor.

Baronet nałożył sobie sporo bigosu na talerz, ale nim jeść go zaczął, długo przypatrywał się łyżce, którą mu podano. Była to okrągława, srebrna, dobrze już zdarta łyżka z cyframi i herbem zaledwie widocznym.

Witold, który widocznie obrał sobie angielskiego magnata za przedmiot do studjów, wkrótce trącił znów łokciem Jakóba.

— Czy widzisz, jak zawija polski bigos?

— Nic dziwnego: po takim wygłodzeniu! Jestem pewny, że gdyby się znajdował na Wschodzie, zajadałby tak samo smażoną w miodzie szarańczę.

— Hm; ja jednak znam taką potrawę, której żaden Anglik nie przełknie.

— Nie wątpię, jeżeli to będzie jakaś obrzydliwość!

— Bynajmniej; ulubiony w moich rodzinnych stronach przysmak.

— Czy można wiedzieć, co takiego?

— Zobaczysz pan jutro lub pojutrze, bo sam ją przyrządzę.

— Nie wiedziałem, że pan posiadasz zdolności w tym kierunku. Ale patrzaj, jak drugi Anglik zawija bigos!

— Walter? O, to jest Anglik pół krwi: odezwały się w nim instynkty dziada. Ale mały hrabia zato jeść nie chce.

Dawid, sprobowawszy bigosu, odsunął talerz i wziął się do szynki; nie w smak mu były sarmackie potrawy i wódka litewska, od której krztusił się przez kwadrans. Strand jadł i pił wszystko, co dawano, myśląc ciągle o Branchiopodzie; posilał się prawie machinalnie, i nie zwracał uwagi na naturę tego, co połykał.

— Jak panu smakuje nasza narodowa potrawa, sir? — zapytał Witold, zwracając się do Anglika.

— Wyborna — odrzekł zapytany, nakładając sobie po wtórnie na talerz — ostry jej smak orzeźwia i posila.

— Wielki nasz poeta, Mickiewicz, w słynnym swoim poemacie p. t. „Pan Tadeusz“ daje przepis przyrządzania bigosu.

— Wiem — odrzekł z roztargnieniem — znam ten przepis.

— Znasz go, sir? — zawołali obaj jednocześnie.

— Tak — odrzekł obojętnie — czytałem „Pana Tadeusza“ w przekładzie miss Ashurst Biggs.

Dawid, myślący tylko o jedzeniu, patrzył z litością i lekceważeniem na Henryka, który posiliwszy się, wyjął z puszki swoje rośliny, i zajął się przekładaniem ich bibułą, z wielką starannością rozprostowując kwiaty i liście. Drwiący ten wyraz twarzy małego hrabiego, dostrzegł baronet, pochwycił go w przelocie i zasępił się. Nie uszło to jego uwagi, że chłopcy nie przyłgnęli do siebie, jak to było tajemnem jego życzeniem, ale nawet stronili jeden od drugiego. Podczas wycieczki szli zosobna i nie rozmawiali prawie wcale.

Gdy podano czarną kawę i cygara, profesor wypił śpiesznie gorący napój wielkimi łykami, jakby pragnął coprędzej opróżnić filiżankę; wstał, wyjął ze swego tłumoczek sieć zaopatrzoną w ołowiankę i wzięwszy swego przewodnika, wsiadł na tratwę, stojącą tam zawsze dla użytku turystów. Gdy odbijali od brzegu, doktor wołał za nim, ostrzegając, aby pamiętał o głazach olbrzymich, wyścielających dno, między które ołowianka zapadać się będzie i zaczepiać. Wszyscy życzyli mu szczęśliwego rezultatu polowania, a malarz rozweselony pił nawet zdrowie Branchiopoda.

Stadko kozic ukazało się na stoku Żółtej turni i szło wzdłuż grzbietu niby sznur paciorków. Witold, zapalony myśliwy, złościł się, że nie mógł użyć swej fuzji. Trafić kozła, sprawiłoby mu wielką przyjemność, ale miał nadzieję, że zdarzy się jeszcze coś grubszego. Wyciągnął górali na rozmowę i dowiedział się, że może spotkać rysia, którego uważano już za wytępionego, ale w ostatnich piętnastu latach ukazał się na nowo w Tatrach. Z lasów zachodził on w kosodrzewinę, a nawet w turnie, czyhając na bydlę lub kozice. Bachleda odezwał się:

— Ryś to jako wielki kot, tylko pasiasty, zły w ślepiach. Na rysia chodzątek ze skoły; jeszcze mie leśnicy brali, com im psa prowadził. Dali mi psa na łańcusek, a pies tak sie ku rysiu wydzierał, że i mnie za sobą ciągnął wgórę po przechylinie Giewontu, aż przysel pies pod drzewo; hań na gałęziach ka sie rozodrom, siedział ryś skulony i błyskał ślipiami. Mnie strach obujon, ale takem pomysłał: zawsze bestja prędzej hipnie na psa, nie na mnie, a strzelcy przyjdrom. Ale czem przyšli, ryś z drzewa hipa a pies za nim. Poburzył, poonacył ślady tak, co potem wszyscy strasnie sie gniewali, a ryś zginął w Kalatówkach. Futro rysie jest piękne, i Janosik miał z niego kołpak, ale wydra daje też piękne futro, warte strzału, a zachodzi potokami aż w głąb Tatr i ubito ją raz przy Morskiem Oku. Co można często ubić, to kunę!

Henryk odezwał się, że słyszał, iż w Tatrach żyje gronostaj i zapytał starego Wali, przewodnika baroneta, czy go kiedy widział.

Na to odezwał się Roy, drugi Warburtona przewodnik:

— Co nie miałek widzieć? Widziałek gronostaja raz w życiu: w dolinie Dziury. Małe to jak scur, ale ładniuskie takie co cud! A zgrabne, kie chłopak na weselu. Gładkie miało futerko bielućkie, a ogonek mały, prosty, czarny. Warciutko uciekał po sajtach<sup>1)</sup>, kie ta woda płynie dołu. Chciałek ja go chycić, ale nie było drugiego coby pomógł. Kieby był drugi, byłby je nagonił, cobykmy je dostali w rękaw od cuhy, a tak uciekł popod skole, i tylek go uwidział.

— A dzik pokazuje się w tych stronach? — zapytał Witold. — Zdałaby się nam na wycieczce pieczeń z dzika!

— Dzika świnia przychodzi z węgierskiej strony na naszą od Orawy, ale nie często ta do nas zagłada.

— Była tu niegdyś zwierzyna grubsza jeszcze, ale wyginęła — rzekł Jakób — były podobno pod Tatrami żubry i łosie.

---

<sup>1)</sup> Kłody drzew zwalonych.

— Profesor zapuszcza ołowiankę — odezwał się Warburton, śledzący ruchy tratwy na jeziorze — chwila ważna dla niego. Panowie, wypijmy jeszcze węgierskiego za pomysłne odszukanie Branchiopoda!

Propozycja chętnie została przyjęta.

— Brawo, doskonale, wypijmy! — wołano, a gdy kieliszki napełniły się, wszyscy, podniósłszy je w górę, wołali:

— Niech żyje profesor Strand! Wiwat Branchiopod!

Echa górskie odpowiedziały: Wiwat! Wiwat! Wiwat!  
Coraz ciszej, coraz słabiej.

Profesor, pochylony nad ołowianką, nie zwracał na to uwagi, wzrok jego śledził pilnie zanurzającą się sieć.

Wino rozweseliło umysły; Witold, mający piękny, baritonowy głos, zanucił znaną pieśń, która wkrótce zamieniła się w chór, bo przyłączyły się do niej głosy Jakóba i Henryka.

„Wilija, naszych strumieni rodzica,  
Dno ma złociste i niebieskie lica,  
Piękna Litwinka, co jej czerpa wody,  
Czystsze ma serce, śliczniejsze jagody.

Wilija w miłej kowieńskiej dolinie,  
Śród tulipanów i narcyzów płynie,  
U nóg Litwinki kwiat naszych młodzianów,  
Od róż kraśniejszy i od tulipanów“.

Warburton cały w słuch się zamienił, a oczy niezwykle jasnymi mu blaskiem. Pieśń obca widocznie trafiła mu do serca, bo po twarzy jego przebiegł cień wzruszenia; palce, zanurzone w skręty brody, plątały się jakoś.

Śpiew i muzyka ustały, a Warburton słuchał jeszcze. Wreszcie przetarł czoło, poruszył ustami, jak człowiek, któremu zaschło w gardle z pragnienia — wstał, otrząsnął się, a rysy, przed chwilą tak wymownie malujące doznane wrażenia, kamieniały mu powoli. Był znowu spokojny, chłodny, dumny i posępny. Przez chwilę patrzył na jezioro, którego

głębia pociągała go siłą tajemniczą i przyszła mu ochota spróbować, czy nie uda się obejść go dokoła.

Brzegi skał prostopadłe, wyglądały jak skrzesane olbrzymim toporem. Miejscami trudno było nawet postawić nogę; po gładkim a pochyłym gruncie, łatwo obsunąć się mogła, zwłaszcza tam pod Kościelcem, gdzie woda jest czarna jak noc. Jeden krok nierozważny, a wieczna noc go ogarnie: zamkną się nad nim kryształy wód i spocznie na dnie granitowem. Miejsce we wspinałem mauzoleum w Rochdale, gdzie czekał na niego sarkofag obok sarkofagu syna, pozostanie puste, bo żadna siła nie dobędzie zwłok z głębokości 47 metrów. Tak łatwo byłoby nadać temu pozór przypadku... Skończą się wszystkie troski, wszystkie cierpienia, umilknie nawet to, co najwięcej sprawia męczarni, wyrzut sumienia — ten robak, co leżał przyczajony na dnie duszy przez lat dziesiątki, a teraz coraz więcej podnosi głowę i wgryza mu się w serce!... Ale kto dokończy rozpoczętego przez niego dzieła? Kto się zaopiekuje robotnikami jego fabryk, jego zakładami dobroczynnemi, ochronami, szkołami? Czy Dawid? Nie; ten wyrośnie na paniczyka z płytkim umysłem i pustą głową... Myśl, że byt instytucyj, które stworzył, od niego zależy, że jest potrzebny dla szczęścia i spokoju tysięcy, powstrzymywała go dotąd od skończenia wszystkich rachunków z życiem — ale i to tylko złudzenie: nikt nie może sobie powiedzieć, że jest niezbędnym dla najukochańszych nawet osób. Śmierć człowieka jest jak ów kamień, rzucony w wodę, który wpadając zatacza zrazu kręgi tak szerokie, że całą powierzchnię poruszy, a potem kręgi te stają się coraz mniejsze, mniejsze, mniejsze, potem zaledwie widoczne — i znowu jezioro staje się gładkiem jak zwierciadło. On sam stracił syna i żyje, choć myślał, że nie przetrwa tego ciosu.

Usiłował sobie wyobrazić wrażenie, jakie sprawi wieść o jego śmierci. Jest poważany, ceniony, uwielbiany, obsypany zaszczytami. O, gdyby ci wszyscy, co głoszą jego

chwałę, zajrzeli na dno jego serca, gdyby znali jego przeszłość, może cofnęliby się od niego ze wstrętem! I pomyśleć tylko, że sumienie jego spało przez lat tyle, jak umarłe, a teraz, co dzień, co godzina, przypomina mu o swoim istnieniu, wołając nań coraz głośniej: Jesteś zbrodniarz!

I jakby na urągowisko, śnią mu się dawne sny młodości... i czy to powietrze Tatr tak na niego działa, czy wielka ilość znajdującego się w niem ozonu, ale pierś oddycha szerzej, krew szybciej krąży w żyłach, i chociaż w synu utracił wszystkie nadzieje, czuje chwilami, że mógłby jeszcze odrodzić się, mógłby jeszcze żyć i kochać. Ale nie! Musiałby zburzyć gmach, wzniesiony pracą całego życia, i okupiony drogo wyrzeczeniem się przeszłości. Musiałby przyznać się przed sobą samym, że zbłądził i zawrócić z drogi, na jaką wszedł w młodości? Nie, nie! Jego duma nie zniesie takiego upokorzenia: umrze samotny jak żył, zamknięty w sobie i niedostępny. Trzeba być z innego metalu, aby giąć się tak łatwo: żelazo nie jest woskiem. Niechaj zawraca z drogi, kto chce! On pójdzie naprzód, zawsze naprzód, jak każe godło starożytnego rodu Warburtonów na Rochdale. Stworzył sam sobie swoją dolę i sam ją będzie znosił. Jest panem swego życia i ma prawo zrobić z niem, co mu się podoba. A więc naprzód, naprzód!

— Ostrożnie, sir, bo pan wpadniesz! Niech Wasza Miłość trzyma się więcej na prawo; brzeg tu jest wysoki i pochyły — odezwał się tuż za nim niski i łagodny głos Waltera, który śledził uważnie Warburtona, i odgadując intuicją serca, co się dzieje w jego duszy, szedł za nim krok w krok i odezwał się w samą porę, gdy baronet, stawiając nogę na wąskim cypelku, zachwiał się i uchwycił instynktownie skały.

Warburton drgnął, a brwi jego ściągnęły się gniewnie.

— Odejdź, jeżeli się boisz — odrzekł sucho — i zostaw mnie samego.

— Nie boję się, sir, i zostaję z panem — odrzekł łagodnie.



— A gdybym cię prosił, żebyś odszedł?

— Nie usłuchałbym.

Błyskawica strzeliła z oczu baroneta. Czuł, że młodzieniec go odgadł.

— Co to znaczy? — zapytał ostro. — Czy lady Chester kazała ci mnie pilnować? Jesteś bardzo łaskaw, ale uwolnij mnie od swej obecności! Wiesz, że nie znoszę oporu.

Młodzieniec zbladł.

— O, sir! — przemówił głęboko dotknięty. — Czy zasłużyłem na te słowa!

Taka boleść brzmiała w jego głosie, że Warburton, który miał dobre serce, wyciągnął natychmiast do niego rękę.

— Przebacz mi — rzekł — jestem dziś rozdrażniony. Moja młodość stanęła mi przed oczyma, gdy razem z dziadem twoim... Zapomnij ostrych słów moich! Wiem, że tylko życzliwość spowodowała twój opór... Nie od dziś czuję, żeś do mnie przywiązany.

— Całem sercem, sir!

— A ja ci niczem za to nie odplaciłem... I teraz oto, w tej chwili, zaciągnąłem nowy dług wdzięczności względem ciebie. Chcę ci go spłacić otwartością. Posłuchaj: pozbądź się tego uczucia, bo nie jestem go wart. Gdybyś wszystko wiedział, nie dziwiłbyś się temu, co mówię. W tej piersi bije nędzne, samolubne serce!

Odwrócił się i usiadłszy na złomie granitu, patrzył na tratwę, posuwającą się środkiem jeziora: za nią posuwała się przyczepiona do niej sieć z ołowianką, znacząc jaśniejszy ślad na powierzchni wody.

Młodzieniec stał jak wryty w ziemię: wstrząśnięty był do głębi. Pierwszy to raz ten niedostępny, dumny, zamknięty w sobie starzec, odstąpił przed nim cierń tkwiący w ranie; pierwszy raz zająrzeć pozwolił do głębokich duszy tajników, gdzie nikomu dotąd zaglądać nie było wolno. On przywiązania jego nie godzien?... O, nie, nigdy! Patrzył przecież zbliska oddawna na jego życie, na troskę

o biednych i nieszczęśliwych, na pracę bez wytchnienia, z zupełnem o sobie zapomnieniem. Nie, stokroć nie! Serce, które nazwał nędznem i niegodnem miłości, jest tylko nieszczęśliwem!... I w tej chwili, gdy żelazny człowiek ukazał mu chwilę słabości, kochał go jeszcze więcej, bo dowód to, że cierpi za winy młodości i chce je wynagrodzić, choć pragnienie to jest jeszcze w nim nieświadome. Jego tajemnica... młodzieniec tajemniczy tej oddawna się domyślał — i utwierdzał się w swych domysłach codzien, co godzina.

Popatrzył na siedzącego w zadumaniu baroneta i oddał się zwolna ku miejscu, gdzie odpoczywali uczestnicy wyprawy. Teraz już mógł się oddalić spokojnie, bo i tratwa profesora zmierzała ku baronetowi.

— Sir Edwardzie! — wołał uczony Strand. — Siadaj pan z nami: odbędziesz miłą przejażdżkę po dystylowanej wodzie i doznasz cokolwiek innego wrażenia, niż ciągle stąpając po lądzie.

Przewodnicy wysunęli naprzód wiosła, aby uchronić tratwę od uderzenia, mogącego ją zatopić, i tak zwolna podsunęła się pod skałę, u stóp której siedział baronet.

— A cóż Branchiopod — zapytał Warburton — czy jest?

— Nie — odrzekł z westchnieniem Strand. — Trzy razy zapuszczałem siatkę dość głęboko; znaleźliśmy różne ciekawe istoty, ale niema między nimi Branchiopoda. Musi być w innym, wyżej położonym stawie.

— Walterze! — zawołał, oglądając się, sir Edward. — Chodź, siadaj z nami.

— A czy ładunek nie będzie za ciężki? — zatroszczył się profesor.

Ale przewodnicy uspokoili jego obawy, mówiąc, że znacznie więcej osób zazwyczaj tu siada.

Baronet, wstępując na tratwę, zwrócił się do uczonego z żartobliwem pytaniem:

— Jakże będzie teraz, panie profesorze? Zapowiedzia-

łeś, żeby żaden z nas nie zbliżał się do ciebie, a przestrzeń jest tak mała, że trudno nam, doprawdy, trzymać się w przyzwoitej od pana odległości.

Profesor zmieszał się i dotnął mimowolnie ręką kieszeni surduta. O, z jakąż rozkoszą zatopiłby w głębinach to, co się tam znajdowało, ale nie mógł, niestety! Nie był sam, a za nic w świecie nie dopuściłby się tego przy świadkach. A przytem, przedmiot ten, choć nie należał do rodzaju ryb, pływałby na powierzchni wody jak ryba i niema sposobu go utopić. Westchnął, a baronet, któremu żal się zrobiło uczonego Stranda, wybawił go z kłopotu zapytaniem o faunę jezior.

— Ciekawa jest niesłychanie fauna jezior górskich — odrzekł z ożywieniem profesor, gdy tratwa znowu odbiła od brzegu. — Są w nich jakby trzy sfery towarzyskie, trzy światy: inne gatunki zwierząt i roślin, pod wielu różniących się względami, żyją przy brzegach, inne w środku, a inne jeszcze w głębinach. Stąd też podzielono je na faunę przybrzeżną, śródjeziorną i głębinową. Zwierzęta żyjące pośrodku, zmuszone do ustawicznego unoszenia się na wodzie, i nie znajdując przedmiotu, na jakimby spocząć mogły, wydoskonalily sobie w wysokim stopniu narzędzia pływne, a natomiast utracily narzędzia czepe, któremi obdarzone są pokrewne im gatunki przybrzeżne. Gęstość ich ciała zbliżyła je do gęstości wody, co im nietylko ułatwia ruchy, ale i utrzymuje bez trudu w każdej głębokości. Największy zaś przymiot tych stworzeń stanowi doskonała przezroczystość ich ciała; chroni je bowiem wybornie od napaści wrogów. Te istne kryształowe zwierzątka stają się niewidzialnymi jak duchy. Na terytorjum, przez nich zamieszkiwanem, panuje wielka swoboda, ale niema co jeść, bo tylko najbliższe roślinki, czyli wodorosty, stanowią ich pokarm.

— O, to dziękuję za przymiot niewidzialności — wtrącił Walter.

Profesor mówił dalej:

— Muszą one skrzętnie uwijać się po olbrzymich obszarach wody, odbywać dalekie wycieczki w głębinę i ku brzegom, aby głód zaspokoić. W głębokich jeziorach alpejskich napotymano je jeszcze w głębi 100 do 150 metrów, gdzie już panuje zupełna ciemność. W dzień kryją się w głębszych warstwach, w spokojne noce wypływają na powierzchnię wody; unikają światła, bo je razi, a u niektórych zauważono zupełny zanik oczu. Natura ich przystosowała się do warunków życia; pozbyły się organów niepotrzebnych.

— Powiedz pan raczej, że organy nieużywane osłabły i stopniowo niedołączniejąc, coraz więcej zanikały.

— Gdy słyszę o zwierzętach, wyobrażam sobie zaraz ryby, a co najmniej raki — odezwał się Walter. — A jakąż jest pańska menażerja?

— Są i ryby, a mianowicie pstrągi i to nietylko w tem jeziorze, ale i w Morskiem Oku, gdzie prócz nich zdarzają się i łososie. Poza tem mój zwierzyniec należy do typów pierwotniaków, stawonogów i robaków. Obecnie jednak siatką planktonową, t. j. przeznaczoną do połowu pływających, zawieszonych niejako w wodzie organizmów, łowią tylko pewne robaki t. zw. wrotki i skorupiaki: rozwielitki, widłonogi i małżoraczki. Te grupy są tu licznie reprezentowane.

— Bardzo to wszystko pięknie, ale chciałbym widzieć owoc pańskiego połowu, wiedzieć, co jest w sieci.

— Chcesz pan wiedzieć! — zawołał zachwycony. — Dobrze; patrz pan! Pokażę panu żywe kryształy, te cudowne zwierzątka, niewidzialne w wodzie.

I sięgnąwszy ręką do sieci, zaczerpnął garść ziarn przezroczystych, podobnych do ziarn gotowanego sago: były to owe żywe kryształy, *Holopedium gibberum*, skorupiaczek, którego przezroczystość pochodzi od galaretowatej osłony, otaczającej zwierzątko. Sypał przez palce na wodę owe żywe kryształy, zwracając wolność złowionym zwierzątkom.

Nagle kryształły owe, spadając, zajaśniały blaskiem niezwykłym, rzekłby kto, że zmieniły się w djamenty i rubiny, a jezioro stanęło w ogniu. Walter wykrzyknął:

— O, co za cudowne zjawisko! Patrzcie, patrzcie!

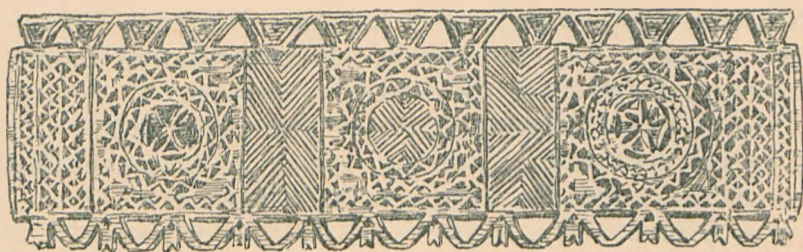
A tam na brzegu, ci, co spoczywali na kosodrzewinie, zerwali się także, i słychać było okrzyk jeden:

— Oooo!

Przewodnicy opuścili wiosła i patrzyli także: było to, co zowią „żagnieniem gór“. Żółta turnia, Kościelec, Granaty, Kozi Wirch, pokryły się ciemną purpurą. Pożar obejmował je kolejno, w miarę jak słońce posuwało się ku zachodowi. Odbicie tego zjawiska w przezroczystej toni jeziora sprawiało, że żeglarze mieli wrażenie, jakby płynęli po krwawej łunie. Zachwyt odebrał mowę patrzącym: podziwiali ten obraz w milczeniu i słychać było tylko plusk wioseł. Ale oto w oczach ich purpura pociemniała i zmieniła się w fiolety. Olbrzymi szmaragd w oprawie z szarego marmuru, przeszedłszy kolejno przez wszystkie barwy: rubinu, granatu, ametystu, zagaśł nareszcie równie szybko, jak się zapalił, i łono jego stało się znowu czarne, straszne i tajemnicze.



Gęśliki.



#### IV.

### POGROM.

*Ciemność rzuciła pomost przez otchłanie  
I wyrównała wnętrza gór podarte:  
Zostało jedno wielkie rusztowanie  
Zbitych granitów, grzbiety rozpostarte.*

*Asnyk: Noc pod Wysoką.*

— Czy Wasza Miłość każe rozbić namiot? — zapytał Jerry swojego pana, gdy wysiadł na ląd.

Warburton popatrzył na niebo, na jezioro, i rzekł, zwracając się do towarzyszy:

— Panowie! Czarny Staw jest pierwszym naszym etapem: złożmy naradę co do dalszej podróży, bo od niej zależy będzie, czy mamy tu nocować.

— Zdawało mi się, sir, że pan masz zamiar iść do Morskiego Oka — odezwał się Strand.

— Tak, ale różne drogi do niego prowadzą.

— Stąd tylko jedna, przez Zawrat — przemówił doktor — tam nad brzegiem jeziora a potem wgórę, około Zmarzłego Stawu.

— Ja chcę iść do Morskiego Oka przez Krzyżne. Mówiliście, że do Krzyżnego trzeba koniecznie iść przez Jaszczurówkę, Psią Trawkę i dolinę Pańszczycy; chciałbym wiedzieć, gdzie jest owa Pańszczyca?

— Tu za Żółtą turnią, która dolinę Pańszczycy od doliny Czarnego Stawu dzieli.

— Więc gdy mamy je tuż pod ręką, chcesz pan, abyśmy wracali się do Jaszczurówki, i stamtąd dopiero zaszli je z innej strony! Po co? Zamiast wracać, chodźmy przez Żółtą turnię wpoprzek.

Malarz i doktor zamilkli, spoglądając po sobie, a Obroktą, dowiedziawszy się, o co idzie, powtórzył wolę baroneta przewodnikom, którzy, obstąpiwszy go, jeśli mu się z taką przyglądać ciekawością, jakby go po raz pierwszy widzieli. Roy i Wala trudniejszemi szlakami chodzili z Chałubińskim, ale Chałubiński był młodszy! Spostrzegł baronet, że jest przedmiotem podziwu, ale i lekceważenia, i brwi ściągnął.

— Tędy nikt nie chodzi — odezwał się Witold.

— Jedna racja więcej, abyśmy poszli — odrzekł z pewną niecierpliwością. — Jeżeli panom kierunek ten się nie podoba, to idźcie drogą wygodniejszą. Ja tędy pójdę i zaczekam na was na Pańszczycy.

— Pójdziemy z panem — rzekł Witold, a Jakób powtórzył to samo.

Co do profesora Stranda, temu było wszystko jedno, którędy miał iść. Wszystko też było jedno Henrykowi, nie lękającemu się trudów, ale co do Dawida, ten umierał ze strachu i męczył Waltera prośbami, aby odradzał dziadkowi drogę przez tę okropną górę.

Tatar, przewodnik profesora, odezwał się, że jeżeli już pan Anglik koniecznie chce, to iść można spodem Żółtej turni na Dubrowiska, przez groble; ale drugi zaraz przerwał, że to przejście bardzo niewygodne i że lepiej będzie iść przez Żółtą turnię. Na tem też stanęło.

Nikt już nie odezwał się z protestem.

Nocleg przy Czarnym Stawie okazał się koniecznym i baronet kazał rozbić namiot. Henryk ciekawie przypatrywał się tej czynności, którą Jerry chciał dyrygować, ale zanim zdołał porozumieć się z góralami na migi, namiot już stanął. Wszyscy, co chodzili na wyprawę z Chałubińskim, umieli się doskonale z namiotem obchodzić i sprawili

się zręcznie i szybko. W szczelinach umocowali drażki, zakończone żelaznymi ostrzami, i do nich przymocowali sznury. Gdy stanęły ściany i dach, Jerry rozesał na ziemi wojłok, urządził posłania z gałęzi kosodrzewiny i okrył kobierczykiem, a na nim położył poduszki gumowe, które nadał powietrzem. Znalazł się nawet stolik składany. Namiot był z płótna żaglowego nieprzemakalnego, więc choćby deszcz spadł w nocy, nikt nie potrzebował się obawiać przemoknięcia.

Wszystko było gotowe do noclegu, ale nikomu jeszcze spać się nie chciało. Dawid byłby chętnie położył się pierwszy, ale go wstyd brał; panowie rozmawiali, paląc cygara, a górale zaczęli dorzucać kosówki na ognisko; gdy stos wielkim buchnął płomieniem, Obrokta wziął skrzypki i przygrywać zaczął, a górale puścili się w taniec, każdy na swoją rękę i zabrzmiała piosenka:

„W Murowanej Piwnicy  
Tańcowali zbójnicy;  
Kazali se pięknie grać  
I na nóżki spojierać“.

Warburton patrzył z uśmiechem, chwalać dzielność tego ludu oraz jego „fantazję“ i rzekł:

— Przed wyjazdem moim z Anglii, czytałem „Kartki z podróży“ Wiktora Tissota, znanego autora „Podróży po krainie miliardów“. Kreśli on w swych kartkach obraz zakopiańskiego proboszcza i mówi o jego pracy cywilizacyjnej wśród tego ludu. Otóż Tissot słyszał od wspomnianego proboszcza, że w kilka lat po jego osiedleniu się Zakopane było kilkakrotnie napadane przez zbójników. Gdy raz napadli na pewien dom i napotkali silny opór, po zamianie kilkunastu strzałów, cofnęli się jakby nigdy nic, śpiewając, i odeszli poprzedzani przez swoją muzykę. Nie jestże to najoryginalniejsza w świecie fantazja? Czy słyszał kto co podobnego? Czy w którym kraju zbójcy kiedykolwiek napadali ze śpiewem i muzyką?



— Góral jak posłyszysz muzykę, już mu się usta nie zamykają od śpiewu, a nogi na miejscu ustać nie mogą — wtrącił Jakób.

— Ksiądz Stolarczyk był niezwykłą postacią — odrzekł na to Witold. — Gdy wszedł na niewielką ubogą ambonę, zdawało się, że ją zgniecie swoim ciężarem ten olbrzym sześć stóp wysoki! Krzykliwym, rubasznym głosem wykladał prawdy wiary; nie unikał dosadnych, często ryzykownych porównań: u niego człowiek staczał się ku grzechom „jak wóz puszczoney z Giewontu“, a „Zakon Boży, to nie pomiotło, co stoi w kącie“ — i „Pan Bóg nie dawał sobie w kaszę dmuchać“.

Podobne zwroty z początku raziły, ale wsłuchawszy się w nie, znajdowało się w nich nietylko wiarę i pokarm zdrowy, ale siłę i poezję.

Na to odezwał się doktor:

— Mój dobry znajomy, pan A. Z., mówił mi, że nie zapomni nigdy kazania księdza Stolarczyka o Sądzie ostatecznym. Mówca przedstawiał słuchaczom, jak Anioł Gabriel zadał w trąbę. Na jego głos powstają zmarli z grobów, aby stanąć przed trybunałem Najwyższego. I oto otwierają się mogiły zakopiańskiego cmentarza, i oto powstaje procesja nieboszczyków: Krzeptowskich, Sieczków, Gąsieniców, Walów, którzy z krzyżem i pieśnią ciągną w przestwory niebieskie. A po drodze spotyka ich druga procesja z Chochołowa, z Poronina, z Szaflar, z Czarnego Dunajca. Ojcowie witają dzieci, bracia siostry, żony mężów, przyjaciele przyjaciół — każdy trwożny, jaki go wyrok czeka, po której stronie postawi go Anioł Pański. I te procesje spotykają inne; pochód olbrzymieje, aż nareszcie słyhać pieśń serafickich chórów i widać jasność wielką.

Było coś dantejskiego w tym opisie ostatniej wędrówki, choć Danta nigdy nie czytał proboszcz zakopiański. Posiadał on nadzwyczajną siłę obrazowania, co choć z wszelkiego kunsztu wyzuta, ciągnęła, przykuwała uwagę, a groza tamo-

wała oddech. Cóż dziwnego, że tłum słuchaczy chylił głowy jak łan zboża przed wiatrem, i że kruszyły się serca nie tylko prostacze.

— Pan A. Z. opisał to nawet później, zaraz po śmierci księdza Stolarczyka, w jednej z gazet — zaczął znów marlarz — i nic nie przesadził. Ja także znałem księdza Stolarczyka; słyszałem różne jego mowy i jedną mowę pogrzebową. Zaczął od tego, że siedząc pewnego wieczora na ganku, usłyszał dolatujące go krzyki hulaków z karczmy i zapisał sobie ich nazwiska, a tam wysoko Święty Piotr zapisał także na drugą rękę. „Wiem — mówił — że ci, co byli, przyjdą do mnie i prosić będą, żeby ich wykreślić. Ale cóż, choć ja wykreślę, to Święty Piotr nie wykreśli!“ I zaczął przedstawiać pijaństwo w całej jego ohydzie. Myślałem, że nieboszczyk był pijakiem, ale przeciwnie, był to człowiek trzeźwy, pijakiem zato był syn. I proboszcz jął go tak hańbić publicznie, tak gromić, i naprzemian roztkliwiać, że ogromne jak dąb chłopisko, upadło z rykiem na kolana, a nazajutrz wyprzysięgło się w kościele uroczyście wódki.

Powodowany dobrem sercem, niejednokrotnie na grabarzy lub służących kościelnych przyjmował dawnych zbójników, dając im chleb u siebie na starość z litości. Kiedy pewnego razu rozeszła się wieść, że stary zbójnik Mateja, zapowiada zrabowanie kasy parafjalnej, ksiądz Stolarczyk poszedł osobiście w góry na spotkanie Matei i zawarł z nim układ, mocą którego zbójnik przyrzekł zostawić pieniądze kościelne w spokoju, a ksiądz nie wypominać go publicznie z ambony.

— Mądrość wężowa, o której mówi Pismo Święte — wtrącił Warburton.

— Uczonym nie był — podjął doktor znowu — odbył pielgrzymkę do Ziemi Świętej, i to stanowiło cały jego podkład literacko-naukowy, ale miał znajomość psychologii góralskiej, siłę słowa i czynu, co połączone z głęboką wiarą

i miłością ludu, stanowiło tajemnicę niezwykłych skutków jego działalności. Nic piękniejszego za Tatrami nie uznawał, i miał góralską duszę. Bójki z Liptakami gromił, za rozlew krwi groził karami piekielnymi, a swoją drogą powtarzał z zadowoleniem: „A taki nasze chłopcy znowu Liptaków zmogły!“

Mrok coraz więcej zapadał. Warburton, wodzący zadumanym wzrokiem po posepniejącej coraz bardziej dolinie Stawów Gąsienicowych, dojrzał zdaleka kilka drobnych światełek, i zapytał o ich znaczenie.

— To pasterze, co mają owce przy stawach, palą w szałasach — odrzekł Witold.

— Sąż oni tam bezpieczni od napaści dzikich zwierząt?

Doktór powtórzył przewodnikowi pytanie, a ten odrzekł:

— Czemu nie, bezpieczni: czasem tylko niedźwiedź kozę rozszarpie, albo ryś zaczai się jak kot, zadusi kilka owiec, opije się krwi; porwie co może i umyka. Orzeł też lubi napadać jagnięta, jeśli głodny. Dawniej chadzały przy stawach wilki, ale dziś już ich niema.

Dawid, gdy o dzikich zwierzętach posłyszał, uczył ciarki chodzące po skórze; Henrykowi też zrobiło się niemiło, ale uspokoiła go myśl, że zwierzęta unikają ognisk, a wiedział, że górale mają zwyczaj podsycać ustawicznie ogień na noclegu.

Chłód ciągnął od wody, ten i ów szczerzej otulił się pledem; Warburton zawołał o gorącą herbatę, a Jakób odezwał się:

— Szalasom pasterskim niegdyś groziło jedno poważne niebezpieczeństwo; zbójnicy odwiedzali ich koleby<sup>1)</sup> i wybierali tam daninę, składającą się z serków i bryndzy. Zwykle gotowali barana w owczem mleku i raczyli się tym przysmakiem wraz z bacą i juhasami. Bacowie nie bardzo krzywo patrzyli na podobnych gości, bo sami radzi zbijali —

---

<sup>1)</sup> Szalas.

wreszcie co napadnięty baca dziś oddać był zmuszony, jutro mógł zdobyć w cudzym szałasie. Wzajemnie się przeto jeden drugiego strzegli, i trzeba było wielkiej zręczności i dowcipu, żeby podejść ostrożnego kolegę, uprawiającego te same talenty. Między innymi były epizody następujące: Baca w biały dzień przychodzi do sąsiedniego szałasu kraść owce i pozostawia w ukryciu swoich juhasów. Nie można zamiaru przemocą dokonać, bo w szałasie znajduje się baca z juhasami, nawet w liczbie przeważającej; potrzeba więc podejść przeciwnika, doskonale zgadującego cel tych odwiedzin. Przybyły zatem udaje najszczerzą życzliwość i powoli wciąga bacę i jego juhasów do zabawy i tańca, a tymczasem na boku pozostawieni pomocnicy, zabierają owce jedną po drugiej. Naraz rozbójniczy baca spostrzega, że juhas za mało się ku ziemi pochyla, że mu widać kapelusz, który może plan całej wyprawy zdradzić. Nie przezywając tedy tańca, daje przestrożę komu należy, improvizując dwuwiersz:

„Uniżaj się, uwyszaj się, bo ci kłobuk widno;  
Hrubszom chwostu, bakiesistom, uwijaj się śmiżno“.

Co znaczy: schylaj się, bo ci kapelusz widać, wybieraj owcę grubszego ogona, bo taka tłustsza, okazała; uwijaj się żwawo.

Rabujący skorzystali z przestrogi, a rabowani nie domyślili się narazie znaczenia śpiewki. Baca, nabawiwszy się u sąsiada, powrócił na swoją halę, gdzie już znalazł skradzione owce, gdy tymczasem okradzeni nie zaraz szkodę spostrzegli.

Malarz odezwał się:

— Zbijanie często było połączone z pewnego rodzaju dowcipem i humorem. Pewnego razu zbójnicy dowiedzieli się, że karczmarz, posiadający piękne woły, wyjechał na kiermasz, pozostawiając żonę w domu. Przychoǳą tedy w nocy, ale zamiast w prostacki sposób woły zabierać, przybywają z muzyką i karczmarkę wraz z jej służbą wy-

prowadzają w taniec. Podczas zabawy zbójnicy ostrzegają o niebezpieczeństwie, jakie wołom zagraża, śpiewając:

„Tańczujże se tańczuj, karczmareczko tłusta;  
Na jutro, na rano, komóreczka pusta“.

Rozbawiona kobieta nie miała czasu zastanowić się nad tą przestrogą, i dopiero nazajutrz rano brak wołów wyjaśnił znaczenie piosenki. Podczas zabawy współnicy tańczących wyprowadzili woły, które sownie opłaciły koszty hulanki.

— Już to z dowcipu słyną tatrzańscy górale — podjął znów Witold — jak również ze swobodnego umysłu. Chałubiński, który znał górali dobrze, zawsze podziwiał ten dowcip delikatny. Opowiadał on chętnie różne ich odezwania się i figle. Towarzystwo górali i rzeźwe powietrze wierchów wybornie mu służyło. Często, gdy był słaby i mizerny, szedł w góry na kilka dni i wracał zdrowy, wyglądający tak świetnie, jakgdyby nigdy nie chorował.

Warburton zadumał się na te wyrazy.

— To prawda — rzekł — powietrze tych gór jest przedziwne i posiada jakąś moc cudowną: ja sam odczuwam jego wpływ rzeźwiący na sobie. Przyjechałem tu niezupełnie zdrowy i z każdym dniem czuję się innym, silniejszym.

Zapałił cygaro i gęstym kłębem dymu się osłonił.

Profesor Strand pozornie tylko słuchał tego wszystkiego, i co chwila w głębokie wpadał zamyślenie. A gdy świeże gałęzie smereczyny, dorzucone na ogień, jasnym objęły się płomieniem, podszedł do ogniska i wyjąwszy mapę z kieszeni, rozłożył ją na gładkim, szerokim kamieniu i zaczął się w niej uważnie rozpatrywać.

— Czego pan chcesz się tutaj doszukać? — zapytał go doktor.

— Hm, na mapie tej widzę oprócz Czarnego Stawu jeszcze cztery inne w tej dolinie. Są one tu oznaczone wyraźnie. W jednym tylko czyniłem dotąd poszukiwania, a kto wie, czy mój Branchiopod nie przebywa w którym z tych czterech!

— To są cztery niewielkie stawki: Dwoisty, Kurtkowiec, Suczy i Zielony, które turyści omijają, wiedząc, że niema tam nic godnego zwiedzenia. Chcąc iść do tych stawów, trzeba zaraz z hali Królowej udać się na zachód w stronę przełęczy Liljowej. Pański Branchiopod pewnie potrzebuje większej przestrzeni i przyzwoitej głębi.

— Hm, co do głębi, tak; co do przestrzeni, niekoniecznie — odrzekł Strand.

— Musielibyśmy się wracać na niepewne, kiedy droga wypada nam obok olbrzymich jezior w dolinie Pięciu Stawów, daleko większą dających rękojmię co do znalezienia Branchiopoda.

Strand stał jeszcze przez chwilę wahający się i niepewny, wreszcie złożył mapę i schował do kieszeni.

Ilekoć górale dorzucili smereczyny na ogień, z cieni nocnych wychylały się olbrzymie profile skał, oraz mgły, wieszające się na nich, i unoszące nad jeziorem. Jakób śledził je oczyma i rzekł:

— Przypomina mi się wiersz Tetmajera p. t. „Melodja mgieł nocnych przy Czarnym Stawie Gąsienicowym“:

„Cicho, cicho, nie budźmy śpiącej wody w kotlinie,  
 Lekko z wiatrem płasajmy po przestworzów głębinie...  
 Okręcajmy się wstęgą naokoło księżycy,  
 Co nam ciała przezrocze tęczą blasków nasycy,  
 I wchłaniajmy potoków szmer, co toną w jeziorze,  
 I limb szumy powiewne i w smerekowym szept borze.  
 Pijmy kwiatów woń rzeźwą, co na zboczach gór kwitną,  
 Dźwięczne, barwne i wonne, w głąb wzlatajmy błękitną.  
 Cicho, cicho, nie budźmy śpiącej wody w kotlinie,  
 Lekko z wiatrem płasajmy po przestworzów głębinie...  
 Oto gwiazdę, co spada, lećmy chwycić w ramiona,  
 Lećmy, lećmy ją żegnać, zanim spadnie i skona,  
 Puchem mlecza się bawmy i ćmy błoną przezroczą,  
 I sów pierzem puszystem, co w powietrzu krąg toczą,  
 Nietoperza ścigajmy, co pocichu tak leci,  
 Jak my same, i w nikle oplątajmy go sieci,  
 Z szczytu na szczyt przerzućmy się jak mosty wiszące,

Gwiazd promienie przybiją do skał mostów tych końce,  
A wiatr na nich na chwilę uciszony odpocznie,  
Nim je zerwie i w płąsy znów pogoni nas skocznie“.

Wiersz ten, wypowiedziany głosem poważnym i przejmującym, wywołał w słuchaczach odpowiedni nastrój. Henrykowi wydało się, że mgły przybierają ludzkie kształty, a wężowe sploty ścielącej się tu gęsto kosodrzewiny to złe duchy, czołgające się podstępnie przy ziemi.

Już wszyscy udali się na spoczynek, a profesor jeszcze się krzątał i nad brzegiem stawu pochylony coś robił.

— A chodźże pan spać — wołał na niego Warburton — co za dziwnie niespokojny duch mieszka w panu! Co tam robisz jeszcze u licha? Czy chcesz dokopać się znowu przedpotopowego cmentarzyska?

— Zaraz, zaraz, sir Edwardzie, tylko muszę wprzód urządzić wygodne kwatery dla mojej armji.

— O jakiej armji pan mówisz?

— Czyż pan zapomniałeś, że wyprawie naszej towarzyszy piętnaście tysięcy wojska?

— Ach, pleń, zapomniałem o nim zupełnie; nawet nazwa tych osobliwych muszek wyszła mi z pamięci.

— *Sciara militaris* — powiedział Strand tonem, okazującym zgorszenie wobec takiego zapomnienia.

Nakładł gąsieniczkom świeżej próchnicowej ziemi, wydobytej ze szczelin między kamieniami, nasypał furazu z cetynek, ułożył je w miejscu wilgotnem, przykrył gałązką kosodrzewiny, a ukończywszy zadanie kwatremistrza, położył się w namiocie Warburtona i wkrótce zasnął. Śniło mu się, że zrobił znakomite odkrycie, przypatrując się gąsieniczkom przez szkło powiększające. Wszystkie *Sciara militaris* przedzierzgnęły się w żołnierzy, wszystkie miały kapelusze stosowane i karabiny, i stanąwszy przed nim frontem, jednocześnie go salutowały.

Ale rano przyniósł mu inne, całkiem niespodziewane odkrycie. Warburton i jego towarzysze, obudziwszy się, nie

znaleźli profesora, który swoim zwyczajem znowu się gdzieś zapodział. Walter przypuszczał, że poszedł naprzód; inni temu przeczyli, ponieważ jego torba podróżna i kij alpejski leżały w namiocie. Warburton poszedł go szukać i znalazł siedzącego nad stawem przy głazie, gdzie były kwatery jego armji, tak zgnębnego, iż spojrzawszy nań, odgadł, że spotkała go jakaś katastrofa. Włosy jego były w nieładzie, okulary zsunięte na czoło, ręce załamane.

— Co się stało na Boga, panie Strand — zawołał zaniepokojony wyrazem boleści, malującej się na twarzy uczonego.

— Pogrom, straszliwy pogrom! Śmierć piętnastotysięcznej armji — jęknął z boleścią — katastrofa okropna!

— Gdzie, co? — zapytał, oglądając się dokoła i nie widząc nic niepokojącego.

Doktór, który tuż za sir Edwardem stał, spojrział bystro na Stranda. Przyszła mu myśl, że pocziwemu profesorowi pomieszały się zmysły.

On zaś mówił dalej głosem żalonym:

— Wszyscy żołnierze polegli na stanowisku, karnie i posłusznie, w imię poczucia obowiązku. Powodem tego pogromu i winowajcą jestem ja... Ach, uśmiercić piętnaście tysięcy żywych istot, to okropność! Patrzcie panowie.

I wskazał ręką na ziemię.

Zwróciwszy oczy za kierunkiem ręki profesora, zobaczyli teraz dopiero na kupce cetynek „węża morskiego“, który wczoraj tak wszystkich przestraszył, zwiniętego w kłęb, ale nieruchomego. I gdy pochyliwszy się, przypatrywali się ciekawie, usiłując odgadnąć powód tej nieruchomości, profesor mówił dalej:

— Chciałem zbadać, jak pleń zachowuje się w niewoli, i dlatego wczoraj zabrałem go z sobą. Podróż do Czarnego Stawu odbył dobrze, bo miał podostatkiem cetynek i próchnicy; zaledwie kilkanaście gąsieniczek wypadło. Wieczorem ułożyłem go w miejscu najwygodniejszym, spokojny, że przy



powolnym ruchu, daleko nie zajdzie, chociażby nawet nocą w pochód ruszył. Ale gąsieniczki zaraz po wydobyciu z koszyka utworzyły plenia; ciekawy byłem, co też uczynią, jeżeliby oba końce węża połączyły się i kijem złączyłem je z sobą.

Koło ruszyło w pochód, obracając się ciągle dokoła siebie: sądziłem, że to właśnie będzie najlepszy sposób zatrzymania go na miejscu, nie przeszkadzając zrazu ich wrodzonej chęci podróżowania. Dziś skoro pierwszy brzask się ukazał, przyszedłem tutaj, gnany jakimś niewytłumaczonym instynktem, i oto patrzcie, co znalazłem! Cała armja martwa! Gąsieniczki maszerowały całą noc bez odpoczynku, w kółko, aż wyczerpane poległy na stanowisku, jako obraz posłuszeństwa i karności wojskowej. Gdyby kto był rozerwał koło, wojsko byłoby ocalone, bo jedna, objąwszy natychmiast dowództwo, kazałaby im spocząć. Ale mój nieszczęsny pomysł wczorajszy zgubił je. Błędne koło obracało się bez odpoczynku, aż stanęło u wrót śmierci! Gdym przybył, kilka z nich jeszcze ruszało się; więc chciałem te chociaż uratować, ale wkrótce znieruchomiały i spostrzegłem, że nic ich już nie ocali. Piętnaście tysięcy istot niewinnych, cieszących się wczoraj jeszcze życiem, a dziś martwych... i to z mojej przyczyny!... I jeszcze gdyby dla nauki był stąd jaki pożytek! Ale martwe wojsko wymknęło się moim badaniom... Popęlniłem zbrodnię bezużyteczną.

— Widzisz pan, że nietylko kobiety są godne ukamienowania. Uczeń także nie są bez winy — zauważył Jakób.

Strand rzucił na niego spojrzenie pełne bolesnego wyrzutu, jakby chciał powiedzieć: Milcz szyderco!

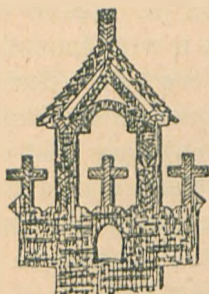
— Trzeba im sprawić pogrzeb honorowy — powiedział malarz. — Hej chłopcy, chodźcie tu z ciupagami i wykopcie mogiłę dla dzielnych żołnierzy; a Obrokta niechaj zagra pieśń „rozwodną“, przy której łzy łatwiej płyną i są mniej gorzkie!

Zabrzmiały skrzypki, zawtórowały im basy i przez chwilę

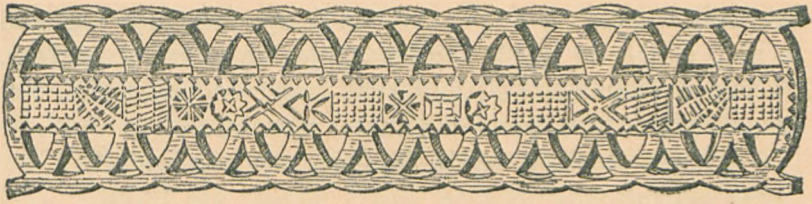
słyszeć było tylko ową żalną pieśń i stukanie ciupag o kamienie, między którymi szykowano mogiłę. Profesor sam zgarnął martwy krąg i przysypawszy próchnicą i żwirem, nakrył gałęziami kosodrzewiny i przycisnął kamieniem. Pieśń rozwodna brzmiała jeszcze długo z różnymi warjantami.

Gdy opuszczono miejsce katastrofy, żeby zasiąść w namiocie do śniadania, Strand, któremu przypomniał się sen dzisiejszej nocy i uroczysty pokłon, jakim go pożegnały gąsieniczki, szepnął wzruszony:

— One mi chciały powiedzieć, jak niegdyś gladiatorowie mówili w cyrku rzymskim: Ave Caesar, morituri te salutant!



Wieszak od łyżnika.



## V.

### NA FALACH MORZA.

*W tem dreszczu państwie śnieg mi na czoło  
Płonące prószy...  
Dumam; prócz mnie tu nigdzie wokóło  
Żyjącej duszy!*

*Fellejan: Odgłosy z gór.*

Baronet postawił na swoim: szedł na Krzyżne przez Żółtą turnię. Powolne to posuwanie się pod górę, bez ścieżek ułatwiających wejście po żółtym, śliskim poroście, od którego góra ta wzięła swoją nazwę, było prawdziwem udręczeniem dla nóg wszystkich towarzyszków wyprawy.

Gdy zaczęli wchodzić, grad kamieni jął usuwać się z pod nóg a za kamieniami nogi, za nogami ręce. Wędrowcy przybierali położenie takie, jak więjcy chłopcy, kiedy konie pasą, tylko że nie było im tak miękko jak na łące. Przewodnicy pomagali im wstawać, i pokazywali drogę, idąc naprzód. Szli już teraz nie prosto, tylko w zakosy, zawracając ciągle, to od lewego, to od prawego boku, coraz wyżej, a wolniutko, co chwila odpoczywając. Profesor musiał oddać przewodnikowi do torby czaszkę niedźwiedzia jaskiniowego, bo byłby ją rozbił na kawałki. Kto nigdy nie był w górach, nie ma wyobrażenia, co to jest iść po ścianie niemal prostopadłej, z wytężoną ciągle bacznością, z nieustanną obawą stracenia równowagi.

Henryk, którego wszystko interesowało, rozglądał się po

skalistej ścianie, a gdy napotkał jaką szczelinę, zaglądał w nią, mając na myśli skarby zbójckie i szukał znaków, po jakich podobno wtajemniczeni mogli do nich trafić. Naraz utkwiał oczy w pewien punkt i zawołał:

— Panie Jakóbie, panie Jakóbie, czy pan widzi?

— Gdzie? Co?

— O o, tam — mówił, wskazując ręką — tam ten ruchomy przedmiot na prawo. To pewnie ten ptaszek, o którym pan mówił w dolinie Jaworzynki.

Wszyscy przystanęli, Warburton także spojrział w kierunku ręki chłopca i rzekł:

— Pomurnik!

Niewielki ten ptaszek z szarym łebkiem i brunatnymi skrzydełkami, pełzał do góry po skale, w odległości kilkunastu metrów od naszych podróżników — i nie zwracając na nich uwagi, wyszukiwał w szczelinach owadów, długim, cienkim, lekko zakrzywionym dziobkiem. Na tle szarej turni, żółtym nakrapianej porostem, byłby niewidoczny, ale zdradziły go prześliczne żywe, różowe plamy na popielatych skrzydłach, które nadawały mu wygląd barwnego motyla. To też nic dziwnego, że górale nazywają go mentel, czyli motyl. Jedno skrzydło miał złożone, drugie rozpostarte i w tej pozycji posuwał się do góry. Davy, którego także uderzył ten szczegół, zwrócił się do Waltera i zapytał:

— Jak on może utrzymać się w tej prostopadłej postawie? Gdyby fruwał z grani na grani, tobym rozumiał, ale on nie fruwa, tylko łązi!

Oblicze sir Edwarda, który dosłyszał to pytanie, rozjaśniło się. Spojrział z odcieniem życzliwości na chłopca i powiedział:

— Ma do tego nogi palczaste, u których długi tylny palec jest opatrzony zakrzywionym pazurem.

Ten, co był przedmiotem ogólnego zajęcia, szybkim lotem spadł na wystający u spodu turni zrąb skały — i odpocząwszy nieco, na nowo rozpoczął swoją wędrówkę do

góry po zwaliskach piargu, napół podlatując, napół skacząc i trzepocząc przytem skrzydełkami.

— Gniazdo tego ptaszka bardzo trudno napotkać — mówił baronet dalej — bo je w niedostępnych rozpadlinach skał buduje. Raz jednak zdarzyło mi się je widzieć w Alpach. Kształt ma płaski i jest złożone z mchu, włókien, sierści, wełny i innych miękkich materiałów.

— Widziałem pomurnika na murach zamku Chillon w Szwajcarji — odezwał się Witold.

— A ja na wysokości 2.900 metrów — rzekł baronet. — Byli jednak tacy, co go znajdowali na wzniesieniu 3.000 metrów, na lodowcu, ścigającego nieliczne, znajdujące się tam owady i liszki. Widział to Saussure, słynny genewski badacz przyrody.

Gdy wreszcie stanąwszy na grzbiecie Żółtej turni, baronet ujrzał dolinę Pańszczycy, krainę gołych głazów i złomów granitowych, wielkich jak chałupy, przystanął i rzekł:

— Gdyby tu był Dante, niezawodnie wzięłby do swojego „Pieśla“ obraz tej doliny. Co za przerażający majestat! Dzikość i groza tu panują: istna pustynia kamienna! Wyobrażam sobie, co się tu dzieje, gdy czarne chmury zaciągną horyzont, błyskawice rozdzierają niebo, a huk gromów, przez tysiąckrotne powtórzony echa, wstrząśnie tą piekielną otchłanią; gdy głazy, strącane piorunami, odrywają się od szczytów i z łoskotem pędzą w przepaście. Przypominają mi się w tej chwili cztery wiersze z Pieśni XII-ej „Pieśla“:

„Miejsce, któredy mieliśmy się spuszczać,  
Było tak dzikie — i z powodu tego,  
Co się w niem działo, tak przerażające,  
Że wszelki wzrok by od niego uciekał“.

A ten brak wszelkiej roślinności, prócz ciemnych porostów, przywodzi mi na myśl jeszcze jeden wiersz z Pieśni III-ej:

„Wchodzący, wszelką rzucajcie nadzieję!“

— Dante w swej wędrówce po „Piekło“ nie miał nad głową jasnego błękitu — odezwał się Jakób — a gdzie go choć wąski skrawek dojrzeć można, tam jest nadzieja!

— To prawda — rzekł Warburton, rozglądając się po niebie, na którym w tej chwili była jedna tylko mała chmurka. — Pogodę mamy piękną, jak rzadko.

A ponieważ zaraz mieli zacząć schodzić nadół, baronet raz jeszcze ogarnął wzrokiem obraz, z którym się rozstawali i wskazując ku turniom, otaczającym Czarny Staw, zapytał:

— Jak się zwie ta góra na prawo, podobna do stogu siana, ta, co przewyższa iglicę Kościelca?

— Świnica — odrzekł Jakób. — Najwyższy to szczyt w tem pasmie. Jest tam na bardzo stromem zboczu wzniesione schronisko, przyczepione do skały niby gniazdo orle! Każdy, kto je widzi, nie może wyjść z podziwienia, jakim sposobem ludzie zdołali tam wnieść materiał budulcowy. Wycieczka na Świnicę trudna: nie każdy się może na nią ważyć; ale widok wynagradza trudy. Szczyt jej bieli się śniegiem.

— Grono technologów z Krakowa niedawno było tam świadkiem wspaniałego widowiska — odezwał się Witold, przypatrując się przez lunetę. — Rozległ się huk potężny i jak grzmot potoczył się po górach. Przerażeni, spojrzeli ku Świnicy, skąd łoskot jeszcze dochodził, i oczom ich przedstawił się straszny i zarazem wspaniały widok. Z jednego ze skalistych szczytów tej góry obsunęła się olbrzymia masa śniegu i jak spieniony wodospad leciała w przepaść, wlokąc z sobą mnóstwo kamieni i odłamów skalnych.

— O, co za ironja mówić o śnieżnym wodospadzie, gdy język z pragnienia przysycha do podniebienia — odezwał się Walter, ocierając pot z czoła.

— Napij się wina — rzekł baronet, podając mu flaszkę.

— Dziękuję, sir, to tylko wzmaga pragnienie — rzekł młody dzian, nie biorąc jej.

— Jak chcesz. Ale co tam czerni się w dole na lewo? Czy to las?

— Tak, to las, w którym rosną pojedynczo śliczne limby; las, gdzie jagód soczystych ani kosówki nie brakuje, gdzie pokazują się czasem głuszce i cietrzewie.

— Słyszałem, że trafia się i jarząbek — wtrącił Witold.

— Oaza w pustyni!... Szkoda, że zdaleko od nas.

— Jest to lepsza część doliny Pańszczycy, rzeczywista oaza w porównaniu z tą, do której schodzimy, a która też bardzo właściwie zwie się Dziką doliną.

— A ja tu widzę u stóp naszych przed samą Żółtą turnią, nieco na lewo maleńkie zwierciadełko. Jeżeli to woda, to zdaje się być krwią zabarwiona.

— To jest Czerwony stawek, tak zwany z powodu otaczających go granitów.

Przewodnik, obserwujący bacznie okiem chmurkę, na którą niedawno zwracano uwagę, rzekł nagłaco:

— Dalej panowie, w drogę, nie stójcie! Trzeba się śpieszyć, bo nas deszcz zleje.

— Gdzież to widzicie zapowiedź tego deszczu? — zapytał Witold.

— Ot tam — odrzekł Wala, ukazując na chmurkę, która jak ptaszę niewinne z rozpostartymi skrzydłami, ważyła się nad nimi w powietrzu.

Witold wzruszył ramionami z niedowierzaniem, ale Jakób, znający zmienność aury w górach, nie przeczył. Przytem wiedział z własnego doświadczenia, że takie małe chmurki podobne do rozciągniętych pasm waty, noszą ukryte w łonie zarody burzy.

— To dziwne — powiedział Jakób — przecież Babia góra dziś bez czepca!

— Babia góra widzicie, w tym roku do znaku ogłupiała — rzekł przewodnik — i nagle, schwyciwszy doktora za rękę, dodał szeptem: — Cicho!... Zdaje mi się, jakbym sły-

szął cupkanie kozie. Radbym, aby ich ujrzeli, bo tu częstokozy bywają. Ino niech się nie ruszają, bo to okrutnie płoche.

Ci, co szli naprzód, także już stanęli i czekali.

— O, o, widzom ich, tam w źlebie!

Po grani Koszystej przechodziło poważne stadko kozic. Wdzięczne ich kontury w ciemnych, sylwetkowych obrazach rysowały się na jasnym horyzoncie. Przywódca stada, ogromny koziół ze wspaniałemi rogami, stał w malowniczej postawie, nasłuchując. Podróźni stanęli bez ruchu, patrząc na piękne widowisko — ale Davy strącił przypadkiem kamień, który potoczył się z hałasem. Kozice spostrzegły ludzi i pierzchnęły między turnie. Przewodnik patrzył za nimi, jak sadziły po głazach wzdłuż Koszystej, ogromnemi susami, i powiedział, że kozic jest jeszcze w Tatrach mnóstwo i że tej zimy 17 zimowało na Giewoncie<sup>1)</sup>.

Na skałach, zamykających zewsząd tę pustynię, miejscami bielily się płyty śniegów, a wśród pustyni z jednej strony widać było usypisko jedno olbrzymie. Dosięgało ono grzbietu, który oddziela Koszystą, leżącą nawprost Żółtej turni, od urwistych turni Buczynowych. Ku temu usypisku wiódł ich przewodnik, gdy zesli nadół przez morze głazów. Stąpali po nich jak po zwaliskach lub dziko porzuczanych progach, rozpalonych od słońca, które posuwało się coraz wyżej.

— Ach, istne piekło! — mruzczał malarz. — Gdyby choć odrobina wody!

Woda szemrała między głazami wąskim sznureczkiem, miejscami chowając się pod ziemię, miejscami ukazując znowu. Witold ukląkł na ziemi i spragnionemi usty pił chciwie, a inni poszli za jego przykładem. Jeden tylko War-

---

<sup>1)</sup> W latach, gdy sir Warburton chodził po Tatrach, tak być mogło. Obecnie sprawa kozic przedstawia się bardzo źle: wytępili je dezertrzy podczas wielkiej wojny światowej i obecnie w polskiej części Tatr rzadko tylko bardzo można kozicę spotkać.



burton nie śpieszył zaspokoić pragnienie. Rozpatrywał się pilnie dokoła i powiedział, zwracając się do Waltera:

— Tam, gdzie między głązy nabił się drobniejszy żwir, kwiaty rosną i są rzadkie szmaty murawy. Pustynia ta, jak pustynia Sahara, ma swoje oazy: tam niżej jest las z kosodrzewiu. Zieloności choćby odrobina jest tak samo symbolem nadziei, jak najmniejszy skrawek błękitu.

I odwróciwszy się, poszedł dalej, a Waltera serce uderzyło radośnie i szepnął do siebie:

— Dzięki Ci Boże, on mówi już o nadziei!

I patrzył za nim zamyślony, radując się, że baronet coraz bardziej odzyskiwał dawne zdrowie, humor i siły. W tem spostrzegł, że sir Edward zatrzymał się, wziął fuzję, zmierzzył... padł strzał i posypały się ze skał rumowiska, a echa dokoła jęły odgłos strzału powtarzać.

Zanim Walter zdążył się spytać, do jakiej zwierzyny strzelił baronet, już przewodnik poskoczył i niósł ubitą zwierzynę. Był to głuszec, duży piękny ptak. Otrzymał postrzał w same piersi. Henryk żałował ptaka, a Davy klaskał w ręce z radości, wołając:

— Będzie pieczone!

Sir Edward opatrzył fuzję, nabił ją na nowo i oddając przewodnikowi, rzekł:

— Niepotrzebnie zakłóciłem spokój tej pustyni, ale gdym ujrzał zwierzynę, zagrała we mnie żyłka myśliwska.

— Co on tu jednak robił na pustych rozpalonych głązach — zastanawiał się Witold. — Zazwyczaj głuszec lubi przebywać w kosówce.

— Toż las niedaleko — odrzekł Jakób. — Głuszec jak i inne stworzenia turniowe, wie, gdzie turyści zwykli odpoczywać i przychodzi szukać resztek jedzenia. W zeszłym roku ubito jednego w Roztoce.

Brzegiem usypiska, po ścieżce utworowanej obok skały, wdzierac się teraz musieli na wierzch owego grzbietu, dzielącego Koszystą od Buczynowych turni. Henryk był bardzo

strudzony, ale posuwał się ciągle naprzód; Dawid gonił ostatkiem sił — tylko Walter zachęcał go ciągle do wytrwania i uspokajał. Chłopiec połykał łyż, których się wstydził i żałował po raz nie wiem już który, że dał się namówić na tę wycieczkę.

— Z pewnością dostanę zapalenia mózgu — skarżył się półgłosem — głowa mię boli i puls bią w skroniach! Tchu mi brak!

— Wszyscy tego doznają przy wchodzeniu na góry, zwłaszcza w taki dzień gorący, jak dzisiaj — perswadował Walter.

— W gardle mi tak zaschło, że z trudnością przełykam ślinę. Czy nie ma pan czasem wina przy sobie?

— Nie mam; niezadługo staniemy na szczycie, to będziesz pił wino.

— Ach, mój Boże, ja już nie wytrzymam dłużej! Mam gorączkę z pewnością, bo mi się kręci w głowie.

— To tylko dlatego, że nie jesteś przyzwyczajony do chodzenia. Bądź spokojny, z tego się nie choruje, gdybyś nawet chwilowo zasłabł, mamy z sobą doktora.

Dawid przypomniał sobie uwagę, usłyszaną na Starej Polanie o przejęmości malajskiej, i skrzywił się.

— Jak się wyśpisz pod gołym niebem — mówił Walter dalej — wstaniesz jutro zdrowy jak ryba. Powietrze górskie jest cudowne: człowiek nieraz upada z trudu, zdaje mu się, że dalej iść nie zdoła, tymczasem chwila wytchnienia rodzi nowe siły i rozprasza ślady zmęczenia.

Dawid westchnął; właśnie spanie pod gołym niebem nie uśmiechało mu się wcale. Myślał o swem łóżku, które nigdy jeszcze nie ciągnęło go z taką siłą, jak w tej chwili. Jakież ono było miękkie, jakie wygodne! Ale nie bardzo miał czas zastanawiać się nad tem, bo musiał ciągle patrzeć na ziemię; jeden krok nieostrożny, a mógł stoczyć się nadół. Szli tak z dobrą godzinę; wreszcie u samej góry pochyłość zmniejszyła się i wędrowcy odetchnęli swobodniej. Jeszcze

kilkanaście kroków, i oczom ich odstąpił się widnokrąg, którego piękna nie mogli w tej chwili ocenić w całej rozciągłości, bo padli prawie na ziemię wyczerpani.

Chmury targane wichrem przepływały nad nimi: po piekielnym upale, owionął ich chłód lodowy. Wiatry są nieodstępni towarzyszami górskich szczytów; przewodnicy więc, nie pytając podróżnych, czy chcą lub nie, wkładają im zazwyczaj serdaki i zalecają, aby się szczelnie zapinali. Nasi znajomi też ani się spostrzegli, jak zostali ubrani ciepło i pookrywani, i jak każdemu wciśnięto w rękę czarkę wina. W Dawida, gdy czarkę wychylił, lepszy duch wstąpił i obejrzał się ciekawie dokoła. Czoło jego było złane potem, włosy przylgnęły do skroni, ale w oczach odmalowało się zdumienie i podziw.

— Jesteśmy na wzniesieniu 2164 metrów nad poziomem morza — odezwał się Strand, ocierając jedną ręką pot z czoła, a drugą zapinając się szczelnie pod szyją, a Jakób dodał:

— W całych Tatrach niema miejsca, mogącego iść z Krzyżnem w porównanie; widzi się bowiem stąd obraz Tatr taki, jak z najwyższego szczytu, bez trudów i niebezpieczeństw, z jakimi się wchodzi na inne szczyty. I my nie bylibyśmy ani w części tak wyczerpani, gdybyśmy się tu dostali zwykłą drogą, przez Jaszczurówkę i Psią Trawkę.

Warburton, przytrzymując kapelusz, który mu wiatr chciał zerwać, udał, że nie słyszy tej przymówki i zrobił uwagę, że widnokrąg jest olbrzymi.

— Tak, widok mamy bardzo rozległy: ku północy na Zakopane, Podhale, Beskidy i najbliższy grzbiet Koszystej...

— Wdali na Pieniny i Spiską Magórę — wtrącił Witold.

— A ku południowi na głębię Tatr... Pod stopami naszymi rozciąga się dolina Rostoki. Pięć Stawów z Siklawą, z całym ich otoczeniem i piętrzącem się naokoło pasmem najwyższych Tatr.

— A co to za kolos tam w pośrodku nad wszystkimi

piętrami gór panuje? — pytał Warburton, nastawiając lunetę. — Pokrywają go śnieżne płaty.

— To król Tatr, Garłuch! Stąd przedstawia się on w całym majestacie; niewiele osób zdołało wejść na jego szczyt, z którego widzieć można parę jezior.

— Wspaniały ma orszak ten monarcha, ale ileż w Tatrach jest wszystkich jezior?

— Przeszło 100. Liczba ich była niegdyś większa, i te, które przetrwały dotąd, były obszerniejsze i głębsze. Ogromne złomy granitu zaścielają ich dna i brzegi. Otaczające je szczyty bezustannie łupią się i kruszą; sama woda, ściekająca w szczeliny skał i marznąca potem, rozsadza je i czyni spustoszenia na wielką skalę. Przyjdzie czas, że te, na które w tej chwili u stóp naszych patrzymy, znikną kiedyś zupełnie, jak zniknęły inne, których ślady widzimy w kotlinach gór, wskutek powolnego podnoszenia się ich dna przez sypiące się do nich odłamy skał. Górny koniec doliny Kościeliskiej, Miętusia, Mała Łąka, Kondratowa, Buczynowe, dolina Pięciu Stawów, były niegdyś wielkimi jeziorami większemi od dzisiejszych.

Witold, okazujący od kilku minut już wielkie zniecierpliwienie, zerwał się na te słowa i zwracając się do Jakóba, zapytał:

— Mój doktorze, wiem, że zabrałeś z sobą podróżną apteczkę, bo sam widziałem, jak ją pakował. Czy nie masz w niej czasem trochę waty?

— I owszem — odrzekł Jakób — jest wata karbolowa i gaza opatrunkowa, ale na co to panu? Czyś się skaleczył?

— Potrzebuję jej do zatkania uszów! Pan wraz z uczonym profesorem, obaj jak puszczyki bezustannie przepowiadacie zagładę. Ilekroć wejdziemy na jakiś szczyt, i serce raduje się pięknnością tego świata, zaraz na wyścigi, to jeden, to drugi, wygłasza *Memento mori*. Do licha! Prze Stańcież mówić o tem, co będzie za parę tysięcy lat i życie chwilą obecną! Podziwiajcie cuda ręki Bożej, i cieszcie się,

że macie sposobność na nie patrzeć! Stoicie przed krajobrazem tak cudownym, jakiemu podobnych mało na świecie, słońce świeci wam jasno, niebo macie nad głowami czyste...

— Niezupełnie — wtrącił Warburton — była dotąd jedna mała chmurka, a teraz jest całe stado.

— Odrzućcie precz całą waszą wiedzę, i stańcie się na chwilę zwyczajnymi ludźmi! Oto przed wami cała potęga czarów górskiej przyrody: niebotyczne szczyty i niesłychane przepaście, rysujące się w najfantastyczniejszych linjach i kształtach, a między nimi ogromne zwierciadła stawów, niby oczy nieruchomą patrzące źrenicą.

— A jednak oczy te zamkną się kiedyś na wieki... — szepnął profesor z uporem i wpadł swoim zwyczajem w zadumę, a Witold, któremu czasem złośliwe myśli przychodziły do głowy, powiedział do Warburtona:

— Trzebaby profesora ożenić: może wtedy mniej czarno będzie patrzył na życie.

I dotykając ramienia zamyślnego, dodał:

— Budzę pana, panie Strand.

— W jakim kolorze? — zapytał Jakób, widząc, że profesor spojrział na mówiącego doń wzrokiem mętnym, jakby się ze snu przebudził.

— W błękitnym.

Uczony Strand na te słowa zmieszał się mocno i lękliwym spojrzeniem obrzucił obu przyjaciół, ale nie dojrawszy śnać nic niezwykłego, uspokoił się.

— Wieje tu lodowy wiatr — rzekł Jakób — włóżcie panowie jeszcze pledy na serdaki.

Walter, zanim o sobie pomyślał, obejrzał się za Dawidem, ale ten był starannie okryty. Troska o zdrowie nie opuszczała go ani na chwilę.

— Ciekawym, dlaczego tu na szczycie jest tak zimno — odezwał się Henryk, otulając się szczerlnie serdakiem. Na dole był upał trudny do zniesienia, a im wyżej wstępowaaliśmy, tem więcej chłód czuć się dawał.

- Bo tu promienie słońca zamała ogrzewają powietrze.
- A dlaczego ogrzewają je zamała?
- Bo jest nadzwyczaj rozrzedzone.

— Nie rozumiem. Przecież to samo powietrze jest tam na dole!

— Tak, ale tam powierzchnia ziemi ogrzana przez zeknięcie z promieniami słońca, oddaje atmosferze ciepło wzięte od niego, tak jak piec ogrzewa pokój, w którym się znajduje. Więc im dalej od ziemi, tem zimniejsze być musi powietrze.

— Przecież góra, stojąca wśród atmosfery, jest też częścią powierzchni ziemi!

— Zbyt mały to piecyk, aby mógł ogrzać dostatecznie otaczające go warstwy górne powietrza. Jej ciepło rozprasza się prawie bez śladu i górne masy pozostają zimne. Dlatego to na pewnej wysokości, wyżej tak zwanej linii śnieżnej, leżą wieczne śniegi.

— Czy linja śnieżna wszędzie na jednej wysokości leży?

— O, nie! Na górach krajów gorących, w pobliżu równika, bardzo wysoko; obniża się zaś w miarę oddalania się od niego, a w stronie bieguna dochodzi do poziomu morza.

— A tutaj, w Tatrach?

— W Tatrach teoretyczna linja śnieżna leży na wysokości około 2.300 metrów.

— Co mnie jeszcze zachwyca w Tatrach — odezwał się Warburton — to zieloność tak młoda i świeża, że choć już połowa lipca, zdaje się, że to dopiero koniec maja. Ale widzę, że szczyty, które się tutaj schodzą, są prawie jednakowej wysokości. Krzyż jest dość prawidłowy.

— Kozi Wirch i Granaty, to jedno ramię — rzekł Jakób.

— Wołoszyn i Buczynowe, to drugie ramię — dodał Witold. — Wielka Koszysta stanowi przedłużenie krzyża.

— A my stoimy w środkowym punkcie — powiedział Warburton. — Dziwne są wasze góry, moi panowie: wznoszą się one ostremi iglicami niby strzeliste wieże katedr

gotyckich, chcące modlitwą przebić niebiosy; lub stoją groźne i poszarpane, niby tłum ludu, co rozdarłszy na sobie szaty, skamieniał z rozpacz. Albo złączywszy się razem, krzyżem się kładą przed Panem, jak ten, na którym stoimy; albo biją w oczy zdaleka olbrzymim sarkofagiem ze zwłokami rycerza, jak stary Giewont w Zakopanem. Mają one swój odrębny charakter i swój wyraz. Dziwne góry i dziwny kraj!

Witold rzucił szybkie spojrzenie na Jakóba, słuchającego tych słów w zadumaniu, i szepnął:

— W tem wszystkiem, co powiedział sir Edward, najdziwniejszym jest on sam właśnie.

— A to dlaczego?

— Bo punkt widzenia, z jakiego patrzy na Tatry, nie jest angielski. Patrzy nie jak cudzoziemski turysta, ale jak psycholog, który odczuwa przejawiającą się w krajobrazie zbiorową duszę. Tajemniczy ten człowiek widocznej ulega przemianie. Powiedziałbym, że pod wpływem tatrzańskiego powietrza zaostrzyły się jego zmysły. Gdy tu przybył, był twardy jak gład, i zdawało się, że rozumie to tylko, czego się dotknie — a teraz słyszy technienia milionów, unoszące się w powietrzu i rozumie wymowę kamieni. Wie pan, co tu obwijać w bawełnę: on nie jest Anglikiem. Lew wielkobrytański inaczej czuje.

— Może jest Irlandczykiem!

— Ach, pan jesteś szczególnie uparty: a co znaczył ów chleb z ajerem, co żubrówka, którą częstowaliśmy go! Czy nie widziałeś, jak rozdał nozdrza, wciągając w siebie jej zapach.

— To niczego nie dowodzi.

— Mam ja jednak swój sposób, którym cię chyba przekonam, uparty człowieku!

Wziąwszy teczkę, usiadł na kamieniu i zaczął szkicować kontury krajobrazu.

— Co to za wodospad tam w dole, płynący szeroką

wstęgą? — zapytał Warburton, patrzący ciągle przez lunetę.

— To jest wodospad najwspanialszy i największy w całych Tatrach, zwany Siklawą. Tworzy go upływ tego oto wielkiego środkowego stawu, największego także ze wszystkich jezior tatrzańskich, i spada w dolinę Roztoki.

— Widzę, widzę, jak wstęga ta zwiesza się wprost z jeziora. A jak błyszczą te skały! Widzę wszędzie porozwieszane na nich tysiące nitek srebrnych.

— A, bo gdziekolwiek leży płat śniegu, tam bezustannie sączy się z pod niego woda.

Warburton nie mógł oderwać oczu od wspaniałego widoku, wreszcie odejmując lunetę od oczu i wskazując ręką na łańcuch gór, powiedział:

— Poza takim murem granicznym, ludy mogły żyć szczęśliwie i bezpiecznie od wszelkiej napaści: warownia to niezdożyta. W jaki kształt układa się rzeźba Tatr?

— Na granicy między Galicją a Węgrami, rozłożyły się w kształcie olbrzymiego łuku, wydętego lekko ku północy, góry Karpaty. W zachodniej części tego blisko półtora tysiąca kilometrów długiego pasma, Tatry panują nad całym górzystym obszarem, niby olbrzymia wyspa skalista, wynurzająca się z pośród stężonych fal wzburzonego oceanu. Rozpostarte potężnym łukiem, oparły się oboma końcami o Dunaj. Wody północnych stoków Karpat skupiły się w trzy strumienie i rozbiegły w różne świata strony: z Wisłą poszły do morza Bałtyckiego, a z Dniestrem i Prutem do Czarnego. Dwie wielkie rzeki, Dunajec i Wag i wiele pomniejszych strumieni i górskich potoków, wypływają z łona Tatr, śpiesząc ku tym rzekom, a z niemi w dwie przeciwne strony świata, na południe i północ.

— Tę wyspę skalistą otaczają w kształcie dwóch wideł, cztery wielkie doliny: Dunajca, Orawy, Wagu i Popradu, przyjąwszy te cztery rzeki za granice obszaru Tatr — dodał Witold.



— Oto co się zowie mówić jasno: zdaje mi się, że mógłbym narysować mapę Tatr. Jak też wielką przestrzeń obejmuje ta wyspa skalista?

— Sześćdziesiąt mil kwadratowych powierzchni.

— Straszyl nas przewodnik deszczem, a tymczasem nad nami ciągle jaśniej najpiękniejsza pogoda.

— Ale tam w dolinach deszcz może padać. Znajdowałem się nieraz w Tatrach w takim położeniu, że nademną było słońce i najpiękniejsza jaśniała pogoda, a niżej szalała burza z deszczem i piorunami, a czarne chmury czołgały się u stóp naszych. Byliśmy nad chmurami, jak duchy.

— Wrażenie być musiało niezwykle. Ale co pan tak patrzy w przepaść?

— Widzę, że Krzyżne powoli od dołu mgły obejmują.

— Prawda; gdy tu weszliśmy, nie było ich!

— Są tacy, którzy wiele po Tatrach chodząc, mówili, że „mieli wspaniałe chwile, przypominające stworzenie świata, a mianowicie odłączenie wody od lądów i światła od ciemności“. Ale czy panowie widzicie, że i z doliny Pięciu Stawów mgły zaczynają się wysuwać? Przepowiednia naszego przewodnika sprawdzać się zaczyna. Żeby tylko te mgły nie zmieniły się w ulewę i burzę!

— Dziwna rzecz jednak... w powietrzu jest cicho i spokojnie!...

— Unoszą się coraz wyżej i wyżej, zasłoniły przepaście i są już u naszych stóp. Zdaje mi się, że jesteśmy zawieszeni w powietrzu.

W tej chwili Henryk zawołał:

— O Boże, co się dzieje, patrzcie, patrzcie!

Nad nimi był błękit jasny, czysty, i słońce w całym blasku promieni, a dokoła, jak daleko okiem zasięgnąć, na wszystkie strony, białe, równe, nieprzejrzane morze mgły. Ani śladu dolin lub gór — tylko z morza tego sterczały granitowe szczyty, niby wyspy, wynurzające się z głębi fal. Szczyty szare, ciemno-błękitne, szafirowe, odrzynały się

ostro, cudownie odbijając od opalowych fal. Zdawało się, że na tem morzu bezbrzeżnem lada chwila pojawi się okręt z rozpuszczonemi żaglami.

— Ach! — zawołał w uniesieniu Witold. — Brakuje tylko łodzi i wiosła. Co za cudowne zjawisko!

Nikt nie odpowiedział: wszyscy skamienieli. Mowa ludzka za słaba jest na wyrażenie dzieł Bożych w całej ich wielkości i potędze! Walter patrzył na Warburtona. Kamienny ten człowiek zmiękł. Morze mgieł porywało go ku sobie gdzieś w bezgraniczny przestwór. Coś go ciągnęło, aby się puścić na jego fale. Wreszcie odezwał się:

— Możemy sobie powiedzieć, że i my przeżyliśmy taką chwilę, jak przy stworzeniu świata!

Dawid patrzył, a w twarzy jego widać było zdumienie i podziw. Dusza jego, uśpiona, przebudziła się.

— Ale tu jest zanadto wietrzno — rzekł Warburton, otulając się bardziej, gdy mgły opadać poczęły. — Zejdźmy cokolwiek niżej.

Punkt zetknięcia się tych szczytów na Krzyżnem, jest równinką około 300 kroków obejmującą. Poniżej równinki, w zagłębieniu osłoniętem od wiatru, stoi szałas sklecony z desek, gdzie podróżni zazwyczaj odpoczywają i nocują. Była tam już przygotowana herbata: nalewano ją właśnie. O kilkanaście kroków od szałasów, przy ognisku z kosówki, Jerry piekł polędwicę, zabraną z Zakopanego, i gdy panowie schodzili ze szczytu, oznajmił z powagą, że podano do stołu. W miejscu osłoniętem skalistą granią, na rozłożonym obrusie było kompletne nakrycie na sześć osób. Zabrano się do jedzenia, a choć nie stało sałaty z Lodowego potoku, jednakże pieczeń smakowała bardzo zgłodniałym turystom. Zastąpiła sałatę musztarda.

Przy jedzeniu mówiono o potrawach, spożywanych pod różnemi szerokościami geograficznymi, i upodobaniach, cechujących różne narody.

Warburton oświadczył, że najprzedniejszem podług niego

pieczystem, jest mięso lwa, zwłaszcza młodego. Próbował też mięsa tygrysa, ale jest twarde i łykowate, Indjanie jednak spożywają je chętnie, wierzą bowiem, że daje ono spożywającym zręczność i siłę tego zwierzęcia. Strand odezwał się na to, że Indjanie i plemiona afrykańskie jadają za przysmak mięso słonia, i zapytał sir Edwarda, czy w czasie swego w Indjach pobytu, nie spotkał się z tą potrawą.

— Owszem — odparł Warburton — spotykałem się nieraz, ale zapewniam pana, że jest twarde i niesmaczne; przedziwnym za to smakiem odznacza się galareta z nóg słoniowych. Powiem jednak, że z potraw egzotycznych, najpodobniejszym jest do wołowiny i wieprzowiny zarazem mięso nosorożca. Polowałem na te zwierzęta na bagnach indyjskich, gdzie przeważnie żyją, karmiąc się roślinami. Co jednak szczególniejszem powodzeniem cieszy się u nas w Anglii, to mięso kangurów. Przywożą je do nas z wyspy Tasmanji i Nowej Holandji. Jeżeli panowie raczycie odwiedzić mnie kiedy w zamku Rochdale, poczęstuję was zupą z ogonów kangurów, jest bowiem wyborna, oraz mięsem foki, które choć z pozoru niezbyt apetyczne, bo cokolwiek czarniawe, zaleca się wielką strawnością i pożywnością.

— O, — rzekł Strand, krzywiąc się — czego też ludzie nie jadają! Zoolog Wallace zaleca potrawę z mięsa małego, i porównywa je z zajęczem, a we Włoszech i na Florydzie jadają słowiki pieczone; potrawki z krasek i kósów uchodzą tam za przysmaki najwykwintniejsze, jak niegdyś za czasów Nerona. Chińczycy nie są wybredni w jedzeniu: koty, psy, jastrzębie, orły, sowy, bociany, szcury, myszy polne i węże, stanowią ich pożywienie; jedzą też robaki, gady i płazy, które służą również za lekarstwo.

— Psie mięso stanowi jednak u nich największy specjal — przerwał Warburton — i w istocie ma ono smak bardzo delikatny.

Witold, słuchający Anglika z coraz większym zdziwieniem, szepnął do Jakóba:

— Ten człowiek obszedł całą kulę ziemską... prawdziwy „Żyd wieczny tułacz!“ Wiesz pan co? Mnie się zdaje, że legendowy Ahasverus, co od śmierci Chrystusa Pana przebiega ciągle ziemię, nigdzie nie mogąc znaleźć spoczynku, to on!

— W każdym razie zamiłowany podróżnik. Słyszałeś, że nie wzdragał się żadnych potraw próbować, a fakt, że zjadał ze smakiem chleb z ajerem i chłodnik litewski, naprowadziły cię na nieprawdopodobne domysły.

— A jednak ja stoję przy swoim, i przyrzadzę mu potrawę, która...

— O czym panowie mówicie? — zapytał baronet.

— Witold wyznał mi, że zna się cokolwiek na tajemnicach sztuki kulinarnej, i obiecuje nam dać dowody swego talentu.

— Ach i owszem; prosimy bardzo! Może pan przyrzadzi nam deser?

— Dobrze, ale dopiero przy Morskiem Oku.

— Niech i tak będzie.

— Mniejsza o deser — rzekł Strand — ale przydałaby się bardzo filiżanka czarnej kawy.

— Rad jestem, że mogę w tej chwili spełnić pańskie życzenie — rzekł Warburton uprzejmie. — Mój Jerry umie ją wybornie przyrządzać: nauczył się tego, towarzysząc mi w licznych podróżach po Wschodzie. Pijam ją często, bo przekonałem się, że najlepiej podnosi strudzone siły i krzepi. Gotuje on ją po turecku, razem z cukrem i przekonacie się zaraz panowie, jak wyborny ma smak i aromat.

Gdy to mówił, wiatr przyniósł podróżnym zapach najprzedniejszej mokki, a Jerry zjawił się z tacką, na której było sześć maleńkich filiżaneczek, i z maszynką — a podając kolejno, każdemu nalewał z osobna. Maszynka miała kształt lejka, szerokim otworem odwróconego do góry — i gdy się wszyscy temu dziwili, Warburton wytłumaczył, że idzie właśnie o to, żeby się kawa nie ustawała, tracąc przytem aromat, i dlatego nalewa się wraz z gąszczem, który osiada dopiero w filiżance.

— Kawa powinna mieć trzy przymioty — dodał — być czarną jak smoła, gorącą jak piekło i słodką jak miód.

— W istocie przyznać muszę, że tak aromatycznej jeszcze nie piłem — powiedział Strand, z widoczną pijąc przyjemnością.

Jerry podał cygara i zapytał swego pana, czy każe rozbić namiot.

— Zależy od tego, gdzie będziemy nocowali — odpowiedział. — Czy panowie zgadzacie się na nocleg w dolinie Pięciu Stawów?

— Co do mnie, nie mam nic przeciwko temu — odrzekł Jakób — chociaż szkoda, że nie zobaczymy stąd wschodu słońca.

— A co do mnie, sir, powiem, że noc w dolinie Pięciu Stawów jest straszna — dodał Witold. — Panująca tam cisza i groza niezbyt miłe w dzień czynią wrażenie, a cóż dopiero w nocy!

— A pan, panie Strand? — zapytał, zwracając się do profesora.

— Zgadzam się na wszystko, co panowie postanowicie.

— A więc zanocujemy tutaj — rzekł baronet. — Czasu przed sobą mamy dosyć. Nikt nas nie goni, ani nikt nie czeka... Używajmy więc w pełni tej rozkoszy, jaką nam daje chwila obecna. Podziwiajmy widowiska, dawane nam przez naturę, i wsłuchujmy się w jej odgłosy! Mamy namiot i szafas, mamy żywność, wino, przyjemne towarzystwo, mamy nawet orkiestrę i tancerzy, i możemy naprędce bal urządzić. Mamy doktora, na wypadek, gdyby który z nas zachorował; malarza, który może nas malować i uczonego, który nam będzie wszystkie zjawiska przyrody tłumaczył. Słowem, mamy wszystko, co nam potrzeba, i więcej nawet!

— Czy Wasza Miłość nie czuje się zmęczonym?

— Czuję znużenie, ale nie jestem wyczerpany. Może dlatego, że chodzę wolno i odpoczywam stojący: nie jak wy, co idziecie prędzej ode mnie, ale zato często siadacie, lub profesor, odbywający ciągle awanturnicze wycieczki.

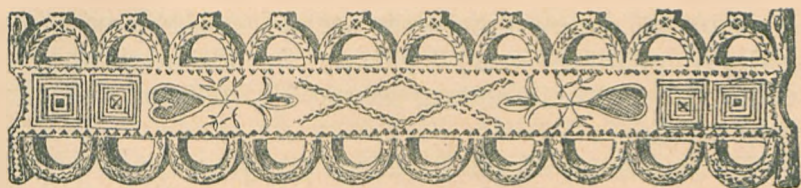
Trzymam się przysłowia, które tu w Zakopanem posłyszałem: „Kto oszczędza nóg z rana, zyskuje drugą parę nóg wieczorem“.

Tak spoczywając i rozmawiając, trochę chodząc po trzech ramionach Krzyżnego, doczekali się zachodu słońca i podziwiali efekty świetlne. Szczyty gasły jeden po drugim, ale na zachodzie długo się jeszcze paliły w purpurze, a potem w łunie pomarańczowej, która powoli rozlała się w morze ogniste. Po tem morzu stada prześwietlonych obłoczków pływały, jak stada mew, szybujących za okrętem, a na wschodzie rysował się już blady sierp księżyca w orszaku gwiazd, zaledwie widocznych. Dopiero gdy na zachodzie ostatnie promienie zagasły, mewy rozpierzchły się, a gwiazdy zaczęły ostro migotać. Podróżnicy śledzili jeszcze mgły, zaciągające wartę w dolinie Pięciu Stawów, aż je mroki załęgły, wypełniwszy szczeliny i załomy skał. Wśród ciemności, jaskrawo odbijał żywy płomień ogniska, podsycałego kosówką.

Górale, pokończywszy wszystkie przygotowania do noclegu, obsiedli ognisko, a sylwetki ich wyraziste, rysujące się w czerwonym świetle płomienia, śmiałe, buńczuczne, mogły stanowić przedmiot do obrazu. Gwarzyli oni między sobą o tym posępnym gościu zamorskim, co szukał po górach marnego kwiatka. Ale, że płacił dobrze, że im do herbaty dolewać kazał araku, więc szli z nim chętnie, i szliby na koniec świata.

Ogień przygasł, goście powiedzieli baronetowi dobranoc i opuścili namiot, a górale, dołożywszy kosówki, jeden po drugim pozawijali się w cuhy, obrócili plecami do watry i posnęli. Myliłby się jednak, ktoby myślał, że po trudach całodziennej wycieczki zasypiają twardo. Górale śpią czujnie: bo jeżeli ogień przygaśnie, budzą się wnet i dorzucają kosówki.

Profesor, oraz Walter i Dawid nocowali z baronetem w namiocie, reszta w schronisku.



## VI.

### ZACZAROWANE KLEJNOTY.

*Gra w pozłocie zielonawej,  
Roztoczony wachlarz gór.  
Błękitnią na niej stawy  
Jakby oczy pawich piór.*

*Deotyma: Płoszka w Karpatach.*

Gdy Warburton nazajutrz obudził się i wyszedł z namiotu, na niebie błyszczały jeszcze gwiazdy, we wszystkich zagłębieniach skał i dolinach było szarawo, a mgły i opary czołgały się nisko po ziemi i stawały po kątach niby duchy ciemności. Tylko od strony Koszystej wstawała jasność jakaś blada, opalowa, a za nią szedł brzask, bramujący złotem brzeżki obłoków i rozlewał się coraz szerzej po niebie.

Na mchu leżał gruby szron, a chłód był tak ostry, że Warburton, aczkolwiek wytrzymały na zimno, szczerzej się pleciem osłonił. Taki sam szary był świt i takie niebo gwiazdziste i taki szron na liściach, przed wielu, wielu laty, w owym pamiętnym dniu, gdy opuszczał dom rodzinny w tajemnicy przed rodzicami, przekradając się cicho jak złodziej przez dziedziniec, z tłumoczką na plecach, żeby go kto nie zobaczył, aż do płotu, gdzie czekał na niego jego przyjaciel — tak samo jak on rzucający chatę rodzinną.

Tyle od tego czasu widział wschodów słońca, tyle przeżył — i niewiadomo, czemu dziś właśnie tak żywo stanęło mu to przed oczy... I dlaczego? O, te wspomnienia!

A brzask rozlewał się coraz szerzej, pobladyły od niego gwiazdy, pobielały opary i poczęły się odsłaniać wnętrza dolin, których boki ciemnym pokryły się szafirem, a szczyty zbłękitniały.

Zarumienił się szczyt Gałucha, jakby go kto we krwi umaczał i zaczęły po nim przebiegać drżące światelka: za Gałuchem jak za królem Tatr, jęły czerwienić się końce wszystkich iglic, niby pochodnie zapalające się kolejno, a przebijające po nich drżące blaski malowały na różowo wielkie płaty śniegów. Pożar ogarniał szczyty coraz szerzej i szerzej, a trzy zwierciadła stawów błyszcząły jak klejnoty. Słońce w palecie swojej dla każdego inne barwy znalazło: jedno błyszczało jak srebro, drugie jak szmaragd, a trzecie jak szafir. Odsłoniły się wszystkie góry tajemnice: cała dolina Pięciu Stawów widna była jak na dłoni i rozlała się po niej łagodna niebieskość.

Z zadumy zbudziło Warburtona głośnie ziewnięcie; odwrócił się: stał za nim profesor w serdaku, okryty derką, w którą udrapował się zamiast pleda.

— Dzień dobry, sir — przemówił drżąc — djabło zimno! Założę się, że musi być kilka stopni mrozu. Jaki obfity szron wszędzie!

— Słońce go roztopi i ogrzeje nam prędko powietrze. Patrz pan, jak brzask posuwa się coraz dalej. Ale co pan tak drżysz?

— Ach, bo jestem pod wrażeniem większego jeszcze zimna, w jakim przebyłem noc całą. Byłem na lodowcu!

Sir Edward spojrział na profesora zaniepokojony; Strand uśmiechnął się.

— Jestem zupełnie przytomny — rzekł tonem uspokajającym — ale miałem sen, sen piękny, wspaniały! Widziałem Tatry w epoce lodowej.

— Aa, to ciekawe!

— Góry pokryte były śniegiem i lodem, a słońce wschodzące jak teraz oto, miało promienistą aureolę, niby zorza



północna. Góry te pozbawione były wszelkiego życia: wśród turni panowała grobowa cisza, której nie przerywały nawet szumiące po skałach strumienie; miejsce ich bowiem zajmowały lodowce. Na wszystkich piętrach dolin nie było stawów, najpiękniejszej Tatr ozdoby, tylko z pod ostatnich krańców lodników wybuchały strumienie zamąconej startym materiałem moreny podstawowej<sup>1)</sup>. Na niższych pasmach zieleniły się lasy iglaste, wśród których żyły stada kozic, jeleni, sarn, dzików. Po wysokich miejscach reny skubały mchy, a w jaskiniach i u brzegu lasów czaiły się drapieżne zwierzęta, jak niedźwiedzie i wilki jaskiniowe, lisy polarne i koty dzikie. Między nimi przebiegały tu i owdzie zające alpejskie, norniki i od czasu do czasu słychać było odzywające się przeciągłe świstaki.

— A gdzie był pański Branchiopod? Czy nie objawił się panu we śnie?

— Na lodowcu, naturalnie, ale nie mogłem go dojrzeć. Przeczuwałem tylko.

— A człowiek? Czy nie widziałeś go pan wcale?

— Owszem, krył się w jaskini, odziany skórą niedźwiedzia, lub z kawałkiem skały w ręku polował na dzikie zwierzęta. Widziałem jednego, jak siedząc przy rozplatanym dziku, wydobywał szpik z rozłupanej kości i zajadał jako największy przysmak. Ale co za przenikliwie zimno!

— Okryj się pan lepiej; niezadługo już słońce posunie się wyżej i cieplej nam będzie. Nie dziwię się teraz, że pan nie zmarzłeś, gdy wiem, że powracasz z epoki lodowej. Ale gdzież to nasi górale?

— Widziałem ich nadół biegnących po smereczynę, to i przy ognisku niezadługo rozgrzać się będzie można. A jak to herbata smakuje w takich okolicznościach! Ach, to nektar prawdziwy, którego nic zastąpić nie zdoła. Gdzież to Walter i Dawid? Czy nie wstali dotąd?

---

<sup>1)</sup> Odłamy skał, tworzące na lodniku pasy i wały, i posuwające się z nim razem w dolinę.

— Śpią jeszcze; nie budziłem ich, bo bardzo przemęczeni. Nasi towarzysze z szałasów także jeszcze nie wstali, i my tylko sami jesteśmy świadkami tego wspaniałego wschodu słońca.

— Myślałem, że będę pierwszym, a pan mnie uprzedził, sir. Ale co to jest, ktoś śpiewa!

Z rozpadliny, położonej o kilkadziesiąt stóp niżej, wydobywał się głos chłopięcy, głos miły, dźwięczny i łagodny. Śpiewaka nie było widać, tylko śpiew płynął w powietrzu:

„Kiedy ranne wstają zorze,  
Tobie ziemia, Tobie morze,  
Tobie śpiewa żywioł wszelki,  
Bądź pochwalon Boże wielki“.

Warburton mocniej pleciem się otulił; Strand zauważył, że zadrzał. Obaj zwrócili się mimowolnie w stronę, skąd śpiew pochodził, i zobaczyli, że górale, wracający z pęczkami smereczyny, poklękali przy szałasie i poodkrywali głowy. Śpiew teraz zabrzmiał chórem:

„A człowiek, który bez miary  
Obsypany Twemi dary,  
Coś go stworzył i ocalił,  
A czemużby Cię nie chwalił!“

Warburton uległ halucynacji: wydało mu się, że słyszy głos sygnaturki wiejskiego kościołka, wzywający na mszę poranną — z nad łąk i stawów odzywające się głosy fujarek pastuszych i klekot bociana, a ponad topolami leci stado dzikich gęsi. Zobaczył zieleniejące się łąny zboża i krzyż przy drodze.

— Jaki ten sir Edward niewytrzymały na zimno — myślał Strand, przypatrując mu się — poblądł nawet trochę.

Baronet zwrócony ciągle w stronę, skąd śpiew pochodził, patrzył szklanym wzrokiem w przestrzeń, a głos oddalał się coraz więcej, aż ucichł zupełnie.

— Wczoraj, gdy pan strzeliłeś do głuszca, ze szczytu

Żółtej turni nad doliną Pięciu Stawów, echa długo grały, powtarzając odgłos strzału.

— A tak — odrzekł baronet, budząc się jakby ze snu. Możemy się o tem przekonać; przyniosę panu fuzję.

I wszedł donamiotu, a Strand, patrząc za nim, rzekł do siebie:

— Temu człowiekowi coś jest.

Henryk, oczarowany widokiem wschodu słońca i orzeźwiony rannem wstaniem, schodził coraz niżej po pochyłości Wołoszyna, upatrując róży bez kolców. Przypatrywał się mchom i porostom barwnym, na których leżał szron. Wziął z sobą puszkę pana Jakóba i kładł do niej napotkane rośliny, chcąc zrobić przyjemność swemu przyjacielowi. Jakoż poszczęściło mu się: znalazł goryczkę kropkowaną, której duże, zielonawo-białawe korony, pięknie wyglądają wśród drobnych skalnych roślinek.

Mech od szronu błyszczał milionami diamentów, a widok ten przypomniawszy chłopcu wszystko, co słyszał o skarbach, chowanych przez zbójników w rozpadlinach skał, o drogich kamieniach, które garściami brać było można, o „dukatach mierzonych kotliczką”. Wyczytał gdzieś, że Staszyc jeszcze twierdził, iż górale przechowywali między sobą pisma, w których wyraźnie oznaczone były miejsca, gdzie skarby takie odnaleźć



Goryczka kropkowana. *Gentiana punctata*.

było można — oraz że pisma te przekazywali z pokolenia w pokolenie.

— O, gdyby mi się udało znaleźć taki skarb — myślał chłopiec — jakże byłbym szczęśliwy! Bieda raz na zawsze opuściłaby nasz dworek, a dziadunio popłaciłby długi i rozpogodziłby czoło wiecznie zasępiione i stroskane.

Wtem zdało mu się, że spostrzega jakieś znaki na wystającym załomie skały mocno spękanej, jakieś hieroglify. Serce mu zabiło; zbliżył się i usiłował odgadnąć, czy to znaki zrobione ręką ludzką, czy też przypadkowe, pochodzące od spękania. Tak, to chyba znaki — jakieś trójkąty, jakieś hieroglify!... Kto wie, a może tu jest skarb ukryty, może tu gdzie znajduje się jaka rozpadlina!

Rozpadlina była jeszcze niżej, tuż pod granią, a mech, rosnący tam obficie i nie zgnieciony, dowodził, że nie dotykały go stopy niczyje, ani ścieżki nie było w pobliżu. Słońce świeciło wprost w tę rozpadlinę. Henryk położył się na ziemi, zapuścił wzrok i o mało nie krzyknął z radości i zachwytu. W rozpadlinie było pełno szmaragdów i diamentów, tylko po nie sięgnąć!

Wyciągnął drżącą rękę, ale co to jest? Czary chyba! Zjawisko znikło, jak tylko padł na nie cień ręki. Zmieszany, cofnął się i patrzył znowu: drogie kamienie były na dawnym miejscu, skrzyły się tysiącem blasków i wabiły kusząco, a były tak blisko, tak blisko! Zapuścił znowu rękę, ale wydobył tylko garstkę mchu zroszonego obficie, nic więcej. Ogarnęło go przerażenie.

— To jakieś zaczarowane klejnoty — szepnął — skoro za dotknięciem mej ręki zamieniają się w prosty mech. Albo też to sprawa ducha nieczystego! Dziadunio zawsze powtarza, że tylko zapracowane pieniądze, nabyte są uczciwie i że innych dotykać się nie godzi; a ja chciałem łatwo się wzbogacić i korzystać ze skarbów, pochodzących z nieczystego źródła, zdobytych może kosztem krwi ludzkiej, wydartych gwałtem i przemocą!

Ale choć strach zabobny go ogarnął, ciekawością niepowściągniętą wiedziony, zapuścił znowu wzrok w rozpadlinę. Skarby znajdowały się na dawnym miejscu.

— To już napewno sprawa złego ducha — szepnął i przeżegnał się.

Wtem posłyszał przerażający świst, który już słyszał raz na szczycie Bystrej, i głos żałosny:

— Kia! Kiach!

Jednocześnie jakieś ogromne skrzydła zaszeleściły w górze i spostrzegł duży cień nad sobą; nie zdołał jednak podnieść głowy, bo coś spadło nań jak piorun i jakieś szpony wbiły się w skórę jego serdaka, włosem odwróconą do góry.

Straszny krzyk wydobył mu się z piersi. W pozycji, w jakiej się znajdował, leżąc twarzą do ziemi, nie mógł się nawet bronić. Instynktem wiedziony, wysunął ręce wtył, chcąc zostawić serdak na pastwę, ale ostre szpony wbiły mu się przez futro w ubranie i kaleczyły ciało. Krzyczał więc tylko z całej siły, czując, że olbrzymie skrzydła zaczęły się poruszać, że ptak usiłuje unieść go w powietrze.

Ale w tejże chwili padł strzał. Henrykowi zamroczyło się w oczach i stracił przytomność.

Warburton mimo swoich sześćdziesięciu kilku lat, biegł zgóry jak młodzieniec z dymiącą fuzją w rękę, a za nim towarzysze podróży i górale. Nad samym brzegiem przepaści, o dwa kroki od niej upadł orzeł, trzymając jeszcze w szponach zemdlonego chłopca.

— Gdyby strzał pański spóźnił się o kilka sekund, byłoby już zapóźno — przemówił Jakób, nie śmiejąc powiedzieć sobie, że już jest zapóźno. Chłopiec miał głowę skrważoną, padając, uderzył o kamień — a myśl, że panna Katarzyna z ufnością powierzyła go jego opiece, przejęła go dreszczem trwogi.

Oswobodził go ze szponów ptaka — który w pierś trafiony, konał powoli, patrząc gasnącym wzrokiem na słońce —

i uklęknawszy przy Henryku, rozpiął ubranie, przyłożył ucho do piersi i rzekł:

— Żyje!

Potem obejrzał go starannie na wszystkie strony i oświadczył, że nie ma nic stłuczonego, a rana na plecach, z której sączyła się krew i skóra rozcięta na głowie, były nieszkodliwymi skaleczeniami. Zawołał o wodę i bryzgnął mu kilkakrotnie na twarz.

Chłopiec otworzył oczy; pierwszą osobą, na którą padł wzrok jego, był Anglik. Henryk popatrzył nań zamglonemi oczyma; nie odzyskał jeszcze przytomności i nie wiedział, gdzie się znajduje — wydało mu się, że jest na wsi, w Miratyczach. Skinął ręką, a gdy baronet pochylił się nad nim, objął go za szyję i szepnął:

— Oh, dziaduniu, żeby dziadunio wiedział, jaki ja miałem sen okropny! Śniło mi się... Ach to pan, sir Edwardzie, przepraszam pana!

Drobne ręce opadły, a oczy chłopca zamknęły się znowu. Zemdlął powtórnie.

Oblicze baroneta zmieniło się w jednej chwili. Śpiżowy ten człowiek poruszony był do głębi, a choć te słowa wymówione były w obcym dla niego języku, serce zmartwiałe uderzyło mu pod dotknięciem dziecinnej pieśczoły. Wyprostował się i patrząc na doktora, rzekł:

— Uderzenie jednak mogło być silniejszym, niż się panu zdaje. Czy nie obawiasz się pan wstrząśnienia mózgu?

— Zdaje mi się, że tego niema; jest tylko stłuczenie, w połączeniu z wielkiem wzruszeniem nerwowem. Uszkodzeń żadnych; puls nieco podniesiony, ale serce funkcjonuje dobrze. Przytomność jest, skoro pana poznał, chociaż omylił się narazie. Jutro będzie zdrów.

I wzięwszy powtórnie wody, bryzgnął mu znowu w twarz kilkakrotnie. Za każdym razem chłopiec wstrząsnął się, wreszcie otworzył oczy, powiódł dokoła wzrokiem przytymnym i przypomniał sobie wszystko. Usiłował się podnieść,

ale nie mógł. Baronet podłożył mu rękę pod plecy i oparł jego głowę na swych piersiach.

— Dziękuję — rzekł — jaki pan jesteś dobry, sir!

— Przytomność zupełna, nie będzie mu nic — rzekł stojący przy nim Witold.

— Jak to było? — zapytał Henryk po chwili. — Czy ja spadłem?

— Niby tak.

— A co się stało z orłem?

— Leży u twych stóp, sir Edward go zastrzelił.

— Uratował mi życie — szepnął chłopiec i serce zabiło mu gorącą wdzięcznością. Chciał się odwrócić, żeby spojrzeć na baroneta, ale nie mógł, i poruszywszy się, jęknął.

— Czy boli cię co? — zapytał doktor.

— Boli mnie trochę ręka lewa i głowa, ale czuję, że to nic wielkiego!

— No, to jesteś zuch!

Henryk uśmiechnął się. Na żądanie Warburtona przeniesiono go do jego namiotu. Chłopiec chciał iść o własnych siłach, ale nie mógł utrzymać się na nogach i o mało nie zemdlął znowu. Gdy już leżał na łóżku sir Edwarda, doktor opatrzył mu rany, zrobił kompres i dał kieliszek tokaju, zaleciwszy, żeby postarał się zasnąć, co też wkrótce nastąpiło.

Warburton siadł w nogach posłania chłopca i zagłębiwszy palce w skrętach swej brody, jak to było jego zwyczajem, w głębokich myślach się pograżył. Badał on sam siebie: stało się z nim bowiem coś dziwnego w chwili, gdy ręce dziecka objęły miłośnie jego szyję. Pancierz lodowy, pokrywający jego serce, pękł. Czuł, że mógłby pokochać tego chłopca głęboko, namiętnie, że już go kochał nawet, że mógłby rozpocząć nowe życie, gdyby... gdyby... to dziecko mógł mieć na osłodę dni swoich. Tak, gdyby... ale wiedział dobrze, że to jest niemożliwym.

Patrzył na podkrążone oczy, na które długie rzęsy rzucały jeszcze większy cień, na twarz bladą, ściągłą, na małe

delikatne usta, zaciśnięte wyrazem, znamionującym siłę woli — i dopatrzył podobieństwo do swojego syna, gdy ten był jeszcze pachołkiem. A im więcej patrzył, tem więcej znajdował tego, co chciał znaleźć... Gdyby mu go oddano, zrobiłby go dziedzicem Rochdale i jednym z najpierwszych panów Anglii: jego idee, zamiary, znalazłyby spadkobiercę. Ale nie dadzą mu go, to pewna, i umrze jak żył, samotny...

Białe delikatne czoło Henryka tak szlachetne miało zarysy, taką tchnęło słodyczą, że Warburton, który nie znał słabości, nie mógł powściągnąć chęci przesunięcia ręką z pieszczotą po jego gęstych, bujnych włosach. Chłopiec poruszył się i uśmiechnął przez sen, ale się nie obudził.

U drzwi namiotu stanął profesor i chciał coś mówić, ale Warburton położył palec na ustach, wskazując na chłopca i podszedł ku niemu.

— Sir — rzekł Strand z ożywieniem, a na twarzy miał gorączkowe rumieńce — dowiedziałem się, że Branchiopod znajduje się w stawie Dwoistym pod Kościelcem.

— Doprawdy? — zapytał Warburton, daleki myślą w tej chwili od wszystkich skorupiaków. — Więc cóż pan zamierzasz przedsięwziąć?

— Zabieram z sobą dwóch górali i idę natychmiast. Co za szczęście, że spotkałem przyrodnika, idącego tędy do Morskiego Oka! I pomyśleć, że byłem tak blisko Branchiopoda przy Czarnym Stawie! Bo wie pan, ten Dwoisty jest w dolinie Stawów Gąsienicowych. Jest ich tam pięć, o czym nam wtedy mówili przewodnicy. Chciałem tam iść przecież, aleście mi odradzili. Żałuję, że uległ: nie przeczuwałem, że znajduję się tak blisko tego, czego szukam.

— W istocie, to dziwne — rzekł, uśmiechając się baronet.

— Wszystko wynikło z nieporozumienia. Przewodnicy mówili mi, że w tej dolinie jest aż pięć stawów, a ja myślałem, że Czarny Staw jest jednym z pięciu stawów. A to dlatego, że zgubiłem gdzieś moją mapę.



— Zgubiłeś ją pan?

— Ach — rzekł, machnąwszy ręką, a w myśli dodał: —  
wszystko przez tę przekłętą wstążkę!

— Więc kiedyż pan powrócisz?

— Nad wieczorem, jeżeli mi nie wypadnie tam zano-  
cować.

— Mamy więc czekać na pana?

— Eh, nie, bobyśmy się wzajemnie krępowali. Spotkamy  
się przy Morskiem Oku.

— Weźże pan z sobą dostateczną ilość żywności na dwa  
dni, dla trzech ludzi. Niech Jerry pana we wszystko, co po-  
trzebne, zaopatrzy. Pamiętajcie przedewszystkiem o konjaku.

— Już ja sam będę o wszystkim pamiętał. Do wi-  
dzenia.

— Do widzenia — rzekł Warburton i spuściwszy za-  
słonę namiotu, usiadł napowrót.

Ale szelest obudził Henryka. Otworzył oczy, i widząc,  
że ktoś jest przy nim, a nie mogąc rozeznąć rysów z po-  
wodu zmroku panującego w namiocie, zapytał:

— Kto tu jest?

— Ja — odpowiedział baronet — czy boli cię co?

— Boli mnie tylko jeszcze głowa. Czy ja długo spałem?

— Z godzinę.

— Więc pan nie odchodził odemnie wcale?

— Siedziałem przy tobie, Harry.

— Jakiż pan dobry! A ja winienem panu życie... Gdyby  
nie pan, orzeł byłby mnie uniósł i poszarpał w kawały,  
albo też roztrzaskałbym głowę o skały.

— To bardzo prawdopodobne, mój młody przyjacielu;  
jesteś taki szczupły i lekki, że mógłby cię unieść.

— Jak ja się panu odwdzięczę? Od dwóch tygodni szu-  
kam wszędzie róży bez kolców, ale jej dotąd nie spotka-  
łem. Gdybym ją mógł zdobyć dla pana! Jestem pańskim  
dłużnikiem... Co mam zrobić, żeby choć część długu  
spłacić?

— Jeżeli ci już tak bardzo idzie o to, żeby mi nie być dłużnym, to...

Warburton zawahał się.

— To co? — zapytał chłopiec. — Co? Niech pan powie, niech mnie pan nauczy, co mam robić!

— Uściskaj mnie.

— Z całego serca, sir!

Usiłował się podnieść, ale Anglik pochylił się nad nim; chłopiec zarzucił mu ręce na szyję, tuląc twarz gorącą do jego twarzy, a starzec przycisnął go do piersi namiętnie. Czuł przy sercu swem bicie dziecięcego serca i zapomniał o wszystkim. Ale po chwili opamiętał się i odsunął go zlekka od siebie, mówiąc:

— No, dosyć: leż teraz spokojnie!

A gdy Henryk usłuchał, Warburton zmienił mu okład i usiadłszy przy nim, rzekł:

— Profesor Strand opowiadał mi dziś swój sen: widział Tatry w epoce lodowej. A tobie, Harry, czy śniło się co dzisiaj?

— W nocy nie, ale teraz mi się śniło.

— O czym?

— O domu.

— Opowiedz mi, jak to było.

— Dobrze: ale szkoda, że pan nie rozumie po polsku, bo mi jest trudno wyrażać się w obcym języku.

— Nic nie szkodzi, mów jak umiesz.

— Śniło mi się, żeśmy z babunią Kasią wracali do domu; bryczka zajeżdża przed ganek, furman trzaska z bąta. Wybiegają wszyscy: gospodyni, stary wódz Antoni i wołają: — Przyjechali! Wreszcie dziadunio wychodzi w szlafroku, z fajką w ręku. Ach, co było radości! Mój dziadunio jest tego samego wzrostu co pan, i ma także brodę a nawet, nawet trochę podobny.

Wsparł się na rękę i przypatrywał chwilę Anglikowi. Zawsze mu się wydawało, że dostrzega w nim jakieś rysy znajome, że jest do kogoś podobny, ale teraz dopiero nagle

światło rozświeciło jego umysł. On jest podobny do dziadka! Rysy jego miały ten sam charakter twardy i nieugięty — ta sama zaciętość w składzie ust i ich zaciśnięciu, te same wypukłości nad oczami. Tylko, że ten ma włosy rudawe, napół ze srebrnymi pomieszane nitkami, a tamten zupełnie już białe. W wyrazie twarzy tego przeważała wyniosłość i duma, a w twarzy tamtego smutek i troska. Ten trzymał się prosto, a tamtego przygarbiły nieszczęścia swoje i cudze, praca i ubóstwo.

— Cóż dalej? — pytał Anglik.

— Dziadunio zaprowadził nas do jadalnego pokoju, i usiedliśmy do stołu, a przy tem nakryciu, gdzie zawsze stoi puste krzesło, siedział jakiś pan z twarzą zasłoniętą jedną ręką.

— Co mówisz o nakryciu, „gdzie krzesło zawsze stoi puste?“ Co to znaczy?

Chłopiec zawahał się.

— Widzi pan, mój dziadunio miał brata, który bardzo, bardzo dawno zniknął z domu i nigdy nie wrócił. Otóż... zawsze się spodziewa, że on wróci i każe kłaść dla niego nakrycie. Ludzie mówią, że to dziwactwo, ale dziadunio trwa przy swoim.

Warburton bardzo się zamyślił.

— I przyszła stara Urszula, co wypiastrowała obydwóch dziadków i babunię Kasię, i bardzo była przywiązana do tego, co uciekł, bo go wykarmiła. Objęła tego gościa z zasłoniętą twarzą, i zaczęła go ścisnąć i całować, płacząc z radości.

— To ona żyje jeszcze! — szepnął baronet.

Henryk spojrział nań ze zdumieniem.

— To pan słyszał o naszej Urszuli, kiedy się pan pyta, czy żyje?

— Nie, ale sam mówiłeś, że „wypiastrowała twych dziadków“, musi być bardzo stara!

— A, prawda!

— Cóż więcej? — pytał Anglik.

— Więcej nic, obudziłem się właśnie. Mnie tu jest bar-

dzo dobrze w Tatrach, i szczęśliwy jestem, zem widział tyle pięknych rzeczy, ale mi już tęskno do dziadunia i do wioski naszej. Bo żeby pan wiedział, jak u nas ślicznie! Bory są przeważnie liściaste, łąki po pas, jezioro czyste jak kryształ. Dworek nasz jest mały, kryty słomą, ale ganek przed nim na dwóch słupkach, obrośnięty chmielem i groszkiem pachnącym. Za dworkiem świronek i ogrody, a za ogrodami las i drzewa w nim ogromne; a jak szumią!

— I jezioro? — zapytał Anglik.

Chłopiec znowu spojrział zdziwiony.

— A pan skąd wie, że tam jest jezioro?

— Mówiłeś przecie, że „jezioro czyste jak kryształ“.

— Prawda! Jezioro widać z ganku i przedziela je od dworu łąn zboża; nazywa się Świteż. Przy domu jest pasieka, a w niej pszczoły; dziadunio sam się niemi zajmuje. Cały rząd uli stoi pod parkanem. Na dziedzińcu jest gołębnik, nieco na prawo studnia z żórawiem, a za wrotami droga, wysadzana szeregiem topoli; na jednej, tuż przy stodole, bocian ma gniazdo.

Warburton przysłonił oczy ręką i słuchał. W opowiadaniu dziecka zobaczył cały obraz wyraźnie: dworek z ganekiem, gołębnik, lipę, dziedziniec, jezioro, las i topole.

— Cóż więcej? — pytał — gdy chłopiec umilkł.

— Pana to nie nudzi?

— Nie, przeciwnie, bardzo mnie zajmuje.

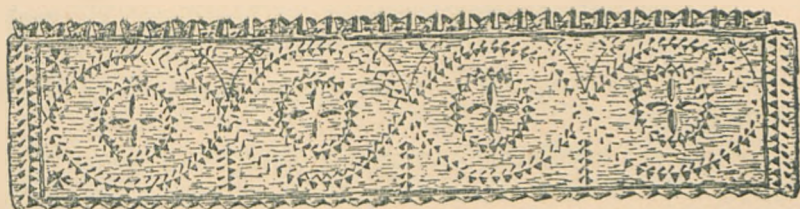
— Za drogą, po prawej stronie jest stary drewniany kościółek, po lewej cmentarz. Na cmentarzu są groby pradiadków. Prababka, widzi pan, umarła ze zmartwienia, gdy dziadek starszy zniknął.

Warburton wstał.

— Grób jest murowany — mówił chłopiec dalej i są przy nim róże, ale z kolcami. U nas nie rosną wcale róże bez kolców!

— O, wiem — szepnął Anglik z goryczą i już o więcej nie pytał.

Cisza zapanowała w namiocie.



## VIII.

### ENERGJA DAWIDA.

*Ilekróć złą myśl w duszy dobra przewycięta,  
Tylekróć Święty Michał strąca z niebios węża.*

*Mickiewicz: Zdania i uwagi.*

Zasłona u namiotu poruszyła się i wszedł doktor, niepokojny jeszcze o swego pacjenta. Znalazłszy go nadspodziewanie dobrze, zaproponował wypicie czegoś gorącego a posilnego. Henryk prosił o buljon. Posłano więc Jerremu rozkaz, aby go ugotował, ale ten wkrótce przyszedł z oznajmieniem, że buljonu niema.

— Jakto? — zapytał baronet, marszcząc brwi. — Czyż nie kazałem ci, abyś zabrał wszystko, co potrzeba? Wiesz, że ja zawsze pijam buljon w podróży.

— Zabrałem, sir, ale profesor Strand wziął go z sobą, mówiąc, że czyni to z woli Waszej Miłości. Nie wziął jednak ani rondelka, ani łyżki, ani soli, ani masła, nic!

— Ach, co za roztargniony człowiek! Jakże on wyżyje samym buljonem?

— Przewodnik jego za to wziął butelkę konjaku, bochenek chleba i łokieć kielbasy. To wystarczy dla trzech; a ja mu włożyłem do torby garść herbaty i dwa funty cukru.

— Bardzo dobrze, ale co my teraz zrobimy bez buljonu! Rosół z orlego mięsa może byłby niezły, ale niepodobna jeść go bez włoszczyzny.

— Mam włoszczyznę suszoną w puszkach — rzekł Jerry.

— Oh, sir, dziękuję — rzekł szybko Henryk — wolę się wyrzec rosółu.

— Ja się podejmuję sporządzić napój bez mięsa, mogący rosół zastąpić do pewnego stopnia, choć w smaku niczem przypominać go nie będzie — odezwał się Jakób.

— Doprawdy? — zapytał ucieszony Warburton.

— Tak jest, niech tylko Jerry przygotuje rondel.

Nie upłynęło pół godziny, a Jakób wszedł z filiżanką gorącego białego napoju, przypominającego aromatem zapach storczyków, w połączeniu z zapachem migdałów.

— Co to jest? — zapytał baronet, przypatrując się zawartości filiżanki z ciekawością. — Czy przypadkiem nie salep?

— Zgadłeś, sir, to jest salep, napój bardzo używany na Wschodzie, zwłaszcza w Persji, we wszelkich wypadkach niemocy. Zrobiłem go z cebulek storczyków, cukru i rozrartych ziarn limby, to łagodzi, wzmacnia i uspokaja. Spróbuj, Henryku!

— Ach — zawołał chłopiec — więc to pan w Jaworzynie na salep zbierał cebulki storczyków? A ja myślałem, że dla zasadzenia w ogrodzie i dziwiłem się, że je pan z sobą zabiera na wycieczkę. — I skosztowawszy, dodał: — Doprawdy, że to wcale nie złe, a nawet smaczne!

— To też i do przysmaków na Wschodzie używa się bulw storczyków; jest w nich bowiem mączka pożywna.

— Nie wiedziałem, że storczyki są jadalne.

— Nie wiedziałeś? A wanilja?

— Więc to także storczyk?

— Jest to storczyk, pnący się i czepiający gałęzi drzew, a owocki jego czyli torebki nasienne zawierają właśnie ową substancję, tak powszechnie lubianą.

— Ale dla czego pan tam na łące pomijał storczyki plamiste, chociaż są piękniejsze?

— Bo nie wszystkie są przydatne na salep.

Gdy Henryk wypróżniał filizankę, Jakób zmienił mu okład i zapytał:

— Teraz, kiedyś się już posilił, powiedz nam, po co u licha schodziłeś tam nadół i kładłeś się na ziemi? Widziałem cię zdaleka, jakieś zagłądał w jakąś dziurę.

Chłopiec opowiedział, jak upatrywał na wszystkie strony róży bez koleców; jak mu się przypomniały legendy o skarbach zbójceckich, pochowanych jakoby w pieczarach, do których wskazują podobno drogę odpowiednie znaki na skałach; jak mu się wydało, że znaki te spostrzeża. Jak napotkawszy wpobliżu tych znaków rozpadlinę, położył się na ziemi, zajrzał w nią i zobaczył naprawdę skarby, ale gdy rękę po nie wyciągnął — zniknęły, i to się kilka razy powtórzyło. Wreszcie wyraził przypuszczenie, że to chyba były czary — bo gdy sięgnął po skarby, znalazł garstkę zwyczajnego mchu.

— Czy słońce świeciło prosto w rozpadlinę?

— Tak jest, wpadał do szczeliny wąski promień.

— Jakichże drogich kamieni było tam najwięcej?

— Szmaragdów.

— Była to poprostu gra barw promieni słonecznych w kropelkach wody, pozostałych na listkach roślin po rannej rosie — rzekł doktor Jakób. — Dlatego to, gdy wyciągnąłeś rękę i zasłoniłeś sobą rośliny od słońca, zjawisko znikło. Ale trzeba ci wiedzieć, że rośnie w Tatrach w jednym miejscu doliny Mięguszowieckiej mech, który daje jeszcze piękniejsze, jeszcze wspanialsze zjawisko świecenia, niezależne od kropel rosy. Jest to świetlanka *Schistotega osmundacea*. Rośnie on w rozpadlinach granitowych lub łupkowych na gliniastym gruncie grot, na wilgotnych zwietrzałych płytach kamiennych, niekiedy nawet w wypróchniałych pniach drzewnych. Piórkowaty ten mech wyrasta z nagromadzenia włókienek, zwanego splątkiem, rozpościerającego się po ziemi. Z włókien wznoszą się jakby gałązki, z graniastemi skupieniami komórek, a każda komórka opatrzona jest kilkoma pęcherzykami zieleni, po

stronie, zwróconej ku ciemnemu wnętrzu pieczary. Zawartość komórki jest całkiem przezroczysta, zarówno jak i pokrywająca ją błonka. Nieliczne promienie słońca, wdzierające się do pieczary, padają równolegle na kulistą ściankę komórki i załamując się w niej, odbijają się od jej ścian, jak od zwierciadła wklęsłego. To światło, odbite od zielonego tła, wpada do oka wędrowca i łudzi je, lśniąc szmaragdowo.

— A więc świetlanka nie świeci własnem światłem, tylko przez odbicie? — zapytał Henryk.

— Tak, światło to pożyczane, ale jest wiele roślin, świecących samoistnie.

— Sięgałeś po szmaragdy; chciałbyś więc być bogatym? — zapytał sir Edward.

— O, chciałbym! — odrzekł chłopiec gorąco.

Oblicze baroneta zasępiło się.

— A więc i ten pragnie złotego runa — pomyślał z goryczą — i ten także...

Ale jednocześnie przysłała mu myśl, że to może da mu sposobność zdobycia tego dziecka dla siebie. Zkolei przypomniał mu się Dawid i zapytał doktora o niego — a dowiedziawszy się, że wyszedł na spacer z Witoldem i Walterem, poszedł ich szukać. Po wyjściu baroneta, doktor powiedział:

— Mój chłopcze kochany, nie szukaj róży bez kolców na Krzyżnem, bo róże tu rosnać nie mogą. Jest to kraina nagich wirchów, gdzie ścielą się tylko porosty, nadające skałom czarny i żółty kolor, trawy, i nieco kwiatów, jak urdzik, runek, jaskier lodowy i goryczka, którą się tak zachwycałeś. Widziałeś, że nawet kosodrzewinę na ogień przyniesiono zdołu.

— Pan mówi o „krainie nagich wirchów“: czyż góry podzielone są na krainy, w stosunku wysokości swej do poziomu morza?

— Tak, mój przyjacielu: człowiek, wchodzący na wy-



soką górę, jest w podobnem położeniu, jak podróżnik, odbywający wyprawę w kierunku bieguna północnego. Im wyżej wstępuje, tem większy znajduje ubytek ciepłoty, i że się tak wyrażę, coraz inny klimat, a w miarę zmiany klimatu, inne rośliny i zwierzęta. Na nizinach roślinność jest najbogatsza, a im wyżej się wstępuje, tem zastęp roślin bardziej się zmniejsza; stopniowo ogranicza się do gatunków odporniejszych na zimno, aż wreszcie na szczytach życie zupełnie ustaje.

— Więc my tu na Krzyżnem jesteśmy jak podróżnicy na dalekiej Północy! — rzekł Henryk zachwycony.

— A tak: krainy obejmują pasy równoległe, poczynawszy od Podtatrza, aż do najwyższych szczytów. Znakomity botanik Kotula podzielił Tatry na siedem krain.

— Zatem jakby siedem oddzielnych klimatów?

— Właśnie. *Pierwsza* poczyna się od 700 metrów nad poziomem morza: kraina uprawna. Rośnie tam owies, ziemniaki i lasy świerkowe. *Druga* 1000 metrów kraina dolnych regli: lasy świerkowe, buk i jodła aż do wysokości 1260 metrów. *Trzecia* od 1260 metrów do 1545 m kraina górnych regli: lasy świerkowe.

— A czwarta kraina, panie?

— *Czwarta* kraina kosodrzewia gęstego i rosnącego od 1545 m do 1789 m: kosodrzew i limba. *Piąta* kraina kosodrzewia rozrzuconego i niskiego do 1960 m: kosodrzew niski rozrzucony. *Szоста* kraina nagich wirchów, do 2250 m: mchy, porosty, wierzby czółgające się. *Siódma* kraina płatów śnieżnych, do 2263 m wzniesiona nad poziom morza: porosty.

Naturalnie, że ścisłej granicy oznaczyć niepodobna, i że rośliny niższych krain trafiają się i w krainach wyżej położonych, ale większość ich rozmieszczoną jest wedle tego określenia: takie naprzykład szarotki znajdują się w krainie dolnych regli i kosodrzewia, gdzie rosną na urwistych skałach wapiennych. Świerk rośnie w krainie regla dolnego

i górnego. W krainie kosodrzewia spotykają się już tylko pojedyncze skarłałe okazy. Piękna jego w niższych krainach strzała, staje się stożkowatą; wreszcie jako krzewiasty, o słojach zbitych, obrosły mchami brodatemi, karłowacieje. Tu się zaczyna panowanie kosodrzewiny, której gęste zielone kiście ścielą się po ziemi i skałach; wszędzie widać usiłowanie roślin przystosowania się do warunków życia. Wierzba, będąca pięknem w krainie roli uprawnej drzewem, maleje w miarę wzniesienia nad poziom morza, czołga się, nareszcie dochodzi do rozmiarów drobniotkich, do mirtu podobnych, oplatających skałę przy samej powierzchni.

— A przecież rośliny nie mają rozumu!

— Nie mają rozumu, ale Bóg dał im instynkt, którym się kierują. Trawy tak bujne po łąkach, układają się na hałach w zbite murawy — na których wypasają się trzody owiec, jak również i rośliny halne. Wyżej 1789 metrów przerywa się już pokrycie z kosodrzewia: krzaki te maleją coraz bardziej, wreszcie sterczą nikłe i porozrzucane, podchodząc wgórze aż do wysokości 1960 metrów. Skały coraz więcej zajmują powierzchni; odłamy ich i okruchy wielkie zasypują przestrzenie, a wśród nich rosną kępy pysznych kwiatów halnych. Głazy okrywają żółte lub szare porosty, a w miejscach cienistych rosną mchy czarne. Jeszcze wyżej giną mchy; w szczelinach leży śnieg wieczny, roślinność staje się coraz uboższa, wreszcie zostaje trochę roślin naczyniowych. Śniegi wieczne zabarwiają drobne roślinki jednokomórkowe na czerwono, lub na kolor zielonawo-żółty. Tu jeszcze obok płatów śnieżnych podróznik znaleźć może małe roślinki różnobarwnie kwitnące, jak urdzik, runek, jaskler lodowcowy, które i tutaj na Krzyżnem spotykamy.

— A my w jakiej krainie znajdujemy się w tej chwili?

— W krainie nagich wirchów, na wysokości 2164 metrów.

— W jakiejże krainie rosną róże?

— W krainie dolnych i górnych regli, aż do krainy koso-  
drzewia zbitego.

— Więc na wierchach róży bez kolców nie znajdziemy?

— Nie.

— I czy sir Edward wie o tem?

— Przypuszczam, że wie, bo to jest człowiek wysoko  
wykształcony i amator botanik.

— Ach, rozumiem teraz, dlaczego pan z panem Witoldem  
uśmiechaliście się, gdy mówił, że idzie na zdobycie  
róży bez kolców w 15.000 wojska. Zatem wyprawę tę ba-  
ronet przedsięwziął tylko dla przyjemności chodzenia po  
górach?

— Nietylko, bo o ile schodzić będziemy w krainę koso-  
drzewia zbitego i górnych regli, sir Edward może szukać  
swojej róży.

— Czy pan wie, panie Jakóbie, że ja go z początku  
posądzałem, iż skarbów zbójceckich szuka, a róża jest tylko  
pozorem do osłonięcia prawdziwych zamiarów!

— O, ty dzieciaku! On jest tak bogaty, że wszystkie  
skarby, nagromadzone przez zbójników, nie stanowią nawet  
dziesiątej części jego fortuny.

— Biedny człowiek! — szepnął chłopiec z westchnie-  
niem. — A jednak te wszystkie miljony nie mogą mu dać  
szczęścia!

— Jego Miłość prosi na obiad — odezwał się Jerry,  
ukazując się we drzwiach namiotu.

— Do widzenia, Henryku — rzekł Jakób, wstając, a chło-  
piec znużony długą rozmową, przymknął oczy.

Warburton zauważył przy obiedzie, że Dawid jest dziwnie  
chmurny i roztargniony. Odpowiadał monosylabami i jeść  
nie chciał, pomimo że dziadek łaskawiej się do niego od-  
zywał, niż zazwyczaj. Walter widział nawet, że chwilami  
połykał łzy. Ale gdy baronet kazał mu, aby ranionego od-  
wiedził, wstał posłuszny i udał się do namiotu.

Nim wszedł, stał przez chwilę u wejścia i patrzył: Henryk

leżał na posłaniu dziadka, zajmował jego miejsce, a widok ten wzburzył wszystką krew apatycznego chłopca. Ugryzł go wąż zazdrości. I gdy Henryk, zbudzony szelestem, uśmiechnął się na widok Dawida, a zapomniawszy o okazywanej mu niechęci, przyjaźnie wyciągnął do niego rękę, mały hrabia zaledwie jej dotknął końcami palców.

— Dziadek mi kazał tu przyjść — odezwał się, tłumiąc gniew — więc jestem mu posłuszny, ale wiedz, że nie uczyniłbym tego z własnej woli. Zresztą, i ty zapewne nie dbasz o niczyją uprzejmość, wobec jawnie okazywanych ci względów Jego Miłości, pana na Rochdale.

Henryk poczerwieniał. Czuł instynktownie, że w słowach Dawida kryje się jakaś złośliwość, ale nie dorozumiewał się intencji, ani odgadywał, do czego zmierza.

— Nie wiem, co chcesz przez to powiedzieć — odrzekł, podnosząc się na łokciu — proszę się jaśniej tłumaczyć.

— Doprawdy? — pochwycił z ironją Davy. — Widzę, że Polacy są bardzo niedomyślni! A jednak dla nikogo z uczestników wyprawy nie jest tajemnicą, że sir Warburton obdarza cię łaską wyjątkową.

Wyraz „łaska“ ubódl do żywego dumnego chłopca.

— Co pan chcesz powiedzieć przez ten wyraz „łaska“ — zapytał drżącym głosem. — Sir Edward jest dla mnie bardzo dobrym i umiem cenić przyjaźń, którą mi ofiarował, ale „łaski“ jego nie potrzebuję.

Mały hrabia jął się śmiać złośliwie.

— Przyjaźń! Ha, ha, ha! Dobry sobie! Przyjaźń jednak wielkiego pana, mającego ćwierć miliona funtów rocznego dochodu, coś znaczy dla takiego, jak ty hołysza.

— Więc przypuszczasz... że ja... staram się...

— Wkraść w jego łaskę? A naturalnie! Ten bohaterski czyn z niedźwiedziem w grotach doliny Kościeliskiej, to szukanie róży bez kolców, ta przygoda z orłem, wszystko jest obliczone na to, żeby stary...

— Dosyć, panie hrabio! — zawołał z oburzeniem Henryk,

a krwawe wypieki uderzyły mu na twarz. — Ani słowa więcej! Kocham i szanuję sir Edwarda, i nie pozwolę, aby w mej obecności wyrażano się o nim w ten sposób! Widzę, że przyszedłeś tu po to jedynie, żeby mnie znieważać. Wyjdź, proszę!

I wyciągnął rękę w kierunku wyjścia z gestem rozkazującym.

— To ty sobie idź stąd — krzyknął ze złością Davy — ty bohaterze w wytartym ubraniu! Ja tu jestem u siebie.

— A, prawda — odrzekł chłopiec słabym głosem — masz rację; to ja powinienem stąd odejść, aby dalszych obelg uniknąć.

Podniósł się na łóżku, ale zamroczyło mu się w oczach. Zebrał wszystkie siły, dźwignął się i upadł na ziemię zemdłony.

— Do licha! — mruknął Dawid. — Zdaje mi się, że przeholowałem; on widać naprawdę chory!... Zawsze mi zarzucają wszyscy brak energii... raz się na nią zdobyłem, i masz! Co tu począć? Dziadek gotów zrobić mi awanturę... A znów nie można go tak zostawić!

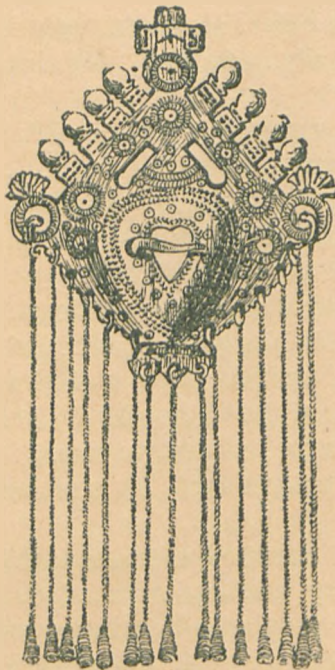
Wychyliwszy się z namiotu, zobaczył dziadka, idącego na spacer na grzbiet Koszystej, a Jakób zbierał na skałach mchy i układał do puszeki. Davy zbliżył się doń nieśmiało i oświadczył, że Henrykowi zrobiło się słabo, a gdy doktor natychmiast do niego pośpieszył, zaczął doświadczać wyrzutów sumienia, połączonych ze strachem, aby rzecz się nie wydała.

Gdy Warburton powrócił z przechadzki, zdziwił się niezmiernie, ujrawszy pustkę w namiocie: Henryk leżał w schronisku, a na zapytanie baroneta o przyczynę, oświadczył doktor, że chłopiec prosił o przeniesienie go, nie chcąc zajmować dłużej miejsca sir Edwardowi, potrzebującemu także wypoczynku. Dawid, który drżał ze strachu o siebie, nie widząc żadnej zmiany w obejściu dziadka, odetchnął.

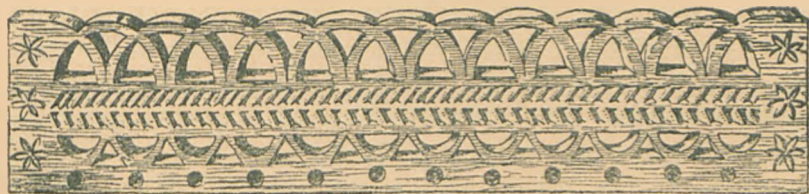
— No — rzekł do siebie — to jakiś porządny facet! Bo

gdyby mnie był oskarżył przed starym, dostałoby mi się dopiero!

Nie domyślał się nawet, jak ciężką walkę stoczył z sobą Henryk, przemilczawszy prawdę przed dopytującym się usilnie o przyczynę baronetem, któremu na razie chciał wszystko wyznać, zraniony głęboko w swej dumie i rozboleły. Ale zwyciężył się: wrodzona szlachetność wzięła górę.



Spinka.



## VIII.

### PRZYGODA WARBURTONA.

*O wieczorze trzoda wraca,  
Postrachami ćmi się las,  
Przy ognisku siedzi baba,  
Złote guzy wbija w pas.*

*Deotyma: Piosnka w Karpatach.*

Godziny mijały, a profesor nie wracał. Noc zapadła, a choć niebo iskrzyło się miljonami gwiazd, choć góry ukazywały się w cudownem oświetleniu księżycowem, przyślaniane raz po raz gazą obłoków przejrzystych, nikt nie został pod gołym niebem, nawet Witold, choć odczuwał piękno natury, jako człowiek ukształcony i jako artysta. Wszyscy strudzeni chodzeniem i doznaniem wrażeniami, przespali noc całą jak zabici. Spodziewano się Stranda z rana na śniadanie, ale nie przybył. Czekano do południa, wstrzymano się z obiadem, wreszcie wszyscy przyszli do przekonania, że poszedł inną drogą do Morskiego Oka. Warburton żałował niezmiernie, iż ubył mu miły towarzysz podróży, ale sam przyznał, że niema co czekać dłużej, zwłaszcza, iż Henrykowi rana nie dolegała i oświadczył, że może puścić się w drogę. Zwinięto namiot, spakowano bagaże, baronet jednak zwlekał aż do zachodu słońca, spoglądając raz po raz w stronę Stawów Gąsienicowych, skąd mógł pojawić się profesor.

Jakób powiedział Walterowi, że w kieszeni Stranda, do

której łagodny ten człowiek tak energicznie bronił dostępu, musi się znajdować jakaś ważna tajemnica. Zaszedł go bowiem w chwili, gdy stojąc nad tą samą rozpadliną, w której Henryk widział zaczarowane klejnoty, zagłębił rękę do kieszeni, coś z niej wyjmując, jakby chciał ukryć w owej rozpadlinie. Ale gdy spostrzegł, że ma świadka, wsunął wyjęty przedmiot napowrót do kieszeni i mocno zaczerwieniony szybko się oddalił.

Dało to wiele do myślenia Walterowi, ale odgadnąć nie mógł, coby to było. Przypuścili do sekretu Warburtona, lecz i ten także nie wiedział, jak to sobie tłumaczyć. Wszystkim wydało się to bardzo dziwne i niezgodne z dotychczas wyrobionem pojęciem o charakterze uczonego Stranda. Witolda nie było przy tej rozmowie.

Słońce ubrało szczyty w purpurę i fiolet i poczynano kryć się za góry, a profesora jak nie było tak nie było. Na znak dany przez Warburtona, ruszono w drogę, ale przedtem użyto umówionego sygnału: wystrzelono z fuzji, a echo tego strzału, jak szmer dźwięcznych metalicznych pereł obiegło góry dookoła. Sir Edward słuchał z widoczną przyjemnością tego echa, a oto powstał jakiś szmer i łoskot i rumor kamieni. Na stromej pochyłości, ścieżką, utworowaną przez potok, sunął jakiś kłęb tajemniczy: koziółkował, a nie można było zrozumieć, co to jest, bo zbyt odległe było, i leciało coraz prędzej według praw ciężkości.

— To koza dzika spada ze szczytu skały! — rzekł jeden z przewodników.

— A może człowiek! — szepnął Henryk, którego dreszcz przeszedł.

— Ej, nie, to koza — potwierdził Jakób, bo właśnie ów kłęb, dobiegłszy do dna, beknął śmiertelnie.

— Przekonamy się o tem, gdy staniemy na dole — powiedział Witold; ale jeden z górali, ciekawy, co to było takiego, zbiegł naprzód, zsuwając się szybko nadół. Miejscami czepiał się grani rękami, miejscami zsuwał się w sie-



dzącej postawie po gładkim mchu, wstrzymując szybkość jazdy wysuniętem naprzód ostrzem ciupagi. Henryk, przypatrując się temu, rzekł:

— Zdaje się, że zejść stąd niepodobna, tak przepaścistą i stromą wydaje się ta droga, a widząc tego górala, możnaby wnosić, że to tylko zabawka!

— Nie jest to zabawka, ale skała też nie tak stroma i przepaścista, jak się zdaje, skoro ludzie tędy chadzają. Cała rzecz w tem, aby się nie bać i stąpać śmiało, choć bacznie i ostrożnie. Zresztą — dodał, patrząc na śmiertelnie zbladłego Dawida — mamy wyborynych przewodników i jesteśmy pod ich opieką zupełnie bezpieczni.

Ale uspokajające te wyrazy nie sprawiły spodziewanego wrażenia. Mały hrabia, stanąwszy nad brzegiem przepaści, ku której miał zstępować, schwycił się obiema rękami ręki Waltera, i nie chciał w żaden sposób ruszyć się z miejsca.

— Nie chcę, nie chcę, nie pójdę za nic w świecie! — wołał z płaczem. — Spadnę jeszcze i zabiję się jak ta koza. Ja chcę wracać do domu! Niech który z górali odprowadzi mnie do Zakopanego. Dość już mam tej zachwalanej wyściezki!

I zarył się nogami w ziemię, jak dzlecko uparte, gdy nie chce się dać oderwać od niańki. Ani perswazje i zachęta, ani obawa gniewu dziadka, nie mogły nic dokazać. Warburton słyszał, co się dzieje z chłopcem, ale udawał, że nic nie wie; ciekawy był, jak też Davy sobie poradzi.



Wierzba zielna. *Salix herbacea*.

Wreszcie widząc, że coraz większym opanowany jest strachem, odwrócił się i zapytał spokojnie:

— Chcesz więc wrócić do Zakopanego, Dawidzie?

— Tak — odrzekł drżący i zdziwiony łagodnością głosu dziadka.

— Nie będę się temu sprzeciwiał, ale przypomnij sobie, że wejście na Krzyżne było także strome, i że zejście z niego do doliny Pańszczycy będzie niemniej trudne, jak zejście do doliny Pięciu Stawów. Chodźże i sam się przekonaj.

I pociągnął go na kraniec skały. Droga tam była bardzo stroma i patrząc zgóry, zdawała się równie trudną do przebycia jak tamta, choć nieco była krótsza.

— Wybieraj — rzekł baronet — tędy, albo tamtędy. A może wolisz zostać na Krzyżnym z przewodnikiem i czekać na nasz powrót? Ale nie mogę ci powiedzieć, jak długo bawić będziemy przy Morskiem Oku. Wreszcie, teraz czy później, zejść trzeba!

Słowa te otrzeźwiły Dawida. Wolał już iść razem ze wszystkimi, niż z samym

tylko góralem, lub przepędzić dzień albo dwa w siedzibie orłów. Zdecydował się.

— Gdyby profesor chciał, abyśmy na niego czekali, odpowiedziałby nam wystrzałem — powiedział Witold — bo wziął z sobą rewolwer. Zdaje mi się, że możemy iść.



Wierzba wykrojona. *Salix retusa*.

— Idźmy — rzekł Warburton.

Góral prowadził Dawida za rękę z jednej strony, a z drugiej przewodnik podał mu koniec swojej ciupagi i kazał go się trzymać. Schodząc, mały hrabia przekonał się, że jest to wprawdzie trudne, ale nie niemożliwe. Spoglądał z zazdrością na Henryka, idącego swobodnie, i nie tracącego na humorze pomimo, że się poślizgnął kilka razy. Goryczą też napełniały jego serce żarty górali, których nie rozumiał i przypuszczenie, że się bawili jego kosztem. Nieprzyzwyczajonego do chodzenia nogi bolały okropnie w kolanach i wciąż zbierało mu się na łzy. Gdyby się nie wstydził, wybuchnąłby głośnym płaczem.

Ale mylił się Davy, przewodnicy są wyrozumiali na takie rzeczy; nie śmieją się z trwożliwych podróżników, ale biorą ich w troskliwą opiekę, na krok nie odstępując.

Gdy zaczęli się spuszczać, Jakób pochylił się i zawoławszy na Henryka, pokazał mu między rumowiskiem skalnym roślinkę, ścielącą się przy ziemi, o wątych bardzo gałęzistych pieńkach. Listki jej były sztywne, okrągławe.

— Czy wiesz, co to jest? — zapytał. — Wierzba!

— Wierzba? — zawołał ze zdziwieniem Henryk.

— Tak, wierzba zielna, *Salix herbacea*, jedna z najmniejszych, która nawet nieraz około śniegów na wysokości 6000 do 7000 metrów wyrasta. Przypatrz się jej.

O kilkadziesiąt kroków dalej znaleźli jeszcze jeden osobliwy gatunek: wierzbę wykrojoną, *Salix retusa*, także karłowatą, która podobnie jak i inne karłowate wierzby rośnie na wysokich szczytach górskich, a również i daleko w krajach północnych.

Doktor zwrócił uwagę, że na wapiennych skałach Tatr



Wierzba siatkowata. *Salix reticulata*.

rośnie najpiękniejsza z karłowatych górskich wierzb: wierzba siatkowana, *Salix reticulata*. Znalazł on ją na Giewoncie i odzukał wśród bibuły zielnika, pokazał towarzyszom.

Słońce już się skryło oddawna: mrok osiadał na skałach, a opary, czołgające się po ziemi, stawały się już szarawe. Zdaleka widać było rozrzucone szałas. Gdy stanęli na dole, ujrzeni u stóp skały ofiarę katastrofy: młode kozłę było prawie odarte ze skóry, miało pokaleczoną głowę i całe krwią płynęło — a góral oświadczył z żalem, że nie było nawet co wykroić na pieczeń.

— Wystrzał nasz niemało narobił szkody — odezwał się baronet — niejedyn cypel runął od niego, niejedyn kamień stoczył się z góry, niejedno zadrżało drzewo, niejedno stworzenie się przeraziło. To biedne kozłę, choć nie zostało rannione strzałem, od niego zginęło. I nietylko wystrzał sprawia takie rzeczy: czasem wykrzyknięte w górach imię drogiej osoby sprawia to samo, że skały od niego lecą w przepaść, bo każdy odgłos w górach, wstrząsający powietrze, jest niebezpieczny.

Jakób zadumał się na te słowa: „imię drogiej osoby...“ Jakież imię mieć mógł na myśli ten człowiek zagadkowy? Czy syna utraconego? Co on kochał jeszcze, jeżeli całą miłość ześrodkował w swym następcy i utracił z nim wszystko? Czyżby?... Ale nie, nie czas jeszcze na to!

— O czym pan tak myślisz? — zapytał Walter. — Widząc, że Jakób przystanął i zadumany wzrokiem patrzy w ponurą dolinę Pięciu Stawów.

— Powtarzam sobie w myśli słowa, które wyrzekł Asnyk, patrząc ze stoku Wysokiej w tę dolinę — odparł zapytany.

„Genjusz tych wyżyn surowy i groźny,  
Powstał z przepaści, mierząc mnie oczyma.  
Swego oddechu dał mi powiew mroźny  
I naprzód rękę wyciągnął olbrzymia,  
Rozpościerając dokoła nademną  
Milczenie pustyń, nieskończoność ciemną,  
I tę samotność zamarłego światła,

Co dziwnym smutkiem pierś ludzką przygniata.  
 Samotność, w której milczącym ogromie,  
 Człowiek swą słabość poznaje widomie.  
 I chce się cofać przed nieznaną mocą,  
 Przed rozesłaną na przepaściach nocą,  
 Przed skrytych potęg gwałtownym objawem,  
 Przed niezbląganem bezlitośnem prawem,  
 Przed rozpasanych żywiołów odmětem,  
 Przed nieświadomem... tajem, nieujętem“.

— Słowa piękne — ale czemu je pan powtarzasz, skoro nie lubisz tej doliny.

— Tak, nie lubię jej, ale lubię poezję! — odrzekł zapytany.

Zbliżali się ku szałasom: w jednym palił się ogień. Zdaleka było słyhać dzwonki owiec i rozmowę pasterzy. Wszystko było tak, jak to Witkiewicz opisał w swej książce „Na przełęczy“. Tak samo kudłaty pies wybiegł naprzeciw nich i zajadle ujadł — i tak jak tam, zaraz go odwołano. W powietrzu tak samo unosiła się ostra woń wełny owczej i nawozu, a przez szpary okraglaków, z których zbudowany był szałas, przebłyskiwało światło ogniska i widniał dym, uchodzący otworem z przodu.

— Pijałem już nieraz mleko na hali -- rzekł Warburton — ale nie byłem w szałasie: wejdźmy, jeżeli nam pozwolą.

— O tem nie trzeba wątpić — powiedział Jakób — górale tatrzańscy są gościnni.

Na brzegu szałasu siedział stary góral, ten sam chyba, którego Witkiewicz tak dosadnie odmalował — ta tylko była różnica, że ten reparował błyszczący pas bacowski, gdy tamten kurzył beczynn timer fajeczkę. Twarz jego, poczerniała od słońca, wyglądała jak dobrze wysuszony pergamin, a czoło ogołocone z włosów, błyszczało jak bronz polerowany. Przy ciemnym kolorze skóry widne były białka dużych, wypukłych oczów, błyszczące i ruchome, mimo spokojnego pozoru postawy. Światło ogniska, padające z wnętrza szałasu, oświecało jego sylwetkę.

— To ktoś starszy — zauważył Henryk.

— To baca — powiedział Jakób. — Jest on nad juchasami niby ojciec, niby wódz.

Baca patrzył na zbliżających się gości, nie zmieniając postawy, dopiero gdy stanęli tuż przed nim, mówiąc: „Niech będzie pochwalony“ — podniósł się i zaprosił ich do wnętrza.

Koło ogniska, płonącego w pośrodku szałas, siedzieli juhasy, a zdziczałe ich twarze i błyszczące oczy nie budziły zaufania. Na ziemi leżały całe pnie drzew i trawil je ogień, a dym dobywał się z nich gryzący i uchodził otworami. Był tam pieńek spory, były całe polana drzew i dwa duże kamienie.

— Niech se siednom — rzekł baca, wskazując im miejsce z gestem co najmniej pana zamku; a gdy zasiedli, dorzucił na ogień smereczyny i ognisko jasnym buchnęło płomieniem.

Warburton, jak niegdyś w ową noc burzliwą na Starej Polanie, tak i tu, oswoiwszy się nieco z dymem, jął się uważnie rozglądać po otoczeniu: ujrzał na ziemi stare drewniane naczynie do mleka, oryginalny łyżnik, piękne czerpaki, wiszące na kołkach, z otworami na palce, wreszcie olbrzymi kocioł, wiszący nad ogniskiem na jądźwidze<sup>1)</sup> i potworną warzechę, która mu przypomniała scenę czarownic z „Makbetha“. I gdy tem spostrzeżeniem podzielił się z Witoldem, ten uśmiechnąwszy się, odrzekł, że Witkiewicz porównał ją do łyżki czarownic Słowackiego w „Ballady“, gdzie jest także podobna scena jak w „Makbecie“ i nazwał „wytwornie piękną“. Zaczął on rysować tę warzechę, jak również czterozębne widły i torbę pasiastą, wiszącą z niemi razem na kołku — a gdy baronet zrobił uwagę, że nic w niej osobliwego niema, odrzekł, że torba ta jest ważnym sprzętem patriarchy dobytku, otoczonym legendą. Witkiewicz w swem dziele „Na przełęczu“ opowiada, że z torbą

---

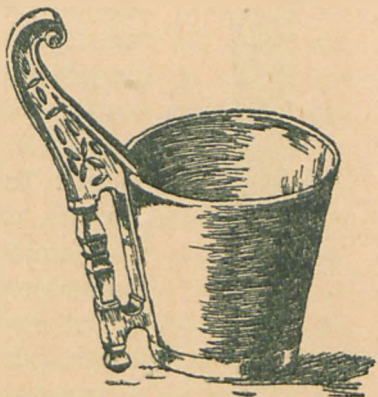
<sup>1)</sup> Gruby, mocny kawał drzewa z korzenia smerekowego, na jednym końcu w hak zagięty, służący do wieszania na belce kotła z mlekiem.

taką przed wiekami, przybył przodek całego prawie ludu, zamieszkującego zakopiańską dolinę, od Kościelisk do Poronina i dalej aż na stoki wzgórz północnych. Wtedy nie było tu nikogo, tylko lasy czarne i grzęskie młaki zalegały kraj pusty. Po zacienionych potokach pluskało się ryb mnóstwo i wszelka wodna zwierzyna; nie było ani polan, ani wsi, tylko las, że „ledwie do nieba co można było poźreć“. Był chyba jaki płony<sup>1)</sup> narodek — bo gdy przybysze obdarli się w podróży i uszyli sobie z torb pasiastych cuhy, nazwano ich „Gąsienicami“. Jest to najpotężniejszy ród i sławę swego legendowego, starożytnego pochodzenia, dzielił jedynie z Walczakami. Wszystko, co nie jest Gąsienicą albo Walczakiem, to „ludzie ze świata“<sup>2)</sup>. Arystokracja rodowa tutaj, w szafasach, jest dumniejszą ze swego pochodzenia, niż gdzie indziej w zamkach z tytułów i herbów.

— A jeżeli pochodzenie Gąsieniców i Walczaków takie dawne, to bezwątpienia Warburtonowie z Rochdale powinni im podawać strzemię, gdyby górale tutejsi nie jeździli oklep, bez siodła, jak to sam widziałem — wtrącił z uśmiechem baronet.

Witold mówił dalej:

— Witkiewicz, który już dobrze poznał te stosunki, utrzymuje jeszcze, że każdy góral nazywa się podwójnie, albo i poczwórnie: wołają go Jaś, pisze się Krzeptowski, mówi się Sabała, a poza tem jest wielkie wspólne nazwisko, Gąsienica. Niewielu Gąsieniców pisze się Gąsienicami; na-



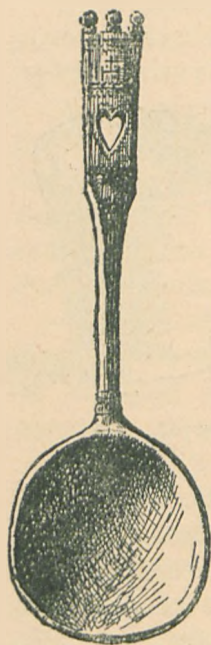
Czerpak.

<sup>1)</sup> Lichy. <sup>2)</sup> Obcy przybysze.

przykład wołają „Józek“, pisze się Gąsienica, mówi się „z pode drogi“. W miarę zwiększania się rodu i bardziej powikłanych stosunków pokrewieństwa, nazwiska zmieniają się, i w mowie potocznej ani urządzie nikt nie używa dawniejszej nazwy, ale każdy wie, że jest Gąsienica i jest z tego dumny.

— A co za wspaniałą spinkę mosiężną u koszuli ma ten arystokrata okryty owczą skórą! Toż to klejnot prawdziwy! Zapytał go pan, czyby mi jej nie sprzedał?

Witold spełnił życzenie baroneta, ale otrzymał odpowiedź odmowną. Zato goniec<sup>1)</sup> ofiarował swoją za papierka: kupił ją w Ratułowie, gdzie dawniej takie spinki wyrabiano. Baronet, przypatrując się jej uważnie, powiedział, że podobne ozdoby widywał w Indjach i wyraził przypuszczenie, że ów przybysz z pasiastą torbą mógł pochodzić stamtąd. Na to odezwał się Jakób, że jest w gwarze góralskiej kilkanaście wyrazów, mających egzotyczne pochodzenie; mianowicie „watra“ (ogień), jest czysto indyjskim wyrazem.



Łyżka.

Na prośbę sir Edwarda Witold odrysował mu spinkę bacy. Ten ostatni wyniósł żętycy i smacznego sera, który bardzo smakował gościom, a baronet natomiast poczęstował go cygarem. Obrokta, nie mogący wytrzymać bez smyczka, wydobyl skrzypce z torby i począł grać, a juhasy zerwali się do tańca, który trwał dotąd, aż oczy zaczęły błyskać, a twarze im pobladły. Warburton wreszcie wstał, mówiąc, że ma już dosyć na dziś fantazji tatrzańskiej, zwłaszcza, że namiot jego już jest gotowy.

Witold i Jakób z Henrykiem mieli nocować w jednym

<sup>1)</sup> Zaganiacza.



z pustych szafasów. Powiedziano sobie dobranoc, przyczem sir Edward uściskał serdecznie dłoń Henryka. Spostrzegł on, że chłopiec, dawniej chętnie trzymający się jego boku, unikał go teraz i był jakby onieśmielony; przywykł do jego towarzystwa i brak jego ciągle odczuwał. Miłą mu była twarz, przypominająca rysami i słodczą twarz Ryszarda; miłym świeży dźwięczny głos chłopca, jego rozumne pytania i odpowiedzi, znamionujące inteligencję i serce.

Wszyscy już spali, a Warburton zasnąć nie mógł, myśląc ciągle o Henryku. Przygoda z orłem, uścisk dziecka, wstrząsnęły nim do głębi, a przytem myśl jedna nie odstępowała go. Posiadać tego chłopca, który do niego Ignął, który go się nie bał tak jak wszyscy — i pokochałby go może jak syn własny... O jakżeby on opromienił jego starość! Szlachetny, odważny, rozumny, byłby to prawdziwy Rochdale, godny dziedzic jego imienia i jego planów. Ma nawet do niego pewne prawo: uratował mu życie, a oprócz tego, on jest przecież...

Ale nie dadzą mu go, to pewno: chybaby porwał go siłą, a i wtedy pytanie, czy on sam dałby się wziąć... ma charakter i dlatego właśnie jest mu tak drogi.

W szafasie skrzypki jeszcze grały, przytupywanie i śpiew dochodziły aż do namiotu.

„Baca nasz, baca nasz,  
Tęgich chłopców na zbój masz,  
Jeszczebyś ich lepszych miał,  
Zebyś im sera dał“.

Chwilami słyhać było gdzieś wpobliżu przeciągłe świsty, niby umówione sygnały. Zastanowiło to baroneta: przebiegła mu nawet przez głowę myśl o napadzie na namiot, ale ją zaraz odsunął, przypomniawszy sobie, co słyszał o świstakach. Zwierzątka te, żyjące rodzinami w norach, mają zwyczaj, podczas paszenia się na halach, stawiać jednego z pomiędzy siebie na straży, a ten w razie niebezpieczeństwa ostrzega je przeraźliwym gwizdnięciem.

— Nie wiedziałem, że i na noc zaciągają wartę — rzekł do siebie, uśmiechając się mimowoli — czyżby czuły bliskie niebezpieczeństwo?

I czy to rzeczywistość była, czy złudzenie, ale świst jeden zabrzmiał mu w uszach jakby sygnał trwogi, a że zasnąć nie mógł, więc wyszedł z namiotu, żeby się trochę przejść, ale przez ostrożność wziął z sobą broń. Noc była piękna, jasna, spokojna, a księżyc, przesuwał się między obłokami, otaczał je rąbkami złocistym. W tem doleciało jego uszu rozpaczliwe, gwałtowne beczenie owiec: w zagrodzie zrobił się ruch jakiś i popłoch, a z szafasu wyleciał goniec, zaczął machać rękami i krzyczeć.

Muzyka w szafasie ucichła, a w świetle księżycyca ujrzał Warburton zwierzę wielkości pośredniej między lisem a wilkiem, mające ruchy pantery, oczy świecące w ciemności jak dwa węgle żarzące, i pendzelki sterczące na uszach. Pomykało w tę stronę, gdzie stał, unosząc jagnię.

— Ryś — szepnął Anglik, dopuściwszy go na niewielką odległość i wystrzelił.

Zwierzę ugodzone zachwiało się, upuszczając swój łup. Warburton wypalił po raz drugi, i... chybił. Ryś zerwał się z sykiem i jednym susem skoczył mu na piersi, wytrącając tym niespodzianym ruchem fuzję z ręki i zatapiając zęby w jego szyję. Warburton uczuł straszny ból i jął gwałtownie odrywać napastnika lewą ręką, szukając jednocześnie prawą noża w kieszeni — ale noża nie było, a rozwścieczone zwierzę przypięło się doń jak pijawka, wpijając mu coraz mocniej pazury w ciało przez ubranie. Ale pomoc przybywała: jakieś drobne stopy bardzo prędko biegły w tę stronę. Anglik uczuł się nagle odepchniętym wtył. Coś małego, zwinnego jak kula, usiłowało wsunąć się między niego i zwierzę, jakieś drobne ręce jęły odrywać pazury zwierzęcia, a głos znany i drogi dla ucha cudzoziemca, wołał z płaczem:

— Na pomoc sir Edwardowi, na pomoc! Chodźcie, prędzej, prędzej! Ach Boże!

Zwierzę, szarpane za nogi i ogon, odwróciło się i chwyciło za rękę Henryka, a Warburton skorzystał z tej chwili, żeby się od napastnika oswobodzić. Pięścią uderzył potężnie w łeb rysia, a uderzenie to ubezwładniło zwierzę. Biegli też już górale z płonącymi drzazgami, z ciupagami — i dobili go w jednej chwili. Towarzysze baroneta, którzy teraz nadbiegli, znaleźli już rysia nieżywego.

Warburton wyjął chustkę z kieszeni, i otarłszy szyję ze krwi, obejrzał się za Henrykiem, który stał na uboczu. Teraz, gdy nic nie groziło sir Edwardowi, uważał się na niepotrzebny i nie chciał zwracać na siebie uwagi. Czuł mocny ból w zranionej ręce, ale więcej jeszcze bolała go obelga, rzucona mu wczoraj przez Dawida.

Widział, że doktor, wzięwszy płonącą drzazgę z ręki juhasa, odpiął guzik koszuli baroneta pod szyją, obejrzał ranę — i słyszał, jak mówił, że pomoc przyszła w samą porę, bo chwila jeszcze, a ryś mógł przegryźć arterję, do czego brakowało tylko kilku sekund. Uczuł się dumny i szczęśliwy, że miał sposobność odwdzięczenia się temu, co go uratował od szponów orła. A teraz odejdzie, nie czekając podziękowania, i mały hrabia nie będzie mógł powiedzieć, że usiłuje się wkraść w łaski jego dziada!

I trzymając się cienia, padającego od skał, przesuwiał się zwolna ku szałasowi, w którym nocował z Witoldem i Jakóblem, ale dojrzało go bystre oko sir Edwarda, który pochwycił go za rękę.

— Doktorze — zawołał — obejrzyj rękę tego dziecka: on musi być raniony! Co to znaczy, Harry, dlaczego się kryjesz?

A gdy Jakób, obejrzawszy rękę chłopca, oświadczył, że skaleczenie jest nic nie znaczące, baronet zapytał:

— Powiedz mi, młodzieńcze, jak się to stało, żeś mi przybył z pomocą?

— Usłyszałem dwa wystrzały, a wiedziałem, że nikt prócz Waszej Miłości i pana Witolda nie ma fuzji przy so-

bie; pan Witold zaś spał z nami w szałasie. Przypuszczałem jakiś wypadek i...

— I przybiegłeś najpierwszy... i miałeś odwagę z gołemi rękami rzucić się na drapieżnego napastnika, broniąc mnie! O Harry, jesteś prawdziwym mężczyzną! Dziękuję ci.

I uściskał mocno dłoń chłopca. Miał gorące pragnienie przycisnąć go do piersi, ale się powściągnął. Zbyt wielu było świadków tej sceny, a przytem... zaczynał się lękać sam siebie.

Henryk szalał z radości, spełniło się to, czego zawsze najgoręcej pragnął: był mężczyzną, tytuł ten głośno mu przyznano.

Chciał odpowiedzieć, ale niespodzianie spotkał się ze wzrokiem Dawida, który w tej chwili stanął obok dziadka. Zbudzony ze snu wystrzałami, zdjęty ciekawością, przywłókł się teraz za innymi i pewnie świadkiem był ostatniej sceny. Słowa zamarały Henrykowi na ustach; odwzajemnił milczącym uściskiem dłoni za uścisk i cofnął się.

Zaciągnięto rysia do ogniska szałasów i wszyscy podziwiali jego piękne centkowane futro, pendzelki oryginalne na uszach i ogonie, oraz jego podobieństwo do kota. Górale i juhasy chwalili odwagę i przytomność umysłu Henryka, a Davy, słuchając tego, gryzł wargi niecierpliwie. Śledził on każdy ruch dziadka, i żadne spojrzenie, skierowane w stronę chłopca, nie uszło jego uwagi. Matka rzuciła mu w duszę ziarno podejrzenia, i ziarno to bujnie teraz kiełkowało. Przyznawał swemu rywalowi odwagę, podziwiał go nawet, ale go niecierpiał.

Doktór mówił o zajadlej naturze rysia:

— Jest to drapieżnik srogi i krwi chciwy: morduje ptactwo i zwierzynę, której tylko dopadnie. Zjawia się cicho, jak cień, a szybki jest jak błyskawica. W okamgnieniu nadusi owiec bezliku, opije się krwi i znika. Malowniczo wyraża się o nim Witkiewicz, że „wlatuje jak ptak na wierzchołki drzew, i na najstromejsze skały, a rzuca się bez

namysłu w przepaście, jakby u miękkich swych łap miał skrzydła“. Czas jakiś mniemano, że rysie w górach już zostały prawie wytępione, ale w ostatnich latach kilkunastu, pokazały się na nowo w Tatrach. Z lasów zachodzą one w kosodrzewinę i turnie, czatując na bydło i kozice. Często zaczają się ryś na gałęzi, czatuje cierpliwie na łup przechodzący i rzuca się nań zniemacka. Ostry wzrok jego zjednał mu nazwę „ostrowidza“. Wierzono nawet niegdyś, że mur nawskróś przejrzeć może, że siłą wzroku zabija.

Krótką chwilę zabawił w zagrodzie, zdążył jednak zatusić trzy owce, a jedną żywą i napół poranioną upuścił, gdy go strzał baroneta dosięgnął. Liczny orszak Warburtona miał zapewniony na jutro obiad z upolowanej w ten sposób baraniny.

Baca narazie sposepniał z powodu poniesionej straty, ale wkrótce rozmarszczył czoło, bo trafił szczęśliwy nagodził mu gości, mogących stratę w dwójnasób wynagrodzić, jak ze wszystkiego się domyślał. Spoglądał chciwie na piękne futro rysia, które można było korzystnie sprzedać w Nowym Targu, sir Edward więc mu je podarował, rysie bowiem futro nie trudne jest do nabycia w Londynie, dokąd skóry tysiącami przywożą z Ameryki.

— U nas piękne to futro niegdyś bardzo ceniono — odezwał się Witold — panowie nosili rysie kołpaki, a szlachta okrywała się w zimie wilczurami. Po lasach bywały rysie i wilki, a i w Tatrach ich nie brakowało. Szły one zwykle za rysiem, i żywiły się tem, co zostawił, ogryzając kości; to też górale mówią o rysiu, że jest nad wilkami „jako oficerz przy wojsku“.

Rana Warburtona była dość głęboka, ale żartował sobie z niej, zaledwie pozwoliwszy ją opatrzeć; o Henryka natomiast troszczył się bardzo. Zauważył, że mimo serdecznego zbliżenia, jakie między nimi nastąpiło, chłopiec od wczoraj stał się wobec niego nieśmiałym i prawie go unikał. To mu dało do myślenia, ale narazie nie zastanawiał się nad tem

dłużej. Co innego chodziło mu po głowie, gdy przewracając się na pościeli, nie mógł zasnąć.

Dawid leżał cicho w namiocie, rozmyślając nad słowami matki, gdy baronet, który myślał, że Davy usnął, odezwał się zcicha:

— Czy śpisz, Walterze?

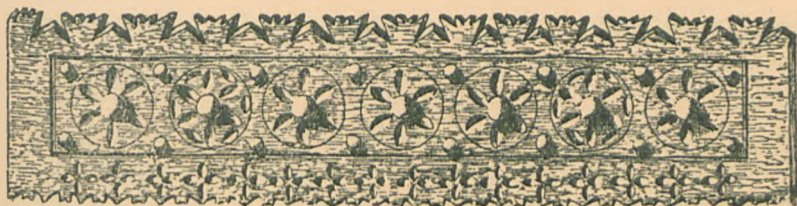
— Nie, sir.

— Czy uważasz, że Harry przypomina kogoś rysami twarzy i ruchami?

— Tak jest, sir, przypomina Ryszarda, ale jest od niego szczuplejszy.

— Aa? Więc tak rzeczy stoją — szepnął chłopiec, zaciskając pięści. — Matka miała rację!





## IX.

### W DRODZE DO WODOGRZMOTÓW.

*Konwie stoją pod szaląsem;  
Niby w lilijach, mleko w nich.*

*Deotyma: Płoszka w Karpatach.*

Sir Edward miał nadzieję, że profesor znajdzie się w dolinie Pięciu Stawów i razem pójdą w dalszą drogę, bo tędy był główny gościniec do Morskiego Oka, ale nadzieja ta omyliła. Minął ranek, nadeszło południe, a uczonego Stranda nie było. Warburton okazywał pewne zaniepokojenie, ale uspokojono go zapewnieniem, że przewodników wzięł wytrawnych, więc nic złego stać mu się nie może.

Już mieli wyruszać w dalszą drogę, gdy zwrócił ich uwagę tętent wbiegających owiec. Asystowali więc przy udoju i byli świadkami wyrobu sera. Przypatrywali się, jak bacia mleko z gielców<sup>1)</sup> wylewał do wielkiej stągwi, cedząc je przez płachtę nakrytą gałązką smereczyny, co mu odrębny nadawało zapach; jak wlewał do niego jakiś mętny płyn, wygotowany z cielęcego żołądka, mającego własność ścinania mleka, a poczekawszy czas jakiś, obmył w wodzie ręce, obrosłe czarnym długim włosiem i zanurzył je w mleku po łokcie. Przed bacą stał młody chłopak, trzymając za dwa rogi płachtę, przypiętą do pasa. I on, i bacia, i go-

---

<sup>1)</sup> Naczynie drewniane z pałąkiem, służące do dojenia owiec.

ście, przyglądający się tej czynności, głębokie zachowywali milczenie. Nareszcie Warburton z uśmiechem rzekł do Witolda:

— No, nie bardzo to apetycznie wygląda i chyba pański przyjaciel i entuzjasta, posiadający zarazem talent Hogartha i Rembrandta, nic już poetycznego w tem nie znalazł.

— Przeciwnie, sir — odrzekł Witold — Witkiewicz utrzymuje, że chwila, w której bacia zanurza ręce w mleku, jest chwilą uroczystą. Gdy się to działo w jego obecności, wydawało mu się, że ten stary, z łysem czołem człowiek, okryty skórą białej owcy, z mosiężną dziwnego kształtu spinką na piersiach, odprawia jakiś tajemniczy obrządek, a młody służy mu do niego. I dodał: „Kto zgadnie, czy w nim samym ta nagła przemiana, zachodząca w mleku, to powstawanie sera, nie przedstawia się jako zjawisko cudowne, którego przyczyny leżą poza kresem ludzkiej wiedzy!“ A gdy bacia wydobyl z kotła ogromną bryłę śnieżystego sera, wydała mu się ona na tle czarnego osmolonego wnętrza chaty, jak „jasny krąg księżyca“.

— W tem oświetleniu rzeczywiście obraz inaczej się przedstawia — powiedział baronet. — Co to jest być poetą!

Bacia istotnie wydobyl w tej chwili bryłę sera, włożył ją w płachtę, trzymaną przez chłopaka i zawiesił, żeby ociekła, a wzięwszy czerpak, poczęstował gości świeżą żętycą. Pili ją wszyscy prócz Dawida, który, zaledwie dotknąwszy ustami, odsunął napój ze wstrętem. Tymczasem ser ociekł, bacia zdjął z kolka płachtę, odwinął, i ukrajawszy płat sera, podał gościom. Wszyscy jedli go z apetytem, bo ser świeży posiada smak delikatny, który traci w miarę, jak ser starzeje się, a z nim razem jęlczeje tłuszcz zawarty w mleku, nabierając ostrej woni i szczypiącego smaku.

— O ile widok z Krzyżnego przykuwa do miejsca, o tyle dolina Pięciu Stawów przerażające martwością swoją czyni wrażenie — powiedział Witold, gdy wyprawa ruszyła w dalszą drogę. — Zgóry zwierciadła stawów mienia się





Na hali.

srebrem, szmaragdem i szafirem, a tu są czarne i posępne. Wielki Staw, przy którym stoimy i ciemność wód jego, wynikająca zapewne ze straszliwej jego głębi, dreszczem przejmuje! Nie jestem nerwowy, ale bez żalu opuszczę tę dolinę śmierci: czarne paszcze potwornych pielgrzymów, ziejące strachem i mgły, co się ich czepiają, jak cienie!

— Staw Wielki jest największym ze wszystkich stawów w Tatrach — odezwał się doktor. — Obejmuje on 63 morgi powierzchni i ma 78 metrów głębokości; mierzył go Dziewulski. Kościół Panny Marji w Krakowie, z wysoką wieżą, z której brzmią hejnały, schowałyby się cały w toniach tego jeziora, i tylko szczyt wieży z koroną, sterczałby ponad wodą.

— Z jakiej przyczyny to właśnie jezioro jest głębsze od innych? — zapytał baronet.

— Wody trzech stawów spływają do niego, i stąd dopiero, jak ze wspólnego zbiornika, spadają potokiem po

skale do Roztoki, tworząc Siklawę. Z ogromnym hukiem stacza się ten potok w przepaść, zamieniając się w parę. Gdy słońce świeci, tęcza pojawia się raz po raz na tle wodospadu. Spieniona woda wynurza się z otchłani i szumi dalej po skałach, na których w lipcu jeszcze leżą śniegi, a wkońcu dzikim parowem spływa w dolinę Białki. Stąpawszy na skale u ujścia z Wielkiego Stawu, widzieć można Siklawę w całej okazałości.

— Widzieliśmy ją z Krzyżnego; wyglądała jak mieniący się srebrny, diamentami nasadzony pas — rzekł Warburton — ale pójdziemy przypatrzeć jej się zbliska i stanąć u jej stóp. Słyszałem, że to jest najwspanialszy wodospad w całych Tatrach! Ale wiecie co panowie? Ten Wielki Staw z fantastycznymi zarysami otaczających go skał, podobny jest do wielkiego basenu, w którym olbrzymy skamieniałe przyszyły obmywać stopy przed jakimś wielkim w wieczność pochodem!

Okrążywszy północnym brzegiem Staw Wielki, przybyli nad upływ wód po skale. Doszli do miejsca, gdzie się ścieżka dzieli, jedna prowadzi na Świstówkę, a druga wiedzie wdół do Siklawy. Witold przystanął i rzekł, zwracając się do baroneta:

— Wasza Miłość porównywa te stawy do olbrzymich basenów, a hr. Władysław Tarnowski porównał je do olbrzymiego amfiteatru, w którym widzowie skamienieli z przerażenia. Stojąc tu na tem miejscu, i mając przed oczyma z jednej strony „dolinę śmierci“, a z drugiej wdole Siklawę spadającą w przepaść, takim uczcił ją wierszem:

„Po głazach gruzów skalnych stąpam od Roztoki.  
 U stóp mych się rozsiadły wszystkie czary ziemi:  
 Bory — w dolinach nitki źródołów z skały swemi;  
 Wdali niebieski Beskid kryje się w obłoki.  
 Tu, acz droga nużąca jak droga żywota,  
 Masz widok, jakim szatan kusił Zbawiciela,  
 Cudem cudów — arcydzieł harmonji, wesela!  
 A wtem spojrzysz za siebie — tam? Tatrów Golgota!

Staje ci przed oczyma szereg wierchów dziki,  
 Jak amfiteatr świata — bez życia, bez śpiewu:  
 Środkiem przestrzeń martwoty — świat głązów, świat dziwu,  
 A nad głązami krążą orły pustelniki!  
 To przestwór Pięciu Stawów — Stygijskie chodniki...

Dzicz! i bryły na bryłach chaosem ciśnione —  
 Wzdłuż i wszecz się rozlega — a środkiem przestrzeni,  
 Pięć Stawów w głązach lśnią się zwierciadły ciemnymi,  
 Milczą tajemnie — wkoło życia pozbawione!  
 Tu mgieł wielkie królestwo, świat przerażający!  
 Jeden Staw z drugim fale mimo głązów łączy,  
 Aż wraz grzmiał w otchłań z szczytów Siklawy strąconej!...

O Siklawo! W tve piany huczące, szalone,  
 Milcząc pogląda pielgrzym — i rozmyśla — życie!...  
 Ono przegrzmi i runie — jak mgły rozpędzone.  
 Pielgrzym u piersi matki natury, jak dziecię:  
 Zmysły utopił w obraz jej — odbieżał ciała,  
 I duchem się rozemdlał w wszechświata rozkwiecie!...  
 Słucha górala — niemy wśród tych skał jak skała!...“

Warburton zadumał się.

— Od chwili, gdy przeszliśmy Żółtą turnię — rzekł, wodząc okiem po skałach — zdaje mi się ciągle, że czytamy nowy a nieznaný rozdział „Boskiej komedji“ i że lada chwila ujrzę zstępujące w przepaście ze szczytów postacie Wirgilego i Danta. Szkoda, że niema z nami profesora! Choć to przedewszystkiem naturalista, patrzący na wszystko z punktu widzenia naukowego, ale ma duszę niepospolitą, umie odczuwać rzeczy wielkie i jest wrażliwy na piękno.

— Jeżeli tylko piękno to nie jest rodzaju żeńskiego — wtrącił, śmiejąc się, Walter.

— Nawet i wtedy — odrzekł z przyciskiem Witold, którego oddawna swędził język, żeby się podzielić z towarzyszami tem, co wiedział.

Wszyscy to za żart wzięli, a Warburton rzekł:

— Właśnie to jedno mam mu do zarzucenia, że go w rodzaju żeńskim nie uznaje wcale. Takí uczoney człowiek,

a taki niesprawiedliwy i uprzedzony w tym jednym, jedynym względzie.

— Oh, sir, mylisz się pan! Doktor Strand nie jest wcale tak uprzedzonym i niesprawiedliwym, jakim się wydaje i za jakiego chce uchodzić. Utrzymuję, że jest on wszelkiego piękna wielbicielem, a szczególnie żeńskiego. Mam na to dowody.

— Nie uwierzę temu nigdy — powiedział Warburton. — Strand ma naturę prawą i uchodzi za takiego, jakim jest rzeczywiście!... A... jakież są pańskie dowody?

— Czy Wasza Miłość przypomina sobie pomieszanie profesora, gdy raz do bardzo zamysłonego Jakób odezwał się, że go „budzi w kolorze błękitnym“?

Baronet pomyślał chwilę.

— Tak jest, przypominam sobie.

— A potem znowu takie samo zmieszanie, gdyś mu powiedział, sir, że myśli „o niebieskich migdałach“.

— I to także pamiętam.

— A pamiętasz, sir, nagły gniew profesora w drodze do Czarnego Stawu, gdy Jakób żartem chciał sięgnąć ręką do kieszeni jego surduta?

— Ach naturalnie! Dziwiliśmy się wtedy wszyscy gwałtownemu uniesieniu tego cichego i łagodnego zawsze człowieka.

— Człowieka, nie mającego zółci, można to śmiało powiedzieć — wtrącił Walter.

— I wszyscy wtedy mówiliśmy, że profesor musi przy sobie mieć coś, czego nam nie chce pokazać; że jednym słowem, na dnie jego kieszeni spoczywa tajemnica, którą profesor ukrywa przed nami i obawia się, aby przypadkiem na jaw nie wyszła. Sir Edward nawet wtedy wyraził przypuszczenie, że profesor Strand dokonał odkrycia naukowego, którego nie chce ogłaszać przed czasem, a o którym zapewne wkrótce dowiemy się z gazet.

— Istotnie, takie zrobiłem przypuszczenie i trwam przy niem dotąd.

— Otóż ja... zbadałem tę tajemnicę! Wiem, co profesor ukrywa przed nami.

— Zbadałeś pan? — zawołali wszyscy jednogłośnie.

— Dokładnie.

— I cóż on tam chowa?

— Jest to... — rzekł, spoglądając po wszystkich ze złośliwym uśmiechem — jest to... wstążka błękitna!

Wysłuchano tych słów ze zdumieniem.

— Eh — rzekł Warburton, machnąwszy ręką z lekceważeniem — to niczego nie dowodzi. Profesor pewnie używa jej zamiast sznurka do wiązania swych notatek.

— Wątpię; wstążka ta bowiem ułożona jest w pełną wdzięku fantazyjną kokardę.

— Nieprawdopodobne — powiedział znów baronet — hm, czyżby... nie, to być nie może! Profesor jest prawdą uosobioną, pocóżby miał grać z nami komedję?

— Po co? Dla lepszego zamaskowania prawdziwego stanu rzeczy — rzekł rozweselony Witold, który sam nie wierzył w to, co mówił. — Pojmujemy, sir, że w tym wieku... Ale rzeczy takie zdarzają się czasem... Serce nie sługa!

— Ależ, moi panowie, profesor Strand jeszcze nie tak stary — ujął się za nim Walter — nie ma lat sześćdziesięciu i mógłby się ożenić, tylko jego zaniedbana toaleta lat mu dodaje.

— Nie, nie! — powiedział Warburton. — W każdym razie uczucie u Stranda nie objawiało się w sposób tak sentymentalny. Nie mogę się pogodzić z tem, co słyszę. Ale jakże pan doszedłeś do swego odkrycia?

— Czy dawno dowiedziałeś się o tem? — zapytał Jakób.

— Wczoraj, gdy profesor wybierał się do Dwoistego i pochylony pakował swój tłumoczek, układając troskliwie ołowiankę do badania dna jezior, spostrzegłem coś błękitnego, wyglądającego z tylnej kieszeni jego surduta, w tej chwili nieco odstającej. Wsunąłem ostrożnie rękę i obejrzałem tę jedwabną tajemnicę. Pachniała irysem.

— Rzecz dziwna — pomyślał Walter — lady Chester używa tych perfum... Ach, wiem już, to wstążka zgubiona w grotach Raptawickich.

— Obejrzawszy, włożyłem napowrót...

— I profesor tego nie spostrzegł?

— Nie; nazbyt był zajęty myślą o bliskim spotkaniu z Branchiopodem; poruszył się tylko niespokojnie i zapytał: „Co pan tam robisz?” Ja zaś odpowiedziałem: „Czynię poszukiwania naukowe na pańskim terytorjum“.

— I nie domyślił się, co to znaczy?

— Wcale. Wzruszył tylko ramionami z politowaniem, jak się czyni wobec posłyszanej niedorzeczności.

Wszyscy śmiać się zaczęli.

— A czy Wasza Miłość miałby za złe profesorowi, gdyby...

— Gdyby co?

— Gdyby się ożenił?

— Ach, wieszowałbym mu pierwszy — powiedział, śmiejąc się — ale to rzecz tak nieprawdopodobna, że i myśleć o tem niema co!

— Może to położyłoby kres jego ustawicznym roztargnięciom, gdyby znalazł się przedmiot, skupiający stale jego uwagę. Pewnie nie wybrałby się więcej w drogę bez rondelka do gotowania buljonu — odezwał się Jakób. — Ja tak samo jak sir Edward nie jestem skłonny do takich przypuszczeń, ale przyznaję, że zachowanie się profesora czasami było dziwne. Fakt jest, że na wzmiankę o kolorze błękitnym okazywał zaniepokojenie i wkrótce potem zawsze szukał samotności. Opowiadałem przecież panom, że wczoraj widziałem, jak stojąc nad rozpadliną skalną, w której Henryk widział zaczarowane klejnoty, sięgnął ręką do kieszeni, jakby chcąc z niej wyjąć jakiś przedmiot i obejrzał się, a widząc, że nań patrzę, cofnął rękę, tak samo jak wtedy na hali Królowej, i zaklął.

— A co! — zawołał triumfująco Witold.

— Co? Strand? Ten łagodny człowiek? — zapytał Warburton, niedowierzając własnym uszom.

— Tak, ten łagodny, zaklął potężnie!

— Moi panowie — odezwał się baronet — to, co pan Jakób mówi, nie zgadza się z tem, co utrzymuje pan Wiltold. Gdyby profesor nosił w kieszeni jakąś... dajmy na to, pamiątkę, nie chciałby jej rzucać w rozpadlinę skalną.

— Ja też nie powiedziałem, że ją chciał rzucić, tylko sądzę, że...

— Że co?

— Że chciał spojrzeć na przedmiot, należący do damy jego myśli.

— Nie — zawołał Warburton — nie róbcie z niego średniowiecznego rycerza! Ja sobie przypominam, że gdy Strand w drodze do Czarnego Stawu zapuścił rękę w kieszeń, szukając zapalnika do cygara, które mu wtedy ofiarowałem, cofnął ją natychmiast z takim wstrętem, jakby się dotknął gadu jadowitego. Czy nie prawda, panowie? — zapytał, zwracając się do Waltera i Jakóba.

Obaj przyznali, że tak było rzeczywiście — i że w całej tej sprawie jest coś niezrozumiałego. Warburton zrobił przypuszczenie, że ktoś poprostu figla urządził profesorowi z tą wstążką, ale nie wiedział, kogo podejrzewać.

Górale spoglądali po niebie, nie dobrze tusząc o pogodzie, bo białe jak wata obłoczki snuły się po niem i rozdzierały o szczyty: że jednak między nimi widne były duże szmaty błękitu, więc jakoś nie wszyscy temu wierzyli. Nagle jeden z górali zawołał: „leje!“ i wszyscy poczuli na twarzach drobny deszczyk, który nagle tak gęsto padać zaczął, że ostonił jakby mgłą cały tabor.

— Wróćmy się do schroniska — zaproponował Walter — i przeczekajmy burzę!

— Nie — rzekł Warburton — kto by tam zważał na deszcz! Doświadczyliśmy już różnych wrażeń w tej podróży, ale nie doświadczyliśmy jeszcze burzy, bo tej, na jaką

patrzyliśmy spokojnie z okna groty w dolinie Kościeliskiej, nie odczuliśmy bezpośrednio. Co innego jest znajdować się wśród burzy na otwartem powietrzu, w łonie gór! Widzę właśnie, że nadciąga, słyszę echa dalekie gromów, i myślę, że przyjdzie tu wkrótce do nas. Rad jestem, że się z nią spotkam! Idźmy, panowie, idźmy! Czy się boicie?

— Co do mnie, nachodziłem się dość po wycieczkach, zawsze w deszcz i burzę — rzekł Witold. — Znam się z nią.

— Dla mnie też nie nowina — odrzekł doktor — trochę się zmoknie, ale od czegoż ogień?

— Szczególna ochota! — mruknął Davy pod nosem. — Jestem pewny, że z tej sławnej wycieczki przyniosę do domu tyfus albo malarję!

— Bądź spokojny — szepnął mu zcicha Walter — malarje i tyfusy nie rosną na szczytach, jak kwiaty halne. A kto przywozi malarję z równin, to ją prędko gubi w czystem górskim powietrzu.

Namiat i cięższe bagaże wysłano naprzód do Morskiego Oka, przez Świstówkę. Ponieśli je górale, którym polecono nocleg przysposobić dla wszystkich.

Deszcz padał, a znajomi nasi szli tak żwawo, jakby to była najpiękniejsza pogoda. Była to droga nie droga, po złomach, po płaszczyznach wklęsłych, usypanych ogromnemi granitami, zwalonemi jedne na drugie. Nie zawsze dało się stąpić z kamienia na kamień; trzeba było zejść z jednego nie bez trudności i wejść na drugi nie bez obawy — bo kamień tak czasem stoi czy leży, że stąpiwszy nań, wyrusza go się z równowagi i co prędzej trzeba go uwolnić od ciężaru. Przeciągły świst dał się kilkakrotnie słyszeć; Henryk obejrzał się i ujrzał zwierzątko wielkości średniego psa, stojące na tylnych łapach, wyprężone jak świeca i rozglądające się niespokojnie. Był to świstak, stojący na czatach.

Rozpoczęło się schodzenie bokiem przepaści, w którą upływ wód spadał, po skale obślizgłej od deszczu, przy szamotaniu się z wichrem, który wziął się skądciś zgóry



i chciał ich w przepaść wtrącić. Każdy patrzył tylko przed siebie, nikt nie śmiał spojrzeć na bok, żeby wychyleniem się nie stracić równowagi. Przewodnicy ze zręcznością nadzwyczajną, podbiegali to tu, to tam, podając rękę lub wskazując, kędy lepiej stąpić. Davy ślizgał się ciągle. Włosy nie dość krótko nad czołem przycięte, oczy mu zasłaniały, a piękny kostjum turystowski, zmieniony już doniepoznania kilkodniową wycieczką, krępował mu ruchy przy schodzeniu wdół więcej jeszcze, niż przy wchodzeniu na Krzyżne. Biedny chłopiec ciągle potrzebował pomocy górala, a strach śmiertelny chwilami oddech mu tamował. Dziadek był dla niego bardzo dobrym i kilkakrotnie mu rękę podał, pomagając w miejscach niebezpiecznych, ale to go nie pocieszyło. Z zazdrością spoglądał na swego rówieśnika i jego ruchy swobodne, w wygodnej, prostej odzieży. Czuł się nieszczęśliwym i serce mu gorycz zalewała.

Deszcz na chwilę ustał, ale dolina Roztoki wyglądała stąd szaro — niemal mroczno. Zastona wprzód gęsta, w przejrzystą zmieniła się gazę — lecz dzikość straszna okolicy straszniejszą się jeszcze zdawała. Pogruchotane ogromne urwiska, zwalone na płaszczyznę skalistą nad Roztoką, połamane drzewa, szalone podskoki i kamienisty łomot płynących wdół potoków, wszystko dawało miejscowości tej pozór wejścia do piekieł i Warburton odezwał się, że tak chyba będzie wyglądała ziemia w dzień Sądu ostatecznego.

Nikt mu nie odpowiedział i dalej stąpali znów wśród deszczu ulewnego, po głazach drżących od huku grzmotów, których echa tłukły się po szczytach prawie bezustanku, pobudzane ciągle wznawiającymi się gromami.

— Wiecie co, panowie — odezwał się — ja nie żałuję słońca i pogody; to jest straszne, ale i przepyszne zarazem! Czuje się potężną siłę, mogącą zmiażdżyć w jednej chwili. Ten, co by tu spadł, nie doleciałby do końca: woda by go zabiła.

— Spodziewam się — rzekł Witold. — Kamień, wrzucony do Siklawy, wylatuje jak piłka w powietrze.

— Ja spadnę niezawodnie! — myślał Dawid cały drżący i uchwycił się mocno ręki przewodnika.

— A jednak trochę słońca przydałoby się — odrzekł Jakób — bo inaczej nie będziesz miał, sir, dokładnego wyobrażenia o Siklawie, z samego tylko szumu i huku potoku, rzucającego się w przepaść. Tu jest jakby mała platforma. Stańmy i odpocznijmy trochę,

Słońce ulitowało się nad podróżnikami. Deszcz na chwilę ustał, a ono wyjrzało z za chmur i spotęgowało wrażenie, wytwarzając tęcze w rozpryskujących się falach kropli. Dumne czoła gór wkoło sterczące i niemniej dumne, choć u stóp ich leżące, głowy i złomy buchały parą. W dolinie pod nimi wstawały tumany, okrywały białym rańtuchem ziemię, wznosiły się kłębamii ku podróżnym, obwijały ich i wyższe ponad nimi szczyty mgłą nieprzebytą i spadały znów deszczem na posłanie, z którego wstały. Byli tedy w łonie chmur, w legowisku piorunów. Zdawało im się, że grzmot ich z ust wychodzi, że to ich oczy błyskawice ciskają. Naprawdę zaś nie mówili nic z sobą, a widzieli tylko o parę kroków.

— Czy Wasza Miłość życzy sobie zejść nadół do Roztoki, czy też wrócić na górę? Stąd dwie drogi prowadzą do Morskiego Oka: jedna przez Roztokę, druga przez Świstówkę i Opalone.

— Przedstawcie mi korzyści jednej i drugiej, abym wiedział, co wybrać.

— Idąc przez Świstówkę, można zobaczyć Morskie Oko zgóry, z wielkiej wysokości; a idąc dołem, można w Roztoce odpocząć w schronisku i osuszyć się, coby nam się bardzo przydało, bo jesteśmy przemoknięci do nitki, a następnie...

— Dają tam dobrą jajecznicę — wtrącił Jakób.

— Roztoka... czy to tam, gdzie Witkiewicz czytał góralom Odyseję Homera?

— Tam właśnie. Do Morskiego Oka jest stamtąd tylko godzina drogi.

— A przez Świstówkę?  
 — Trzy godziny.  
 — O, to coś znaczy! Wypoczęlibyśmy dwiema godzinami wcześniej.

— A przytem w Roztoce są do widzenia Wodogrzmoty.  
 — Wodogrzmoty?  
 — Woda tej tu Siklawy rozbija się po wyniosłych skałach, i spada w czeluście. Wyżłobiła tam ona sobie w skale głęboki parów: jest to dzieło wielu wieków! Przyroda przystroiła parów ten mchami, bujną trawą i różnego gatunku krzewami! Długo te wspaniałe wodospady były niedostępne; pasterze tylko tam się zakradali, opowiadając o dziwach i przepaściach, w których gubił się potok huczący i zwano go „Wodogrzmotem“.

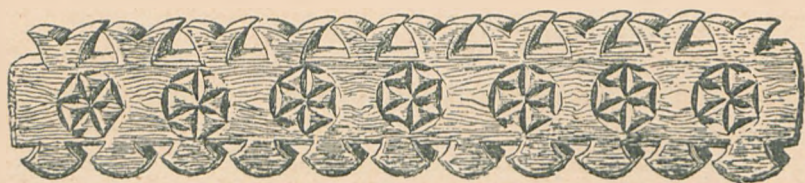
— Trudno o wyrażenie dosadniejsze i więcej małownicze — rzekł Jakób.

— Dopiero po wyrobieniu ścieżki wyszły najaw ukryte dotąd piękności; a że ich odkrycie wypadło jednocześnie ze sprowadzeniem zwłok Mickiewicza z Francji do Krakowa, więc goście w Zakopanem zebrani na wiecu uchwalili nazwać te wodospady ku czci wielkiego wieszca jego imieniem. Wodogrzmoty noszą odtąd nazwę „Wodospadów Mickiewicza“, o czem objaśnia podróżnych wmurowana w skalistą ścianę tablica.

Warburton słuchał zadumany i wybrał drogę wdół. Davy odetchnął; będzie mógł nareszcie ogrzać się i odpocząć.



Spinka.



## X.

### BRANCHIOPOD.

*Już zakryły się całkiem niebiosa i ziemia.*

*Mickiewicz: Pan Tadeusz.*

Deszcz ustawał i kapał znowu, gdy wyprawa Warburtona, zwiedziwszy Wodogrzmoty, dążyła do Morskiego Oka, pragnąc ujrzeć je jeszcze przed zachodem słońca. Jednocześnie inna gromadka turystów do tego samego celu dążyła ścieżką, spuszczającą się z Opalonego w dolinę. Górale spoglądali ciągle ku górze, gdzie gęste mgły wisiały, ale nie wypowiadali swoich obaw. Podróżni, zmęczeni, dopytywali się raz wraz, czy daleko jeszcze to Morskie Oko i otrzymywali odpowiedź, że „nie prec“; że „zaraz za tym brzeżkiem“, że „tuż, tuż“ — w miarę jak zmniejszała się odległość, dzieląca ich od celu podróży. Wreszcie, gdy przybyli do miejsca, gdzie zapytawszy po raz setny może: czy daleko to Morskie Oko? — usłyszeli odpowiedź:

— Ady już som przy niem: oto Rysy na lewo, a na prawo Mnich. Morskie Oko tu za tym wałem z kamieni. Chodźcie prędzej, bo nic nie zobaczycie! Czy widzicie, jak się mgły przewalają przez szczyty?

Wstąpili na wał i stała się rzecz niepojęta: zasłona z mgły nieprzebitej opadła w mgnieniu oka i zasłoniła przed nimi jezioro.

— Jesteśmy u Morskiego Oka, ale go dziś nie zobaczymy,

i kto wie, czy zobaczymy jutro — powiedział Witold — Bóg spuścił na nie zasłonę. Ale co robić? Gdy niema na to sposobu, pozostaje tylko rezygnacja!

We mgle, która ich otoczyła, usłyszeli nagle głos:

— Gdzież jest do licha to Morskie Oko? — i ujrzeni przed sobą ręce rozkrzyżowane szukające drogi, jakby pomacku.

— Profesor Strand! — zawołali jednocześnie Walter i Warburton. — Jakąż pan drogą szedłeś, żeśmy się nie spotkali?

— Przez Świstówkę; i całą dolinę Morskiego Oka, które teraz gdzieś się podziało, z dwoma jeziorami, widziałem już ze szczytu Opalonego.

— Toś pan szczęśliwszy od nas! A czy słyszałeś nasze wystrzały?

— Słyszałem, ale nie miałem czem na nie odpowiedzieć.

— A rewolwer?

— Zostawiłem go przy Dwoistym.

— Że też pan zawsze musisz coś zgubić. A Branchiopod jest?

— Jest! jest! — zawołał triumfująco profesor. — O, patrzcie!

Przyjaciele uczonego słyszeli tylko głos, nie mogąc dojrzeć wyciągniętej dłoni przez mgłę, która gęstniała — ale w tejsze chwili posłyszeli brzęk szkła i jęk bolesny, rozdzierający.

— Co się stało? — zawołali, biegnąc ku niemu.

— Branchiopod! Ach, Branchiopod! — wołał żałośnie profesor. — Upadł mi słoik i pewnie się stłukł. Co za nieszczęście! Cały trud stracony... I gdzie on jest? Nic nie widzę, ani nie mogę namacać!

— Pomożemy panu szukać. Ale jakże się to stało, żeś go upuścił?

— Jak? Poprostu upadłem! Ach, mgła przekłęta!

— Panie profesorze — uspokajał go doktor — nie rozpaczaj pan, rzecz jest do powetowania. W tej chwili istotnie

nie nie znajdziemy, ale jutro rano będziemy szukali. A gdyby poszukiwania nasze nie zostały uwieńczone skutkiem, lub słoik okazał się stłuczonym, pański przewodnik pójdzie do Dwoistego i przyniesie panu powtórnie ten cenny okaz.

Słowa te ukoili nieco boleść profesora: dał pokój bezużytecznemu szukaniu i z rezygnacją szedł wraz z innymi do schroniska. Obrokta mimo mgły zaczął grać Orawskiego marsza, i przy dźwiękach muzyki wstąpili na ganek położonego tuż nad wodą schroniska, poomacku, nie widząc prawie jeden drugiego. Było tam ludno i gwarno: goście, siedzący przy stołach, różnemi mówili językami, a najwięcej po czesku i po węgiersku. Z sieni widać było płonące w kuchni ognisko i gospodarującego przy nim gazdę. Przy kominie krzątało się kilka góralek, z rondlami i garnkami w rękach. Ale Obrokta nagle Orawskiego marsza przemienił na pieśni „drobne“, i przeszedł w rytm tańca góralskiego. Tego tylko trzeba było góralom; zapomniawszy o trudach odbytej dopiero wycieczki, puścili się w taniec z dziewczętami.

Przewodnik otworzył drzwi do izby na prawo i Warburton z Dawidem wszedł pierwszy, a wszedłszy, stanął u progu zdziwiony. Przy stole siedziała lady Chester. Przywiódł ją tu niepokój o syna, z którym nigdy jeszcze nie rozstawała się na tak długo. Ujrawszy wchodzących, rzuciła się ku chłopcu i porwawszy go w objęcia, zaczęła ze łzami ścisnąć i całować, jakby go już miała za straconego i niespodzianie odzyskała.

— Moje dziecko najdroższe! Myślałam, że cię już nie zobaczę! — wołała w przerwach między jednym uściskiem a drugim. — Nie mogłam się doczekać waszego powrotu i wyjechałam na spotkanie. To już czwarty dzień, jak mi cię zabrano! Przybyłam tu konno; co za okropna droga! Jakże, czyś nie chory? Czy nie boli cię głowa? Musisz być okropnie strudzony...

I odsuwając go na chwilę od siebie, żeby mu w oczy spojrzeć, zawołała ze zgrozą:

— Fe, w jakimże stanie ubranie twoje! Wyglądasz jak obdartus.

Istotnie trudno było poznać Dawida: przymizerniał trochę, opalił się od wiatru i słońca, wskutek czego stracił chorobliwą cerę, ale piękne jego ubranie podarte było i zabłocone, a z butów wyłaziły palce.

— Cicho, cicho, mateczko — szeptał chłopiec, wysuwając się delikatnie z jej objęć, bo go wstyd było tych pieszczot i dodał cicho: — Mama nie przywitała się z dziadkiem.

— Ach, przepraszam, sir — poprawiła się śpiesznie lady, mocno zakłopotana. — Jak zdrowie ojca?

— Doskonale, Alicjo. Ruch, trud i górskie powietrze, to najlepsi lekarze. Nigdy nie byłem zdrowszym! Przypatrz się Dawidowi: teraz przynajmniej jest trochę podobniejszy do mężczyzny i stracił swoją babską cerę. Z początku szło mu ciężko i tchórzył ciągle; ale potem zebrał się na odwagę i nie źle szedł. Ale tobie skąd tak nagle przyszła ochota do wycieczki?

— Chciałam zobaczyć was prędeej — rzekła, zarumieniony się — i przyjechałam na spotkanie. Ach, co za droga! Opisać jej nie zdoła żadne pióro...

— A więc zachwyciły cię jej piękności?

— Ale gdzież tam! Co może być pięknego w dzikości? To jest dziki kraj, a na każdym kroku niebezpieczeństwo czyha na człowieka. Wszystko olbrzymie, straszliwe, przejmujące dreszczem przerażenia. Nie wiem, co ludzie widzą tu pięknego! Szwajcarja zupełnie co innego, cywilizowani ludzie przynajmniej mogą tam bezpiecznie podróżować. Na każdym kroku jest hotel, zaopatrzony we wszystkie wygody i restauracja.

— Najpiękniejsze miejsca opatrzone są poręczami, wszędzie stoją ławki wygodne do spoczynku, a na każde zawołanie zjawia się kelner we fraku i białych rękawiczkach — dokończył baronet. — Szkoda, że nie tam pojechałaś! Znając twe gusty i twoje usposobienie, odradzałem ci podróż

w Tatry i naprawdę, dotąd nie zgaduję, dlaczego uparłaś się towarzyszyć mi?

Lady przygryzła usta.

— Sądziłam, że znajdę tu coś piękniejszego, że jest coś prawdy w tym rozgłosie, jaki się rozszedł po świecie o Tatrach. A przytem...

— Przytem, przytem... dokończ.

— Chciałam korzystać z twego towarzystwa, ojcze.

— Jestem ci niezmiernie obowiązany — odrzekł zimno — i umiem cenić twoją ofiarę. Ale pozwól, Alicjo, towarzysze moi chcą się z tobą przywitać.

Panowie powitali milady głębokim ukłonem, na co ona łaskawem skinieniem głowy odpowiedzieć raczyła, obrzucawszy krytycznym wzrokiem suknie każdego. Znajdowały się one w nader smutnym stanie! Nie były to stroje do salonu, ale też miejsce, w jakim zamieniano ukłony, nie przypominało wcale salonów; była to wielka kwadratowa izba, niezbyt czysta, z prostemi ławami, stołem i tapczanami, na których leżały sienniki, napelnione słomą.

Jej własna toaleta zato była bez zarzutu: miała na sobie szewiutowy szlafroczek koloru olive, prześlicznie odbijający od alabastrowej cery, i jakby dopiero co przyniesiony z magazynu. Osoba tak wykwinna jak milady nie puszcza się w podróż w jednej sukni. Przyjechała w pięknej granatowej amazonce, z którą deszcz, kosodrzewina i ostrza skał, obeszły się nielitościwie, bo teraz oto zawieszona na żerdzi suszyła się przy ognisku. Suknia ta w pięknych fałdach zwieszająca się z konia, zaczepiana ciągle o gałęzie świerków i krawędzie skał, psuła w drodze humor wielkiej pani i dała powód do tem większego na kraj utyskiwania. Przewodnik tłumaczył jej jeszcze w Zakopanem, że „do gór taka parada nie potrzebna“, ale go nie zrozumiała. Ujął więc za ogon jedną ręką, a drugą za nóż, pokazując na migi, że trzeba ogon uciąć. Wzięła to jednak za obrazę i aż poczerwieniała z irytacji. Dał więc pokój, ale uśmiechał się z po-



litowaniem, gdy owa wspaniała ozdoba z licznymi walczyć musiała przeszkodami i ostatecznie została tak haniebnie sponiewierana przez deszcz ulewny.

Jedwabne wyłogi szlafrocza, ozdobione guziczkami z masy perłowej, sznury wiążące go w pasie w fantazyjny węzeł, koronki u szyi i przy rękawach, pantofelki ze złożonej skórki, wszystko to byłoby na miejscu w apartamentach zamku Rochdale, ale tutaj zbyt wielkim uderzało kontrastem wobec prostego urządzenia izby i ścian niepierwszej czystości, pokrytych setkami podpisów i rysunków, niekoniecznie pięknych.

O wygodzie nikt tu nie marzył, każdy był rad, jeżeli mniejszy natłok podróżnych pozwolił mu zaspokoić niezbędne potrzeby: to jest wyspać się jako tako, osuszyć, oczyścić i posilić. Nocleg na twardym tapczanie, z siennikiem napchanym słomą, wydawał się rozkosznym spoczynkiem strudzonym długą wycieczką turystom, a i to niezawsze mieć było można; bo gdy w schronisku zebrało się dużo gości, nie wszyscy mieli tapczany. Sypiano wtedy na podłodze, na gałęziach kosodrzewiny, byle pod dachem, co też już wielką było wygodą, zwłaszcza gdy deszcz lał. Później przy Morskiem Oku zbudowano hotel, który niedawno się spalił, i teraz turyści znowu po dawnemu w schronisku nocują. Wykwintną lady całe to otoczenie napępiało wstrętem i słabo jej się robiło od zapachu owczej skóry, wydzielającej się z przemokłych serdaków, parujących przy ognisku, a dla uszów nieznośnym był gwar rozmów, wołania, śmiechy, bieganina przewodników — i góralska, rozdzierająca uszy muzyka.

Szcześliwym trafem, prócz lady Chester i jej towarzyski Fanny, nie było żadnej innej damy tego dnia przy Morskiem Oku; cała więc jedna izba mogła być do jej rozporządzenia, a Fanny postarała się ją, o ile to było możliwe, przyozdobić. Stała tam już srebrna podróżna gotowalnia, ława była okryta kocem, a tapczan skórą z białych

kóz angorskich, z którą milady nie rozstawała się w podróży. Część stołu nakryto cienką białą serwetą, a ze srebrnej maszynki spirytusowej unosiła się przepyszna woń kawy. Lady Chester potrzebowała koniecznie ulubionym napojem wzmocnić nerwy. Ofiarowała filiżankę sir Edwardowi, zapraszając też przez grzeczność jego towarzyszy, ale nie skorzystali z zaproszenia, tłumacząc się, że już kazali przygotować sobie herbatę. Z rozmowy dowiedzieli się, że milady przybyła do Morskiego Oka na dwie godziny tylko przed nimi i widziała jeszcze niezastłonięte mgłą jezioro, ale nazwała je w rozdrażnieniu dziurą i wyraziła zdumienie, że ludzie odbywają do tej dziury tak utrudzające pielgrzymki.

Sir Edward przedstawił lady Chester Henryka. Jej lordowska mość na ukłon chłopca odpowiedziała zaledwie dostrzegalnym, protekcyjnalnym skinieniem głowy i wzięwszy lornetkę, przypatrzyła mu się uważnie. Inaczej wyobrażała sobie pogromcę niedźwiedzia: w tym szczupłym, bladym chłopczyku, skromnie trzymającym się na uboczu, licho odzianym, nie było nic bohaterskiego — nic takiego, z czego mogłaby się obawiać rywalizacji dla swego syna. Nie wyglądał też na intryganta. Gdy lornetkę odjęła od oczu, twarz jej poweselała.

Towarzysze baroneta, pożegnawszy milady, cofnęli się do drugiej izby, a sir Edward, wypiwszy kawę, oddalił się także i matka została sam na sam z synem. Wtedy Davy, zachowujący dotąd spokój, wybuchnął.

— O, mamó! Czemu mama nie kazała mnie hartować? Czemu ja nie umiem znosić trudów i niewygód jak inni? Dlaczego jestem tchórzem? Czemu mi się kręci w głowie, gdy patrzę w przepaść? O, mamó, mamó, gdyby mama wiedziała, ile ja znosiłem upokorzeń, ile się nałykałem wstydu! Nawet górale śmieli się z mego niedołęstwa. Ten przybłąda był zręczniejszy, wytrwalszy i mężniejszy odemnie, i lepszy nawet... tak mamó, lepszy, bo ja go skrzywdziłem, a on

się nawet nie poskarżył przed dziadkiem! Ubogie to, lichy ubrane, ale dumne jak książątko i zdaje się niedbać o nic, nawet o łaskę starego!

Słowa syna zdumiały i przeraziły lady Chester; on jej czynił wyrzuty! On! Słychane rzeczy!

Wzięła go na egzamin, wyciągnęła z niego słowo po słowie, historję całej wycieczki i ogarnęła nią silny niepokój; dojrzała poważne niebezpieczeństwo. Gdy słuchała, często rumieniec gniewu i oburzenia występował jej na twarz; często wargi gryzła niemal do krwi, a z ust wyrывało się nawet ciche francuskie przekleństwo. Cały jej temperament, hamowany zwykle wysiłkiem woli, ujawnił się przytem. Chodziła po izbie krokiem gorączkowym, z załamanemi rękami, przemyślując, co robić, jak niebezpieczeństwu zaradzić. Tysiące projektów przychodziły jej do głowy, ale co jeden to wydawał się trudniejszym do wykonania, co jeden to więcej szalonym. Sir Edward ma prawo darzyć łaskami, kogo mu się podoba: jest nieograniczonym panem swej woli, i może też obdarzyć majątkiem obcego chłopca — skoro jest bez rodziny, jak się zdaje. Ale w tem cała rzecz, czy istotnie jest bez rodziny? Po co on tu wreszcie przyjechał? Czego szuka? Kto jest ten chłopiec, którego tak pokochał? Może właśnie ten chłopiec...

Nagle uderzyła się w czoło: gdzież miała rozum? Należało zbadać stosunki tego chłopca. Co to za rodzina, skąd? Po co tu przybyli i jak długo zabawią?

I jak zwykle osoby nerwowe, u których wyobraźnia powiększa wszystko do olbrzymich rozmiarów, tak ona, uprzymiwszy sobie w tej chwili twarz Henryka, szukała w niej podobieństwa do rysów sir Edwarda, i wydało jej się, że znalazła. A ponieważ gwałtowne temperamenty potrzebują się zawsze wypowiedzieć, i znajdują w tem ulgę, więc gdy Fanny weszła, lady Chester wyrzuciła z serca cały swój gniew na przybłądę, wkradającego się w łaski możnego cudzoziemca i cały swój żal do sir Edwarda, że może mieć

skłonność do kogo innego, prócz jej syna. Miała jednak tyle przezorności, że nie wypowiedała się przed nią ze swych domysłów, choć nie tała obaw co do materialnych skutków tej skłonności.

Młoda dziewczyna, częsty świadek nerwowych wybuchów milady, wysłuchawszy, odrzekła spokojnie, iż zdaniem jej milady przesadza niebezpieczeństwo. W podróżach często zawierają się znajomości i powstają sympatje, nie mające głębszego na przyszłość znaczenia; przypadkowi przyjaciele rzadko się potem spotykają w życiu. Sir Edward wreszcie jest tak bogatym, że niejednego może hojnie obdarzyć i jeszcze mu dużo zostanie. Trzeba też liczyć na jego szlachetność.

Szlachetność... prawda! O tem nie pomyślała lady Alicja, a znała go przecież, wiedziała, że był szlachetny i wspaniałomyślny!

I przenosząc się od rozpaczki do nadziei, równie prędko jak się w niej była pograżyła, zaczęła snuć różowe marzenia na przyszłość. Nie chciała jednakże już widzieć tego wieczora baroneta, znała bowiem bystry wzrok jego i obawiała się, aby nie wyczytał z jej oczów, co się działo w duszy; kazała mu więc oznajmić, że się czuje niezdrową i musi się położyć.

Skromny tapczan w schronisku, okryty wykwintną bielizną z irlandzkiego płótna, zamienił się w eleganckie choć twarde cokolwiek posłanie. Mała srebrna westalka, bez której milady nie ruszała się nigdzie, wydzielala subtelne wonie; zapachu owczej skóry nie było już w izbie ani śladu. Znalazł się i romans francuski, którym, leżąc już, usiłowała uspokoić wzburzony umysł.

Fanny, rozebrawszy milady, przygotowawszy wszystko, co jej było potrzeba, postawiła przy łóżku mały srebrny dzwoneczek i wyszła na ganek dla odetchnienia świeżem powietrzem. W sieni spotkała profesora, którego wyraz twarzy uderzył ją. Malowała się na niej desperacja i zniechęcenie.

Na sztywny jego ukłon dziewczyna miłym odpowiedziała uśmiechem, lubiła bowiem szczerze profesora Stranda i czuła dla niego wdzięczność za rozbudzenie w niej zamiłowania do nauk przyrodniczych, datującego od czasu, gdy jako dziecko jeszcze towarzyszyła mu w jego wycieczkach nad jezioro. Spytała więc troskliwie, co mu jest, czy nie chory?

Ale profesor w mniemaniu, że wszyscy już wiedzą o jego przygodzie, wziął to pytanie za chęć naigrawania się z cudzej bolesti i odrzekł ze złością, że „kobietom nic do tego, co mu jest; że żadna nie ma prawa wtrącać się w jego sprawy osobiste“. Że wreszcie „szyderstwo z człowieka poważnego nie przystoi osobie dobrze wychowanej i nie spodziewał się tego po miss Fanny, która niegdyś wcale znośną była dziewczynką“. Wkońcu dodał, zapalając się coraz więcej: że „mogłaby się wstydzić takiego postępku, choć coprawda, nie powinien się temu dziwić, bo po kobiecie wszystkiego spodziewać się można“.

To powiedziawszy, cofnął się i trzasnął drzwiami.

Fanny osłupiała ze zdziwienia. Nie tyle zdumiały ją niesprawiedliwie postłyszane obelgi, ile wybuch gniewu człowieka, który zdawał się nie mieć kropli żółci w sobie — człowieka zawsze cichego i nieśmiałego w Rochdale, ożywającego się jedynie wtedy, gdy była mowa o faunie głębinowej. Oczy jego, zawsze przygasłe, błyskały iskrami gniewu, twarz pałała. Co mu się dziś stało? Co było przyczyną tej przemiany?

A profesora Stranda, zaledwie znalazł się za drzwiami, któremi tak odważnie trzasnął, opanowało straszne przynębenie i wstyd... Czuł, że postąpił jak żak, że ubliżył kobiecie, że stracił panowanie nad sobą — i to go strasznie upokorzyło. Należał do tych natur spokojnych i flegmatycznych, które rzadko unoszą się gniewem, ale gdy im się to nareszcie zdarzy, bywają wtedy straszne. Taka chwila przyszła na niego. Ale bo też co za przewrotność! Wiedzieć

o katastrofie i pytać się z uśmiechem kłamanego współczucia, co mu jest! O, te kobiety, te kobiety! Co za wciele-  
nie fałszu i obłudy!

Fanny nie dała za wygraną. Jęła się dopytywać Dawida i dowiedziała się o przyczynie złego humoru profesora, a dowiedziawszy się, przebaczyła mu z całego serca jego porywczosć — choć pozornie, aby go ukarać, udawała jeszcze obrażoną; bawiły ją zwłaszcza jego nieśmiałe spoj-  
rzenia, w których wyczytać było można wyrzut sumienia. Ułożyła sobie szlachetną zemstę. Rozpytawszy się do-  
kładnie, w jakim mniej więcej kierunku upadł słoik, posta-  
nowiła nazajutrz czynić poszukiwania na własną rękę. A nużby jej się udało znaleźć Brianchiopoda całego i ży-  
wego... co za triumf! Co za upokorzenie dla biednego  
uczonego, że zostałyby pokonany przez niewiastę!

Oprócz Davego, na ten raz przekładającego sen nad ko-  
lację, wszyscy uczestnicy wyprawy zasiedli w drugiej izbie  
do stołu, gdzie kucharz Jack podał na wieczerzę lipienie  
duszone z włoszczyzną, obłożone kartofelkami i pstrągi na  
sposób tatrzański w cieście smażone, które wybornie sma-  
kowały zgłodniałym wycieczkowiczom. Potem wniósł na  
dużym półmisku wspaniałego łososa, złowionego w Mor-  
skiem Oku, z sosem tatarskim. Warburton okazał zdziwienie  
na widok tej wykwintnej potrawy.

— Co widzę? — zawołał. — Morska ryba tutaj! Zbyt  
wielka odległość tego zakątka górskiego od morza i brak  
kolei żelaznej nie pozwala przypuszczać, aby została skąd  
inąd sprowadzoną, zwłaszcza w czasie gorącego lata. Sły-  
szałem, że istnieje jakaś legenda o łączności podziemnej  
tego jeziora z morzem. Czyżby to było prawdą?

— Legenda rzeczywiście istnieje — odrzekł Witold —  
i znajdowała wiarę nawet u inteligencji. Mówiono, że jakiś  
kupiec znalazł tutaj szkatułkę zgubioną podczas morskiej  
podróży, a Stanisławowi Augustowi przyniesiono nawet  
odłamki z belek, znalezionych na powierzchni Morskiego

Oka, mających być szczątkami rozbitego gdzieś na morzu okrętu. Okruchy te wystawione były w zamku królewskim w Warszawie na widok publiczny, a rząd austriacki wydelegował nawet komisję naukową do badania Karpat, która przedsięwzięła sprawdzić wiadomości o komunikacji morza z jeziorami tatrzańskimi.

— Morskiemi oczami zwano wszystkie stawy tatrzańskie — wtrącił doktor — było ich aż sto dwadzieścia!

Profesor Strand, którego to zaczęło interesować, odezwał się:

— Gdyby jezioro łączyło się z morzem, musiałyby ulegać przyptywom i odpływom.

— Tak też twierdził jeden z członków komisji, nawet zatknął znak na brzegu Ciemnosmereczyńskiego<sup>1)</sup> jeziora; ale nazajutrz nie znalazł żadnej zmiany. Woda ani się podniosła, ani opadła. Osądził więc, że legenda nie jest oparta na rzeczywistości.

— Tradycję o morzu spotyka się i u ludów, w innych górach zamieszkujących — wtrącił Warburton.

— Że łączność ta nie istnieje, dowiódł tego niedawno znakomity przyrodnik polski, Eugenjusz Dziewulski, który pomierzył większe jeziora tatrzańskie. Mierzył on głębokość tego jeziora z całą dokładnością i badał dno jego zapomocą przyrządu, wynalezionego przez profesora Dybowskiego przy mierzeniu Bajkału. Wasza Miłość pewnie o nim nie słyszał?

— Wiem, wiem, Dybowski, znakomity przyrodnik i podróżnik. Rozpisywał się o nim w swoim czasie *Times*.

— Otóż przyrząd ten puszcza się z ciężarkiem na dno, a jest zaopatrzony w metalową szczękę z kolcami, dla chwytania tego, co się na dnie znajduje. Dziewulski więc, używając tego przyrządu, nietylko zbadał głębokość jezior, ale pozbiierał muł, znajdujący się na dnie, a z mułem i różne żyjątka, które znowu zdeterminował profesor Ślósarski.

---

<sup>1)</sup> Jeziora Ciemnosmereczyńskie leżą między turniami Miękuszo-wieckiego szczytu, Cubryny i Koprowego Wierchu.

— Jakąż tedy znalazł głębokość?

— Rozmaitą. Największa wynosiła około pięćdziesięciu metrów, a mierzył je w różnych miejscach. Zdjął bowiem dokładny plan dna jeziora i podzielił na siedem równych części, które badał w odległościach stumetrowych.

— Ale owa komunikacja podziemna z morzem znajdować się może w miejscu, którego nie dotknęła ołowianka — wtrącił Henryk.

— Kiedy on nietylko wzdłuż, ale i wszereż jezioro przemierzył.

— Co też owa szczęka metalowa złowiła na dnie?

— Okrzemki, korzenionózki i trochę mułu.

— Bardzo lichy połów...

— Tak! Na dnie kamienistym, blokami zawałonym, trudno o rozwój bogatej fauny dennej, a że i dostęp do większości jezior tatrzańskich jest niemożliwy dla ryb i leżą one nieraz zbyt wysoko, skutkiem tego więc jeziora tatrzańskie są bezrybne, a to, przy którym znajdujemy się obecnie, jest obok Czarnego Stawu jedyne, w którym poławiają się pstrągi i łososi, i dlatego też zowie się Rybiem.

— A więc lipienie, które widzimy jeszcze na stole, nie pochodzą z Rybiego?

— One poławiają się w potokach.

— Towarzystwo Tatrzańskie zaprowadziło prawidłowy chów łososi i pstrągów — wtrącił Jakób. — W tym celu zarybiony był Dunajec oraz inne rzeki i stawy tatrzańskie. Doświadczenie pokaże, o ile się powiedzie ta hodowla.

— Ale nie dowiedziałem się dotąd, pomimo waszej długiej rozprawy, moi panowie, skąd wzięta się tu na stole morska ryba, której szczególnym jestem amatorem. Dowiedliście, że Morskie Oko nie ma komunikacji z morzem; więc pytam po raz trzeci, skąd się tu wzięta? Bo o pstrągach wiem, że żyją w górskich potokach i posuwają się aż do stawów. A czemu żyją tu ryby, skoro przezysta woda stawów zdaje się nic żyjącego nie zawierać?



— Tak znowu źle nie jest. W wodzie naszych stawów jest pewna ilość planktonu, t. j. stworzonek, wiodących żywot w wodzie, gdzie stale bujają zawieszane. Są to owe przejrzyste drobnutki skorupiaki: widłonogi, liściognogi i małżoraczki, są pewne drobnutkie robaki, występujące masowo, wreszcie nad wodą latają owady, i te są w powietrzu chwywane przez zwinne pstrągi, wyskakujące z wody rzutem dobrze wymierzonym, jak nietoperz lub jaskółka; tutaj zaś łowić mogą gąsienice i poczwarki. Co do łososia, nie jest to stały mórz mieszkaniec, ale ryba wędrowna. Żyje w wodzie morskiej i słodkiej. Na wiosnę ciągnie z morza Bałtyckiego i Niemieckiego do Renu, Łaby, Wezery, a u nas do Wisły i jej dopływów, to jest Dunajca z Białką, Sanu, Skawy, Bugu. Wodospady, tamy i inne zapory, napotkane na drodze, przeskakuje i idzie coraz dalej pod wodę, aż ku źródłowiskom rzek. Tutaj czas jakiś przebywa, tu składa ikrę na dnie wody w dołek, który sam wygrzebawszy, następnie zagrzebuje starannie. Po dokonaniu tego, wracają łososie jedne po drugich do morza, o ile ich rybacy nie wyłowili. Młode rodzą się w rzekach, ale kiedy płyną niemi do morza, wiadomo: to tylko pewne i to jest ich cechą szczególną, że podrósłszy w morzu, wracają składać ikrę w te same rzeki, w których się zrodziły.

— Między zwierzętami często się zdarzają takie objawy patryjotyzmu — rzekł Strand.

— Ludzie mogą się od nich niejednego nauczyć — dodał Jakób.

Warburton podniósł się i rzekł:

— Wybaczcie panowie, że się oddalę, jestem bardzo znużony. Nie mówię wam dobranoc, bo wkrótce zapewne podążycie za mną. Do widzenia.

Przy stole zapanowało milczenie.

— Co się stało sir Edwardowi? — zawołał Witold, gdy Warburton oddalił się. — Tylko co mówił, że łosoś jest

jego ulubioną potrawą, a gdy tę potrawę podano, zaledwie jej dotknął, już odchodzi... A doprawdy, że kucharz ją wybornie przyrządził. Prawdziwe arcydzieło!

Przysunawszy półmisek, nałożył sobie sporą porcję na talerz i dodał:

— Ale ja jutro na obiad przyrządę potrawę, która nie wiem czy smakować będzie Anglikowi.

— Co! Pan się zna na kucharstwie? — zapytał Walter zdziwiony.

— Tak, trochę...

— Czy można wiedzieć, co to będzie takiego? — zapytał Jakób.

— Zobaczysz pan jutro.

I zaczął zcicha pogwizdywać, co było u niego oznaką dobrego humoru — wreszcie dodał:

— Szkoda, że sir Edward nas opuścił: chciałem opowiedzieć państwu legendę o Morskiem Oku.

— Opowiedz nam pan, opowiedz — wołali wszyscy — prosimy bardzo.

— Ale i na nas już czas spać: odłóżmy opowiadanie do jutra — drożył się Witold, czem jeszcze więcej wszystkich zaciekał.

— Powieść chyba nie będzie długa — wtrącił Walter — więc wypijmy jeszcze po jednej szklaneczce.

— Zgoda — rzekł malarz, biorąc butelkę, a gdy wszystkim napełnił kieliszki, tak mówić zaczął:

— Gdzie teraz wznoszą się góry i skały, poprzerzynane wąwozami, rozciągał się niegdyś kraj równy, żyzny, pokryty łąkami złocistego zboża, kwiecistymi łąkami i zielonymi lasami. Cała ta ziemia bogata, aż po granicę węgierską, była własnością możnego polskiego pana, który się zwał Morski. Był on wdowcem i miał córkę jedyną cudnej urody; miłował ją nad życie, otaczał dostatkami, nie odmawiał niczego. Młoda dziewica mieszkała w zamku wspaniałym, przechadzała się po ogrodach przepysznych, pełnych naj-

rzadszych owoców i kwiatów, stroiła się w kosztowne szaty i klejnoty.

Wśród tych bogactw i tego przepychu, brakło jej tylko jednego najszacowniejszego skarbu: opieki i troskliwości macierzyńskiej. Ojciec, choćby najlepszy, nie zdoła dziewczęciu matki zastąpić. Czuł to pan Morski i ciężko wzdychał, ilekroć przypomniawszy sobie złą towarzyszkę, którą przed laty utracił. Tymczasem córka dorosła; sława niepospolitej jej urody rozniosła się po całym kraju — mnóstwo też młodych panów zajeżdżało na zamek pana Morskiego, pragnąc pozyskać rękę pięknej jego córki. Ojciec jednak nie śpieszył się z wyborem: każdemu odpowiadał, że dziewczę jeszcze za młode.

Panna Morska wyszła raz na jagody do lasu w towarzystwie służebnych swych dziewcząt, a ponieważ pogoda była piękna, wesoła gromadka zapędziła się za daleko, zabłądziła i nie wiedząc o tem, przekroczyła granicę węgierską. Na Węgrzech panował wówczas młody i urodziwy książę; ten właśnie wyjechał był na łowy do lasu, spotkał dziewicę zbłąkaną, powitał z uszanowaniem — i z rycerską grzecznością do granicy odprowadził, drogę wskazał, przy pożegnaniu zaś powiedział, że wkrótce o nim posłyszysz.

Książę rozmyślał się srodze w pannie Morskiej: chociaż nie była ani królewną, ani księżną, postanowił ją wziąć za żonę. Wyprawił też niezwłocznie posłów do polskiego pana, prosząc o rękę córki; ani wątpił, iż przychylną odpowiedź otrzyma: był przecież księciem udzielnym. Ale pan Morski posłów z niczem odprawił: powiedział im, że córki swej jedynej za Węgrzyna nie wyda, choćby był królem, nietylko księciem, gdyż pragnie ją widzieć żoną rodaka.

Zdziwił się książę i zasmucił; nie stracił jednak wszelkiej nadziei. Sam z licznym orszakiem pojechał na zamek Pana Morskiego, wziął z sobą dary bogate dla ojca i dla córki, kłaniał się i prosił pokornie, aby mu piękną dziewczę oddano za żonę. Lecz i tym razem otrzymał taką samą

odpowieź; pan Morski darów nie przyjął, córkę zamknął i nawet gościowi nie pokazał; poprzysiągł też uroczyście, że nie wyda jej nigdy za Węgrzyna, bo chce mieć zięcia swojaka. Książę ze smutkiem odjechać musiał.

Pannie Morskiej podobał się urodziwy młodzieniec, a może więcej jeszcze ujęło ją wysokie jego dostojenstwo. Była córką możnego i bogatego pana, lecz zapragnęła zostać księżną panującą; płakała więc i narzekała na srogość ojca, błagała gorąco, aby od postanowienia odstąpił i pozwolił jej węgierskiego księcia zaślubić! Ale on tem więcej się uparł, ofuknął ją po raz pierwszy w życiu z gniewem wielkim, zabronił myśleć o Węgrzynie i zagroził, że ją przeklnie, gdyby ważyła się kiedykolwiek wolę jego przelamać.

Aż oto w tym czasie król polski rozesłał wici po całym kraju, wzywając wszystkich, kto w Boga wierzy, na wielką wojenną wyprawę przeciw Tatarom. Pan Morski był mężnym rycerzem: wnet hufiec zbrojnych wystawił i stanął na jego czele. Nim odjechał, obawiając się o bezpieczeństwo swego zamku, córkę odwiózł do klasztoru i powierzył opiece pobożnych zakonnic. Potem wyruszył w pole za królem.

Wojna trwała bardzo długo, pan Morski nie wracał i nie dawał znać o sobie. Tymczasem młoda jego córka nudziła się w murach klasztornych, tęskniła za pięknym światem, za lasami zielonemi, za kwiecistemi łąkami, za śpiewem ptasząt i szmerem strumieni. Pewnego wieczora, gdy siedziała sama jedna w swojej celi, a zakonnice wszystkie modliły się na chórze, drzwi skrzypnęły zcicha i weszła nieznamoma staruszka. Była to żebraczka, która wprosiła się za kratę klasztorną i przypadkiem niby do panny Morskiej trafiła.

Ale staruszka ta знаła się na różnych czarach; przysłał ją książę węgierski, aby urok rzuciła na piękną dziewicę, którą postanowił wbrew woli ojca poślubić. Żebraczka, obdarzona hojnie przez panienkę, prosiła ją, aby pozwoliła

sobie powróżyć; ta chętnie na to przystała, chcąc się nieco rozerwać. Wróżka wzięła rękę dziewczyny, wpatrywała się w nią długo, kiwała głową i tak mówiła:

— Piękna panienko, czeka cię los bardzo świetny i szczęśliwy. Opuścisz wkrótce ten klasztor, nie na mniszkę ty jesteś stworzona! Będziesz panią wielką, zamieszkaż w pałacu wspaniałym, w komnatach złocistych, zasiądziesz na książęcym tronie. Małżonek twój przyszy, młody, urodziwy książę, proch zmiatać będzie przed stopami twemi, obsypie cię złotem, klejnotami, bogactwem wielkiem. Nigdy nawet we śnie nie marzyłaś o takim szczęściu, jakie czeka ciebie.

Gdy wróżka tak mówiła, panienka przypomniała sobie księcia węgierskiego, który to dziewczosłębów przysyłał do zamku jej ojca; nie wątpiła, że małżeństwo to postanowione jest w wyrokach przeznaczenia. Stara wróżka czarodziejka urok na nią taki rzuciła, że odtąd ciągle o młodym księciu myślała i wydawał jej się najpiękniejszym i najlepszym ze wszystkich ludzi na świecie. Dni upływały, ojciec nie wracał, dziewczyna nudziła się sama jedna w klasztorze, tęskniła i wzdychała.

Przyszła wróżka raz i drugi: wpuszczano ją łatwo do klasztoru, bo umiała się ułożyć i udawała pobożną pielgrzymkę. Tym razem już nie wróżyła panience; ale gdy nikt nie widział, wyjęła z pod ciemnego płaszcza kosztowną skrzyneczkę, złotem okutą, otworzyła ją, a panna Morska aż wykrzyknęła z podziwu. W skrzyneczce były takie przepyszne perły i korale, jakich nigdy w życiu nie widziała. I powiedziała jej stara wróżka, że to młody książę węgierski przysyła te dary wraz z pozdrowieniem narzeczonej swojej i ma nadzieję wkrótce ją nazwać swoją małżonką: oznajmiły mu to wróżki przeznaczenia.

Panienka przypomniała sobie wprawdzie, że ojciec przekleństwem jej zagroził, gdyby wyszła za cudzoziemca przeciw jego woli; lecz uroki wróżki wielką miały siłę: coraz rza-

dziej myślała o ojcu, coraz częściej o pięknym węgierskim księciu. Aż pewnego dnia stanął u furty klasztornej mnich sędziwy, z kijem pielgrzymim w ręku i o jałmużnę prosił. Zakonnice, nie przeczuwając zdrady, wpuściły go do wnętrza i kazały dać posiłek w refektarzu.

Tym mnichem-pielgrzymem był przebrany ksiązę węgierski. Gdy zakonnice modliły się na chórze, on pannę Morską odszukał i namówił, aby z nim wyszła pokryjому z klasztoru. Owa wróżka, czarodziejka, wierna jego sługa, dała mu zioła usypiające; więc ksiązę obsypał nimi psy, co strzegły klasztoru, a tak niepostrzeżony przez nikogo panienkę uprowadził. Wpobliżu stały konie wpogotowiu pod strażą masztalerza; ksiązę zrzucił habit mnicha, w przepysznym rynsztunku wskoczył na konia, pannę posadził przed sobą i pomknął cwałem do Węgier. A tam w kościele czekał kapłan ze stułą i tegoż dnia jeszcze panna Morska księżną została.

Sprawdziły się zrazu słowa wróżki: ksiązę miłował małżonkę swoją i wszelkich starań dokładał, aby była szczęśliwą. Osadził ją w przepysznym pałacu koralowym, lśniącym od złota i klejnotów. Cały dzień księżna młoda płaśała po łąkach kwiecistych, a wieczorem wróżki śpiewały jej pieśni uroczę i do snu ją kołysały. Młode małżeństwo żyło zgodnie i szczęśliwie, wszystko im się wiodło, mieli dziećmi siedmioro ślicznych i zdrowych; w kraju ich panował dobrobyt, zboże pięknie rodziło, nigdy przez te lata nie przytrafiła się klęska żadna, ani grad, ani powódź, ani pożar.

Upłynęło lat z dziesięć, o panu Morskim nie było słyhu. Dawno już wojna się skończyła, rycerze do domów powracali; o nim wieść się rozniosła, że zginął z ręki Tatarów. Córka przywdziała żałobę, dobytek po ojcu zabrała i zapomniała zupełnie o groźbach i przekleństwach.

Aż dnia pewnego niespodzianie powrócił stary pan Morski z niewoli tatarskiej. Zajechał do zamku swego; poznała go służba, witała pana z radością, bo dobrym był

zawsze dla sług. On zaraz o córkę spytał, więc mu powiedziano, że księżną jest węgierską i mieszka niedaleko w pałacu koralowym.

Pobiegł tymczasem któryś ze sług wiernych do księżny i dał jej znać o powrocie ojca. Złękła się nieco, lecz sądziła, że dziś, po tylu latach, ojciec zapomni dawnych postanowień i przebaczy. Więc śpiesznie na czarne szaty żałobne, włożyła klejnoty i do ojca iść chciała na zamek. Lecz zaledwie wyszła, spotkała go przed swoim pałacem i witać poczęła czułemi słowy. Stary pan Morski podniósł groźnie prawicę wgórę, nogą o ziemię uderzył i pałac koralowy rozsypał się w gruzy, a on wymówił słowa przekleństwa:

— Oby ten Węgrzyn twój i całe mienie jego przemieniło się w kamień!

Księżna, przerażona, przywołała dzieci swoje i z płaczem rzewnym objęła kolana ojca, błagając go o litość, a on z większym jeszcze gniewem wykrzyknął:

— Rozpłyni się we łzach swoich, a dzieci te niech w nich potoną! Aniś ty córka moja, ani one moje wnuki!

I wnet spełniło się straszliwe przekleństwo ojcowskie. Pola, lasy, łąki, pałace i wioski, wszystko znikło — natomiast dzikie skały i głazy zaległy całą okolicę. Przeważenie ogarnęło księcia, przebrał się za mnicha, jak niegdyś, gdy do klasztoru podstępnie się zakradał i umknąć chciał do swojej węgierskiej stolicy. Lecz w jednej chwili zmartwił i skamieniał, a postać jego do tej pory stoi tu nad jeziorem niewzruszona i „Mniczem“ się zowie.

Księżna patrzyła na to i zalewała się gorzkimi łzami; zgromadziła dziatki dokoła siebie i wielkim głosem wołała wróżek swych, czarodziejek, na ratunek. Lecz moc ich nie mogła zażegnać ojcowskiego przekleństwa. Zbiegły się przelęknione i drżące, każda chwyciła na ręce jedno dziecko i uciekała z niem z tych miejsc okropnych: ale skały i głazy rosły pod ich stopami i zagradzały im drogę.

Posiadały więc wszystkie, bezsilne i smutne, czekając śmierci — bo widziały, że niema tu dla nikogo ratunku.

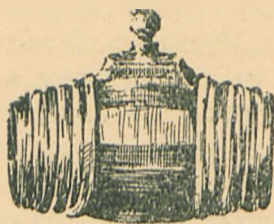
Dzieci płakały i żałośnie wołały matki, ona kolejno przybiegała do nich i tuliła je, a z oczu jej łyły się strumieniem — lały się bezustanku, spływały w doliny i powstało z nich siedem stawów. W każdym stawie jedno dziecko zatoneło. Wówczas księżna zapłakała tak rzewnie, że wypłakała oczy. Jedno stoczyło się z wysokiej skały i wpadło do głębokiego stawu, który też stąd nosi nazwę Morskiego Oka. Nakoniec i sama księżna wpadła w staw inny, a że czarne szaty miała na sobie, więc woda zabarwiła się od nich i staw Czarnym się zowie.

— Takie podanie opowiada lud tatrzański o swoich skałach i stawach — dodał Witold, skończywszy opowiadanie, i sięgnął po kieliszek.

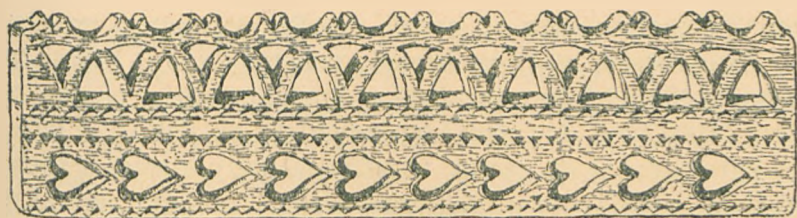
Walter, słuchający z wielkiem skupieniem, odezwał się:

— W tem opowiadaniu jest dużo poezji i tragizm wielki, a jak nić czerwona, przebłyskuje piękna zasada, którą stoją narody: Przy swoim stać i swoje miłować.

Gdy towarzysze baroneta wracali do izby, przeznaczonej na nocleg, baronet nie spał jeszcze, bo w ciemności błyszczał ogień jego cygara. Że jednak nie odzywał się wcale, więc udali, że tego nie spostrzegają i zachowywali się jak mogli najciszej.







## XI.

### KOBIETA BEZ ZŁOŚCI.

*Kobieta puch marny! kobieta niebianka.  
Kobieta to cacko! To raju mieszkanka!*

*Krakowowa: Kobieta.*

Szaro jeszcze było, gdy goście, nocujący w schronisku, zaczęli wstawać. Trzask ognia, rozmowy górali, bieganina, wszystko wskazywało, że dzień się zbliża. Lady Chester, której różnorodne myśli długo nie pozwalały zasnąć i za ledwie się teraz zdrzemnęła, została wczesnym ruchem przebudzona i jęła po francusku wyrzekać na barbarzyński kraj, na brak spokoju, na twardość łoża, i wzdychała swoim zwyczajem za Szwajcarią, hotelami, w których się czuje Europę, oraz na dziwactwo baroneta, którego niewiadomo co pociągnęło do pół Azji.

Fanny nie próbowała przeczyć, bo uważała to za rzecz bezużyteczną, a nieużytecznych rzeczy unikała z zasady. Zrobiła tylko w myśl milady nawiasową uwagę, że szkoda, iż dostojna pani na ten rok sprzeniewierzyła się Alpom. Ale uwaga ta rozgniewała ją jak dotknięcie bolącego miejsca rozpalonem żelazem. Rzuciła nienawistne, podejrzliwe spojrzenie na towarzyszkę i umilkła, poczem wznowiła narzekania na niewygodne posłanie. Młoda dziewczyna z anielską ciepłością kilkakrotnie odwracała i przekładała poduszki. Wreszcie gdy zaczynało świtać, i goście ze schroniska wy-

sypali się gromadnie na ganek, zrobiło się ciszej i milady, po dwukrotnem zażyciu bromu, usnęła. Fanny, którą od wczoraj nie odstępowała myśl o Branchiopodzie, postawiła przy łóżku pani dzwonek i wysunęła się na palcach z izby.

Zgromadzeni na ganku turyści pili przy stołach gorącą herbatę, otulając się w płaszcze i pledy, bo chłód przenikał do kości. Rozmawiali półgłosem, jakby się bali kogoś śpiącego przebudzić — tylko łyżeczki brzęczały o szklanki. Jeziora nie było jeszcze widać: leżała na niem mgła, czyli jak górale mówią „szmata“, biała, ciężka — zasłaniała wszystko dokoła i zdawała się być nieruchomą. Była ona tak gęsta, że odbijała na sobie odblask ogniska, palącego się na kominie, wprost drzwi wchodowych. Przy ognisku tem skupieni przewodnicy palili papierosy, gazda gotował wodę w kotliczkach na herbatę, a wszyscy przypatrywali się ciekawie Witoldowi, jak trzymając rondel w jednej ręce, a w drugiej łyżkę, uwijał się koło komina, pożyczwszy fartucha od Jerrego.

Choć w powietrzu była cisza, jednakże niektórzy z siedzących na ganku uczuwaliby na twarzy leciutkie powiewy wiatru i wyrażali nadzieję, że on wzmoże się i rozpędzi mgłę. Rozmawiając półgłosem, sprzeczali się — czy jezioro zostanie odsłonięte, czy nie — a Jack i Jerry zrobili zaraz naprędce zakład.

Świt zbliżał się coraz wyraźniej: przez szmatę przebiegło lekkie drżenie i znowu zaległa na niej nieruchomość. Wtem z boku, przeleciała przez szmatę błyskawica, za nią druga i trzecia — co jedna to dłuższa; przeglądały przez mgłę jakieś blaski, jakby kto zapalał pochodnie: widnem było, że się coś dzieje za tą zasłoną, jakby w świątyni... coś tajemniczego, niezwykłego, i patrzących brała ciekawość, co to takiego. Nagle stało się coś dziwnego: szmata rozdarła się na poły, i połowy obie jęły się drzeć na strzepy, odsłaniając kawałkami szybę jeziora, a strzepy jak stado ptaków, wlatywały ciężko wgórę, chwiejąc się, ważąc, i jakby

siły do lotu wyższego nie miały, czepiały się skał, opadały, wznosiły się znowu, aż posiadały nad szczytami turni.

Wszyscy powstawali, przypatrując się temu dziwnemu, ciekawemu zjawisku, w którym co sekunda niemal, to była zmiana. Słońce nie oświeciło jeszcze powierzchni wody, boki pozostały w cieniu, tylko po przez szczyty skał, ukosnie, szedł promień coraz dłuższy, a za nim jeden, drugi, dziesiąty, od zapalonych szczytów, i kładły się na stawie niby struny harfy olbrzymiej, po której żwawo uwijały się pstrągi. Patrzący wstrzymywali oddech, jakby czekali na mającą się ozwać pieśń, którą każdy słyszał w swej duszy przy wtórze monotonnego szumu wody. Wreszcie na harfie tej położył się zielonawy cień, a w miarę jak słońce, idąc coraz wyżej, rozjaśniało ściany turni, bladła harfa, aż rozplynęła się jak mgła — cień ustępował ku brzegom jeziora, które też okrążył; środek zajął ciemny granat, mieniący się chwilami szafirem, a w szafirze tym przeglądały się ściany, jak w najczystszej zwierciadle. Wystąpiły teraz najaw tysiączne szczegóły niewidzialne dotąd: żleby, skarpy skalne, paprocie, krzaki kosodrzewiny, smereki i piękne ciemno zielone limby.

Warburton patrzył, pijąc całą duszą poezję tego widoku, a w oczach jego widniał zachwyt. Zapomniał o wszystkim, a widział przed sobą tylko grę barw, zmieniających się ustawicznie, światła i cieni. Ktoś się za nim poruszył: obejrzał się. Był to Witold, który już fartuch odparał i przyglądał się wraz z innymi.

— Powiadają, że niema dwóch listków na drzewie, zupełnie podobnych do siebie — przemówił młodzieniec — i ja powiem, że w górach żaden dzień nie jest do drugiego podobny, a malarz i poeta, znajdują zawsze coś nowego do wyśpiewania lub namalowania. Kilka razy widziałem wschód słońca przy Morskiem Oku, i zawsze miałem niespodziane wrażenie. Gdy Witkiewicz tu był, zasłona z mgły nie rozdzierała się tak na poły, jak dzisiaj. Nad szczytami rozpięte

było niebo jasne, nikłe, blade; świat wyglądał, jakgdyby mdał i konał. Nad wodą płynęła lekko mgła, która, uchodząc za biegiem wody, skryła się po lasach, uniosła nagle ponad smereki i ciągnęła znów w górę ku Morskiemu Oku, jakby ptak górą wracał z nocnego żerowiska do swego gniazda, którem jest cała kotlina jeziora. Wielkie białe skrzydła tego ptaka pływały bez szumu, ważąc się nad głębią wody: nagle jakby porwane przerażeniem uniosły się w górę po płaszczyznach ścian pionowych, zwijały znów, roztaczały i rozpraszały, uniesione prądem powietrza gdzieś poza skałami. Ogniki na szczytach rozpały się tak jak dziś, a gdy olbrzymi snop światła wytrysnął z za ciemnych skał i upadł na brzeg jeziora w stronie Rysów, wszystko dokoła ściemniało, woda jeziora zamroczyła się, jakby zatopiła się w niej noc bezksiężycowa, lasy szerniały i tylko tam u przeciwnego brzegu wysunięty skrawek ziemi świecił jak elektryczne ognisko. To było słońce: ono stopiło kryształny szronu i drgało w ciężkiej rosie, zalewającej mchy i trawy i korony limb, które jak białe płomienie zapalały się, gdy ich dotknęła pożoga słonecznych blasków.

— Jest wielka siła w tem malowaniu — wtrącił Warburton — i plastyka taka, że się widzi własnymi oczyma cały obraz, inny od tego, jaki mamy przed oczyma, ale równie piękny.

— W Morskiem Oku widzi on naprawdę podobieństwo do oka, zwłaszcza przy blasku słońca. Otoczone jasnymi gruzami granitów niby białkiem, z czarną w środku źrenicą, rozchodzącą się do brzegów przezroczystymi tonami seledynowemi, z tym połyskiem słonecznym, zdaje się patrzeć w niebo z pod szarej skał powieki.

— To prawda — przyznał Warburton — zdaje mi się, że pański kolega w sztuce widzi to samo co ja w charakterze tych gór: tragedję, której ślady odgadujemy w ich potężnej rzeźbie. Byliśmy u sarkofagu Giewontu, u ramion krzyża na Krzyżnem i teraz oto widzimy, jak Mnich ska-

mieniały ciężką odbywa pokutę, jak Morskie Oko niestrudzoną źrenicą patrzy w niebo i pewnie płacze licznymi strumieniami.

Witold bystro spojrzął na mówiącego.

— On wszędzie widzi duszę — odrzekł — przedmioty martwe pod jego wzrokiem żyją: limba trzyma się jeziora i nie śmie iść w górę; smereki nie schną, ale umierają, jedna tylko woda zdaje się być trwałą jak wieczność!

Tu opowiedział Warburtonowi legendę o Morskiem Oku, której tenże wysłuchawszy, rzekł:

— Legenda ta ma w sobie dużo poezji i jest wysoce tragiczna, jak zresztą całe otoczenie tego jeziora i cała droga od Pięciu Stawów. Niewątpliwie działy się tu niegdyś straszne rzeczy pod działaniem ognia i wody, ale w osnowie legendy krystalizują się pięknie pewne uczucia, pewne pojęcia tego ludu. Teraz gdy ją znam, zdaje mi się, że Mnich ten kamienny naprawdę ludzkie ma kształty, i że ziemia wasza patrzy na mnie wymownemi oczyma swych jezior.

— Liczba tych jezior coraz się zmniejsza. Sto lat temu jeszcze Staszyc widział za Mnichem Staw Czarny, z którego dzisiaj pozostała tylko martwa kotlina, niby „oczodół po wylupionem oku“, jakby powiedział Witkiewicz. Takich oczów bez źrenicy jest więcej w Tatrach.

— O jaką to granicę Węgry spór z wami wiodą?

— O Morskie Oko.

— Zatem o to jezioro!

— Tak, środkiem chcą przeprowadzić granicę. W sprawie tego kawałka gruntu nieraz już krew się polała. Węgrzy budowali schroniska na spornym gruncie, a górale rozbierali je; bywały bójki z żandarmami węgierskimi i niejeden padł trup.

— Cóż będzie dalej?

— Sprawa oparła się o parlament i ma pójść pod sąd polubowny. Prawa nasze opierają się na starych dokumen-

tach, jakich przeciwnicy nie mają. Rozjątrzenie na Węgrów jest ogromne.

— Dlaczego Morskie Oko zowie się także Rybiem?

— Dlatego, że się w niem ryby poławiają. Ale tam oto pod Rysami jest drugie jezioro, zwane Czarnym Stawem; idzie się do niego kwadrans pod górę. Jest ono zupełnie martwe; żadne większe istoty żyjące nie zaludniają jego wód. Czy Wasza Miłość życzy sobie je zobaczyć?

— Ależ naturalnie, moi panowie; toż to wielka osobliwość! Gdybym poprzestał na Rybiem, byłbym w położeniu tych, co będąc w Rzymie, nie widzą papieża.

— A więc po śniadaniu siądziemy na tratwę i popłyniemy do drugiego brzegu?

— Dobrze. Ale gdzie to jest profesor...

Urwał. Rozległ się huk wystrzału.

— Co to jest? — zapytał, marszcząc brwi. — Komu przyszło do głowy zakłócać spokój tak pięknego poranku?

Witold dostrzegł na drugim brzegu jeziora lekki dymek, unoszący się nad wodą i coś przytem pluskającego, co potem znieruchomiało i rzekł:

— Wydrę ubito.

Z zarośli wyszedł wysoki, barczysty góral i wyciągnął zwierzynę na piasek.

— Nie wiedziałem, że wydry tu przebywają — rzekł baronet.

— Tak; zachodzą one potokami aż wgłąb Tatr. Po raz to drugi już ubito wydrę w Morskiem Oku. Zwierzątko to poluje tu czasem na ryby.

— Ale gdzie to jest profesor Strand? — zapytał znowu Warburton, oglądając się. — Nigdzie go jakoś nie widzę. Czyżby spał jeszcze?

— Ja go już przed godziną widziałem ubranego — rzekł Witold.

— Gdzież on może być zatem? Chodźmy go szukać, bo przecież nie pojedziemy bez niego.

O kilkadziesiąt kroków od schroniska, między złomami granitu poruszało się coś, ale nie można było dojrzeć, co takiego, zwierzę czy człowiek. Chwilami to coś zatrzymywało się, lub stało nieruchome, niepewne, wahające: postępowало naprzód i cofało się — od czasu do czasu pochylając się bardzo, lub kładąc na ziemi. To coś przypominało z kształtów uschły smerek, takie to było chude i kościste, tylko kapelusz zdradzał, że to człowiek. Ale i kapelusz wkrótce gdzieś zniknął, a zdała w słońcu połyskiwała ogołociona z włosów głowa ze sterczącymi po obu stronach kosmykami włosów. To profesor Strand, obojętny na piękność wschodzącego słońca, szukał między głazami swego Branchiopoda. Mało sto razy — eh, i więcej, nachylał się, kołując obok miejsca, w którym, jak mu się zdawało, słońce z rąk mu się wysunął podczas upadku; mało sto razy zdruzony podobieństwem, cieniem padającym od słońca, wyciągał rękę i zawodził się. Rozsuwał gałęzie kosodrzewiny, krzewy i mech, żeby poznał swoją omyłkę, z rozpaczliwą energią nanowo rozpocząć poszukiwania. Laskę gdzieś zatracił, okulary zsunęły mu się z nosa — jednak mniejsza o kapelusz i okulary, byle tylko Branchiopod się znalazł! Ale słońce zaczynało już złocić wąskim rąbkiem brzegi turni, a Branchiopoda nie było.

Pot spływał mu z czoła, odkryta łysina była cała czerwona, a żyły na niej nabrzmiały, jak sznurki granatowe. Ręce podrapane już miał do krwi; grzbiet od ciąglego nachylania się bolał tak, że profesor nie mógł go wyprostować; kolana były bardziej zmęczone, niż przy schodzeniu ze Świstówki — a może to raczej Świstówka w nich się odzywała! Gdyby choć na chwilę zwrócił uwagę na otaczający go świat, gdyby się choć raz obejrzał, zobaczyłby, że oprócz niego, ktoś jeszcze między głazami się pochylał i także czegoś szukał: ale nasz uczyony, wzorem wszystkich uczonych, nie widział nic prócz tego, co chciał widzieć, a czego upatrywał od kilku godzin. Nareszcie zdała bły-

snęło coś jak szkło między gałęziami kosówki. Profesor rzucił się gwałtownie ku temu świejącemu przedmiotowi, a nie mogąc go dosięgnąć, rękę pomiędzy kosodrzewinę zapuścił, i zaczepiwszy palcami nie bez trudności o słoik, wyciągnął go — ale o rozpaczy, był to słoik od konserw z angielską etykietą, rzucony tam widać przez turystów cudzoziemskich!

Biedny profesor jęknął boleśnie. Wtem posłyszał za sobą ruch między gałęziami kosodrzewiny, oraz szelest sukni kobiecej i słodki, dźwięczny głos zabrzmiał tuż przy nim:

— Dzień dobry, panie profesorze!

Profesor Strand struchlał; był to głos Fanny, Fanny wczoraj tak ciężko przez niego obrażonej z powodu nieszczęsnego Branchiopoda, a którą to winę okropnie wyrzucało mu sumienie. Wstyd odebrał mu mowę: był tak pomieszany, że zupełnie nie wiedział, co odpowiedzieć, a słodki głos zabrzmiał znowu tuż przy nim z odcieniem figlarności i triumfu:

— Czy to jest pański Branchiopod?

Profesor odwrócił się nagle, jak iskrą elektryczną tknięty. Fanny stała przed nim w niebieskiej płócienkowej sukni, rysującej wdzięcznie jej kształtną kibić, w dużym kapeluszu słomkowym, od którego padał cień na jej śliczną twarzyczkę, lekko zarumienioną. Patrzała na niego z uśmiechem, trzymając w wyciągniętej ręce słoik jego własny z Branchiopodem, pływającym w spirytusie, którego ani kropla się nie wylała, jak to wskazywał nienaruszony korek. W drugiej ręce trzymała kapelusz profesora, jego laskę i okulary. Twarzyczka Fanny wyrażała wesołość, radość i triumf.

Profesor niemal skamieniał na ten widok: taka wspaniałomyślność, taka wielkość duszy, wprawiła go w osłupienie.

— I to *pani* znalazłaś? *Pani* szukałaś mej zguby? Byłaś tak dobrą dla mnie... czy to podobna, miss Fanny, czy to nie sen? A ja panią obraziłem tak ciężko!



— To też zapragnęłam się zemścić, i jak pan widzisz, udało mi się!

Profesor chciał powstać, ale nie mógł; wyciągnął tylko rękę po słoik, mówiąc:

— O, miss Fanny, zemsta tak szlachetna, tak wzniosła, w tak marnej, tak przewrotnej istocie, jak niewiasta... to jest... jest... chciałem powiedzieć...

— To prawda — odrzekła — ale widzisz pan, my przewrotne istoty umiemy jednak szanować uczonych, a ja się cieszę serdecznie, że mogę choć tę drobną przysługę wyświadczyć wielkiemu człowiekowi! Oto pański kapelusz — dodała, kładąc mu go na głowę, bo słońce dogrzewało — a oto laska i okulary.

Ale profesor nie brał laski ani okularów, które mu dziewczę podawało. Patrzył na nią szeroko otwartymi oczyma, a piękna jej postać wydała mu się anielską.

— O, miss Fanny! — zawołał z uniesieniem. — Pani jesteś najrzadszym okazem zoologicznym, o jakiego istnieniu wątpiłem... to jest, chciałem powiedzieć, rzadkim gatunkiem, a raczej odmianą, to jest właściwie...

— Niech się pan nie trudzi wywodami, jakie miejsce należy mi dać w klasyfikacji naukowej — odrzekła ze słodyczą — bo wiem, że w oczach pańskich nie mam ani setnej części tej wartości, jaką ma Branchiopod! Nie jestem niestety, zabytkiem lodowej epoki, ale pomimo to pamiętam rzeczy dawne, gdy pan był bardzo dobry dla mnie, a ja byłam jeszcze małą. Pozwalał mi pan sobie towarzyszyć w wycieczkach nad jezioro w Rochdale, i rozmawiał ze mną dużo i z dobrocią wtedy, gdy nikt prawie na sierotę żadnej nie zwracał uwagi... I widzi pan, że „niema tego złego, coby na dobre nie wyszło“. Gdybyś się pan był wczoraj na mnie nie rozgniewał, kto wie, czy Branchiopod znalazłby się teraz!

— Więc pani nie gniewasz się, przebaczasz mi? O, miss

Fanny, jestem upokorzony wielkością duszy pani. Jesteś aniołem!

Profesor, mówiąc to, był ciągle jeszcze w klęczącej postawie. Wtem posłyszał za sobą zbliżające się kroki kilku osób, oraz ciche szepty, i tuż nad uchem zabrzmiał mu wesoły głos Witolda.

— A, to tak, panie profesorze? Grasz przed nami rolę śmiertelnego wroga niewieściego rodu, a w tajemnicy przed nami czcisz na kolanach boginię Psychę: czy się to godzi!

— Zapewnie państwo już po słowie — odezwał się Jakób, tłumiąc wesołość. — Winszujemy panu z całego serca! Sir Warburton niezawodnie nie odmówi swego zezwolenia. Jak to dobrze, żeś się pan przekonał do kobiet! Życie samotne, licha warte! Niema jak dobra żona. Stare nasze przysłowie polskie powiada: „Dobra żona mężowi korona“.

— A naturalnie — odrzekł Warburton, śmiejąc się — co do mego pozwolenia, niema najmniejszej wątpliwości; jestem szczerze z tego dumny, że tak uczony człowiek wejdzie do mej rodziny!

Profesor zerwał się, jak piorunem rażony. Zapomniał zupełnie, że pozostawał jeszcze dotąd na kolanach i że ta postawa właśnie potwierdzała domysły świadków tej sceny. Śmiertelna błądźliwość twarzy mu pokryła, a w oczach odmalowała się zgroza i przestach.

— Miss Fanny — odezwał się z ukłonem Witold, którego najwięcej rozweselił ten widok — afekt szanownego profesora jest poważny i nie od dziś się datuje. Trzeba wiedzieć, że profesor od dwóch tygodni nosi na sercu błękitną wstążkę, którą pani zgubiła w grotach Raptawickich, jak drogą relikwję, i krył się z tem pięknem uczuciem, jak ze zbrodnią!

— Ależ panowie, klnę się doprawdy, że... — wyjąknął nieszczęśliwy profesor.

— Nie zapieraj się pan i nie wstydź — rzekł Witold, wyciągając profesorowi z tylnej kieszeni kawałek błękitu. —

Afekt tak idealny, dziś, w wieku na wskrós prozaicznym, zaszczyt panu przynosi!

Fanny patrzała ze zdziwieniem na ów corpus delicti. Istotnie, była to jej wstążka, zgubiona w grotach Raptawickich!

— Tak, tak, kochany profesorze — dokończył Warburton. — Jestem szczęśliwy, żeś przewyciężył swój wstręt do niewiast i że będę mógł nazwać cię swoim kuzynem.

Profesor Strand spuścił głowę; wiedział on, że żadne wypieranie się, żadne tłumaczenie na nic się tu nie przyda, bo wszystko świadczyło przeciw niemu. Któż uwierzy w jego niewinność wobec tej nieszczęsnej wstążki, którą szatan chyba rzucił na jego drodze i której dotąd, mimo tylokrotnych usiłowań, pozbyć się nie zdołał! Ale kto to wyspiegował i jakim sposobem? Nikt inny, tylko ten łobuz Witold. Nawet wobec Fanny wszystko było stracone! Jakże śmiesznym wydawać jej się musi, jak zuchwałym, on, starzec prawie, noszący barwy młodego dziewczęcia, niby rycerz średniowieczny!... Nie śmiał oczu podnieść, ani na nią, ani na baroneta, ani na innych świadków tej sceny. Trzymał w rękach słoik z upragnionym Branchiopodem, nie widząc go nawet. Czuł, że jest zgubiony w opinii wszystkich, zgubiony niepowrotnie.

Fanny ze współczuciem patrzała na nieszczęśliwego człowieka, a domyślając się, że stał się, jak zwykle, ofiarą własnego roztargnienia i mimowoli wpadł w pułapkę, uczuła żal do obecnych, że bawili się kosztem jej starego przyjaciela — i zwracając się doń, przemówiła serdecznie:

— Panie profesorze, niech się pan uspokoi; ja wcale nie myślę iść za męż. Mój opiekun nie bierze tego wszystkiego na serjo i ci panowie tylko żartowali. Z mojej to winy stała się ta przykra dla pana omyłka; powinnam była pomóc panu zmienić niewygodną pozycję, gdy właśnie nadchodzili.

— Tak, kochany profesorze, nie będę pana zmuszał do

zaślubienia mej kuzynki, skoro jej nie chcesz, nie obawiaj się; ale zato, skoro masz już swego Branchiopoda, chodź z nami. Jedziemy wszyscy na drugą stronę jeziora, bo chcemy się dostać do Czarnego Stawu, znajdującego się tam wyżej. Tratwa gotowa do przewozu. A ty, Fanny, czy chcesz także pojechać?

— Nie mogę, sir, milady jeszcze nie wstała.

— Biedne dziecko! — powiedział ze współczuciem baronet. — Śpiesz się pan, panie profesorze, bo jedziemy zaraz.

Profesor nie odpowiedział; przybity i zgnębiony, powlókł się ku schronisku i zniknął w sieni.

— Gdzież pan idziesz? — wołał za nim Warburton. — Siadamy na tratwę!

Strand pokazał słoik z Branchiopodem, dając tem do zrozumienia, że musi tę cenną zdobycz w bezpiecznym miejscu zachować.

Warburton, Jakób, Witold, Henryk i Walter z Dawidem, któremu jeszcze kleiły się oczy, weszli na statek, gdzie już znajdowało się kilkunastu podróżnych: dwóch Węgrów i kilku Czechów. Siadłszy na ławie, rozmawiali, czekając na profesora.

— Zdaje mi się, że nasz uczonec ma do nas urazę za żart — powiedział baronet.

— Nie nasza wina, żeśmy go zastali w pozycji tak... wymownej — odrzekł, śmiejąc się, Jakób. — Niech tylko przyjdzie do nas, a przeprosimy go; to dobry człowiek i jestem pewny, że nie będzie długo w sercu chował urazy. Zresztą uspokoiła go już miss Fanny, i wie, że mu hymen nie grozi. Hm... niech mi jednak kto wytłumaczy, co znaczyła ta wstążka, z którą nie rozstawał się od dwóch tygodni?

— Roztargnienie, nic innego tylko roztargnienie — powiedział Warburton.

— Może ją uważał za przedmiot stroju damy przedhistorycznej — wtrącił, śmiejąc się, Witold.

— Ze środka jeziora zniknęła ciemność, a dno jego, jakby oświetlone lampą elektryczną, rzucało dokoła promienie, patrząc na podróźnych wielką, pełną blasku źrenicą. Czekano na profesora, ale upłynęły minuty, kwadrans, a on nie nadchodził. Współpasażerowie niecierpili się i przewoźnicy chcieli już odbijać, bo dużo jeszcze osób czekało na przewóz, tratwa zaś była tylko jedna na usługi turystów, ale Warburton zatrzymał jeszcze statek i posłał Henryka do Stranda. Chłopiec wrócił po chwili sam, mówiąc, że profesor prosi, aby odpłynęli bez niego, a on wkrótce pośpieszy do nich brzegiem jeziora: woli bowiem dostać się tam lądem, niż wodą.

— Skąd się wziął profesorowi ten wstręt do wody! — powiedział, kręcąc głową, baronet.

— Pewnie się na nas pogniewał — odrzekł Jakób.

Wiosła plusnęły i tratwa odbiła od brzegu; miała ona kształt podłużny i dwie barjery po bokach, aby siedzący na ławach, przechyliwszy się przypadkiem, nie wpadli w wodę. Współpasażerowie zaczęli rozmawiać półgłosem, czyniąc różne uwagi. Węgrzy, gorętszym obdarzeni przez naturę temperamentem, wyrażali głośno swój zachwył. Czesi z większem odzywali się umiarkowaniem, ale widać było po nich, że Morskie Oko wielkie na nich zrobiło wrażenie. Baronet, milcząc, palił cygaro.

Jeden z Czechów zaczął mówić z zapałem o Karkonoszach, o Lesie czeskim i o Szumawie, i narzekać, że wszędzie gęsto leżą siedziby niemieckie. Tatry nazwał „Alpami słowiańskimi“ i dodał, że tu Czech czuje się więcej swojsko niż we własnych górach, bo przynajmniej z Niemcami nie spotyka się na każdym kroku. Stąd przeszła rozmowa na Jelinka, rozkochanego w Tatrach i umiejącego budzić miłość między swymi do Alp słowiańskich, a Jakób, wielki miłośnik poezji i muzyki, ujął sobie bardzo Czechów, unosząc się nad pięknnością ich pieśni narodowych, a mianowicie nad pieśnią: „Kde domow moj“.

Henryk, którego uwagi nie uszedł żaden szczegół, patrząc na płaty śniegu w szczelinach skał, miejscami zaróżowione, skorzystał z przerwy w rozmowie i zwrócił się do Jakóba, pytając, skąd pochodzi czerwona barwa śniegu.

— Słońce — mówił — umalować go jeszcze nie mogło, bo cień właśnie pada na niego w tej chwili. Czyżby tam były jakie żyjące istoty? Ja myślałem, że tak wysoko jest już kres życia roślinnego i zwierzęcego.

— Nie — odrzekł doktor — życie, acz słabe, jest tam jeszcze. Śnieg wieczny zabarwiają na czerwono owe drobne roślinki, o których ci mówiłem na Krzyżnem. Zwą się one: Pierwotniak krwawy, *Haematococcus lacustris Rfski*; a znowu inne, *Chlamydomonas fluorovirens*, barwią na kolor zielonawo żółty. Jednokomórkowe te roślinki wyglądają jak kuleczki. A co do zwierząt, to po śniegach wiecznych napotkać można pchlicę śniegową, *Deegeria nivalis*. Pchły te jednakże nie kęsają.

— Choćby i chciały kęsać, to nie mają kogo — mruknął Witold. — Uprawiają one cnotę z potrzeby.

A Henryk odezwał się:

— Słyszałem, że tam pod Mnichem istnieje rozpadlina, a w niej skarby zakłète.

— A ja sędzę — odrzekł Walter — że w skałach tych są naprawdę skarby, niekoniecznie zakłète, ale rzeczywiste, pod postacią kruszców i minerałów, które czasem dopiero zostaną odkryte.

Witold uśmiechnął się z goryczą i zacytował wiersz Mro-zowickiej:

„Bogataś ziemio nasza,  
Oj bogata!  
Złotą się strzechą świeci  
Każda chata;  
Smaragdy cichych lasów —  
Wód kryształę —  
Kwiatów diademy żywe  
Cię przybrały.

A pereł masz najwięcej,  
Jasna pani;  
Z ócz naszych tobie płyną  
W ciągłej dani!“

Warburton słuchał: snać niski, melodyjny głos Witolda sprawiał mu przyjemność, bo słów, w obcym dla niego mówionych języku, rozumieć nie mógł. Walter zapytał go o coś, ale zamyślił się tak bardzo, że go nie słyszał. Utkwił wzrok nieruchomo w wody jeziora i nie uważał, że cygaro zgasło mu zupełnie. Muzyka zaczęła stroić instrumenty, a Warburton, przeniósłszy wzrok z powierzchni wody na brzeg jeziora, zatrzymał go na jakimś przedmiocie i wskazując ręką w tym kierunku, zapytał:

— Czy to nie profesor Strand? Patrzcie panowie! Zdaje mi się, że wyszedł ze schroniska i idzie brzegiem.

— Nie — odrzekł Jakób — profesor nie nosi góralskiego kapelusza z czerwonym piórem, ani cuhy.

— To Sabala! — zawołali górale.

— Sabala? — zdziwił się baronet. — Więc on tu jest? Nic o tem nie wiedziałem!

— Przyszedł dziś w nocy, a teraz idzie pod skałę mówić pacierz.

— A prawda — powiedział Walter — klęka, zdejmując kapelusz i ciupagę kładzie przy sobie na ziemi. Przeżegnał się.

— Sabala jest po swojemu nabożny — rzekł Jakób — i po swojemu pojmuje Pana Boga. Wyobraża Go sobie jako bogatego gazdę, a podobieństwo to doprowadza do najdrobniejszych szczegółów. Pan Bóg według Sabaly ma ubranie góralskie, a więc nosi też torbę góralską, a w niej składowak<sup>1)</sup>, ma w niebie chałupę całą cyfrowaną, z ławami pod okna bogato rzeźbionymi; osobiwie piękny jest sosrąb. Gazdostwo ma duże, to też pomagają mu w zarządzie aniołowie, „boby se ta sam rady nie dał“. Jako mądry gazda,

---

<sup>1)</sup> Nóż składany.

chodzi, dogląda roboty i zachęca do pracy. Matkę Boską przedstawia sobie też, jako nadzwyczaj dobrą i sprawiedliwą gaździnę, która wszystkiemu roztropnie na czas zaradzić umie i nawet trudny podział sprawiedliwie uskutecznić potrafi. Raz śpiesząc się bardzo do doktora Chałubińskiego, który mu u siebie stawić się przykazał, wstąpił na chwilę do kościoła i zmówił tylko pacierzy dwa, a zmówiwszy je, tak ofiarował:

„Okwiarujem tyż ten paciorek Najświęcej Panience Maryjce, Panieusowi i Świętemu Janowi patruniowi. Ale ik tyz bars piknie przypytujem, bo tez paciórecków ino dwoje, a ik do podziału troje — haj. Tu by trza zmówić dla Świętego Jana jeden, a tam pan Wielkomożny będzie się ciskał, ze mnie nima. Ale wiem co robiem. Ja też to okwiarujem Najświęcej Panience Maryjce, a Ona ta sickik dobrze do równości podzieli i nikomu krzywdy nijakiej nie zrobi, haj“.

Warburton uśmiechnął się i nie spuszczał oczu z postaci białowłosego starca, klęczącego ciągle ze złożonymi rękami, a Henryk odezwał się:

— Sabala daje nam przykład. Zaśpiewajmy także jaką pieśń pobożną, na podziękowanie Panu Bogu za ten cudny wschód słońca, który nam dano było oglądać.

— Dobra myśl — odrzekł Jakób, spojrzawszy przelotnie na Anglika — spróbujmy! I zaśpiewał:

„Serdeczna Matko, Opiekunko ludzi,  
Niech Cię płacz sierot do litości wzbudził!  
Do Ciebie Ewy wygnańcy wołamy,  
Zmiłuj się, zmiłuj, zmiłuj się nad nami“.

Umilkły instrumenty, do głosu Jakóba, który miał płekny alt, przyłączyły się głosy Henryka i Witolda, tenor i bas. Pieśń na trzy głosy płynęła po wodzie czysta i spokojna, wstrząsająca melodją prostą a głęboką, niby korna prośba dzieci, wznosząca się przed tron Ojca, stopniowo coraz wyżej i wyżej, a wysokie ściany skał, nie pozwalające roz-



praszać się dźwiękom daleko, dawały tej oryginalnej sali koncertowej doskonałą akustyczność.

„Do kogóż wdychać mamy nędzne dziatki,  
Tylko do Ciebie ukochanej Matki,  
U której serce otwarte każdemu,  
A osobiwie nędzą strapionemu.

Zasłużyliśmy, to prawda, przez złości,  
By Bóg nas karał plagą surowości,  
Lecz kiedy ojciec zagniewany siecze,  
Szczęśliwy, kto się do Matki uciecze“.

Anglik drgnął przy pierwszych dźwiękach pieśni, a potem na twarzy jego rozlała się kamienna nieruchomość. Walter, siedzący przy nim, dotknął zlekka jego ręki: była zimna jak lód.

— Sir Edwardzie — przemówił łagodnie — cygaro znów panu zgasło.

— A... prawda — rzekł, jakby ze snu przebudzony i z roztargnieniem zapytał: — Czy daleko jeszcze do brzegu?

— Już nie daleko.

— A profesor Strand?

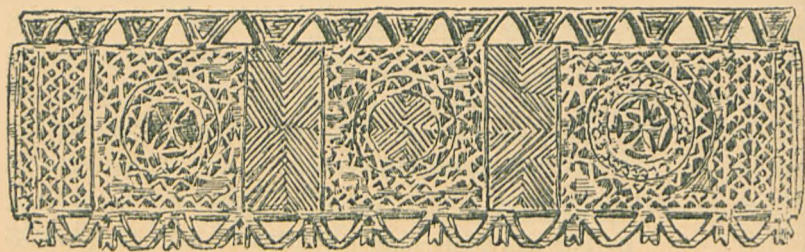
— Nie widać go nigdzie.

— Nie widzę także Sabały.

— Skończył pacierz i wrócił pewnie do schroniska.



Spinka.



## XII.

### POWRÓT PRZEZ JEZIORO.

*Lśnią nabrzmiałe wodospady,  
Jak pałace z tęcz i szkła.  
Siadł na skale kobziarz błady,  
Nad nim słońce, niżej mgła.*

*Deotyma: Płosnka w Karpatach.*

Muzyka zabrzmiała znowu, i przy dźwiękach zbójckiego tratwa przybiła do brzegu. Wysiadłszy na ląd, Warburton oglądał się jeszcze za profesorem, chcąc go koniecznie dojrzeć nad brzegiem jeziora, ale napróżno wzrok wycęzał — nie było go widać.

— Dziwna rzecz — mówił — Strand taki zawsze gorliwy do wycieczek, zwłaszcza do zwiedzania jezior, dziś się opóźnia wbrew swemu zwyczajowi. Henryku, co robił profesor, gdy chodziłeś do niego?

— Siedział przy stole i pisał.

— Pisał?...

— Zapewne robił opis naukowy swego Branchiopoda — wtrącił Witold — z obawy, aby na wypadek jakiego z tym skarbem nieszczęścia zachować sobie wierny jego portret.

— Ależ pisać w takiej chwili, gdy przyjaciele na niego czekają, to doprawdy dziwactwo! — rzekł, wzruszając ramionami, Warburton.

Ścieżką, pomiędzy kosodrzewem i limbami, wchodzili teraz na górę, mając po prawej stronie ścianę Miękuszo-wieckich turni, a po lewej głośno szumiący wodospad Czar-nego Stawu. Wody odpływają stąd do Rybiego po stro-myh ścianach granitowych, tworząc cały szereg kaskad, coraz niżej położonych. Jakób, idący przy ścianie, zatrzy-mał się i opierając na niej rękę, rzekł do Henryka:

— Czy przypominasz sobie, co ci mówiłem na Krzyż-nem o krainach roślinnych?



Porost islandzki. *Cetraria islandica*. Moch gałązkowy. *Hypnum Schreberi*.

- Doskonale.
- I o krainie nagich wirchów?
- Powiedział pan, że rosna w niej mchy i porosty żółte, czarne lub szare, pokrywające głazy.
- A więc przypatrz się dobrze tej skalistej ścianie, bo masz tu na niej różne rodzaje mchów i porostów: oto jest

*Cetraria islandica*, mech islandzki, a tu niżej *Hypnum schreberi*, mech gałązkowy, lubiący miejsca wilgotne i cieniste. A tam wyżej porost *Rocelia tinctoria*, czyli naskalnik farbierski; ten wydaje bardzo poszukiwaną w handlu błękitną farbę, zwaną lakmusem. Najobficiej wyrasta on na skalistych wybrzeżach wysp Kanaryjskich.

— No, no, nie wiedziałem, że to taki porost osobliwy — rzekł, przypatrując się, Henryk — ale mech islandzki i gałązkowy widuję w lesie zakopiańskim, w dolinach i pod regłami, a także ten tu, co wygląda jak choinka dla lalki, *Politrychum*.

— Mówiłem ci przecież, że granice krain roślinnych zachodzą jedno na drugie. Tu dalej *Cladonia rangiferina*, służąca za pokarm reniferom w krainach podbiegunowych. A tu oto na korze drzewa *Xylographa*, drzewopis, tworzący dziwaczne arabeski, podobne do liter chińskich. Jeżeli chcesz poznać wszystkie mchy tatrzańskie, obejrzyj zbiór Chałubińskiego w Muzeum.

Po upływie trzech kwadransów ujrzeli ramiona krzyża żelaznego, który tu na skale postawił w r. 1823 biskup tyniecki, Ziegler — i posłyszeli słowa następujące, wymówione znanym, starganym głosem:

— Okwiarujem też ten paciorek Panu Jezusickowi — okwiarujem i polecam, jakby kciał przyjońć; a jak nie, to sie tez ta ś Nim nie sprzecom.

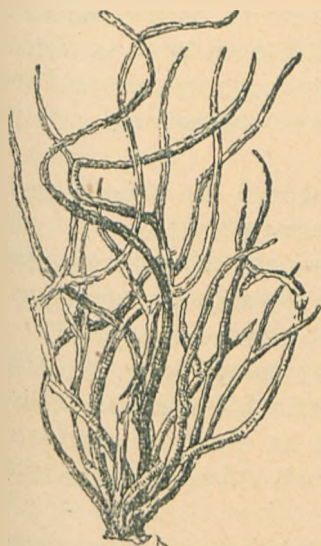
— Sabała! — zawołał, Witold rozweselony szczególnym charakterem tego pacierza. — Tylko jeden Sabała może się tak modlić! Dawna buta zbójecka z tych słów wygląda!

— Jego głos — wtrącił Jakób.

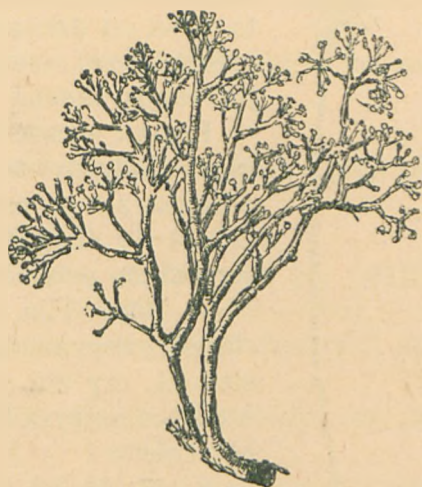
— Ale Sabałę przecież zostawiliśmy przy schronisku, modlącego się nad brzegiem jeziora!

— A jednak uprzedził nas tutaj! Dobrze ma nogi filozof tatrzański. Witajcie Sabała! Jak się to stało, żeście tu przybyli prędeży od nas, kiedyśmy was widzieli niedawno przy schronisku?

Postać, odpoczywająca pod krzyżem, podniosła się i Sabala zaczął witać uprzejmie przybyłych, machając kapeluszem. Na twarzy jego nie znać było znużenia, na ustach spoczywał uśmiech napół wesoły, napół figlarny, a z pod sennych powiek błyszczały źrenice czarne, przenikliwe, gęstemi przysłonięte brwiami. Odpowiedział, że przy schro-



Naskalnik farbierski.  
*Rocelia tinctoria.*



Porost reniferowy.  
*Cladonia rangiferina.*

nisku „zmówił“ paciorek, a tu go przyszedł „okwiarować“ — a szedł laskami świerkowemi, rozpostartemi na stoku góry i zbitemi gąszczami kosówki, więc go nie widziano z tratwy.

Stojącym u stóp tego krzyża przedstawiła się obszerna kotlina z czarnem zwierciadłem jeziora, nad którym wznosiły się ostre skały Żabiego i Rysów.

— Oto jest Czarny Staw — powiedział Jakób. — Głębokość straszliwa! Zapuszczano w nie ołowiankę do 77 metrów i nie znalazła oporu.

— Ha, to może jest coś prawdy w legendzie, że Mor-  
skie Oko łączy się z morzem — wtrącił Henryk. — Jakże  
te wody okropnie czarną mają barwę! Istna  
otchłań śmierci...



Płonnik.  
*Politrychum*  
*commune.*

— Dlatego nazywają go Czarnym Stawem.  
Pochodzi ta właściwość z wielkiej jego głębi,  
oraz z małej ilości światła, jaką pochłaniać  
może, z powodu wysokich i bardzo bliskich  
ścian okolicznych turni. Słońce w lecie świeci  
tu tylko od dziesiątej rano do czwartej po po-  
łudniu; a o szóstej przed wieczorem panuje  
już zmrok zupełny.

Henryk słyszał od górali, że Sabała umie  
czasem odgadywać rzeczy przyszłe, a że nie  
odstępowała go myśl o róży bez kolców, więc  
zbliżył się do starca i uściskawszy dłoń jego  
serdecznie, przemówił tonem proszącym:

— Mój Sabała, ludzie gadają, że wy umiecie  
różne rzeczy naprzód przepowiadać. Powiedz-  
cież mi, czy ten pan z za morza znajdzie tu  
w górach naszych kwiatek, którego szuka: różę  
bez kolców?

Sabała bystro spojrział w stronę cudzoziem-  
ca i rzekł:

— A co ja ta mogem wiedzieć, co będzie!  
Dawniej jak jescie niebościk Paniezus żył, to  
ludzie wiedzieli co będzie — haj.

A widząc, że go otoczyła gromadka tury-  
stów, tak zaczął:

— Jaze sie raz wybrał Świenty Pieter i Pa-  
weł z Paniezusem, coby ludziom pomóc na  
przednówku i nasiać im grzybów — haj. Pieter seł przodke,  
kopał dołki, a tymczasem torbke zawiesił se ino tak na  
cienkim patycku suchym, na sęcku jakim — haj, abo też  
prasnon na ziem.

Po descu było, toż to sie Paniezus zgniewał, ze się zwałała i tak Pietrowi Świentemu pada:

Wies co, Pieter? Jakoz ja mam błogosławić, coś ty w dołek wsuł, kiek sie zgniewał!

Cemu ty nie zawiesis torby, jako sie patrzy na sęku — na smreku — wysoko — haj, tak coby nie spadowała? Cemu sęków hrubych nie wbijas, hę?

Jaz Świenty Pieter Paniezusowi tak pada:

Panie Jezusiku! Jakoz ja torbe mam wiesać, kieby trza sęki więkse wbijać.

Na coz bedem wbijał, kie hnetki jom wziąć musem i dalej nieść.

Paniezus mu zaś tak pedział:

Widzem, ze Paweł tez nie zagrzeba dołków, jako sie patrzy, ino coby się zbyć.

A Paweł Paniezusowi tak pada:

Na coz ja mam dobrze siemie grzebść, kie jak bedzie rosło, to se weźnie i dziure zrobi, coby wysło — haj.

Cekojcies — pedział se Paniezus. Pokiwał nad nimi rękami i pedział:

Teraz juz zaden ze Świątyk nie bedzie wiedział nic, co sie jutro bedzie robić — haj.

A ludzie nie bedom wiedzieć dnia ani godziny śmierzci swojej ani nicego.

Temu to wej cłek nie bedzie Panu Bogu bez rozumy przechodził i nie bedzie wiedział, co bedzie jutro — haj!

I zwracając się do Anglika, jak gdyby tenże mógł go zrozumieć, dodał:

— To prawda prosem piknie ich Miłości. Oni widzieli może, że w lesie som jak dzisiak sęcki na smerekach, co ik Świenty Pieter nawbijał i torbe z siemieniem na nik wiesał — haj.

A Henrykowi, który smutny trochę stał przy nim, że o róży bez kolców nic się nie dowiedział, szepnął na ucho:

— Zje<sup>1)</sup>, cegozby nie miał znaleźć fiotka! Dyć w nasych górach fiotków je moc, jakik ino wto kce. Nie trapcie się. Najdzie, jak ino będzie kciał.

Warburton kazał sobie opowiadanie Sabały przetłumaczyć na język angielski, i wysłuchawszy z uwagą, rzekł:

— Sens moralny tej bajki jest, że człowiek powinien obowiązek pełnić gorliwie i dokładnie, choćby mu się to wydawało zbyt bezwartościownym. Lenistwo wrodzone jest ludzkiej naturze i świadomość rzeczy przyszłych działałaby w tym razie niemoralnie, dopomagając do rozwielmożnienia się tej brzydkiej wady. Trud, daremny w jednym kierunku, zawsze prawie opłaca się w innym. Gdybym od chwili wstąpienia na ziemię tatrzańską, wiedział, gdzie się znajduje róża bez kolców, nie szukałbym jej przez trzy tygodnie, chodząc z wami, moi panowie, po górach i nie oglądałbym tylu cudów natury; bo mając cel osiągnięty, leniłbym się może wędrować tylko dla przyjemności. A co za tem idzie, nie korzystałbym z waszego miłego towarzystwa i nie przeżyłbym tylu pięknych, wzniosłych chwil, przypominających, jak słusznie ktoś powiedział: „stworzenie świata i oddzielenie wody od lądów“.

Zadumał się i dodał ciszej, jakby do siebie:

— W duszy mojej, w miarę jak ze szczytów tych gór spoglądałem, odkryłem także świat inny, o którego istnieniu nie wiedziałem...

Słowa te wielkie zrobiły na towarzyszach jego wrażenie. Pierwszy to raz ten człowiek tajemniczy przyznawał się głośno do innego świata!

Sabała wyjął z rękawa swoje gęśliki i zaczął grać, a Anglik, jakby ocknąwszy się, jął się rozglądać po wybrzeżu jeziora, powtarzając z widocznym zaniepokojeniem:

— Co to jest, że Stranda dotąd niema!

Tak się przyzwyczaił do towarzystwa zacnego profesora, że teraz ciągle mu go brakowało.

---

<sup>1)</sup> Wyrażenie góralskie, znaczące to samo co „eh!“



— Pewnie płynie ku nam — rzekł Jakób. — Tratwa zabrała ładunek podróżnych i właśnie w tej chwili odbiła od lądu.

Warburton podniósł do oczu lornetkę, którą miał zawieszoną na pasku rzemiennym, i popatrzawszy przez nią, opuścił rękę z wyrazem zniechęcenia.

— Niema go tam... czyżby się tak zagłębił w pisaniu, że o nas zupełnie zapomniał? Nie, to niepodobna! Coś zająć musiało, jakaś nieprzewidziana przeszkoda. Panowie! Czy nie mielibyście nic przeciwko temu, żebyśmy wrócili do schroniska piechotą, brzegiem jeziora? Na tratwę czekać nie mamy interesu, bo profesora Stranda nie wiezie. Idźmy brzegiem, może go spotkamy. Może wlaźł gdzie w szczelinę skalną, i rozplywa się nad jakim napotkanym ślimakiem!

I podał lornetkę Jakóbowi, który popatrzawszy przez nią, rzekł:

— Na ławie, zasłanianej ciągle przez pochylającego się wiosłarza, siedzi ktoś podobny do profesora Stranda. Zdaje mi się, że to on.

— A więc zaczekajmy.

Ale zanim tratwa przybiła do brzegu, Jakób spostrzegł swoją omyłkę; Stranda nie było między podróżnymi. Że zaś Sabała, doskonałym obdarzony wzrokiem, zapewniał, że nikt stokiem góry nie idzie, bo onby go dojrzał z pewnością, więc zdecydowali się wszyscy, powrócić tak samo jak przybyli, to jest przez jezioro. Zapraszali do towarzystwa Sabałę, lecz ten wracać jeszcze nie chciał. Poproszono go zatem, aby w razie, gdyby się tam zjawił profesor, powiedzieć mu, jak wszyscy trapił się o niego.

Słońce już było wysoko, a jezioro przybrało barwę ciemno zieloną, gdy wiosła, popychające tratwę zpowrotem, pruły jego fale. W powietrzu była taka cisza, że jadący słyszeli szmer spadających ze skał nitkami do jeziora drobnych strumyków, które sączyły się z pod płatów śnieżnych.

Czesi, widocznie oczarowani pięknnością otoczenia, porozumieli się półgłosem i śpiewać chórem zaczęli:

Kde domov muj?  
 Voda huči po lučinach,  
 Bory šumi po skalinach,  
 V sadé stkvi se jara kvét,  
 Zemsky raj to na pohled.  
 A to je ta krásná zemé,  
 Zemé česka, domov muj!

Kde domov muj?  
 V kraji znaš li bohumilém  
 Duše útlé v téle čilem.  
 Mysl jasnou, vznik a zdar,  
 A tu silu vzdoru zmar?  
 To je Čechu slavné plémé,  
 Mezi Čechy domov muj!<sup>1)</sup>

Gdy pieśń ucichła, Warburton, przysłuchujący się z widoczną przyjemnością, pierwszy złożył ręce do oklasku, a reszta słuchaczy poszła za jego przykładem. Czesi z uśmiechem zadowolenia dziękowali za tak gorące przyjęcie, a Witold, pochylając się do ucha Jakóba, szepnął:

— Teraz my zaśpiewajmy cośkolwiek, mającego wybitnie swojski charakter.

---

<sup>1)</sup> Co w dosłownem tłumaczeniu znaczy:

Gdzie jest mój kraj?  
 Wody huczą po dolinach,  
 Bory szumią po wyżynach,  
 W sadzie lśni się wiosny kwiat,  
 Jednym rajem tutaj świat.  
 Ach, to jest ta piękna ziemia,  
 Ziemia czeska, to mój kraj!

Gdzie jest mój kraj?  
 Czy wy znacie przyjaciele,  
 Tę myśl jasną, to wesele,  
 Silne ciało, zdrowy duch,  
 Wieczną pracę, wieczny ruch?  
 To jest Czechów sławne plemię,  
 Tam wśród Czechów jest mój kraj!

Jakób skinął głową, i zabrzmiał mazur dziarski, ognisty i wspaniały.

Anglik zadrżał. Twarz jego łagodnie uśmiechniętą śmiertelna bladość powlekła; przymknął oczy, a palce, wplątane w skręty brody, zacisnęły się ruchem kurczowym, jak wtedy, w Kościeliskiej dolinie, gdy słuchał bajki Sabały.

— Czy on śpi? — zapytał cicho Henryk, pochylając się do ucha Jakóba. — Czy może zrobiło mu się słabo? Czy ma zamknięte, a taki blady!

— Nie, moje dziecko — odpowiedział szeptem doktor — on ma widzenie.

— Widzenie! jakto? Czy pan chce przez to powiedzieć, że on widzi różę bez kolców, czy może syna, którego tak kochał i utracił?

— On widzi swoją matkę!...

Pieśń ucichła, słuchacze grzmiącym oklaskiem dziękowali, tylko ręce Anglika nie poruszyły się.

— Nie przypadło mu do gustu — pomyślał Henryk, i zrobiło mu się bardzo przykro.

Warburton podniósł powieki: były one czerwone i nabrzmiałe jakby od łez palących, które spłynąć nie mogły, a w oczach migotały błyskawice. Patrzył przed siebie jak nieprzytomny, a po palcach, trzymających brodę, przebiegało lekkie drżenie.

— Czy pan nie chory, sir? — zapytał Walter, którego oczu nie uszła zmiana w twarzy sir Edwarda.

— Nie, mój drogi, ale chłód idzie z jeziora. Zimno mi.

— Już przybyliśmy — odrzekł młodzieniec. — Trzeba, żeby pan zaraz wypił kieliszek wina.

Henryk słuchał zdziwiony.

— Zimno mu w taki upał... — rzekł do siebie — to dziwne!



### XIII.

## POTRAWA WITOLDA.

*Czasem widnokrąg pęka od końca do końca,  
I anioł burzy, nakształt niezmiernego słońca,  
Rozświeci twarz i znowu okryty całunem  
Uciekł w niebo i drzwi chmur zatrzęsął piorunem.*

*Mickiewicz: Pan Tadeusz.*

Lady Chester w uroczym negliżu stała na ganku wraz z Fanny i zdaleka witała wracających, poruszając chusteczką — a gdy przybyli, przemówiła z emfazą do baroneta, wskazując na jezioro:

— Vraiment, que c'est splendide!

— A, nareszcie podobało ci się coś w tym kraju — odrzekł z uśmiechem, witając ją serdeczniej niż zwykle, i zaraz zapytał o profesora.

— Jakto! Czyż go tam nie było? — odparła zdziwiona. — Myślałam, że jest z wami!

Zdziwienie i niepokój odbiły się na twarzy baroneta. Udał się natychmiast do izby, gdzie profesor nocował, ale ani jego samego nie znalazł, ani żadnych śladów jego bytności. Zniknął nawet słoik z Branchiopodem i czaszka niedźwiedzia jaskiniowego.

Rozpytywano górali, z których jeden utrzymywał, że profesor od dwóch godzin opuścił schronisko i poszedł lewym brzegiem jeziora, a drugi, że widział go na prawym brzegu, jak wstępował pod górę na Opalone — gazda zaś

twierdził, że się pytał o drogę na Rysy. Baronet zniecierpliwiony różnością zdań, kazał przywołać Walę, przewodnika profesora Stranda, który najlepiej powinien był to wiedzieć — lecz pokazało się, że przewodnik także zniknął.

Wszystko to było dziwne i niezrozumiałe dla każdego, a Fanny była widocznie zmartwiona i zaniepokojona nieobecnością starego przyjaciela, dla którego charakteru, rozumowi i pracowitości niezmordowanej miała prawdziwe uwielbienie.

Podano obiad bardzo obfity i mający cechę czysto miejscową: rosół z pływającymi w nim listkami mięty, na sposób góralski, a do tego półmisek z czemś, co przypominało do złudzenia włoską „polentę“, a co było kluską z mąki kukurydzowej. Górale nie lubią klusek drobnych, jakie się robią na całym ziem polskich obszarze, ale sypią mąkę na wrzącą wodę, i tworzy się z tego jeden kawał ciasta, który po ugotowaniu używają do mleka lub rosółu. Zowie się to „bryja“. Panowie bardzo tę potrawę chwalili, zwłaszcza że była obficie polana świeżem masłem; tylko lady Chester, skosztowawszy, skrzywiła się bardzo i oświadczyła, że choć to po włosku wygląda, ale po azjatycku smakuje. Rosółu z miętą także nie tknęła.

Po zupie był majonez z łososia, następnie pstrągi z naturalnym sosem, a potem jeszcze pieczeń z kozicy z kompotem z poziomek.

— Pierwszy raz jem pieczeń z kozicy — odezwał się Walter — i dlatego mięso jej wydaje mi się trochę mdłe. Sarna lepiejby dziś smakowała.

— Szkoda, że niema sałaty — dodał Jakób — przy niej każda pieczeń jest dobra. Ale sarn, jeleni, nawet dzików nie brakuje w Tatrach; polować jest na co!

— A czy są lisy i borsuki?

— Lisów prawie niema, czasem przychodzą w odwiedziny z Węgier; borsuki zaś pojawiają się tylko w kniejach.

Warburton, jedzący bez apetytu, położył widelec i zapytał, spoglądając w stronę Witolda:

— Obiecywałeś nam pan deser własnej roboty. Kiedyż nareszcie ujrzymy to arcydzieło?

— Chyba już dziś — wtrącił Jakób — bo widziałem, że mój przyjaciel wstał najraniej z nas wszystkich i opasany fartuchem Jerrego stał przy ognisku z rondlem w jednej ręce a łyżką w drugiej i coś przyprawiał.

— A ja słyszałem jakieś tłuczenie w mózdzierzu i widziałem pana Witolda, jak przedmiot jakiś tajemniczy niósł do strumienia — dodał Walter.

— Do strumienia? A to w jakim celu? Pstrągi tatrzańskie nie jadają deserów.

— Wody strumienia użyłem w braku lodu — odrzekł skromnie malarz.

— Jeżeliś pan lody przyrządził, to miałeś myśl szczęśliwą — odezwała się milady, spoglądając nań łaskawie. — Gorąco jest nie do wytrzymania!

— Nie pani, to nie są lody.

— Zaciekawiasz nas pan — powiedział baronet — nie wystawiaj zbyt długo na próbę naszej cierpliwości!

Witold podniósł się i wyszedł, a po jakimś czasie powrócił, niosąc okrągłą salaterkę z pokrywą w jednej ręce, a w drugiej niewielki dzbanek, napełniony jakimś białym płynem. Gdy salaterkę postawił na stole, podniósł pokrywę i ukazała się galareta czerwonej, matowej barwy. Warburton, spojrzawszy na nią, poruszył się cały i zawołał:

— Kisiel!

Wykrzyk ten sprawił wszystkich w zdumienie: Witold rzucił triumfujące spojrzenie na Jakóba, który uszom własnym nie wierzył. Walter, Dawid i obie panie, patrzeli na sir Edwarda, nie rozumiejąc przyczyny wykrzyku; Henryk był zdumiony. Po twarzy Warburtona przemknęło lekkie pomieszanie.

— Waszej Miłości znaną jest ta potrawa? — zapytał Witold z najniewinniejszym uśmiechem.

— O, tak — odrzekł niedbale — jadłem ją u pewnego księcia litewskiego, który przepędził sezon zimowy w Londynie.

— I... jakże smakowała?

— Nieźle. Co to jest w dzbanku, czy mleko migdałowe?

— Wie, że do kisielu używa się mleka, uważasz pan — szepnął do Jakóba Witold i odrzekł:

— Zamało miałem migdałów, więc dodałem do nich ziarn limbowych i roztarłszy je na kamieniu, zrobiłem improwizowaną orszadę.

— Ale skąd wzięłeś żórawin, które przecież w Tatrach nie rosną? — szepnął Jakób.

— Ale sok żórawinowy można mieć wszędzie. Właściciel restauracji pod Różą sprowadza go na kisiele dla swego Litwina, któremu piecze także chleb z ajerem.

Warburton popatrzył chwilę w oczy mówiącemu i przysunął sobie półmisek. Wziął sporą porcję i podlał mlekiem, jak człowiek z potrawami tego rodzaju obeznany. Jakób i Witold jedli także ze smakiem, a i Henryk też nie dał się prosić, mając przed sobą ulubioną sobie potrawę. Całe zato angielskie towarzystwo, z wyjątkiem baroneta, poprzestało na skosztowaniu; lady Alicja nawet wyraziła się, że tylko w barbarzyńskim kraju może coś podobnego zjawić się na stole, i kombinację cierpko kwaśnego soku z mąką i mlekiem osłodzonym, nazywać deserem.

Walter rzucił okiem na jezioro i rzekł:

— Tratwa znowu płynie ku nam pełna osób, może profesor jest z niemi. To nawet bardzo prawdopodobne, bo widzę Sabałę, który nam obiecywał upatrywać go na stoku góry.

— Ależ to niemożliwe, jeżeli widziano go wstępującego na Opalone.

— Kiedy nikt nie wie napewno. Każdemu się tylko

zdaje: bo jeden twierdzi, że go widział w stronie Miedzianego, a drugi, że w stronie Rysów.

Zdala dochodził dźwięk gęślików i pieśń Sabały:

Sabałowa nula.

Oj, i-dzie se Ja-ni-cek, oj, po-pod zie-le-ni-ny.

gwi-zda se i spie-wa, po-jad nie-dźwiedziny.

Przygrywka.

Lady Alicja wzruszyła ramionami na tę muzykę, a baronet wyraził się, że nic równie oryginalnego nie słyszał.



„Oj, jeseć mie matusia,  
Oj w korytku luląła;  
Wtedy juz nad mojom  
Skórom narzekała.

Oj, Sablicek zbójnicek,  
Oj, siekiercecka siostral  
Nie jedna dusycka  
Przez niom w niebo posła.

Oj, łapali Sabala,  
Oj, po zielonych bukak,

Ale se wybronię,  
Miał siekierkę w rękach.

Oj, pedziała mi ziena,  
Oj, że to moja wina;  
Jaze mnie złapali,  
Na wysokiej hali.

Oj, dyć se mnie dostali,  
Oj, chociaż z tak wysoka,  
Bo po mnie posłali  
Z pikom zabijoka“.

Ale nim tratwa przybiła do brzegu, przekonano się, że płonne było przypuszczenie Waltera. Profesora nigdzie nie spotkano, a Sabała utrzymywał stanowczo, że musi już być daleko od Morskiego Oka.

— Czy dziś wrócimy do Zakopanego? — zapytał Walter.

— Ach, przecież już jest zapóźno na taką drogę! — odrzekł Jakób.

— Tak, ale moglibyśmy nocować w Roztoce.

— Nie możemy wracać bez profesora Stranda — odezwał się Warburton. — Jeżeli poszedł na Rysy...?

— To jutro dopiero wróci.

— Albo dziś późnym wieczorem.

Po obiedzie spacerowano i rozmawiano, siedząc na ganku. Lady, jak przy stole, tak i tu przyglądała się przez lornetkę Henrykowi i snać znowu się uspokoiła co do niego, zwłaszcza, że baronet, trapiiony niepokojem o Stranda, mało zwracał uwagi na chłopca.

Witold przyniósł Warburtonowi duży piękny okaz gozyczki kropkowanej, który zerwał poprzedniego dnia na Świstówce, idąc do Morskiego Oka.

— Sir — rzekł — oto jest *Gentiana punctata*, której korney ma cenne własności lecznicze. Górale się bardzo za nim ubiegają, i uważają za lekarstwo na wszystkie choroby. W rzeczywistości zaś posiada on własności ściągające i pomocne zwłaszcza na wszelkie niedyspozycje żo-

ładka. Korzeń ten namoczony w winie działa energicznie i wzmacniająco.

— Dlaczego mi pan to mówisz? — zapytał Warburton, który o tych własnościach goryczki kropkowanej słyszał już przy Czarnym Stawie Gąsienicowym.

— Mówię na wypadek, gdyby panu, jako nieprzyzwyczajonemu do naszych potraw litewskich, zaszkodził mój deser.

Baronet utkwiał w nim przenikliwe spojrzenie i odrzekł po chwili milczenia:

— Bądź pan spokojny; mam strusi żołądek. Nie takie ja rzeczy jadałem w moich podróżach naokoło świata. Ale co to za kwiatki masz pan za tknięte w dziurkę od guzika? Czy to nie jaskry czasem?

— Zgadłeś sir, to jaskry lodowcowe, *Ranunculus glacialis*, mieszkańce wysokich turni, rosnące na gnejsach. Zerwano je na Miedzianem.

— Ach, to cenna zdobycz: czy możesz mi pan jeden ofiarować?

— I owszem, służę panu. A tu oto gwiazdosz alpejski, *Aster alpinus*: niech panu także służy. Wyrasta on na szczytach wapiennych, na halach i wzdłuż biegu Dunajca.

Zwierciadło jeziora było ciche i nieruchome, ale po niebie pływały obłoczki waty, o których niedobrze wróżyli górale. Gdy nastał zmrok, ujrzano nad Morskiem Okiem pod Rysami światło i pokazano je zaraz baronetowi.

— To niezawodnie Strand daje nam znak, żebyśmy tratwę po niego przysłali i dlatego zapalił ognisko — zawołał ucieszony Warburton.

Przypuszczenie było prawdopodobne. Gdy tratwę szykowano, Witold zawołał na górali:



Gwiazdosz alpejski.  
*Aster alpinus*.

— Śpieszcie się, bo tylko patrzeć jak deszcz lunie! Nawet płomień ogniska nie idzie prosto ku niebu, tylko nachyla się ku ziemi.

— Ja pojedę! — zawołał Henryk i wskoczył na tratwę, która już odbijała od brzegu.

W tej chwili posłyszano echo dalekiego grzmotu.

— Prędeż, prędeż — naglił doktor, niezbyt rad oddaleni się chłopca.

— Popłyniemy prędko, bo ładunek lekki — odpowiedziano z promu.

Warburton ścigał oczyma oddalający się szybko statek i powiedział do Jakóba:

— Nieroztropnie postąpiliśmy, puszczając tego chłopca.

— Niech się Wasza Miłość nie obawia — odrzekł. — Henryk jest pod opieką doświadczonych przewodników: burza jest jeszcze bardzo daleko i może wcale nie przyjdzie do Morskiego Oka, a gdyby nawet przyszła, to sądzę, że nasi żeglarze zdołają ją uprzędzić. Gdy ładunek jest lekki, tratwa szybko płynie. Czy widzisz, sir, jak się zwija? Leci jak strzała!

— Ale czy pan nie widzisz, że powierzchnia jeziora marszczyć się zaczyna? Czego to jest dowodem? Wiatr się zrywa: może być wypadek!

— Bądź pan spokojny, sir, jezioro nie jest morzem.

— Na jeziorach także powstają bałwany, a między skałami żegluga nie zawsze jest bezpieczna. Ja sam pływałem po wszystkich morzach świata i oswojony jestem z burzami, a raz o mało nie poszedłem na dno z moim yachtem na jednym z jezior szkockich. Pan mnie chcesz uspokoić, a widzę, że sam się niepokoisz. Profesor jest bezpieczny przy ognisku, i co najwyżej, zmoknie, a wątyły ten statek może się rozbić o skały, jeżeli wiatr się powiększy. Lepiej byłoby zawrócić tratwę.

— Zapóźno — odrzekł Jakób — już dosięga środka jeziora, i jeżeli dalej tak dobrze pójdzie, wkrótce przybiją do lądu.

Paprocie bujnie rozrosłe pod cieniem smereków i kósówki, jeły poruszać zlekka koronkowemi liśćmi, a potem wyraźnie chwiać się i kołysać, a ruch ten udzielił się także tłumowi drzew, jakby ożywił go nagle prąd jakiś tajemniczy.

— Wiatr chłodny przeciąga z północy — odezwał się Warburton po chwili milczenia — czuję go na twarzy. Czy pan widzisz, jak marszczy powierzchnię jeziora?

Jakób dostrzegł ten objaw wprzód jeszcze, zanim Anglik zwrócił mu na to uwagę i wzmógł się jego niepokój. Dostrzegł nawet coś więcej: na grani Mięguszowieckiej zjawiała się mgła, kłębiąca się szybko zgóry nadół w długie pasma — śnać tam u góry walczyły z sobą dwa prądy powietrzne. Nie spuszczał z oczu tych pasm, patrzył jak się nawijały i rozwijały, chwilami przędac znów nić tak cienką, że pękała, wisząc w powietrzu niby strzępy babiego lata. Nareszcie duży kłęb zawisł nad jeziorem i stanął nieruchomy. Doktor odetchnął.

— Uspokaja się — rzekł. — Tratwa też już przepłynęła trzy czwarte drogi.

Lecz zaledwie wymówił te wyrazy, kłęb biały, wiszący nad jeziorem, zakreślił się jak w tańcu szalonym, a woda zaczęła się bałwanić, wydając charakterystyczny szum. Grzmot i błyskawica, w kilkanaście sekund po nim następująca, były sygnałami zbliżającej się szybkim krokiem burzy.

— Już są niedaleko brzegu — szepnął baronet — oby tylko szczęśliwie udało im się wylądować. Ale widzę, że deszcz zacina z północy.

Deszcz szedł jeszcze prędzej niż burza, i zaledwie Anglik wypowiedział tę uwagę, puścił się drobny, ale tak gęsty, że mgłą przesłonił jezioro. Gromadka turystów, stojących dotąd na ganku i śledzących także z zajęciem kierek tratwy, przeniosła się stamtąd do izby. Został tylko baronet ze swoim orszakiem — i pomimo próśb lady Alicji

opuścić nie chciał swego stanowiska. Odeszła urażona, spostrzegłszy, że jej przestrogi i uwagi niecierpliwiają go tylko.

Zziębnięty, przemokły, z brodą przez wiatr targaną, stał oparty o barjerę, usiłując przebić wzrokiem zasłonę z mgły i nasłuchując. Ale nie widział nic prócz gęstych nitek deszczu, a do uszu jego dochodził tylko szum rozkołysanej fali!

Jakób, naradziwszy się na stronie z Witoldem, wziął z sobą dwóch górali, i odwróciwszy serdak włosem do góry a kapeluszowi nadawszy formę grzyba, poszedł z nimi brzegiem jeziora, pomimo, że Walter utrzymywał, iż żeglarze do tego czasu już wylądowali i znaleźli pod skałą schronienie. Dla własnego spokoju potrzebował cośkolwiekbyź przedsięwziąć. Wyrzucał sobie, że nie przewidział tego, co się stało i puścił Henryka, za którego bezpieczeństwo ręczył pannie Katarzynie.

Grzmoty odzywały się w krótkich po sobie odstępach, a szybko następujące po nich błyskawice wskazywały, że burza jest tuż. Przy ich oślepiającym świetle widać było wzburzone fale jeziora, a nieopodal przeciwległego brzegu, jakiś drobny przedmiot, miotany bałwanami jak łupina orzecha.

Warburton cierpiał: serce biło mu przyśpieszonym tętnem. Teraz dopiero poznał, jak bardzo pokochał to dziecko.

— Ten wąty statek lada chwila rozbije się o skały — odezwał się do Waltera — a wtedy o ratunku niema nawet co myśleć!

Młodzieniec patrzył ze współczuciem na sir Edwarda, zgadując, co się dzieje w jego duszy. Nie próbował go nawet nakłaniać, aby się schronił przed deszczem do izby, bo wiedział, że to nie zdałoby się na nic, ale przyniósł płaszcz wyksatynowy i zarzucił mu na ramiona.

— Ufam przezorności przewodników — powiedział z pozornym spokojem. — Są to ludzie bardzo zręczni i oswojeni z jeziorem i jego kapryсами. Doktor poszedł brzegiem z gó-

ralami i zrobi wszystko, co tylko będzie trzeba. Reszta jest w mocy Boskiej. Trzeba czekać!

Warburton milczał. Czekać, stojąc beczynn timer z założonymi rękami, gdy tam ktoś drogi jego sercu jest w niebezpieczeństwie... to nie tak łatwo, jak się zdaje! Nie wypowiedział jednak głośno tego, co myślał. Zrobił tylko uwagę, że wiatr się wzmaga i dodał po chwili:

— Wyślij jeszcze dwóch górali, Walterze. Niech idą prawym brzegiem, póki się nie spotkają z tamtymi, co wyszli z doktorem. A każ im wziąć pochodnie!

Walter spełnił niezwłocznie ten rozkaz, choć uważał go za zbyteczny, wobec wyprawy doktora, idącego lewym brzegiem.

Gdy ta rozmowa toczyła się na ganku, lady Alicja, wzburzona do najwyższego stopnia, z wypiekami na twarzy, przebiegała izbę wzdłuż i wszerz. Oczy jej błyszczały gorączkowo, a z ust padały oderwane wyrazy.

— To nadzwyczajne! Niesłychane! Żeby tak troszczyć się o obcego, niedawno poznanego chłopaka, choć wszyscy mu z kolei powtarzają, że jest pod dobrą opieką, że nic mu się nie stanie. Sir Edward go kocha, to widoczne! O, ja znam, znam tę twarz marmurową i nieodgadnioną, jak księga zamknięta. Patrząc na nią już od lat tyłu, i nauczyłam się w niej czytać. Widziałam, jak przebiegł po niej spazm bólu, gdy patrzył na jezioro... I ktoby się tego był spodziewał po tym twardym i niedostępnym człowieku!... A, mały intrygant! — wyszeptwała przez zaciśnięte wargi. — Jakże głęboko wkradł mu się do serca!

Davy słuchał w ponurem milczeniu wybuchów matki. Fanny odważyła się przemówić, że chłopiec nie wygląda na intryganta, ale lady przerwała jej gniewnie, tupnąwszy nogą:

— Nie broń go! Może on temu nie winien, może jest nawet szlachetny, ale ja matką jestem i cierpię!... Cierpię, że sir Edward, który miał zastąpić ojca Dawidowi, pokochał dziecko nie moje!

I wznowiła znowu swoją wędrówkę po izbie, powtarzając:

— W tem coś jest... w tem coś jest!

Zagłębiwszy się w myślach, przypomniała sobie różne rzeczy, różne drobne napozór okoliczności, na które w swoim czasie nie zwracała uwagi, a które teraz w jej oczach nabierały znaczenia; wątek myśli snuł się coraz dalej, przypuszczenia nabierały cech prawdopodobieństwa, a drobiazgi rosły do wielkich rozmiarów. Ten powzięty nagle zamiar podróży w Tatry, dla szukania róży bez kolców... — tu zaśmiała się ironicznie — ta zwiększona niechęć do Davego i zapowiedź oddania go bezzwłocznie do Eton, to wreszcie okrutne oświadczenie, że nie posiada nic, prócz tytułu i zamku myśliwskiego...

Rozmyślania te przerwało stąpanie wielu par nóg ludzkich, wbiegających gromadnie na ganek ze śpiewem i muzyką. To turyści, zaskoczeni przez burzę w wycieczce do Morskiego Oka, przybywali do schroniska, a górale, których fantazja nigdy nie odstępuje, wiedli ich jakby na przekorę burzy, tańcząc i śpiewając — choć z jednych i drugich woda się lała strumieniami, tak byli przemokli, a może właśnie dlatego — bo góral utrzymuje, że „człowieka wesołego nie ima się chorość“.

Na tę rozbawioną hałastrę spadł niespodziany grom: Warburton wybuchnął strasznym gniewem i nakazał milczenie. Zrobiła się cisza jak makiem zasiał. Przeleknieni górale cichym szeptem rozpytywać zaczęli, co się tu stało? Wtem posłyszano trzask przerażający i bulgotanie jakby gotującej się wody. To piorun uderzył w jezioro, a przy oślepiającym świetle błyskawicy, ujrzano na samym środku tratwę, podrzucaną balwanami, pracujących energicznie wiosłami przewoźników i chłopca, klęczącego ze złożonemi rękami.

— Modli się — szepnął zcicha baronet i uczuł, że go coś dławi w gardle.



— Chwała Bogu, że są daleko od skał. — przemówił Walter — nie grozi im rozbicie! Może też wiatr uciszy się tymczasem i szczęśliwie przybija do brzegu.

Górale zbili w kupę rozmawiaii po cichu, ale widocznie narada do żadnego nie doprowadziła rezultatu, bo jeden za drugim usuwali się do kuchni, gdzie zasiedli przy ognisku. Turyści też obsiedli stół w izbie, pijąc herbatę i rozmawiając półgłosem. Wszyscy zdaleka omijali tego gniewnego, posępnego starca, co stał na ganku jak posąg, groźny i nieczuły na deszcz, zimno i wiatr.

Długo jeszcze rozświecały scenę ognie błyskawic i warczały echa piorunów, wreszcie deszcz ustał i mgły ustąpiły, ale nic dojrzeć nie było można, bo noc zapadła. Jezioro było jak otchłań czarna, głęboka i straszliwa, a nad nią gdzieś niegdzie, niby gwiazdy błędne, migotały światła pochodni. Z otchłani tej do ucha Warburtona dochodził tylko monotonny szum rozkołysanej fali — wreszcie zapanowała przerażająca cisza: wiatr ustał.

Po jakimś czasie posłyszano ostrożne, jakby lękliwe stąpanie, i przy ognisku w kuchni zrobił się lekki ruch: jeden z górali wrócił z wiadomością, że obeszli cały prawy brzeg i tratwy dotąd nie spotkali, ani tych, którzy wyszli z Jakóbem — ale on sam przy brzegu widział pływające wiosło. A choć to powiedziane było bardzo cicho, i w języku niezrozumiałym dla Anglika, domyślił się ich znaczenia. Przesunął ręką po czole i rzekł do Waltera:

— Powiedz im, że pójdą jeszcze raz ze mną. Mam przecucie, że znajdę rozbitków. Niech zapalą pochodnie!

Ale młodzieniec, który już stracił nadzieję, jął przedstawiać baronetowi, że jego obecność opóźni tylko odszukiwanie zaginionych, bo przewodnicy będą sobie uważali za obowiązek przede wszystkim czuwać nad bezpieczeństwem jego osoby. Ten wzgląd skłonił go do odstąpienia od zamiaru. Kazał jednak góralom oznajmić przez Waltera, że sto funtów nagrody otrzyma ten, kto odnajdzie tratwę i przypro-

wadzi do schroniska. Wysokość nagrody wprawiła w zdumienie wszystkich, a zwłaszcza lady Alicję, do której zaraz doszła ta wiadomość.

Wszyscy górale, ilu ich było w schronisku, ruszyli na poszukiwania z Sabałą na czele. Teraz światełka pochodni migotały znowu na obu brzegach. Wołano, strzelano z fuzji, nareszcie wszystko ucichło. Warburton, któremu już było za chłodno na ganek, wrócił do izby i siadłszy przy oknie, pił herbatę w milczeniu. Świt szary tak go zastał.

Gdy pierwsze brzaski dnia pozwoliły dojrzeć jezioro i zarysy otaczających go skał, wyszedł na ganek z przyjaciółmi. Powierzchnia wody była spokojna, gładka jak atlas, nigdzie śladu tratwy ani ludzi... cisza przerażająca i pustka. Nareszcie rozległy się miarowe odgłosy uderzenia siekier w drzewo, a po krótkiej przerwie dźwięki wesołe orawskiego marsza.

— To gęśliki Sabały — rzekł Walter — dobry znak!

Po prawej stronie jest kilka małych skalistych zatok: z poza jednej najgłębszej, od strony Mnicha, ukazała się tratwa, napełniona ludźmi, a wiosła puły szybko powierzchnię jeziora. Warburton podniósł lunetę do oczu i dojrzał między płynącymi Henryka i Jakóba, ale profesora nie znalazł. Napróżno zatem szukano go wczoraj z narażeniem życia.

Wszyscy wylegli na ganek: Polacy, Węgrzy, Czesi, miss Fanny, nawet lady Alicja się zjawiała — nareszcie posłyszano plusk wiosel, a potem uderzenie o brzeg. Henryk wyskoczył najpierwszy i znalazł się odrazu w objęciach sir Edwarda, który wyciągnął do niego ramiona.

— Doprawdy, sir — zabrzmiał tuż przy nim głos lady Alicji, drgający nietajonem wzburzeniem — tak się pan troszczysz o tego chłopca, tyle mu okazujesz dobroci, że możnaby myśleć, iż to jest pańskie dziecko!

— Tak jest — odrzekł po angielsku. — Nie omyliłaś się pani, moje dziecko, moja krew!

Był to za silny cios dla kobiety, żyjącej tylko jedną myślą — zapewnieniem dziedzictwa synowi. Spojrzała błędnym wzrokiem na baroneta, zachwiała się, wyciągnęła obie ręce do klamki drzwi wchodowych, lecz nie zdążyła ich uchwycić i padła bez zmysłów na ręce Fanny.

— Doktorze! — zawołał Warburton. — Prędkiej, chodź pan, prędkiej! Lady Alicja zemdlą! —

Zrobiło się na ganku zamieszanie, przeniesiono zemdloną do izby, gdzie kilkakrotne bryzgnięcie zimną wodą przywróciło jej przytomność. A może więcej jeszcze przyczyniła się do tego troskliwość serdeczna niemal sir Edwarda, który troszczył się bardzo o synową i rozmawiał z nią z taką dobrocią, jakby jej chciał wynagrodzić słowa, którymi ją zranił tak boleśnie.

Na ganku tymczasem słuchano opowiadania o przygodach żeglarzy. Już byli bliscy wylądowania, gdy bałwan odrzucił ich ku środkowi jeziora, gdzie też usiłowali się utrzymać, chroniąc tratwę od rozbicia o skały. Gdy wicher uciszył się, wylądowali i wciągnęli tratwę do zatoki, ale zgubili wiosła — i tam pod skałą we wgłębieniu przesiedzieli do świtu. Widzieli światła nad stawem i domyślili się, że ich poszukują: wołali, krzyczeli, ale głosy ich tonęły w szumie bałwanów; wystrzałów i hukania nie słyszeli. Górale nareszcie odkryli ich schronienie i przesiedzieli z nimi do świtu. Wiosła sporządzili sobie ze zrąbanych świeżo smereków.

Kilku górali o świcie udało się pod Rysy, gdzie widziano wczoraj płonące ognisko, ale nie znaleźli tam żadnych śladów bytności profesora. Trochę zwęglonej kosodrzewiny, próżna butelka i nic więcej. Warburton, który wyszedł znowu na ganek i tych szczegółów się dowiedział, zatrwożył się bardzo.

— Więc powiedzcie mi, gdzie jest profesor Strand? — zapytał, spoglądając po wszystkich.

Jakby w odpowiedzi na to wezwanie, gazda pojawił się przed nim z listem w ręku i rzekł:

— Ten stary pan, co wczoraj rano wybierał się na Rysy, odchodząc, kazał to oddać panu Anglikowi, ale moja baba położyła na okapie komina i zapomniała.

Warburton rozerwał kopertę, i wyjąwszy z niej ćwiartkę papieru, pomiędzy kartki której włożona była wstążka błękitna, czytać zaczął:

„Dostojny i Kochany Przyjacielu! Z ciężkiem sercem przychodzi mi przesłać Ci to pożegnanie — tak miło mi było korzystać z Twego światłego towarzystwa i Twej serdecznej gościnności — ale konieczność zmusza mnie do tego... Nie mogę z wami zostać po tem, co zaszło, gdyż byłbym krępowany ciągłą obecnością tych panów, którzy widzieli mnie w pozycji, upoważniającej do różnych przypuszczeń... Nie śmiałbym też spotkać się z miss Fanny, w oczach której mnie ośmieszono! Panu jednak, sir Edwardzie, wyznaję — i proszę o powtórzenie tego zacnej miss — że wstążka jej nie znajdowała się nigdy na mojem sercu, oraz że nie domyślałem się nawet, do kogo należała. Powiedz jej, że znalazłem ją przypadkiem tylko w grocie Mylnej i włożyłem w roztargnieniu do kieszeni, mniemając, że ją odrzucił na stronę. Wróciwszy z doliny Kościeliskiej, powiesiłem swój surdut wycieczkowy na kołku, i nie kładłem go, aż wybierając się znowu na wyprawę do Morskigo Oka. Że wstążka znajduje się w kieszeni, dowiedziałem się sam ze zdziwieniem dopiero na hali Królowej. Racz powiedzieć, sir, miss Fanny, że ten przedmiot jej toalety, przez cały czas życie mi zatruwał — bo zapominałem o nim, gdy byłem sam i miałem sposobność go się pozbyć, a przypominałem sobie tylko chwilami w obecności waszej, gdym tego nie mógł dokonać, bez obawy narażenia się na wnioski, prowadzące do posądzenia mnie o uczucia i zamiary, jakich nigdy nie miałem. Kilka razy, już, już chciałem wyrzucić tę nieszczęsną wstążkę, ale zawsze młodzi to-

warzysze pańscy, jeden lub drugi, przeszkodzili mi nie w porę!

Proszę oddać tę przeklętą wstążkę miss Fanny, i powiedzieć, że to ona mnie stąd wypędziła... Życzę jej, aby znalazła człowieka godnego siebie, który jej potrafi dać szczęście, na jakie w zupełności zasługuje. Co do mnie, czuję, że nie zdołam nigdy przełamać mego wstrętu do kobiet! Branchiopoda mego zabieram z sobą i odchodzę. Nie szukajcie mnie, bo uczynię wszystko, co jest w mojej mocy, aby zatrzeć swoje ślady — ale odchodzę z sercem zranionem, gdyż mi było z wami bardzo dobrze! Ten dwutygodniowy pobyt w Tatrach uważam za najszczęśliwszy w moim życiu, gdzie oprócz Branchiopoda znalazłem rzadki okaz, o jakiego istnieniu wątpiłem, *kobietę bez złości* w osobie zacnej miss, która za wyrządzoną jej przezemnie najniesłuszniej niegrzeczność, dobrocią anielską mi zapłaciła. Sam nie wiem, jakieby miejsce znaleźć dla niej w klasyfikacji naukowej i jakim ją nazwać terminem? Chyba *Femina angelica!* Tem większą było to dla mnie niespodzianką, że okaz ten rzadki nie przechował się z epoki lodowej, ale znalazł w dzisiejszem zepsutem społeczeństwie. Żegnam Cię, kochany Przyjacielu, serdecznem uściśnieniem dłoni, i proszę oświadczyć lady Alicji moje uszanowanie“.

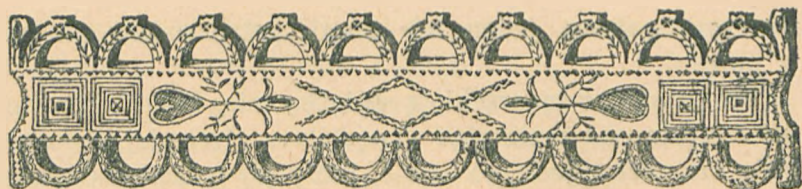
Skończywszy czytanie, Warburton rzekł:

— Jutro skoro świt, niech górale rozbiegną się na wszystkie strony wiadomemi sobie drogami, dla odszukania profesora Stranda. Postaram się uspokoić go, że nie grożą mu wcale kajdany hymenu, i że nikt z nas naprawdę nie posądził go o afekt do niewiasty.

— I przeprosimy go uroczyście — dodał Witold.

Baronet pogroził mu palcem i rzekł poważnie:

— To pan nawarzyłeś tego piwa!



#### XIV.

### RÓŻA BEZ KOLCÓW.

*Za wodospadem, gdzie ściana  
Drży popękana,  
Gniazdko dla siebie usłała  
Płaszyna mała;  
I tam wśród mchów spowinięta,  
Tuli pisklęta.*

*Felicjan: Odgłosy z gór.*

Uroczym zakątkiem jest dolina Strążyska: nie tak przyniatająca ogromem i gotyckimi kształty kamiennych wieżyc, jak Kościeliska, ale jednak wspaniała i pełna powabów. Jeżeli Kościeliska jest świątynią, której charakter najlepiej się maluje, gdy w niej zamiast organów, pioruny grają hymny, a przyświecają błyskawice — to Strążyska kościołem, w którym ptaszki i pastuszkowie do mszy śpiewają. Tam Bóg i Sędzia Najwyższy przejmuje czią pełną bojaźni, a tutaj łagodny przebaczący Ojciec budzi w sercu nadzieję i otuchę. Tam czarne smereki bramują ściany skaliste, niby wieńce żałobne, między którymi tu i ówdzie błyszczą czerwone korale jarzębiny, jak duże krople krwi widne zdaleka, a tutaj gromady buków, młodych i starych, rozweselają ciemne tło świerkowych lasów, jasną między niemi błyskając zielenią. Kościeliska posiada olbrzymią nawę, wyniosłe wieże i liczne po bokach kaplice, ale nie posiada chrzcielnicy tak wspaniałej jak Strążyska pod Giewontem, który jej daje tło imponujące, a przybrane w ro-

ślinność tak bogatą, tak bujną, że przypomina fantastyczne powieści o lasach dziewiczych, a dla botaników jest kopalnią prawdziwą. Jeżeli wreszcie Kościeliską dolinę nazwano „perłą Tatr“ najpiękniejszą, to Strażyska słusznie mieć winna nazwę „perełki“.

Brzegiem potoku, ścieżką, wydeptaną między kamieniami, szedł Henryk w nowym ubraniu z szarego płótna góralskiego, uszytem ręką babuni Kasi, i w kapeluszu z góralskiej słomy z dużym rondem. Towarzyszył mu Król, pastuszek Ślimaka. Gazda miał na reglach pastwisko, a Król pasł tam krowy i wygrzewał się w słońcu, lub zbierał poziomki, maliny i grzyby. Teraz, zostawiwszy krowy swoje na stoku regli, i nasłuchując odgłosu ich dzwonek, zaprowadził Henryka do doliny, i objaśniwszy go, jak ma iść dalej, którędy się kierować i co omijać, wrócił do swoich krówek, a po chwili zdaleka słychać było jego piosenkę wesołą:

„Chłopiec ci, ja chłopiec  
Zbójeckiego rodu,  
Pójdę paść owieczki,  
Nie będę marł głodu.

Chociem se chudobny,  
Alem se ślebodny;  
Chodzę po ślebodzie  
Jak rybka po wodzie.

Śpiewam sobie, śpiewam,  
Chocia ja nic nie mam;  
Ptaszki śpiewają,  
Chocia nic nie mają“.

— Kwiatuła, gwiazduła, uu, hu, hu, hu!

Henryk słuchał i przytem rozglądał się uważnie po obu stronach, upatrując róży bez kolców. Doktor powiedział mu, że krzak ten rośnie w krainie dolnych regli, niema nic więc niepodobnego w przypuszczeniu, że rośnie w Strażyskach. O, jakże byłby szczęśliwym, gdyby mu się znaleźć ją udało! Mało oczu nie wypatrzył, mało sto razy już

myślał, że ją znalazł, i spostrzegł, że się myli. Dokoła niego rosły precudne paprocie: koronkowa paproć samcza, *Athyrium filix max*;



Paproć samcza. *Athyrium filix max*.

*trichomanes*; rozrzutka alpejska, *Woodsia alpina* — słowem, całe królestwo paprociowe, znane pod ogólną nazwą *Filices*. Rosły śliczne skalnice, nieśmiertelniki, zawojki i cała rzesza kwiatów, znanych już z Kościelisk, bo tu był ten sam grunt wapienny, sprzyjający ich rozwojowi i te same warunki istnienia — wilgoć, którą piły chciwie, unosząc się nad strumieniem i skraplającą na ich liściach. Znalazł całą gromadę goryczek niebieskich,

w różnych gatunkach, a między niemi goryczkę rzęsowatą, *Gentiana ciliata* i tę najpiękniejszą, *Gentiana acaulis*. Nie wielki jej kwiatek wyrasta przy samej ziemi i dlatego może zowią ją goryczką krótkołodygową. Kto jej nie widział, nie ma wyobrażenia o cudownej piękności jej szafiru! Są to prawdziwe klejnoty, rozsypane po ziemi. Niech się schowają przed niemi bławatki, powoje, dzwoneczki i wszystkie odcienie błękitów. *Gentiana acaulis* jest jak wspomnienie nieba na ziemi i powinna mieć przydomek *angelica*. Wedle zdania botaników, żywość barw kwiatów górskich



pochodzi stąd, że w rozrzedzonym powietrzu słońce silniej świeci i przygrzewa. Dalej Henryk znalazł mnóstwo storczyków liljowych i białych, pachnących tak cudnie, że choćby się nie wiedziało o ich obecności, domyśleć się jej można po zapachu i wysledzić, nawet gdy się kryją między wysokie kłosa traw i listowie paproci. Szarotki patrzyły nań z wysooka, wabiąc ku sobie śnieżną bielą i promienistym kształtem. Mógł je być dostać bez wielkiego trudu, ale nie sięgał po nie; rwał tylko to, co było najbliżej — i miał już sporą wiązkę kwiatów, ale nie cieszyły go one tak jak dawniej; smutny był i zamysłony, więc niejeden cenny okaz uszedł jego uwagi. Babunia powiedziała mu wczoraj, że niedługo już w górach zabawią, a to odebrało mu humor i przywiodło tutaj, w nadziei, że przed odjazdem jeszcze znajdzie różę bez kolców.

W powietrzu bujały nitki pajęczyny, przychepione do gałęzi smereków, nanizane kropelkami rosy, i błyszcząły w słońcu, a Henryk myślał z westchnieniem, że jego nadzieja jest jak ta nitka pajęcza, lśniąca tęczowemi blaskami, która pęknie i zgaśnie, zanim on dojdzie do końca doliny.

— Jest wszystko, prócz tego, czego szukam — myślał z żalem, patrząc na bogactwo kwiecia, pokrywające stoki. — Gdzie jesteś, o różo bez kolców? Różo alpejska, gdzie jesteś? Pokaż mi się!

Uczuł lekki powiew na twarzy i coś mu przeleciało koło ucha. Spojrzał: fruwał przed nim wspaniały motyl, *Doritis Apollo*, znany mu z Muzeum Tatrzańskiego, a barwne jego skrzydełka lśniły w słońcu tysiącem blasków. Henryk zachwycony ścigał go oczyma i spostrzegł, że motyl frunął na



Zanokcica skalna.  
*Asplenium trichomanes.*

drugą stronę potoku, nad urwisko i usiadł na jakimś krzaku. Przysłonił ręką oczy, żeby lepiej widzieć i spostrzegł go, doznawszy przytem nadzwyczajnego wzruszenia. Krzak, na którym siadł motyl, był to krzak róży około pięciu stóp wysoki, okryty kwiatem przepysznej, różowej, prawie purpurowej barwy.

Chłopiec, nie namyślając się, rzucił kilka kamieni w wodę i po tak zaimprovizowanym moście przeskoczył na drugą stronę, a serce biło mu jak młotem z pragnienia i niepewności, czy to naprawdę ta, której szukał. Ale to ona była, *Rosa alpina!* Gałązki jej ciemno-brunatne nie miały kolców, tylko mały, delikatny meszek.

— Dzięki Bogu! Mam ją, mam! — szeptał ze wzruszeniem. — Jakże się sir Edward ucieszy!



Rozrzutka alpejska. *Woodsia alpina*.

Drżącemi rękami zerwał dużą, okrytą kwiatem gałązkę, i zdjawszy kapelusz, założył za wstążkę, którą był opasany. Myślał chwilę, czyby nie wykopać krzaka z korzeniami, ale nie miał z sobą łopatki żelaznej, którą możnaby go wyjąć z gruntu bez uszkodzenia — a przytem, sir Edward może zechce sam dopilnować wyjęcia z wszelkiemi ostrożnościami, aby krzak zniósł bez przeszkody długą podróż po lądzie stałym i po morzu. Do końca doliny, nie miał już Henryk po co iść dzisiaj. Pragnął czem prędzej wręczyć baronetowi cenną zdobycz i zawrócić z powrotem do Zakopanego.

Szedł ku wyjściu doliny krokiem lekkim, szybkim, bo radość przypięła mu skrzydła. Zaledwie uszedł ze sto kroków, ujrzał kogoś śpiącego w cieniu drzewa. Zdaleka widniały piękne buty ze sztylpami, błyszczące w słońcu, brązowa aksamitna kurtka i nowy tyrolski kapelusz z piórem, zieloną wstążką opasany. Obok leżał kij alpejski, lornetka na pasku rzemiennym i para pięknych rękawiczek

z mankietami, jakich używa się do konnej jazdy. Z tych wszystkich oznak sportowej elegancji, Henryk domyślił się Dawida, zanim jeszcze zobaczył twarz jego, okoloną puklami jasnych, widocznie fryzowanych włosów. Spał z ręką podłożoną pod głowę, na miękkim pościu z mchu, a sny



Goryczka rzęsovata.  
*Gentiana ciliata.*



Storczyk: golek białawy.  
*Gimnadenia albida.*

jego niewesołe być musiały, bo czoło marszczyło się chwilami, a twarz przybierała wyraz frasobliwy. O paręset kroków wyżej, na stoku, Walter, z puszką przewieszoną przez ramię i łopatką w ręku, zbierał rośliny. Nieopodal pod drzewami pasły się dwa piękne, osiodłane wierzchowce.

Niespodziany widok chłopca, który go niedawno tak ubliżającym dotknął podejrzeniem, zmroził odrazu radość Henryka, a myśl o niesprawiedliwości, jakiej doznał, załała serce jego gniewem i goryczą. Chociaż lubił bardzo Wal-

tera, z którym się poprzyjaźnił w drodze do Morskiego Oka, nie chciał się z nim teraz spotykać, gdyż to doprowadziłoby do spotkania z Dawidem, którego nie lubił —



Goryczka krótkołodygowa.

więc wolał oddalić się niepostrzeżony. A przytem miał jeszcze inny powód: nie chciał, aby wiadomość o znalezieniu róży bez kolców doszła do sir Edwarda wprzód, zanim on ją doręczy — i naprzód się cieszył widokiem jego radości i zdziwienia. Dotknął ręką swego skarbu, jakby się bał, żeby mu go kto nie odebrał — i chciał się szybko oddalić.

Odchodząc, rzucił przelotne spojrzenie na śpiącego Dawida, przyczem dojrzał w oddaleniu kilkunastu kroków od głowy

jego, ruch traw i paproci — a że wiatru najbliższego nie było, więc ruch ten niczem nieusprawiedliwiony, zastanowił go — i przystanął. Z pod kępy wrzosów i drzączki wysunęła się niewielka płaska głowa, opatrzona dwojgiem bystrych wypukłych oczu, pozbawionych powiek, a potem wąski, szary, łuskami pokryty, czarno centkowany grzbiet, przedłużający się powoli i posuwający ku śpiącemu coraz bardziej, ruchem falistym.

— Żmija — szepnął chłopiec struchlały — żmija jadowita. Ślimak mówił, że jadowite są szaro nakrapiane, a ta jest właśnie szara!

Patrzył przez chwilę jak zahypnotyzowany, na walcowate, beznogie ciało żmii, spodem białawe, a zwierzchu czarniawo-brunatnym oznaczone rysunkiem, wyglądającym jak zygzak piorunu na brunatnej chmurze — a serce mu biło jak młotem. Żmija przysuwała się coraz bliżej; miała

może więcej niż metr długości, i już była tuż przy Dawidzie. Podniosła głowę, otworzyła paszczę, wysunęła długi, niewielki, na dwa cienkie końce rozdzielony język — jeszcze chwila a ukąsi śpiącego... Ukąszenia żmii bywają śmiertelne...

Henryk oprzytomniał: wyciągnął rękę z siekierką i metalowem jej ostrzem uderzył w łeb żmiję, która drgnęła pod ciosem niespodzianym i zwinęła się w kłębek. Jeszcze kilka uderzeń i gad legł martwy — ale ruchy te obudziły Dawida, bo kilka drobnych kamieni stoczyło się przytem po pochyłości nadół, do strumienia. Zerwał się napół przestraszony i zawołał z gniewem:

— Kto u diabła ośmiela się mi przeszkadzać? — A nie widząc nikogo, rzekł do siebie z głośnem ziewnięciem: — Pewnie krowa potrafiła kamienie, idąc wyżej ku górze. A szkoda, tak smacznie spałem!

— To ja — odezwał się Henryk tuż za nim.

Dawid odwrócił głowę i podparłszy się na łokciu, rzekł ze złością:

— To ty, *mały* Polaku? Czyż nie dość masz miejsca w Strażyskach, że ci przyszła ochota tutaj, koło mnie urządzać sobie głupie zabawy ze zrzucaniem kamieni, i przeszkadzać mi spać?

I dodał szyderczo:

— Ale gotów jestem przebaczyć ci, jeżeli mnie przeprosisz i powiesz, że ci się to tylko przypadkiem zdarzyło.

Henryk popatrzył na zarozumiałego panicza z politowaniem i rzekł:

— Mylisz się *wielki* Angliku, wcale cię przeproszać nie będę. Dowiedz się, że nie zrobiłem tego przypadkiem.

Dawid osłupiał. Pierwszy to raz usłyszał, że ktoś otwarcie przyznawał się, iż chciał go obrazić. Nic podobnego nie zdarzyło mu się jeszcze nigdy, i nie mogło się pomieścić w jego płytkiej głowie, nawykłej do otoczenia, spełniającego skwapliwie wszystkie jego zachcianki i kaprysy. Po-

cząwszy od matki, a skończywszy na służbie, wszyscy, prócz dziadka, ulegali mu. Pierwszą gorzką lekcję upokorzenia wziął na drodze do Morskiego Oka — a teraz dostał niespodzianie drugą. Nie wierzył uszom własnym, ale



Róża alpejska. *Rosa alpina*.

czekał. Widząc zaś, że Henryk nie dodaje ani słowa dla złagodzenia wrażenia słów wypowiedzianych, wykrzyknął ze złością:

— Na to trzeba być gburem!

Krew zawrzała w żyłach Henryka, ale powściągnął się i rzekł spokojnie:

— Gburem jest ten, kto drugich znieważa bez powodu. Ty, panie hrabio, na Krzyżnem już dowiodłeś, że ci się ten tytuł prawnie należy.

Dawid poczerwieniał. Chciał odpowiedzieć nowem grubiaństwem, ale przypadkiem wzrok jego padł na gałązkę róży, zatknęłą za opaskę kapelusza Henryka i zbladł.

— Co to jest? — zawołał. — Róża z gładką gałązką! Czy to nie jest czasem róża bez...

— Nie omyliłeś się; to jest róża bez kolców, *Rosa alpina*.

— A więc ty ją znalazłeś! — zawołał, zaciskając pięści ze złością. — Jakież duch stawia cię zawsze na mojej drodze! To ja byłbym ją znalazł, skoro już jestem w tej dolinie. A nawet... nawet zasługa znalezienia, mnie się raczej należy, bo widziałem niedaleko stąd krzak róży. Może to ta sama! Powiedz mi, gdzie ją zerwałeś?

— Jeżeliś krzak widział, to nie potrzebujesz o to pytać — odpowiedział Henryk, wiedząc doskonale, że mały hrabia skłamał.

Davy przygryzł wargi.

— Chciałem wiedzieć, czy to ta sama — tłumaczył się zmieszany — czy też zerwałeś ją z innego krzaka. Ty jesteś mojem nieszczęściem! Od czasu jak przyplątałeś się do nas, sir Warburton niechętnie na mnie patrzy i stał się jeszcze więcej surowym i niesprawiedliwym, niż był dawniej; a odkąd zaczęłaś wyjeżdżać przy każdej sposobności z czynami bohaterskimi, uważa mnie za skończonego niedołęgę! Zapowiedział nawet, żebym się niczego po nim nie spodziewał, że pracą będę musiał zdobywać byt i stanowisko. Słyszysz? *Niczego* po nim, mającym tyle pieniędzy, że nie wie, co z nimi ma robić! A teraz — dodał, patrząc zazdrośnie na gałązkę róży — teraz, gdy mu zaniesiesz kwiat, za którym napróżno upędza się od trzech tygodni, podbijesz serce starego doreszty!...

I śmiejąc się nienaturalnie, dodał:

— Gotów cię jeszcze uczynić swoim spadkobiercą! A choć jesteś dumny jak księżę i powiedziałaś na Krzyżnem, że nie dbasz o łaskę baroneta, jednakże...

— Nie kończ! — zawołał oburzony Henryk. — Ubliżasz sir Edwardowi i mnie! Czyż nie rozumiesz, że...

— Nie przerywaj mi! — zawołał Dawid z uniesieniem. — Muszę ci raz wszystko wypowiedzieć; słyszałem na własne uszy, jak dziadek mówił do pana Waltera, że jesteś podobny do mego ojczyma, Ryszarda, którego on kochał do szaleństwa. Dobry początek, nieprawdaż? A potem, gdyś pojechał na tę warjacką wyprawę tratwą, po tego dziwaka Stranda, i burza powstała na jeziorze, stary o mało nie oszalał z obawy o ciebie... a gdyś powrócił, porwał cię w objęcia i ścisnął jak własnego syna! A wiedz, że gdy się niema następców w prostej linii, prawa angielskie nie bronią przelać majątku na obcych, nawet na cudzoziemców! Nie wiem, coś ty za jeden i skąd się tu wzięłaś, ale matka moja utrzymuje, że dziadek musi mieć krewnych w waszym kraju!

Henryk słuchał tych zwierzeń zrazu ze wstrętem, a po-

tem ze wzrastającym zdziwieniem. A więc to była przyczyna zemdenia lady Alicji przy Morskiem Oku? Tego się oni obawiali! Przypuszczenia małego hrabiego były po prostu bezsensowne, ale skoro matka i syn mają podobne obawy, powinien usunąć się zupełnie. Nakazuje mu to sumienie i honor — a przytem nazbyt szczerze przywiązał się do sir Edwarda, aby chciał wnosić kąkol nieporozumienia w jego kółko rodzinne.

— Posiadasz pan bardzo bujną wyobraźnię — rzekł poważnie — skoro w twojej głowie wylęgły się podobne przypuszczenia. Pochodzi to pewnie stąd, że masz za dużo czasu i myślisz ciągle o pieniądzach. Ja ich nie mam, ale je sobie w przyszłości zdobędę, bo lubię pracować. Nie liczę na żadne spadki, ani ich pragnę. Zrozumiałbyś to, gdybyś zamiast myśleć ciągle tylko o sobie, patrzył uważniej na drugich. Nie mam bynajmniej zamiaru mieszać się w twoje sprawy familijne i jeżeli gałązka róży może usunąć twoje obawy, to weź ją sobie!

To mówiąc, odczepił ją od kapelusza i oddał Dawidowi.

— Jakto! — zawołał tenże zdumiony. — Więc ty... naprawdę... chciałbyś...

— Chcę, żeby sir Edward posiadał to, czego pragnie, a czy ja mu dam tę gałązkę, czy kto inny, to wszystko jedno; cel zostanie osiągnięty. Żegnaj cię, widzimy się po raz ostatni.

I zmieniawszy pierwotny zamiar, zawrócił w głąb doliny, którą postanowił zwiedzić do końca, bo nie miał już powodu śpieszyć się zpowrotem.

Dawid pozostał sam, zdziwiony niespodziewanem rozwiązaniem sprawy, z gałązką róży w ręku, a wstyd palił go jak rozpalone żelazo. Dwie plamy czerwone wystąpiły na policzki, głowa pochyliła się pod ciężarem doznanego upokorzenia... Czuł całą niedelikatność swego postępowania i zgnębiony był wspaniałomyślnością przeciwnika.

Po drugiej stronie strumienia zstępował ze stoku Walter,



obladowany obfitą zdobyczą. Puszka jego tak była pełna roślin, że nie dawała się zamknąć i jeszcze ręce obie miał niemi zajęte. Skinął na Davego, żeby mu przyszedł z pomocą w dźwiganiu tych zbiorów. Mały hrabia podniósł się, postąpił kilka kroków i nagle krzyknął, odskakując ze wstrętem. Nastąpił na coś miękkiego i śliskiego. Była to żmija nieżywa, a na głowie jej widne były ślady uderzeń siekierki. Leżała w miejscu, gdzie kamienie, toczące się nadół zbudziły go ze snu.

— O Boże! — zawołał Dawid przerażony. — To on zabił tę żmiję i ocalił mnie, a ja mu się odpląciłem tak haniebnie! I nic nie powiedział... nie raczył się nawet tłumaczyć, gdy napadłem na niego, że mi przeszkadza... Pogardza mną, to widoczne. Jestem okropnie ukarany, bo muszę go szanować i... podziwiać! Jakiż on dumny i szlachetny ten mały Polak, a ja, jakżem zły i samolubny... O Boże, Boże!

Henryk szedł prędko, nie oglądając się, i przystanął dopiero na kładce, rzuconej przez strumień, gdy był pewny, że już nie dosięgnie go oko niczyje. Staął i spojrzał przed siebie. Z lewej strony miał rąbanisko, między którym stały samotnie pojedyncze jodły i świerki, w głębi Giewont, a w dole nad strumieniem wspaniałe, rozłożyste buki, zasłaniające dalszą drogę. Na prawo piętrami wznosiły się ściany skaliste, poszarpane i ostremi zakończone wieżycami, które górale zwą „kominami“, upatrując podobieństwa do zwierząt i ludzi: do sowy, do mnicha, a nawet do Matki Bokiej. Henryk zatrzymał wzrok na tej ostatniej i zdało mu się, że w smukłej kamiennej postaci rozróżnia istotnie rysy Matki Zbawiciela z Dzieciątkiem Jezus na ręku — a do złudzenia tego dopomagały jeszcze małe przejrzyste obłoczki, przepływające u jej stóp. Patrzył, patrzył, a wszystka gorczyz, uczucie doznanej niesprawiedliwości, żal i ból, spłynęły do serca, które wezbrało i rozplakał się. Taki był szczęśliwy niedawno, taki dumny, a teraz!... Sir Edward

nie dowie się nigdy, kto znalazł różę bez kolców, ani jak bardzo pokochało go wdzięczne serce polskiego chłopca!...

— Ach, czemuż sir Edward nie jest ubogim! — westchnął. — Mógłbym wtedy śmiało okazać mu, co czuję, i nie wzbudzałbym niczyjej niechęci.

Usłyszał w górze ostry świst, przecinający powietrze, i ujrzał ptaszka z długimi, łukowato wygiętymi skrzydełkami i widełkowato podwiniętym ogonem. Rdzawo-czarne miał piórka, a pierś białą. Płynąc z szybkością strzały w powietrzu, przybierał chwilami kształt krzyża, odbijającego ciemnym konturem od jasnego nieba.

— Jerzyk, czyli jaskółka turniowa! — zawołał Henryk, ścigając oczyma wdzięczne ptaszę i zobaczył, jak przysiadłszy na występie skalnym, zaczęła leżeć do góry, podpierając się sterówkami, jak dzieciół ogonem. Chwytała przytem wlot owady, upędzając się za niemi wysoko. — Musi tam mieć gdzieś gniazdko — myślał — chciałbym je widzieć! Jerzyk podobno jest pobratymcą salangany, owej jaskółki z Jawy, słynącej z gniazd jadalnych.

Była chwila, że żałował, iż oddał różę Dawidowi, ale potem powiedział sobie, że dobrze zrobił i że nie mógł inaczej postąpić. Wstał i szedł znowu dalej, a gdy doszedł do polany, gdzie były szałas i pasło się krów kilka, zobaczył na środku wielki głaz podobny z kształtów do sfinksa. Przystanął i jął mu się ciekawie przypatrywać.

— Czytałem gdzieś podanie, że sfinks, przebywający na skale pod Tebami, zadawał każdemu przechodniowi zagadkę, a nieumiejącego jej rozwiązać, połykał. Myślę, że mi żadnej nie zada, i że nie będę połknięty. Sir Warburton to także rodzaj sfinksa... Bo też to dziwny człowiek: bogaty jak król, a zdaje się nie przywiązywać żadnej wagi do pieniędzy, i nawet wyraża się o nich z gorzką ironją. Gdy mnie na Krzyżnem spytał, czy chciałbym być bogaty, i odpowiedziałem mu, że tak, uważałem, że popatrzył na mnie z politowaniem... Wydało mi się nawet, że

straciłem coś w jego pojęciu. Jego postępowanie to prawdziwa zagadka, nietylko dla mnie, ale dla wszystkich. Pan Jakób i pan Witold myślą tak samo jak ja, bo widzę często, że gdy on powie coś niespodzianie, patrzą na siebie jakby to była zagadka, której nie mogą rozwiązać.

Z jednego, bliżej sfinksa położonego szafasu, wyszedł doktor, a spostrzegłszy Henryka, zawołał zdziwiony:

— Ty tutaj, chłopcze? A to niespodzianka! Jak się masz, mój kochany? Pewnie przyszedłeś szukać róży bez kolców. I ja o niej myślę od rana, ale nie spotkałem jej dotąd. Może ty będziesz szczęśliwszy. „Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje“. Jakże tu sam trafiłeś?

— Pastuszek drogę mi pokazał.

— Ale masz jakiś smutek w oczach: co ci jest?

— Mam swoje zmartwienia... — odrzekł.

— O! Jest nawet liczba mnoga? Czy można wiedzieć, jakie?

— Dziadunio napisał wczoraj, żebyśmy wracali do Mi-ratycz, bo nie może nam przysłać pieniędzy. Mieliśmy zabawić tutaj całe dwa miesiące, a pewnie za jaki tydzień wyjedziemy!

— A tobie góry do serca przypadły, nieprawdaż? Sir Edward też nową projektuje wyprawę, w której mógłbyś wziąć udział. Przytem przykrą ci jest myśl rozstania się z baronetem, z którym się tak bardzo zaprzyjaźniłeś?

— To prawda — odrzekł szczerze chłopiec. — Mnie samemu jest dziwno, że mogłem tak... tak przywiązać się do obcego człowieka i jeszcze cudzoziemca; ale gdy pomyślę, że go już więcej nie zobaczę, to mi się na płacz zbiera. Bo czy nie prawda, panie, jaki on jest dobry! Interesuje się wszystkim, co mnie obchodzi. Wypytuje się o naszą wioskę, o interesy, o babunię Kasię, o Marysię...

— A babunia, czy nigdy nie wyraziła życzenia poznania sir Edwarda?

— Nie powiedziała tego ani razu, ale widocznie spo-

dziewa się jego odwiedzin, bo ile razy kto drzwi otworzy, zrywa się, jakby kogoś oczekiwała, czy obawiała się czego. Gdy wróciliśmy od Morskiego Oka, musiałem jej szczegółowo opowiedzieć nasze przygody, a każde słowo sir Edwarda kazała sobie po kilka razy powtarzać. A potem...

— Cóż było potem?

— Potem modliła się długo i... widziałem, że płakała. Babunia jest jakaś niezdrowa: chciałem właśnie dziś iść do pana i prosić, aby ją pan odwiedził. Złe sypia w nocy, zamyśla się często tak, że nie słyszy, co się do niej mówi, jest jakaś niespokojna, zdenerwowana i zdaje mi się nawet, że zmizerniała.

— Dobrze, dziś będę u was, i zobaczę zarazem, jak się ma twoja siostrzyczka. A ciebie co dziś skłoniło do spaceru w Strążyskach?

— Mówili mi pasterze, że widzieli tu różę bez kolców.

— Chciałeś więc ją zdobyć dla sir Edwarda, zanim wyjedziesz z Zakopanego.

— Tak jest — odrzekł z westchnieniem.

— Szukaj więc, pomogę ci.

— Dziękuję panu — odrzekł z pewnem wahaniem — ale to już niepotrzebne. Znalazłem ją.

Doktór spojrział na chłopca zdumiony.

— Znalazłeś i nie chwalisz się tem przedemną? A wyglądasz taki strapiony i chmurny, jakby cię spotkało nie-szczęście! Jabym głośno wołał: Victoria! i potrzasałbym zdaleka gałązką zdobytą jak chorągwią, a ty milczysz, Henryku! Co to znaczy?

— To znaczy, że moją zdobycz oddałem dobrowolnie komu innemu.

I opowiedział doktorowi całe swoje zajście z Dawidem.

— Postąpiłeś jak prawdziwy gentleman — odezwał się Jakób, wysłuchawszy uważnie. — Jak wyglądała żmija?

— Była szara. Wzdłuż grzbietu miała nakreślony pasek czarniawy, w zygzak połamany i czarne centki po bokach.

— A więc to była żmija jadowita, tak zwany grzmiel; jest ona jedynym u nas w Europie środkowej wężem jadowitym i niemniej od psa wściekłego szkodliwym dla człowieka i zwierząt. Na nizinach grzmiel przebywają pośród zarośli; a w górach na miejscach skalistych i zboczach. Zęby żmii stanowią broń odporną i zaczepną, straszniejszą niż zęby wilka. Nie ma ona żądła, jak mylnie sądzą niektórzy, ale dwa zęby ostre i śpiczaste, wychodzące z górnej szczęki. Zęby te mają wewnątrz otwory, łączące się z gruczołkami jadowymi, i przez nie to jad spływa do rany, gdy kłując ciśnie na gruczołki. Ranka od ukąszenia żmii wygląda jak ukłucie szpilki, i tem jest niebezpieczniejsza, im czulsze jest miejsce zranione, im żmija silniejsza, jad obfitszy, a pora gorętsza. Gdyby nie twoja przytomność umysłu, Davy przypłaciłby swój sen w Strażyskach ciężką chorobą, a może śmiercią, bo ukąszenie żmii często bywa śmiertelne. Ale jedna rzecz mnie dziwi: żmija unika człowieka i tylko wtedy, gdy ją podrażni, przygniecie, lub nadepcze, nadyma się, syczy i kąsa. Gdzież Walter był wtedy?

— O kilkadziesiąt kroków wyżej, między smerekami: zbierał rośliny.

— Hm, to dziwne: więc ani Davy jej nie podrażnił, bo spał, ani Walter, bo znajdował się gdzie indziej.

— Widziałem, jak krowa właśnie przeszła tamtędy.

— A więc sprawdziło się tu przysłowie: „ślusarz zawiñił, kowala powieszono“. Krowa musiała nadepnąć żmiję, a ona chciała się zemścić na Dawidzie.

— Jakie są objawy zakażenia krwi jadem żmii? — zapytał Henryk.

— Skutki jadu objawiają się niekiedy już po kilku minutach: mianowicie gwałtowny ból i spuchnięcie ukłutej części ciała, słabość, nagłe opadnięcie z sił, zawrót głowy i mdłości. U osób dorosłych, ukąszenie zwykle kończy się chorobą, u dzieci czasem śmiercią.

— A jak trzeba ratować ukąszonego?

— Wymyć ranę jak najspieszniej, a gdyby była głębszą, należy ją wykroić lub wypalić, aby krew dobrze odchodziła, przytem ostrożnie wyssać, podwiązać miejsce zranione powyżej rany, aby przeszkodzić obiegowi krwi w ukąszonem miejscu; wreszcie zawezwać jak najspieszniej lekarza. Rzadko zdarzają się wypadki ukąszenia, ale się zdarzają; należy przeto żmiję znać i mieć się przed nią na ostrożności. Obok zwyczajnej żmii, jak ta, którą widziałeś, zdarzają się okazy miedziste i czarne, bez paska grzbietnego.

— Proszę pana, ciekawy jestem, czem żmije się żywią?

— Myszami i w tem są pożyteczne, narówni z innymi myszojadami. Dopadniętej myszy zadaje żmija ranę śmiertelną, potem puszcza ją, czeka aż padnie i dopiero martwą połyka.

— A czy tutaj w górach jest tyle myszy, żeby je mogły wyżywić?

— O, są; jest koszatka *Myoxus dryas*, rzadka w kraju naszym i pojawiająca się jeszcze w Tatrach, orzesznica *Muscardinus avellanarius*. Jest też tu pewna mała myszka, należąca do osobliwości tatrzańskich, bardzo rzadka w Europie: zwie się smużką, *Sminthus vagus* i żyje po lasach.

— Biedne myszki mają tu dużo nieprzyjaciół — rzekł Henryk — bo i krwiożercze łasice podobno zawzięcie na nie polują. A jakich wrogów mają żmije?

— Jeż, borsuk, tchórz, myszołów; na równinach pawie i bociany. Walka między jeżem a żmiją ciekawy przedstawia widok. Jeż rozwija przy jej chwytaniu szczególną zręczność, tak, że żmija, nim zdoła dosięgnąć zębami przeciwnika, już pada jego ofiarą. Nie może ona do niego dostąpić, bo kolce ją kłują, a nim upatrzy miejsce mniej zabezpieczone jego ciałą, zwinny jeż tymczasem schwyci ją za kark i ubezwładni. Jeżeli już odpocząłeś, Henryku, to chodźmy dalej.

— Czy możemy w Strażyskach spotkać jakie dzikie zwierzęta?

— Dlaczego nie? Możemy, na przykład dzika, który tu czasem zachodzi z Kościelisk.

— O, to mi się nie uśmiecha! Nie mamy z sobą broni, a jest przecież dawne myśliwskie przysłowie: „Jeżeli idziesz na niedźwiedzia, gotuj łóżko; jeżeli na dzika, gotuj mary“, bo jedno uderzenie kłem rozpruwa brzuch psu lub człowiekowi i wydobywa wnętrzności.

— No, tak źle z nami nie będzie — odrzekł Jakób z uśmiechem — dzik wychodzi na żer o zmierzchu; w dzień opuszcza rzadko legowisko, chyba wypłoszony umyślnie. Możemy też spotkać wydrę, bo te zwierzęta lubią wszystkie miejsca, gdzie jest dużo wody — a słyszałem, że je widziano w tej dolinie i w Kościeliskach. Jest też tu ulubione miejsce zamieszkania puhaczy, bo tu znajduje się dużo drzew starych i rozłożystych, a one na takich najchętniej się osiedlają. Ale i puhacze dopiero o zmroku wychodzą na łowy, a we dnie chowają się w kryjówkach.

Idąc, przechodzić musieli kilkakrotnie przez strumień po sterczących z wody kamieniach, to na jedną to na drugą stronę, lub po zwalonych kłodach drzew, przepyszną okrytych roślinnością.

— Wody tu istotnie dużo i widzę nawet migające pstrągi. Wydra ma na co polować — powiedział Henryk. — Ale co to za hałas słyszać?

— To huk wodospadu, lecącego ze skały 40 stóp wysokiej. O patrz! Czy widzisz?

— Widzę, widzę! Ponad wodospadem wznosi się lesista dolina, a Giewont daje jej wspaniałe tło. Co za oryginalny a uroczy zakątek!

— Dzika to i pusta, zasłana rumowiskami kotlina; leżą w niej grube płyty śniegu zlodowaciałego. Prawdziwa tam kopalnia dla botaników! Wejście na nią bardzo trudne, ale ją wejść muszę, bo spodziewam się znaleźć kilka roślin, których mi właśnie brakuje. Ty, Henryku, posiedź tu sobie przy wodospadzie i zaczekaj na mój powrót.

Henryk zgodził się na propozycję. Usiadł na zwalonym pniu drzewa i patrzył na rozpryskującą się pianę, która jak pyłek delikatny unosiła się w powietrzu, a promienie słońca, padając na nią ukośnie, zmieniły ją w gazę złocistą. Wszystkie mchy i paprocie perlity się od tego pyłku, niby diamentowym posypane piaskiem. Chłopiec zdjął kapelusz i z rozkoszą napawał się miłym chłodem i pięknnością widoku.

Wtem coś niezwykłego zwróciło jego uwagę. Posłyszał gdzieś w bliskości śpiew ptaszyny, słaby, cichy, ale bardzo miły. Upatrywał pilnie śpiewaka, nigdzie jednak dojrzeć go nie mógł: wkrótce też śpiew ucichł. Zato w miejscu, gdzie woda najbardziej była skłębiona, ujrzał wśród wiru i piany trzepoczącą się drobną ptaszynę. Myślał, że tonie, bo chwilkami niknęła zupełnie pod wodą; zerwał się więc i pośpieszył na jej ratunek — ale o dziwy, ptaszek wyleciał z toni jak piłka, do góry i na nowo rzucił się w nurt spieniony. Widocznie była to tylko kąpiel dla przyjemności, a nie żaden nieszczęśliwy wypadek.

— A to dopiero! Co za siła i zręczność w tej maleńkiej ptaszynie — pomyślał zachwycony i zaintrygowany mocno Henryk. — Słyszałem, że siła wody, spadającej z takiej wysokości, może zabić człowieka, któryby dostał się w jej nurty, a ptaszek igra z nią bezkarnie!

I patrzył, co dalej będzie, a ptaszek dokazywał cudów zręczności i odwagi, jakby się przed nim umyślnie popisował tem, co potrafi. Wyprawiał sztuki niesłychane: przecinał lotem kryształ spadającej kaskady, i krył się za jej zasłoną, a gdy Henryk oddech wstrzymywał, z ciekawości i obawy, co się z nim stało, zjawiał się niespodzianie, jakby igrając. Nareszcie przysiadł na wystających z wody głazach. Teraz chłopiec mógł zauważyć, że piórka jego miały rdzawą barwę.

— Zmęczył się — pomyślał Henryk — pewnie będzie odpoczywał i suszył piórka w słońcu.



Ale ptaszek ani myślał o spoczynku, tylko zmienił sposób zabawy: wskoczył jak żaba w strumień i trzymając skrzydła cokolwiek rozstawione, spacerował po jego dnie, zanurzony zupełnie, i szukał czegoś pomiędzy wyścielającymi je drobnymi kamykami. Po upływie kilkunastu sekund ptaszek wychylił główkę nad wodę, a potem znowu się zanurzył.

— Jak to drobne stworzenie może tak długo wytrzymać bez powietrza — myślał Henryk — to dla mnie niepojęte! Panie Jakóbie! — zawołał, widząc spuszczonego się ze skały doktora. — Jak to dobrze, że pan idzie! Dzieją się tu niestychane rzeczy!

I podbiegłszy ku niemu, opowiedział całą historję, wszystko, czego był świadkiem i co go zdumiewało. Jakób odrzekł mu na to:

— To jest właśnie pluszcz kordusek, *Cinclus aquaticus*, o którym wspominałem, gdyśmy z panem Witoldem szli do Jaworzynki dla spotkania się tam z sir Edwardem. Charakterystyczną jest jego cechą, że przez gęste, zbite piórka tej ptaszyny, woda nie przesiąka wcale; dlatego to po wyjściu z niej, nie potrzebuje wcale suszyć ubrania.

— A co znaczy to spacerowanie pod wodą z rozstawionymi skrzydłami?

— Właśnie w tem rozstawieniu skrzydeł jest cała sztuka: ptaszek chowa tam sobie pewien zapas powietrza — a spacer jego podwodne mają swoją przyczynę: poluje on tam na taką zwierzynę, jak różne skorupiaki, owady, poczwarki, gąsienice, przyczepione do korzeni roślin lub kłód, zalegających strumienie.

— Uważałem, że gdy przeciął lotem kryształ kaskady, nie było go widać dłuższą chwilę.

— Pewnie zajrzał do domu.

— Do domu? A czyż on tam mieszka?

— Pluszczyk buduje sobie zawsze gniazda przy wodzie, i buduje tak blisko, że pryskające krople ciągle je zraszają.

Czasem nawet pod osłoną wodospadów, a tutaj najpewniej tak jest. Lubi też dziury przy brzegach po wypadniętych kamieniach, mosty i koła opuszczonych młynów.

— A to szczególne! Cóż za nadzwyczajna różnorodność jest w świecie zwierzęcym!

— I w roślinnym, mój chłopcze i w świecie minerałów, wszędzie, gdzie rzucisz okiem! Patrz, co za bogatą zdobycz przyniosłem z pod Giewontu.

I siadłszy na pniu drzewa, zaczął dobywać kolejno swoje skarby, rozkładając jedno obok drugiego.

— A co to pan ma za słoik w puszcze? — zapytał Henryk, gdy szkło z pomiędzy kwiatów błysnęło.

— Ach, to jest jaszczur plamisty, *Salamandra maculosa*. Złowiłem go dziś w Jaszczurówce. Przypatrywały się memu polowaniu lady Chester i miss Fanny, które tam codzień jeżdżą do kąpieli. Milady pytała mnie, czy nie mam jakich wiadomości o profesorze Strandzie.

— Jakto! Więc się nie znalazł?

— Nie, wszelkie poszukiwania okazały się daremne.

— To dziwne!

— No — rzekł nareszcie doktor, spojrzawszy na zegarek — już dziewiąta, czas wracać! Ja też potężnie głodny jestem, bo oprócz szklanki mleka na hali przy sfinksie, nic jeszcze dziś w ustach nie miałem. Witold rysuje grupę chat z wielkim jaworem przy ulicy Kościeliskiej; umówiliśmy się, że gdy wrócę, pójdziemy razem na śniadanie. Czy chcesz iść ze mną?

— I owszem — odrzekł chłopiec.

Lecz przykrą mu była myśl, że wracając, będzie musiał przechodzić obok róży bez kolców, sam jednak nazwał to dzieciństwem i powtórzył sobie, że jest mężczyzną. Jednak, gdy się zbliżali do tego miejsca, zwrócił się nagle do doktora, i rzekł z rumieńcem na licu:

— Proszę pana, ja... ja lubię chodzić różnemi drogami, bo one dają nowe wrażenia. Pójdę tędy przez górę, na stok

regli. Król pasie tam krowy naszego Ślimaka: on mnie tu przyprowadził, więc wskaże mi drogę na Kościeliską do Jaworu, gdzie rysuje pan Witold. Ja tam wkrótce będę. Czy dobrze?

— Dobrze, mój chłopcze — odrzekł Jakób, patrząc nań z serdeczną życzliwością. — Słuchaj, wiesz, że jestem twoim przyjacielem; powiedz mi szczerze przyczynę, dla której rozdzielasz się ze mną tutaj właśnie?

— Bo — odrzekł chłopiec z lekkim wahaniem — możebym uległ pokusie i zerwał gałązkę róży alpejskiej; a skoro oddałem ją Dawidowi, zrzekłem się wszelkich praw do niej i nikt nie powinien wiedzieć, że to ja ją znalazłem.

— Domyślałem się tego — odrzekł Jakób, i rozłączyli się. Pod reglami na zboczy Strażysk rozległo się wołanie:

— Gwiazdula, Kwiatula, kanyś ty? A hej! Cielusia, pójdzi, pójdz!

A gdy na to wezwanie odpowiedziały dzwonki przybliżających się krów, zabrzmiała piosenka:

„Ojcie mój, ojcie mój,  
Gołabczku siwy,  
Po tela mi dobrze,  
Po kielas mi żywy“.

— Uhu, hu, hu, huuuu...

Głos ten w półkrzyku, pół śpiewie, poczawszy od najwyższego tonu, spadał kaskadą coraz niżej, przeskakując w biegu po dwa tony. Sprawiało to wrażenie takie, jakby do olbrzymiej metalowej urny wpadała perła i zatoczywszy krąg, spoczęła na dnie, napełniwszy dźwiękiem, długo nie cichnącym, naczynie. Pasterze tatrzańscy lubują się w sposobie wydawania odgłosów i wsłuchują się z rozkoszą w powtarzające je echa — a im pierś młodsza, silniejsza, a głos czystszy, tem wspanialszy efekt. Chcąc być słyszany jak najdalej, krzyczą z całej siły; dlatego też głosy ich wcześniej bywają przekrzywane i tracą miększe tony. Ile jest dolin w amfiteatrze gór, otaczających Zakopane,

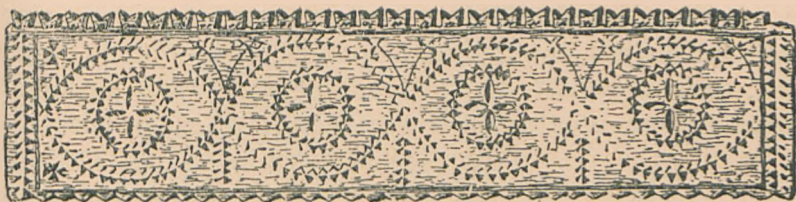
wszystkie stają się urnami, w które duchy gór rzucają  
dźwięczne perły, naśladując człowieka, a strumienie, hu-  
czące po kamieniach, i dzwonki krów grają akompanjament.

„Jeszcze mie matusia  
Na rękę nosiła,  
Już mi się, już mi się,  
Szabliczka wróżyła.

Kowal konia kuje,  
Ja se gwer pucuje,  
Kowal konia okuł,  
Ja se masieruje“.



Wieszak od łyżnika.



## XV.

### PROMIEN SŁOŃCA.

*Przez złotawych pyłów rój skrzydlaty  
Siany w poniewierce,  
W tłach z szafirów, dnieją tkane w kwiaty,  
Drżące tak kobierce.*

*Felicjan: Odgłosy z gór.*

Jakób szedł, rozmyślając nad wypadkami dni ostatnich.

— Teraz — mówił do siebie — gdy do Warburtona dojdzie wieść, że panna Katarzyna wyjeżdża z dziećmi, żelazny starzec zdobędzie się na jakiś krok stanowczy... bo że pokochał chłopca duszą całą, to dla nikogo już nie jest tajemnicą.

Minął buki, modrzewie i jodły, stojące poważnie przy drodze do Strążysk, minął świerkowy lasek, spuszczaający się wdół ku polom, a tak był zamyślony, że nie widział ani bogactwa grzybów rozestanych po ziemi, ani świeżych kretowisk, ani barwnych porostów na drzewach, ani mchów i paproci, w których był rozmiłowany. Z ponad wału, usypanego z kamieni, pracowicie z pól wybieraných, wychylały się dzikie róże, badyle malin i jeżyn i listowie borówia. Wysmukłe osty i okazałe tamaryszki rosły tu rozległemi i zwartemi kępami, a między niemi błyskały żółte kwiaty dziurawca. Owady brzęczały w słońcu wesoło, a w powietrzu, jak stado motyli, fruwały stada delikatnych puszek, wążąc się zwolna, wznosząc i opadając. Jakób wyciągnął rękę i jeden taki puszek pochwycił.

— Oto posłaniec Boży! — mówił, przypatrując się ziarneczku, małemi opatrzonemu skrzydełkami. — Ma to żagielek, przymocowany do łódki maleńkiej i pływa po morzu powietrznem bezpiecznie i swobodnie, a gdzie spocznie,



Bylica skalna, *Artemisia petrosa*, rosnąca w Tatrach Bielskich, na Krywanui, Mięguszowieckim i w paru innych miejscach w Tatrach.

tam nowa wyrasta roślina. Takie to drobne, takie napozór słabiuchne, a niesie błogosławieństwo Stwórcy łąkom, lasom i polom. Zdaje mi się, że to ziarno dmuchawca.

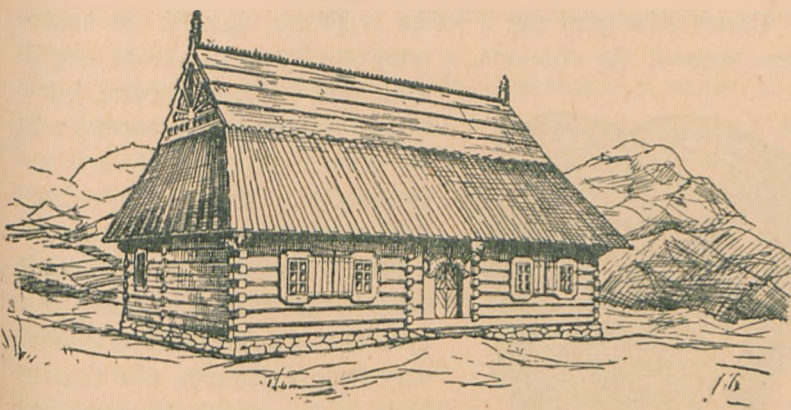
Puścił je, gonił chwilę oczyma za maleńką łódeczką, a gdy zniknęła, szepnął:

— Jak te nasionka w powietrzu, tak wrażenia płynęły powoli w duszę Warburtona, zasiewając tam mimo jego wiedzy i woli, myśli i uczucia, a każde puszczało korzenie... Widziałem, jak kielkowały, jak wydały nawet kwiecie. Teraz czas na owoce!

I przebiegł w myśli dzieje tych kilku tygodni, począwszy od spotkania z Anglikiem na Starej Polanie aż do przejażdżki na tratwie przez Morские Oko.

— Nie, nie można już dłużej wątpić, kim jest ten człowiek. Żelazna jego powłoka już się skruszyła, ale ostatki dumy walczą w nim jeszcze z przemożnem a potężnem uczuciem. Dziś lub jutro wszystko się rozstrzygnie!

Już był na Kasprusiu, na wąskiej kamienistej drodze, gdzie dwa wózki góralskie z trudnością tylko minąć się mogą. Z lewej strony, wśród łąnów zboża, rozsiadły się domostwa wygodnie, a z prawej wisały nad głębokim parowem, po którego dnie woda sączyła się z cichym, jedno-



Dom górala.

stajnym szmerem. Przy chacie Sobońki, gdzie okna były otwarte, przystanął.

— Tu — myślał — mieszka ten, co uporczywie sam siebie nazywa realistą, a którego Witold słusznie zwie poetą: Władysław Matlakowski, człowiek, którego wątłe ciało trzyma duch silny, pełny miłości dla ziemi rodzinnej i dla górskiej przyrody.

Spojrzał w okno: na środku pokoju był stół, zarzucony książkami i papierami oraz dwa krzesła góralskie; w głębi przy ścianie, łóżko a na łóżku leżał w ubraniu poeta-realista. Piękna, sympatyczna twarz, blada była i zmęczona — płowe, jedwabiste włosy przylgnęły do skroni. Powieki miał przytknięte, jakby spał, a szczupła wychudzona ręka trzymała ćwiartkę papieru i ołówek.

— Choroba postępuje — myślał Jakób ze smutkiem — on jest widocznie słabszy, niż przed tygodniem, gdyśmy się z nim spotkali przy chacie Kuby, idąc do Czarnego Stawu.

W tem posłyszał odgłos drobnych dziecięcych stóp, biegnących w tę stronę; do pokoju wpadła dwójka jasnowłosa, chłopczyk kilkoletni i małeńka dziewczynka, wołając:

— Tatusiu, słońce, słońce!

Chory dźwignął się z łóżka w jednej chwili: na ustach jego pojawił się uśmiech, a oczy gonily za blaskiem, zapełniającym boczną witrynę, gdzie

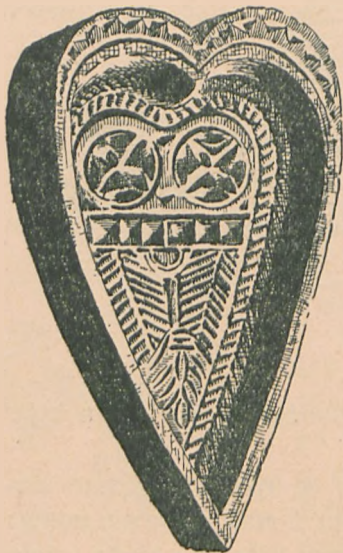
leżały parzenice i wyciskadła do sera, a promień słońca, zachodzący z boku, uwydatniał doskonale ich wklęsły rysunek.

Matlakowski przysunął sobie krzesło do okna i zaczął pilnie rysować piórkiem na ćwiartce sztywnego papieru, a w twarzy jego odmalowała się skupiona uwaga. Dzieci, stojące za nim, przypatrywały się robocie ojca z ciekawością.

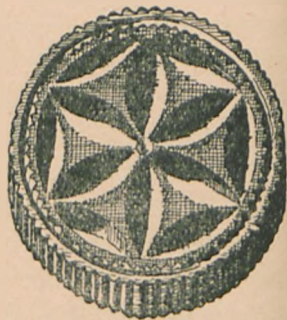
— Nie wiedziałem, że pan jesteś także i artystą — odezwał się Jakób, który dotąd stał niepostrzeżony.

— Ach, to pan, kochany panie Jakóbie! — Widzisz, zo-

stałem rysownikiem z konieczności. Tyle rysunków potrzeba do mej książki „Zdobienie ludowe na Podhalu“!... a choć Witkiewicz dużo mi pomógł, dostarczywszy kilku ważniejszych rycin, nie jest to jeszcze wszystko, czego potrzebuję. Nauczyłem się umyślnie rysować piórkiem, bo tylko delikatne pióro może odtworzyć dokładnie te rysy, niby naiwne, a w rzeczy samej subtelne i artystyczne. A że nie znam wcale perspektywy, bo nie uczyłem się nigdy rysować, więc korzystam z każdego promienia słońca w mieszkaniu, żeby przy jego pomocy odtworzyć przed-



Parzenica.



Wyciskadło do sera.



miot tak, jak go widzę i tym sposobem odnajduję perspektywę.

— Wielka to siła woli i wielkie umiłowanie przedmiotu — powiedział Jakób, patrząc nań z podziwem, graniczącym z uwielbieniem.

— Śpieszę się — dodał smętnie — bo nie wiele mam czasu przed sobą, a chcę, żeby to, co robię, dobrze było zrobione. Akademia Umiejętności obiecuje mi to wydać.

— Wyświadczysz pan prawdziwą przysługę sztuce polskiej i etnografji.

— Ale wiesz pan, to moje porządkowanie motywów tutejszej ornamentyki nie zadowalnia mnie, jako oparte na czysto zewnętrznej zasadzie. Bezporównania ciekawszą byłaby systematyka na podstawie porównawczej, z uwzględnieniem materiałów, jakie badania nad ludoznawstwem świata całego i zabytkami sztuk pięknych u starożytnych ludów nagromadziły. Zestawienie motywów ornamentacyjnych i motywów muzycznych różnych czasów i różnych ludów byłoby niezmiernie ciekawe.

— I to czasem będzie zrobione — wtrącił Jakób.

— Co zaś do zasługi, to tu bez porównania więcej ode mnie zrobił Witkiewicz, jako wpływowy pisarz i artysta. Przez swoje stosunki z inteligentną publicznością potrafił w wielu obudzić ufność, że ta chłopska sztuka to nie żart, ale rzecz poważna. Szafował hojnie rysunkami, planami, radami i szczepił dziwną nowość chłopską wśród panów. A z drugiej strony, dając rysunki i lepiąc modele z gipsu, z gliny, wpływał na rzeźbiarzy i stolarzy, wskrzeszając w nich zamierające już przekonanie, że rzeczy po ich przodkach, to piękne rzeczy, nie „staroświeckie dziady“ — nie „brzydź“, ale rzecz cenna, żywa, mająca przyszłość. Budził na nowo miłość ku swojemu, słabnącą przez obcowanie z „bladymi twarzami“ z Warszawy i Krakowa.

— Dosadnie się pan wyrażasz.

— Pobył i nauka w szkole rzeźbiarskiej, mającej oczy

tylko na renesans lub greczyznę, paczyły też u rdzenia zdrowy, wrodzony zmysł ludowy, który potrafił wydać tak bujny kwiat sztuki.

Zakaszłał się i lekkie rumieńce wystąpiły mu na twarz.  
 — Krzewić, krzewić należy jak najwięcej między „dólskimi panami“ tę sztukę. Pomyśl pan tylko, co za wspa-  
 niałą jadalnię można stworzyć, przenosząc żywcem prawie  
 góralską świetlicę! Dajcie powałę z rzeźbionym sosrębem  
 i sosrębikami, z deskami w szatkownicę z różnobarwnego  
 drzewa, dajcie fazy głębokie i malowanie w polichromję.  
 Przytwierdźcie do ściany obiegającą pokój listwę polichro-  
 mowaną, jak tu bywa i bogato rzeźbioną, do stawiania na  
 niej talerzy, srebra i porcelany. Dajcie spodem wykładanie,  
 boazerję ryzowaną w tutejsze łyżniki, i meble, obmyślane  
 na tutejszych wzorach, a będziecie mieli jadalnię swojską,  
 wywierającą wspaniałe wrażenie. Na środku postawcie tu-  
 tejszy stół jaworowy, zamaszysty, z szeroko rozstawionemi  
 nogami, ze stolnicą wykładaną hebanem, ciemną oliwką lub  
 ciemnym orzechem, a zobaczycie, jaki to efekt zrobi!

— Sir Edward Warburton odgadł widocznie myśl pań-  
 ską, bo taką właśnie jadalnię zamówił w szkole snycer-  
 skiej, dla swego zamku w Rochdale, i zamierza ją najprzód  
 wystawić w Londynie, w Kensington palace.

— Czy tak? — zawołał Matlakowski. — A modre jego oczy  
 żywym zajaśniały blaskiem. — Rad jestem! Bardzo rad je-  
 stem, że pokażemy cudzoziemcom nasz własny styl! Bo  
 pan nie wiesz może, że oprócz mnie i Witkiewicza, Gerson  
 i Maszyński wpadli na ten sam domysł, że sztuka i bu-  
 downictwo podhalskie jest dawnym polskim stylem, który  
 na równinach zaginął, wypierany ciągłym napływem cudzo-  
 ziemskich nowości, cudzoziemskiej mody, a tu jedynie prze-  
 chował się jeszcze w dawnej czystości. Tatry są skarbnicą,  
 której zawartość jedynie dlatego ocalała przed barbarzyń-  
 skim zalewem zagranicznej tandety, że chronił ją mur wy-  
 soki i niedostępność.

— Sądziłem, że pan przyznajesz góralom szczególne uzdolnienie do odczuwania i wytwarzania piękna, a z tego, co słyszę, wypada, że je tylko dobrze umieli w swej skrzyni przechować.

— O, nie! — zaprzeczył z żywością. — Nietylko to. Gdyby nie mieli wrodzonego poczucia piękna, skrzynia opróżniłaby się zwolna. Oni mają wrodzone poczucie artystyczne, to też piękno ciągle w nich żyje i ciągle się odradza. Na równinach nigdzie nie było takiego upodobania do zdobienia wszystkich otacza-



Grabie góralskie.

jących przedmiotów, jak tutaj. Oni zdobią nawet orczyki do wozów, nawet grabie, kośniki, magłownice i kijanki do prania, wszystko, czego się tylko dotkną. Styl podhalański jest stylem polskim, ale Podhalanie, to lud wybrany!

Jakób uśmiechnął się.

— Tak jest, wybrany, obstaję przy tem: lud, którego cudowna przyroda, pełna blasków królewskich, tak już ukształtowała, że rodzi się artystą. Nigdzie może na świecie nie znajdziesz pan tego poczucia proporcji w najprostszych linjach, tej harmonji, która prostą ławę, niezdobną nawet, czyni miłą dla oka.

Jakób patrzył na zapał mówiącego, zapał, który i jego począł ogarniać i rzekł:

— Ale ja kradnę panu słońce, a ono już niezadługo z tego okna ucieknie; powinienem odejść.

— Nie, nie, zostań pan jeszcze. Takeś mnie ucieszył tem, co mi powiedziałeś o Angliku, że się czuję nawet rzeświejszy i zdrowszy. Ale, ale, czy widzieliście willę Gnатовskiego?

— Nietylko widzieliśmy, ale pokazaliśmy Anglikowi.

— Ten człowiek zrobił ważny krok naprzód: zbudował dom w stylu czysto podhalańskim. Byli tacy, co przed nim

tego próbowali, jak Chrostowski, ale tamten ślągnął do swej koleby wszystko, co tylko było pięknego lub etnograficznie ciekawego, zastosowawszy wiernie mnóstwo szczegółów do ozdoby mieszkania i sprzętów. Czy pan uwierzysz, że Gnatowski wielkim kosztem kazał odlewać kafle w Krakowie i kuć żelazo wedle starych góralskich wzorów?

— Dobry użytek robi z pieniędzy!

— Dobry i rozumny: oby więcej było takich, jak on! Pawlikowski też chce budować dom na Kozieńcu. Widziałeś pan plan? Nie? Cacko, powiadam panu. Oto jest! Istny klejnot góralski! Nieprawdaż?

— Istotnie — odrzekł, przypatrując się rysunkowi Jakób. — Ale twierdzenie, że styl podhalański jest stylem polskim, to domysł trafny, choć nie poparty dowodami.

— Jakto nie poparty? Podobne budowle są w Piotrkowskiem, w Czeladzi, choć tak rozległy szmat ziemi dzieli od Tatr tę osadę. Są tam odrzwia półokrągłe, nabijane kołkami i wiązania, tak zwane „psy“, po bokach, i pazdury i szczyty domów. Są podobne odrzwia na Śląsku, a w Krakowie i Lwowie odkrywają dziś sosręby ze starami zbójnickimi gwiazdami. Coraz to odnajdują się nowe ślady, nowe wykopaliska, przywalone przez wieki całe renesansem i gotykiem. Jakichże pan chcesz jeszcze dowodów? Niema góralskiego stylu: jest tylko styl staropiastowski, styl polski?

— Kiedy tak, więc może i lud tutejszy nie jest okruczem walącej w różnych epokach przez Karpaty nawały ludów, ale rasą czysto polską, rasą lechicką, przechowaną w owej skrzyni zamczystej wspólnie ze skarbami sztuki?

— Takie moje przekonanie: to jest rasa polska, przechowana w swej pierwotnej czystości; tak jak w niektórych zakątkach Grecji, przechował się jeszcze jasnowłosy typ dawnych Helenów. Rasa to przepysznej budowy, kształtna i urodziwa, jak chyba nigdzie na świecie! Popatrz pan tylko na ich ręce i nogi, przyjrzyj się ich dumnej postawie, ich

zręcznym ruchom, sposobowi ich chodzenia. Cuha zdołała z równym wdziękiem, jak Rzymianina zdołała jego toga, a ich obuwie ma w sobie coś klasycznego!

— Szkoda, że tego Witold nie słyszy, bo on nazywa pana poetą. Idę właśnie do niego. Naznaczyliśmy sobie spotkanie na Kościeliskiej przy jaworze, który on rysuje.

— Znam, znam ten jawor! Wspaniały okaz. Ale nie nazywajcie mnie poetą: ja jestem realista. Uśmiechasz się pan? Doprawdy, że nie żartuję. A skąd wracasz, jeżeli wolno zapytać?

— Ze Strążysk. A pan, czy nie wolałbyś wyjść na świat, zamiast tu siedzieć i rysować? Tak tam pięknie!

— O, wiem. Piękno, rozlane dokoła, tak ciągnie oczy, że je trudno oderwać.

— Czy pan znasz wiersz Konopnickiej o tej pięknej dolinie, p. t. „W górach“?

— Nie wiem, może znam, może nie znam. Powiedz pan, jak się zaczyna, to sobie przypomnę.

Jakób, mający wyborną pamięć, zwłaszcza do poezji, tak zaczął:

„Na tym kawałku ziemi Bóg położył dłonie  
I odjął — i stanęła tu piękność w osłonie  
Dziwnego majestatu. Smereki zielone  
Zaplotły jej koronę szmaragdów na skroni,  
A kształty jej przepysznie zielonego ciała,  
Niby grecka draperja, mgła lekka owiała.  
U spodu szaty, jako taśma złotem szyta,  
Mienia się górskie półka jęczmienia i żyta;  
A przepaska Dunajca modra, falująca,  
Z pod piersi, szumiąc, spada i o stopy trąca.  
Nagie ramię kamienne, wyciągnięte wgórę,  
Podtrzymuje zachodu królewską purpurę.  
I jako karjatyda strop niebieski dźwiga,  
Aż blednie i w pomrokach liljowych zastyga“.

— Piękne to — odezwał się Matlakowski, gdy Jakób umilkł — ale rzeczywistość stokroć piękniejsza! Tu są takie cuda, jakich żadne pióro, ani żaden pendzel nie odtworzy...

i to wszędzie, na każdym kroku. Oczy pomykają po ziemi za cudną zielonością oliwkową, złotawą lub brązową, za pluszową miękkością mchów, z pod której widać czerwone kapelusze mucharów, albo zielone gołąbki. Pnie pogrubiałe od porostów, a z ran ich toczy się srebrna żywica; konary obrosłe szaremi brodami... Świecą się mokre kamienie, pnie błyszczą od wilgoci. Chłód i mrok rozkoszny, orzeźwiający...

— Więc wyjdź pan, nie siedź tak w czterech ścianach — nalegał Jakób.

— Jabym dzień cały siedział na dworze, ale widzisz pan, mało mam czasu... trzeba korzystać, póki jest jeszcze trochę sił... Muszę się śpieszyć, bardzo śpieszyć, a tyle mam jeszcze do zrobienia! Nie skończyłem dotąd mego studjum o „Hamlecie“, a teraz te rysunki! Gdy moje „Zdobienie“ wyjdzie z druku, chciałbym się wziąć do zamierzonych oddawna „Pamiętników“ i opisać ptaki krajowe. Mam już do tego sporo zgromadzonego materiału: tylko ułożyć i opracować. Ręce się aż palą do roboty, tyle jej jest, a tu czas ucieka!

Popatrzył na promień słońca, posuwający się coraz dalej i dodał:

— Pozwolisz pan, że przy panu narysuję tę parzenicę, zanim mi słońce ucieknie. Ale nie odchodź jeszcze, proszę. Czy ten wasz Anglik długo tu pozostanie?

— Nie wiem. Przypuszczam, że jeszcze z parę tygodni.

— Namówcie go, żeby zimę przepędził w Zakopanem. Bo jeżeli tutaj lato jest urocze, to zima poprostu czarująca! O! Kto nie widział tego bogactwa blasków i łun, tej gry kolorów, począwszy od opalów aż do najciemniejszej purpury, wpośród olśniewającej białości, pokrywającej ziemię, temu żaden język tego nie wypowie! I nie wiadomo, co jest piękniejsze: ranek czy wieczór, pogoda czy niepogoda?

I pochyliwszy się nad papierem, zaczął znów pilnie rysować.

— No, już chyba pogoda piękniejsza — rzekł, uśmiechając się, Jakób.

— Niekoniecznie — odparł, podnosząc znów głowę. — Wyobraź pan sobie najsubtelniejszą mgłę, niby gazę przysłaniającą góry, słońce i niebo. Nie mgła to jednak, tylko prószy drobniutki śnieżek, tak drobny, że nie dojrzy go ludzkie oko. Ale pod słońce, w blasku promieni iskrzy się powietrze tysiącami iskierek: jedne, lecąc szybko, niecone wietrzykiem, znaczą ślad, jak komety; inne lecą wolniuchno, przewracając się, migocąc i ginąc w przestworzu, jak żagiewki, które lokomotywa czasem wśród nocy wyrzuca, tylko nieskończenie drobniejsze. A w tym dżdżu delikatnych kryształów, które dają pojęcie o pyłe kosmicznym, które stoją na granicy rzeczy widzialnych, widnieją sennie białe lasy smerekowe, polinowane, w czerni i bieli. A wieś wdali, kościół, gaje i drogi, wyglądają jak fantazja, w tej niby mgle, niby pyłe przetopionym w wielką jasność.

— I pan powiadasz, że jesteś realistą!

Rumieńce na twarzy mówiącego pociemniały: zakaszłał. Mówienie męczyło go, ale w oczach widniał coraz większy zachwyt i zapal.

— W zimie miewa się tu ciągle wizje — mówił dalej. — Wszystko bywa zatopione w mlecznym oparze, nasiąkniętym światłem, a z tej powodzi świetlnej atmosfery wynurzają się zaledwie dostrzegalne dla oczu kontury gór i są jak widziadło, jak obraz bezcielesny, zawieszony w powietrzu, jak ułudne marzenie! Z pośród tej nieujętej bieli wydziela się gdzieś jaskrawo oświetlona grań, brzeżek turni lub płasienka upłazu, po których łagodnie ześlizgują się promienie. Nad górami także opar, a u zenitu niebieszczy się przezyste, szafirowe niebo i śle odbłask drugiemu szafirowi na ziemi. Każdy wzgórek, stok każdy modeluje się tak cudownie, takim niebieszczy się kolorem w cieniu, a bieli na wypukłości, że oczu oderwać nie można od gry światła i cienia.

— Świetnym pan jesteś malarzem! Odtworzyłeś krajobraz zimowy Tatr z taką plastyką, jakbym na niego pa-trzył. Gdyby Warburton pana słyszał, zachwyciłby się, on, co zachwyca się siłą słowa i pięknymi opisami Witkiewicza.

— A czy on rozumie po polsku?

Jakób zawahał się.

— Tłumaczy mu się na angielskie.

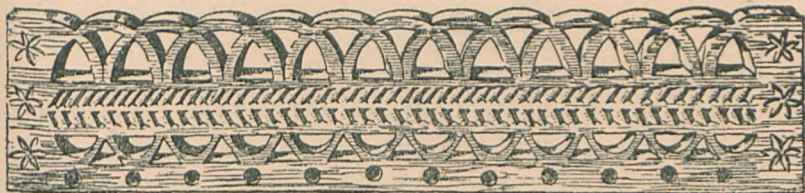
— A więc namówcie go, żeby został, bo nigdzie na świecie nie zobaczy tego, co tutaj! Czy pan widziałeś wczorajszy zachód słońca? Było to coś nadzwyczajnego, coś, że się tak wyrażę, biblijnego. Pomrok ogarnął wieś i wi-siała nad nią wielka chmura, oparta brzegami na otacza-jących dolinę zakopiańską górach. Naraz nad Osobistą, przy samej ziemi, po zachodzie słońca, trzema wążiuchnymi szcze-linami przedarły się trzy wielkie strugi czerwonej zorzy, jak promienie z głowy Mojżesza i oblały purpurą falisty, pogarbiony spód chmury. O, jak cudowny i pełen uroku jest ten świat górski! Jak pięknem jest życie!

Jakób poczuł coś nakształt kurczu w gardle. Ten czło-wiek, mówiący z zapałem o piękności życia, niedługo już miał się niem cieszyć. Jakób lekarz także, widział to po jego krótkim oddechu i podkrążonych oczach, po ręce z wychu-dzonemi palcami, wspierającej się na papierze. A pomimo uciekającego życia tyle w nim było zapału, takie pragnie-nie pracy twórczej, takie rozległe plany!

Łzy mu nabiegły do oczu, i niechcąc okazać wzruszenia, pożegnał się szybko i odszedł. Matlakowski podniósł głowę i czas jakiś smętnie patrzył za odchodzącym, a potem zwró-cił oczy na Giewont, w którego szczybłę teraz zaglądało słońce, wskazując południe, i na cudowny krajobraz, pła-wiący się w tem świetle. Cała jego twarz zajaśniała, w oczach odmalował się zachwyt, a usta wyszeptwały zcicha:

„Na tym kawałku ziemi Bóg położył dłońe“.





## XVI.

### KASIA SOBCZAKÓWNA.

*Idzie steczką Podhalanka,  
Na jej licach róże dwie.  
Rwie jagody, rwie do dzbanka,  
Jak poeta myśli rwie.*

*Deotyma: Płoska w Karpatach.*

Doktór nie znalazł przyjaciela pod jaworem: szedł więc dalej, oglądając się na prawo i na lewo, pewien, że musi być gdzie blisko. Przed nim między krzakami malin, szła jakaś postać niewieścia z dzbankiem, do którego zbierała słodkie rubinowe jagody. Ruchy jej miały jakiś wdzięk poważny, ale twarzy nie można było dojrzeć, bo ją osłaniała chusteczka. Jakóbowi, którego ciągle wyprzedzała, znudziło się już patrzeć na granatową spódnicę, zasłaniającą mu cudną zieleń pokrytą kwieciami i chciał zejść w bok z malinowej krainy na łączkę, niebieszczącą się tysiącami dzwoneczków, gdy posłyszał wołanie:

— Tutaj, doktorze, tutaj, chodź pan i siadaj! Zamówiłem już śniadanie.

Głos wychodził z góralskiej zagrody, otoczonej drzewami i znamionującej gospodarstwo zamożne, porządnie utrzymane. Chata była stara, bardzo nawet stara, jak pokazywały szerokie płazy ścian i żelazne kraty w oknach, oraz staroświeckie odrzwia, kołkami nabijane. Jakób zauważył, że i w tej zagrodzie wyprzedziła go granatowa



Dzwonek.  
*Campanula.*

spódnica. Przed chatą był ganek, a na ganku przy stole siedział Witold z jakimiś papierami w ręku.

— Zbrzydło mi już jedzenie w restauracjach — powiedział do Jakóba, witając go — i uprosiłem tej oto gaździny — dodał, wskazując na starą już góralkę, która w tej chwili przyniosła dwa nakrycia — żeby nam dała śniadanie. Będzie mleko zsiadłe i jaja. Czy zgadzasz się pan na to?

— Ja, najchętniej; jestem głodny i spragniony, ale gaździny proszę, aby położyła jeszcze jedno nakrycie; za chwilę przyjdzie tu trzeci gość.

— Któż to taki?

— Henryk, którego spotkałem w Strażyskach. Cóż to pan czytasz?

— Ach, to cała historia! nawet byś się pan nie domyślił. Jesteśmy w domu poetki tatrzańskiej, Kasi Sobczakówny.

— Czy ta stara, co nakrywała stół?

— Nie, to jej matka; ma ona trzy córki, z których najstarsza posiada dar poetycki.

— No, no, ciekawym.

— Posłuchaj pan tylko — rzekł Witold — oto „Śpiewki o górach“ — i czytać zaczął:

Niemasz ci to, niemasz, jak po górach chodzić,  
Gdyby jak najtaniej przewodnika zgodzić.  
W Kościeliskach jest z początku jedna góra mała,  
Jakby z kamiennych ziarenek ułożona cała.

— Aha, jarec — przerwał Jakób. Witold czytał:

Jest tam domek dla wygody pięknie sporządzony,  
Przy nim źródło: z niego woda płynie na trzy strony.  
Jedna góra w Kościeliskach, zowie się Pisana,

Już ona od niejednego siekierką ciosana,  
 Na niej wyrysują swe imiona goście;  
 Dochodzi się do niej po drewnianym moście.  
 Z pod niej bystrym woda strumieniem wypływa.  
 A za Bramką także piękne góry stoją,  
 Żadnych się piorunów i wichrów nie boją.  
 Bardzo przykra droga na ten wirch Czerwony,  
 Kto na nim chce stanąć, musi być spocony.  
 Oj Czerwony Wirchu, oj ty gruba góro,  
 Niejedno już ciebie rysowało pióro!  
 Ty Czerwony Wirchu w lecie się zielenisz,  
 A w późnej jesieni jak lis się rumienisz,  
 Jest tam za Giewontem dosyć duże Piekło,  
 Żadne doń czarcisko jeszcze dusz nie wlekło.  
 Stój sobie Giewoncie, nie przykrzyj stać sobie,  
 Ty jeszcze zostaniesz, a ja legnę w grobie.  
 Oj ślicznys Giewoncie, piękny wpośród lata,  
 W kwiaty ozdobiony, jakby panna jaka.

— No, wcale nieźle — przerwał Jakób — przenośnie  
 nawet poetyckie są.

Jedna góra pod Giewontem podobna do mnicha,  
 Druga także lata stoi, jak żebraczka licha;  
 Mnich pasący owce, żebraczka klęcząca,  
 Ze złożonemi rękami jałmużny prosząca.  
 A jeszcze się pod Giewontem Siklawa znajduje,  
 Tam to pięknie szumna woda z kamieni zlatuje.  
 Pod Małą Świnicą jest grota, we grocie  
 Na te dziwy, patrzeć wszyscy śpiesznie chodźcie!  
 W Kalatówkach także strumień wody płynie,  
 A bardzo szumiący wytryska ze ziemie.  
 W Magorze jest grota, także do niej idą,  
 Jak nie mają świecy, mało widzieć będą;  
 Są tam dosyć wielkie kamieni kawały,  
 Dawno z tych gór kiedyś naodlatywały.  
 Kamiennego mleka jest tam bardzo wiele,  
 Tam góry sklepione tak, jakby w kościele,  
 W Gąsienickich stawach zawiele kamieni,  
 A najwięcej się tam kosówki zieleni;  
 Tam się pasą krowy i owce się paszą,  
 Do domu górale od nich mleko znoszą.  
 Oj ty Czarny Stawie, dużo wody w tobie,

Bardzo kamienista droga jest do ciebie!  
 Od Czarnego Stawu strumień wody płynie,  
 Pięknie się rozlewa w Stawiańskiej dolinie.  
 Oj ty Czarny Stawie! mieścisz wyspę w sobie,  
 Jakby jaki pomnik na wspaniałym grobie.  
 W Czarnym Stawie góry widać bardzo ładnie.  
 Tak się odbijają jakoby w zwierciadle.  
 Oj, ty Czarny Stawie, szeroki, głęboki,  
 Wedle ciebie stoi Kościelec wysoki,  
 Bez Zawrat jest droga bardzo uciążliwa,  
 A kto niecierpliwy, to sobie przeklina.  
 W Zawracie przewodnicy państwu dla wygody,  
 W Zamarzniętym stawie wyrębują schody.  
 Oj przykry Zawracie, ja spoglądam na cię,  
 Bardzo cie się boję, gdy przy tobie stoję;  
 Myślę iść na ciebie i na twoim progu,  
 Za bezpieczne wejście podziękować Bogu.

— Widać, że Kasia czytała Pana Tadeusza — wtrącił  
 znów Jakób.

Kto chce iść na Zawrat, stanąć w samym progu,  
 Niech weźmie żywności, by nie umarł z głodu.  
 Tam nigdzie nie kupi, nigdzie nie dostanie,  
 Aż przy Pięciu Stawach u juhasów stanie.  
 Tam dostanie mleka i serków nieco zjeść,  
 Jak ma co w swej torbie, niechaj się naje dość,  
 Bo tu jeszcze owej nie koniec podróży;  
 Niechaj spojrzy na niebo czyli się nie chmurzy.  
 A te Pięciu Stawy wszystkie są w jedności,  
 Bardzo wiele idzie patrzeć na nie gości:  
 Nie układam wierszków o tem Morskiem Oku,  
 Bóm jeszcze do niego nie zrobiła kroku.  
 A Wielka Koszysta, bardzo rozłożysta,  
 Więcej było na niej osób, jako trzysta,  
 A Mała Koszysta dosyć jest wspaniała;  
 Zieleniuchną trawą porośnięta cała.  
 Gdy w górach zaśpiewam, piękne echo słyszę,  
 Choćbym była smutna, zaraz się ucieszę.

— Czy już koniec? — zapytał doktor, gdy Witold umilkł.  
 — Jest jeszcze dopisek własnoręczny Odyńca. Sędziwy  
 poeta przyjeżdżał w Tatry w r. 1881. Doszła do niego wieść

o poetce tatrzańskiej, więc zapoznał się z nią, a odczytawszy jej wiersz, dopisał zakończenie, zachowując tę samą formę i te same zwroty:

Gdy człowiek spojrzy na góry, a potem na siebie,  
Podnosi serce ku Temu, co króluje w niebie;  
Obaczy olbrzymie góry i maleńkość swoją,  
Bo ludzie są wedle tych gór, jakoby pszczoł roje.  
Oj wy góry olbrzymie, oj góry wspaniałe,  
Kiedyś i wy będziecie poruszone całe.  
Ale póki Ten, co stworzył, w gruzy was nie zwali,  
Niechaj każdy, co was widzi, Pana Boga chwali.

\* \* \*

Naskładałam pięknych wierszków, nie wiem, co z nich będzie,  
Może się wyśmiewać będą ludzie ze mnie wszędzie.  
Ale ja się nie obawiam niczyjego śmiechu,  
Śpiewać na cześć Panu Bogu, niema ludziom grzechu.  
Ja o pochwałę nie dbam i nie stoję wcale,  
Ale tylko tak jak mogę, Pana Boga chwale“.

\* \* \*

— Na ten raz koniec; jest to, zdaniem mojem, bardzo dobre i poniekąd charakterystyczne Tatr opisanie. Kto gór tych wcale nie widział, może z wiersza Kasi powziąć o nich jakieś wyobrażenie. A pan, doktorze, co mówisz na tę poezję?

— Uderza mnie przede wszystkim brak góralskich wyrażań, tak malowniczych, tak trafnych i dosadnych, że niczem się zastąpić nie dadzą. Widzę nawet, że poetka tatrzańska starannie ich unika!

— Ja jej mam za dobre to staranie się o poprawność języka. Jej bracia górale nie troszczą się o to wcale, że jest jeszcze inny świat za górami, a ona poczuwa się do łączności z tymi, co na równinach mieszkają.

— Nie znam jej, ale zdaje mi się, że pan masz za wysokie o niej pojęcie; Kasia Sobczakówna nie rozumuje, ani kieruje się poczuciami tego rodzaju, jakich się pan domyślasz. Ona chce być mędrszą od swoich i dlatego gardzi gwara góralską i usiłuje mówić tak, jak mówią panowie

z równin, którzy piękny, bogaty język zanieczyścili cudzoziemskimi śmieciami.

— Alboż pan w tych „Śpiewkach o górach“ znalazłeś jakie śmiecie?

— Nie, bo to dopiero początek, ale powoli przyswoi je ona sobie. Co pan tam jeszcze trzymasz w ręku?

— Inne poezje Kasi: „Zawrat w zimowej porze“, „Widok po Tatrach“, „Do śmierci“ i „Orację przedślubną“, napisaną dla drużby. Sława Kasi jako poetki, znaną jest nie tylko w Zakopanem, ale i dalej na Podhalu i świeci całej wsi jak pochodnia, u której bracia górale w uroczystych chwilach przychodzą zapalać swe karkoski.

— A kimże będzie Sabala, jeżeli nazywasz pan Kasię „pochodnią“?

— Sabala jest słońcem tatrzańskim!

— A, to co innego! Ale proszę, pokaż mi pan te drugie poezje. Dziękuję. Zobaczymy, co w nich jest.

#### WIDOK PO TATRACH.

„W pięknym poranku, wśród letniej pory,  
Gdy człowiek wejdzie na szczyty, góry,  
Ciekawem okiem rzuci dokoła,  
Zachwycony podziwem w zdumieniu zawoła“:

— A co, czy nie mówiłem? W „Śpiewkach o górach“ były przynajmniej zwroty góralskie:

„Oj Czerwony Wirchu, oj ty goro gruba,  
Jutro będzie na cię przewodnikiem Kuba“.

— A tutaj już i zwrotów góralskich niema, ale czytamy dalej:

„Kto napiętrzył kamienie, pagórki wysoko?  
Kto kopał przepaście i rowy głęboko?  
Kto upiększył kwieciem łąki i doliny,  
Posadził na stromych pagórkach krzewiny?“

— To jest nawet dość gładkie i przypomina Karpińskiego. Kasia musi mieć jego hymny w książce do nabożeństwa.

„Czyj przemysł rzeźbił w granitach, grotty, rozpadliny?  
 Kto napełnił wodą stawy i głębiny?  
 Kto te piękności, te cuda natury,  
 Tak hojnie porzucił między skały, góry?  
 Takimi widoki serce się porusza.  
 Dziwnie błogiem uczuciem przepelniona dusza,  
 W głębi serca swego odpowiedź znajduje:  
 Bóg, Stwórca wszystkiego nad wszystkim króluje,  
 Ten, który mówimy, że On mieszka w niebie,  
 A jednak w każdym przedmiocie daje widzieć Siebie,  
 On potęgą Swoją wznosił wysokie granity,  
 Wlał wody w doliny i obciosał szczyty.  
 Wielkość Jego głosi strumyczek szemrzący,  
 Ptasek na gałązce i kwiatek pachnący.  
 Dla kogoż Panie i Wielki Boże,  
 Stworzyłeś tak wielkie piękności?“ — „Może  
 Dla ciebie, człowieku nikczemny i mały,  
 Byś poznał Moją wielkość i szukał Mej chwały“.

Przebiegł oczyma „Orację góralską“, ale już jej nie czytał głośno.

— Coraz lepiej, a raczej coraz gorzej! To nie góral przemawia jako družba, ale jakiś ojciec w komedji mieszczańskiej. Kasia, wszedłszy na błędną drogę, już się za siebie na swoje góry, nie ogląda, tylko brnie coraz dalej, wlokąc za sobą miejscami wiersz niesłychanej długości, bo aż szesnasto-zgłoskowy. Jest to po prostu ciężkie. Nie dorównała „panom dólskim“, a straciła swoją góralszczyznę. Chciała być mądrą i stała się przemądrzałą. Pierwszy jej wiersz najlepszy, bo jest naturalny i tkwi w nim cząstka poezji rodzimej, a te drugie, pozornie lepsze, są coraz słabsze.

— O! Bo pan bardzo jesteś wymagającym, i w swem umiłowaniu góralszczyzny dochodzisz do przesady! Co pan chcesz od prostej juhaski, umiejącej zaledwie czytać i pisać?

— Chcę właśnie, żeby zrzuciła pychę z serca i śpiewała po góralsku; chcę, żeby jej piosnki były jak dzikie kwiaty halne; żeby w nich szumiały smereki, huczały strumienie i pachniała kosówka. Że nie innego zdania był Antoni

Edward Odyniec, dowód najlepszy w tem, iż swój dopisek do wiersza Kasi utrzymał w podobieństwie do jej piosenki, zachowując tę formę wiersza i te same zwroty. Gdyby sądził inaczej, przemówiłby tu językiem „panów dólskich“. Poezji góralskiej nie do twarzy jest w długiej ogoniastej szacie szesnastozgłoskowego wiersza; ona musi chodzić krótko, aby jej to nie przeszkadzało szaleć w zawrotnym tańcu zbójckim i przeskakiwać przepaście. Powinna być lekka a dziarska i energiczna, jak te oto piosenki:

„Liptowskie zahory to nasze komory,  
Bukowe listeczki, nasze poduszcзки“.

Albo też:

„Spotkali zbójnicy Janosika w lesie,  
Tak go się spytali, czy pieniążki niesie:  
Janosik, Janosik, gdzieś podział pałasik?  
Na wysokiej horze, zacięty w jaworze.  
Panowie, panowie, dobre buty macie,  
Prędzej je zedrzenie, niż nas połapacie.  
Jęczą góry jęczą, bo Janiczka męczą;  
Nie tak jęczeć będą, gdy go wieszac bedom!  
Zabili Janiczka pod zieloną turnią,  
Płakała dziewczyna, jaże góry dudnią.  
Doliny, doliny, dałbym was wyzłocić,  
Żeby mi się chciały młode lata wrócić“.

— Pozwolę sobie zwrócić pańską uwagę, że długa szata właśnie łatwiej może unosić się nad przepaściami, jak ptak ważyć się w powietrzu i nad szczytami płynąć, lub jak mgła błyszczeć kolorami tęczy, gdy ją słońce przenika? Ale gdzież ona jest, ta poetka — dodał, oglądając się niecierpliwie. — Prosiłem starej Sobczakowej, żeby nam ją tu przysłała.

— I jajecznicy coś długo nie widać — wtrącił Jakób — ani przyobiecanego mleka z kartoflami. A ja jestem taki wygłodzony, że zjadłbym wilka!

Jakby na wezwanie, w progu domostwa ukazała się



dziewczyna niemłoda, lat trzydzieści kilka mająca. Wysoka, dobrze zbudowana, odziana w czarny wełniany kaftanik i granatową spódnicę — tę samą, którą Jakób widział ciągle przed sobą w malinach — czerwonym przysłoniętą fartuchem. Duży wywinięty kołnierz od koszuli, podwiązany u szyi wstążką czerwoną, rzucał odblask na twarz smagłą, o cerze świeżej, zdrowej, ze złotawym odcieniem. Włosy kruczej czarności nie były splecione w dwa warkocze, ale spięte szpilkami. Rysy niezbyt regularne, rozjaśniał wyraz oczu bardzo bystrych i inteligentnych. Jednym rzutem oka objęła przybyłych i przysłoniwszy oczy powiekami, schodziła powoli ze stopni, ułożonych z kamieni pod progiem.

— Przyznam się panu, że jestem rozczarowany — szepnął Jakób półgłosem. — Oczekiwałem malowniczego góralskiego ubioru i warkoczy, spadających na plecy, a nie tej brzydkiej tandety. To nie góralska Muza, to pospolita mieszcza!

— Ona podobno ubiór góralski uważa za „płony“<sup>1)</sup> dla siebie.

— Pozdrawiamy cię, Kasiu — przemówił Witold, przypatrujący się jej z wielką ciekawością.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — odrzekła dziewczyna tonem delikatnego napomnienia, że taki, a nie inny jest zwyczaj witania się w tym kraju, przyczem wcale nie podniosła oczu. Obaj mężczyźni zrozumieli nauczkę.

— Niech będzie na wieki — odrzekli śpiesznie, używając znanej formuły góralskiej.

— Ten pan jest doktorem — przemówił Witold, wskazując na przyjaciela. — Zbiera tu rośliny lecznicze, a ja maluję góry wasze. Obaj pochodzimy z tego samego kraju, co pan Odyniec, którego znałaś. Czytamy twoje wierszki, Kasiu!

I zrobił jej miejsce obok siebie, w mniemaniu, że Kasia

---

<sup>1)</sup> Płony, znaczy lichey.

przysiądzie na ławce, ale omylił się. Dziewczyna obrzuciła obu szybkim, błyskawicznym spojrzeniem, i przeszła obok nich poważna, pod ścianą poprzecznie stojącego budynku gospodarskiego, gdzie w cieniu jaworu stał jej kołowrotek — a siadłszy na stołku, jęła snuć przedziwo tak pilnie, jakby nikogo więcej prócz niej na dziedzińcu nie było. Panowie zdziwieni spoglądali na siebie w milczeniu, tylko warczenie kółka było słyhać i szum płynącego za chatą, w głębi parowu, strumienia.

— Poetka tatrzańska zgóry nas potraktowała — odrzekł zainteresowany Witold, i wyjąwszy notatnik, zaczął ją szkicować.

— Zdaje się, że ona nie dba wcale o nasze uznanie — odrzekł Jakób z uśmiechem. — Góralom tutejszym wogóle nie łatwo jest imponować. Jedynym człowiekiem, który im imponował, był ksiądz Stolarczyk, a później doktor Chałubiński, choć już mniej; ale już o Sienkiewiczu, który tu dużo czasu spędza i o Matejce, który tutaj bawił, mówią prawie jak o równym sobie. Słońce tu w górach ma na palecie swojej kolory tak żywe i bogate, tak ciągle zmienia obrazy, że to, co pan namalujesz, nie może ich zadziwić, ani zachwycić. Czy patrzałeś wczoraj wieczorem na Tatry w oświetleniu księżycy?

— Patrzałem, i widok ten całą noc nie dał mi zasnąć, bo chciałbym go odtworzyć na płótnie, a nie wiem, czy zdołam! Po dniu upalnym, temperatura tak opadła wieczorem, że choć nie spojrziałem na termometr, sądzę, że musiał być przynajmniej jeden stopień mrozu. Inaczej nie umiem sobie wytłumaczyć, czemu mgła, unosząca się nad łąkami, stała się nagle przejrzysta i błyszczała jak srebro... nie, jak diamenty! I skrzyła miliardami iskier, co stać się tylko może za przyczyną mrozu.

— I księżycy — dodał Jakób. — Oświecał on szczerbę Giewontu w taki sposób, że widmo rycerza, śpiącego na ciemnym sarkofagu z regli, sprawiało potężne wrażenie;

a owa gaza z mgły, która się między niem a łąkami rozpostarła, wzmagała jeszcze to złudzenie. Czarodziejskie widowisko zniknęło wtedy dopiero, gdy księżyc schował się za chmury. Nic podobnego nie widziałem w mojem życiu!

— Ani ja — dodał Witold.

Kasia, nie widząca pozornie nic prócz kądzieli, którą była zajęta, zwolniła bieg kołowrotka, i odezwała się, nie patrząc w stronę ganku:

— Tak bywa często na jesieni i w zimie: wtedy Giewont śpi, okryty białym całunem.

— Słyszysz, jak ona mówi poprawnie? — zauważył Witold, rysując ciągle. Powiedziałbym nawet: poetycznie.

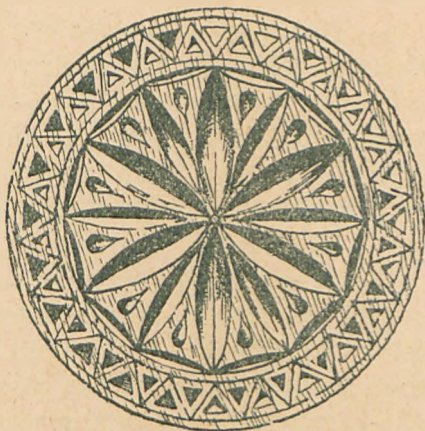
— Wolałbym, żeby była powiedziała „rańtuchem“, byłoby to naturalniejsze — odrzekł doktor.

— A jak ma być wichur halny i słońce czerwono zachodzi za Gubałówkę, a czarne chmury kotłują się nad szczytami, to tak wygląda, jakby się przy umarłym paliły gromnice i szedł od nich swąd i dym — mówiła dalej Kasia, kręcąc spokojnie nitkę w palcach, a kołowrotek zawarczał znowu.

— Ona umie patrzeć — szepnęła Witold.

— A kiedy wiatr weźmie dąć, a gorącym oddechem parzyć, ciskać kamieniami, huczeć, ryczeć, to jakby duszę diabli do piekła brali!

Stara Sobczakowa ukazała się teraz, niosąc w jednej ręce miskę pełną kartofli tłuczonych, z których szła woniąca para, a w drugiej dziejkę pełną mleka — i jęła dużą



Miska.

blaszaną łyżką nakładać na talerz, oblewając śmietaną obficie. Ułatwiwszy się z tem, zniknęła na chwilę i zjawiała się znowu z dzbankiem malin i pieczywem, które przyniosła na talerzach z drzewa bukowego, pięknie rzeźbionych.

— Gaździno — przemówił Jakób — czy córka wasza Kasia siedzi wciąż przy kołowrotku?

— Nie — odrzekła stara — ona i płótno robi i kilimki, a państwo bardzo chwalą, że ładne. Umie, widzicie, dobierać kolory tak, żeby były przyjemne do patrzenia. Jedźcież, przyniosę wam jeszcze masła, co dziś jest narobione.

— Bóg zapłać, gaździno.

Kasia podniosła oczy od roboty, rzuciła bystre z pod powiek spojrzenie na mówiącego — przyczem kąciki jej ust lekko drgnęły — i opuściła je znowu. Pomyślała sobie śnać, że „nauka w las nie poszła“.

— Jajecznicę też będzie wnet; idem urwać szczypiorku. A ten trzeci wasz pan, co miał przyjść, ka? Jakosiś go nie widać.

— Już jest — odrzekł Jakób, spoglądając przez drzewa na drogę. — Bywaj Henryku, bywaj! My tu jesteśmy i czekamy na ciebie ze śniadaniem.

Chłopiec przyśpieszył kroku; przechodząc koło Kasi, zdjął kapelusz, pochwalił Pana Boga i wkrótce znalazł się przy stole, serdecznie powitany przez Witolda, który mu zaraz opowiedział, w czyjem znajduje się domostwie, i kim jest dziewczyna, siedząca przy kądzieli. Jakób ze swej strony podsuwał mleko i kartofle — ale chłopiec słuchał z roztrągnięciem, a jadł bez apetytu. Gdy zaś przyniesiono jajecznicę, nie dał się na nią skusić, pomimo, że wyglądała bardzo zachęcająco. Jakób zauważył, że Henryk jest jakiś błądy i nieswój.

— Co ci jest? — zapytał troskliwie.

— Eh, nic — odrzekł smutnie.

— Czy spotkałeś się z kim?

— Spotkałem w lesie sir Edwarda. Szukałem tam właśnie

tych ślicznych gruszynek *Pyrola*, co pachną jak róża i konwalja razem, ale znalazłem tylko kilka między mchem i paprociami: widocznie już przekwitają. Otóż... sir Edward spostrzegł mnie pierwszy i zapytał...

— O cóż takiego cię zapytał?

— Zdziwi się pan bardzo, jak się pan dowie: zapytał, czy chciałbym z nim jechać do Anglii?

Łyżka wypadła Jakóbowi z ręki: takie przypuszczenie nie powstało ani na chwilę w jego głowie. Spojrzał na Witolda, ale ten był tak zajęty rysowaniem, jakby nic nie słyszał; uśmiechnął się tylko.

— A ty, co mu odpowiedziałeś na to?

— Odpowiedziałem, że bardzo lubię podróżować i chciałbym poznać kraj, w którym on mieszka, ale wiem, że to nigdy nie nastąpi, bo mój dziadunio nie ma na to środków; a gdy ja sam dorosnę, nie będę jeździł po świecie, tylko osiadę na rodzinnym zagonie, i będę gospodarował razem z dziaduniem.

— A on co na to?

— Zapytał mnie, czy bardzo jesteśmy biedni... i ja opowiedziałem mu wszystko szczerze, jak jest: wszystkie kłopoty dziadunia, wysiłki i zmartwienia.

— A on?

— Słuchał ze spuszczoną głową, zapuściwszy palce w skręty swojej brody; patrzył w ziemię, jakby mu to, co mówiłem, było przykrem.

— Wierzę bardzo — mruknął Witold.

— A potem podniósł głowę, utkwiał we mnie wzrok przenikliwy, jakby mnie chciał przejrzeć do głębi i zapytał, czy kocham go choć trochę. Odpowiedziałem, że pokochałem go



Gruszycki. *Pyrola*.

tak prawie jak mojego dziadunia, a on rzekł: — A więc jedź ze mną; będziesz miał pieniędzy, ile zechcesz, piękne ubranie, konia własnego. Poślę cię do szkoły w Eton, a potem do uniwersytetu w Cambridge. A gdy dorośniesz, daruję ci zamek wraz z ziemią i lasami i zrobię cię baronetem.

— O, ho, ho! — odezwał się Witold, podnosząc oczy od rysunku.

— Ach, panie, gdym to usłyszał, zapomniałem gdzie jestem i wydało mi się, że ubrany w szaty wspaniałe przechadzam się po pysznych komnatach, i widzę szeregi służby, kłaniającej mi się do ziemi i nazywającej „panem baronetem“; że przed bramą zamku stoi przepyszny rumak arabski, okryty pięknym czaprakiem i grzebie nogą z niecierpliwości, a masztalerz trzyma go za uzdę. Wszystkie złe duchy mnie opanowały: zapomniałem o Miratyczach, o dziadku, o babuni i o siostrzyczce, i mogłem być stać tak długo na miejscu, snując obrazy przyszłości coraz piękniejsze, ale przebudził mnie głos sir Edwarda, pytający: — Jakże, czy pojedziesz ze mną? — Jakto, spytałem, więc pan chce, żebym ja został Anglikiem?

Witold położył ołówek i patrzył na chłopca.

— Rzecz naturalna, mój mały — odpowiedział — nazywałbyś się Warburtonem na Rochdale. — To mi do reszty wróciło przytomność, przypomniała mi się rozmowa z Dawidem w Strążyskach, a serce wezbrało żalem do sir Edwarda i zawołałem: — O, sir, powiedziałeś mi pan w dolinie Kościeliskiej, że masz dla mnie szacunek, a mogłeś przypuszczać, że wyrzeknę się kraju i rodziny dla tytułu i zamku! Wolałbym być bogatym, niż biednym, to prawda, ale za żadne skarby nie wyrzekłbym się praw moich do ziemi, której dziadek broni kosztem nadludzkich wysiłków. Pieniądze nie dają szczęścia! Pan podobno bogatym jesteś jak król, a czyż pan czuje się szczęśliwym? Kto swoich opuszcza w niedoli, ten jest...

— O — szepnął Witold — to ciekawe.

— A on zbladł i podnosząc rękę, przerwał mi, mówiąc: — Nie kończ... zgaduję, co chcesz powiedzieć. Nie domyślasz się nawet dziecko, jak okrutne są twoje słowa!

— Rzeczywiście — wtrącił Jakób.

— Przebacz, sir, jeżeli okazałem się niewdzięcznym za twoją dla mnie dobroć — przemówiłem, bo mi się go czegoś żal zrobiło. — Pokochałem pana z całego serca, i... choć się rozstaniemy, nie zapomnę nigdy o panu, ale propozycji pańskiej przyjąć nie mogę. Gdybym ją przyjął, nie byłbym wart, żeby mi pan podał rękę. I pan pewnie jesteś tego samego zdania co ja, i chciał mnie pan tylko wypróbować, nieprawdaż?

— Cóż odpowiedział ci na to sir Edward? — zapytał Jakób, wzruszony i przejęty.

— Odpowiedział mi: — Tak jest, Harry. Sądzę nawet, że gdyby ten, co opuścił swoich w niedoli, chciał kiedy powrócić, swoi nie poznaliby go, a święta ziemia rodzinna nie chciałaby go nosić! — W głosie jego, gdy to mówił, był taki smutek bezdenny, że aż mi się chciało zapłakać. Przypomniałem sobie tę bajkę, którą on opowiadał w Kościeliskach, o człowieku, co się urodził na skalistej wyspie, i poszedł w świat szukać szczęścia, ale zgubił natomiast swoją duszę — i pomyślałem sobie, że to może historia prawdziwa, że ten ktoś jest mu bliski i zawołałem: — O, nie, nie, czyż pan nie pamięta historii o Synu marnotrawnym? Jeżeli pan zna tego człowieka, co się urodził na wyspie skalistej, niech mu pan powie, żeby wrócił, a znajdzie to, co utracił. Takie mam przecucie!

— A sir Edward?

— Sir Edward słuchał zamyślony i powiedział tylko: — Tak powiadasz, Harry? Dobrze, powiem mu to. Potem zapytałem go, czy się na mnie nie gniewa, bo mi się tak znowu serce ścisnęło, że o mało się nie rozplakałem, a on wyciągnął rękę i położywszy ją na mej głowie, powiedział

ze wzruszeniem: — Niech ci Bóg błogosławi, chłopcze! — a potem dodał: — Pozostań zawsze takim, jakim jesteś. Potem odwrócił się i odszedł, a ja zostałem sam i płakałem. Bardzo mi przykro, że go zasmucił, ale nie mogłem inaczej postąpić.

Gdy Henryk skończył, obaj przyjaciele milczeli, spoglądając tylko na siebie, a Henryk mówił dalej:

— Ale czego nie umiem sobie wytłumaczyć, to gniewu babuni Kasi.

— A więc i ją spotkałeś?

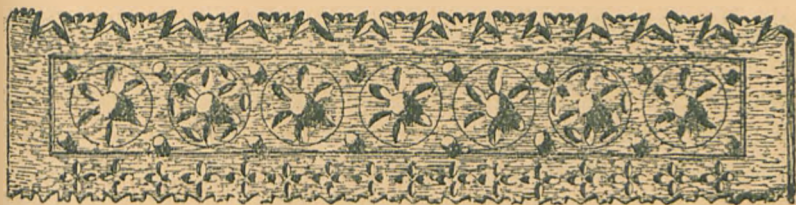
— Spotkałem ją idącą z Marysią do kościoła i opowiedziałem jej, co mi się zdarzyło. A babunia, pan ją zna, taka zawsze łagodna, taka dobra, że zdaje się, iż nie ma kropli żółci w sobie, rozgniewała się tak bardzo, że aż twarz jej zrobiła się czerwona, a oczy zaczęły ciskać błyskawice, te dobre, kochane szare oczy! Czy pan przypuścił kiedy, że ona się potrafi gniewać?

— Ani na chwilę; czy jej wszystko opowiedziałeś dokładnie, i powtórzyłeś słowa, które sir Edward wypowiedział na końcu?

— Jakże jej mogłem wszystko powtórzyć, kiedy mnie wysłuchać nie chciała do końca! Trzęsła się cała z gniewu i zapytała tylko, w którą stronę poszedł baronet. Chciałem iść za nią, ale mi zabroniła. Nigdy jeszcze nie widziałem jej taką, jak dziś, ani słyszałem u niej tak ostrego głosu!







## XVII.

### LIST Z ANGLJI.

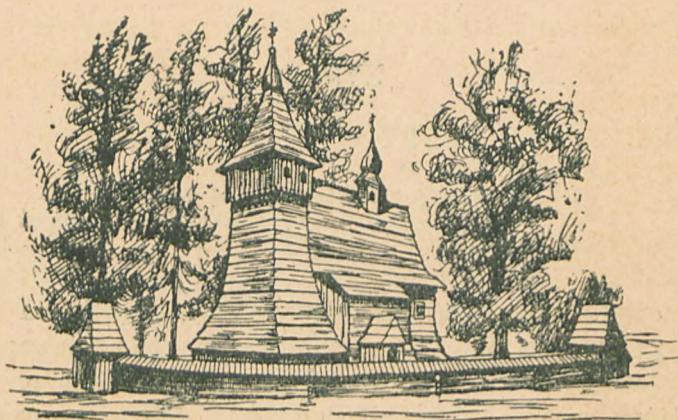
*Gdy się twa dusza jak dolina położy,  
Wtenczas po niej jak rzeka popłynie duch Boży.*

*Mickiewicz: Myśli i zdania.*

Panna Katarzyna szła tak szybkim i energicznym krokiem, że Marysia nadażyć za nią nie mogła. Dziewczątko przyzwyczajone było do tego, że babunia chodzi powoli, że omija starannie większe kamienie, i rada korzysta ze ścieżek wydeptanych w trawie; to też dziś nadziwić się nie mogła, co się babuni stało i czemu się tak śpieszy, i objawiała głośno swoje zdziwienie; ale panna Katarzyna wbrew zwyczajowi nie zwracała uwagi na słowa wnuczki. Szła prosto przed siebie przez błota i kamienie, przez kretowiska, w które zapadały jej nogi — ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń i z wypiekami na twarzy, wyprostowana i bez śladów zwykłego przygarbienia, więc wyższa niż zazwyczaj i groźna jakaś, a wspaniała. Nie wiedziała napewno, dokąd udał się Anglik po rozmowie z Henrykiem, ale przecucie wiodło ją w stronę kościoła.

Nowy kościół w Zakopanem był wtedy dopiero pod dach wzniesiony, a nabożeństwa odbywały się w starym, drewnianym kościółku, wystarczającym w zimie dla pobożnych parafian, ale za szczupłym w lecie, gdy tłum gości napłynął do Zakopanego. To też dla księcia kardynała Dunajew-

skiego, przed dwoma dniami przybyłego tu, urządzono na cmentarzu kościelnym ołtarz polowy, żeby nabożeństwo mogło być widziane przez rzesze, które na wieść o tem tłumnie z górskich wiosek przybywały. Kościół, od drogi oddzielony parkanem z desek, nie miał ogrodzenia w głębi cmentarza od strony parowu, gdzie grunt obniżał się coraz



...Przecucie wiodło ją w stronę kościoła.

więcej tarasami. Po drugiej stronie tego parowu widniały łagodnie płaskowzgórza Gubałówki, wznoszące się niespełna tysiąc stóp nad wsią, mniej dzikie, niż amfiteatr gór, od północy okrążających Zakopane, i łagodnym rysunkiem przypominające więcej charakter Alp włoskich. Płaskowzgórza te pokryte lasami, pastwiskami, polami uprawnymi w pasy lub szachownice, urozmaicone tu i ówdzie kępami drzew, płynącym z góry strumieniem i chatami rzadka porozrzucanymi w opłotkach, były prawdziwą rozkoszą dla oczu, spragnionych łagodniejszych widoków. Na samym szczycie Gubałówki, w punkcie środkowym stoi wyniosły, żelazny krzyż, postawiony przez Chałubińskiego, podczas pierwszej jego bytności w Zakopanem, w r. 1873. Miejsce, na którym stoi kościółek, oddziela od wzgórza, wiodącego na Guba-

łówkę, rzeczka wdole płynąca, nazwana Cichą wodą. Ludzie przebywali ją po bardzo wąskim mostku z poręczą, lub po kładkach bez poręczy. Mostek był tuż za plebanją, a ścieżka, wiodąca na Gubałówkę, widniała zdaleka, niby biała wstążka.

Ołtarz, przybrany młodemi smerekami i wieńcami z jedliny, ozdobiony czerwonym owocem jarzębiny, malowniczo wyglądał ze wszech stron odsłonięty, kąpiący się w powietrzu i słońcu, na tle malowniczych wzgórz Gubałówki. Wczoraj tu na tem miejscu biało było jakby od śniegu, od cuh góralskich i rańtuchów góralek, a fale głów ludzkich chyliły się raz po raz, jak kłosa przed wiatrem. Dziś wieńce nieco przywiedły, ale nie straciły zieloności, trawa na cmentarzu zasłana była jedliną, między którą dużo leżało porzuconych kwiatów — a z tej smereczyny, z tych liści, z tych kwiatów, unosiła się w powietrzu balsamiczna woń żywicy, lawendy, mięty i wonnych kwiatów halnych. W ołtarzu był obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, zwrócony twarzą do Giewontu; na białym obrusie stał krzyż, a obok niego dwa cynowe świeczniki.

Takich obrazów pewnie nie widuje się w Anglii. Babunia Kasia przystanęła na chwilę przy dzwonnicy, jakby dla złapania tchu i przestąpiła wrota ogrodzenia.

— Ach, co tu ślicznych goryczek leży i dzwonków, astrów i storczyków! — zawołała Marysia. — Babuniu, ja sobie tych kwiatów trochę nazbieram, to potem w domu włożę je do wody i odżyją, czy dobrze?

— Idź — rzekła panna Katarzyna z roztargnieniem.

Dziewczynka pobiegła i schylając się co krok, jęta zbierać leżące kwiaty, a potem pociągnęły ją kwiaty żywe, pod parkanem rosnące i utonęła wśród kwiatów dziewanny, bylicy górskiej i paproci. W białej, w niebieskie paski sukience, wyglądała sama jak kwiatek wśród zieleni.

Ołtarz był cały w słońcu, a posrebrzany krucyfiks, stojący na nim, kapał się w jego blaskach. Panna Katarzyna

stała we wrotach, patrząc na ten obraz i zobaczyła po chwili, że na trawę przed ołtarzem padł długi cień i zarysowała się sylwetka mężczyzny. Serce gwałtownie zakolało w jej piersiach: z profilu, z kształtu ostro ściętych ramion odgadła, a raczej przeczuła, czyja to była sylwetka. Cień przesunął się dalej i rozplynał w świetle, a przed połowym ołtarzem stanął mężczyzna wysokiego wzrostu, w szarym płaszczu z surowego jedwabiu i kapeluszu panama z dużym rondem. Twarzy jego nie było widać, bo stał odwrócony plecami do wrót, tylko z boków wyglądał rudawy zarost, napół zmieszany ze srebrem. Mężczyzna odkrył głowę i stanął przed obrazem Matki Zbawiciela.

Marysia z pękiem kwiatów w dłoni przybiegła do panny Katarzyny, i pokazując paluszkami na nieznanomego, wyszeptwała:

— Babuniu, to ten stary pan, co mnie przyniósł na rękę do domu, kiedy był wichur halny; wie babunia, ten, co ratował moje króliki!

— Cicho, dziecko, cicho — szepnęła, kładąc palec na ustach — odejdz stąd! Zostaw mnie samą.

Dziewczyna spojrzała zdziwionymi oczyma na babkę i na nieznanomego, i posłusznie odeszła w przeciwną stronę, gdzie w cieniu i chłodzie daleko przyjemniej było zbierać kwiatki. Panna Katarzyna okrążyła kościół, a przesuwając się jak duch pod jego ścianami, cicho i bez szelestu, stanęła przy ołtarzu w świetle słońca.

Mężczyzna podniósł głowę i cofnął się wtył gwałtownie przed tem niespodzianem zjawiskiem, a w rozszerzonych jego żrenicach odmalował się przestach.

— Aa, poznałeś mnie jednak, panie baroncie? — odezwała się, wymawiając zwolna i dobitnie każdy wyraz. — Po trzydziestu pięciu latach rozłąki poznałeś, choć zostałeś w domu młode, jasnowłose dziewczątko, a widzisz teraz przed sobą starą, posiwiałą kobietę!... Trudno jednak pozbyć się zupełnie pamięci, nieprawdaż? I ty jesteś innym,

niż byłeś wtedy, gdy z tak okrutną obojętnością uszedłeś potajemnie z rodzicielskiego domu! Niema w tobie ani odrobiny podobieństwa do mego starszego brata: Anglikiem jesteś od stóp do głów, a jednak poznałam cię i poznałabym między tysiącem, choćbyś stokroć odmienił swą postać, po braku serca i egoizmie! Wszystko poświęciłeś dla siebie: kraj, rodzinę, nawet honor!

— Dosyć! Na miłość Boską!... — wyszeptał.

— Do jakiego Boga się odwołujesz, ty, coś własnego zapomniał? Nie mogę cię nienawidzieć, boś ocalił życie moich dzieci: nie mogę cię przekląć, bo jedna krew w nas płynie, ale mogę cię prosić: Edwardzie, jeżeli pamięć przeszłości niezupełnie wygasła w twojem sercu, jeżeli masz choć odrobinę jeszcze sumienia i litości, błagam cię, oddal się stąd! Szukasz róży bez kolców? Idź po nią gdzie indziej, u nas wszystko ma kolce: kwiaty i owoce i chleb, wszystko! Słyszysz? Tym chlebem ościstym nie chciałeś się dławić i dlatego nas opuściłeś, a matka nie przeżyła twej ucieczki!

Baronet jęknął.

— Nie dość, że sam uszedłeś, ale chcesz jeszcze teraz uprowadzić dziecko! Gdzież jest kres twego zbrodniczego egoizmu? Ostrzegaly mnie przeczucia, ale im nie wierzyłam, a gdy małeńka opowiedziała mi o swej przygodzie podczas wichru halnego, myślałam, to jest... miałam nadzieję, że cię odzyskamy... i szalona radość chwilami powstawała w mojem sercu...

Tu łzy puściły się jej z oczu.

— Inaczej byłabym zabroniła Henrykowi iść z tobą, a nawet kazałabym mu zdaleka omijać twoje ślady, bo one są przekłete... Przekupić go chcesz, żeby się nas wyrzekł, obiecujesz mu bogactwa... Trądem zarażasz duszę dziecka, kusicielu!

— Dosyć — przerwał, podnosząc głowę — dosyć, przez litość! Pozwól mi przemówić. Obwiniaj mnie, o co chcesz, nazwij nawet zbrodniarzem, będę milczał. Ale nie mów,

zem ci chciał zabrać dziecko, bo jesteś w błędzie! Serce Henryka, to czyste złoto, a ja się tylko chciałem przekonać, czy próbę ognia wytrzyma. Chciałbym go mieć, to prawda, ale drżałem z obawy, żeby mi nie uległ, bo choć sam jestem wielkim grzesznikiem, miłuję dobro i mam cześć dla cnoty. On wytrzymał; wychowałeś go dobrze. Silny, dzielny charakter! Szkoda, żeś nie słyszała naszej rozmowy, nie byłabyś w tej chwili tak okrutną!

— Dzięki Ci Boże! — szepnęła panna Katarzyna.

— Dziecko to nieświadomie mówiło mi prawdy nie mniej gorzkie od tych, które ty mówisz w tej chwili. Ale wiedz, że ani ty, ani on, ani rodzice nasi, gdyby żyli, nie mogliby sądzić mnie surowiej, niż ja sam siebie sądzę! Nie myślę się wcale uniewinniać: Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina! — mówił, uderzając się w piersi. — Byłem pyszny, byłem samolubny, i... słaby. Ojciec chciał, żebym umiłował ubóstwo, żebym tak jak on jadł chleb czarny, a mnie ten chleb stał się wstrętnym i zląkłem się walki z nędzą, a przytem... dusił mnie brak powietrza!

— Nieszczęśliwy! Odpowie za ciebie przed Bogiem przyjaciel twój, Dowmund. To był twój zły duch!

— Nie potępiaj go — rzekł smutnie Warburton — ja to raczej byłem jego złym duchem. On umarł wkrótce na nostalgię, a ja byłem od niego silniejszy: powiedziałem sobie, że muszę zostać bogatym i postawiłem na swoim. Pracowałem bez wytchnienia, czyniłem wysiłki niemal nadludzkie, i powiodło mi się, a gdym zaślubił córkę angielskiego magnata, który nie miał męskiego potomka, ten mnie adoptował i wraz z nazwiskiem przelał na mnie swoje dochody i tytuły. Lecz z chwilą, gdy zrzuciłem starą skórę, zaczęły się wyrzuty sumienia. Czasem, gdy ptaki wędrowne przynosiły wieści z dalekiego kraju i odzywały się znajomym mi kłopotem, serce mi uderzało żywiej, a w duszy budziły się jakieś niepokoje, jakieś tęsknoty i pragnienia, które wołały głosem bez słów: Wróć! Wróć!

Odetchnął.

— Alem je siłą woli uciszył, a potem stłumiła je radość z narodzin syna, którego kochałem nad życie, a bieżąca chwila, niosąca z sobą tysiączne sprawy i interesy, pochłonięła mnie całego i zatarła do reszty wspomnienia przeszłości. I byłem poniekąd rad, że się tak stało. Zdwoiłem energję i działalność, bo miałem cel w życiu: budowałem przyszłość świetną dla syna. Szczęście tłoczyło się do mego domu drzwiami i oknami, a wszystkiemi strumieniami płynęło obficie złoto, i sypały się na mnie zaszczyty, chociaż nie wyciągałem po nie ręki. Ale syn mój umarł nagle i zachwiał mi się grunt pod nogami.

— Bóg nie błogosławi takim, którzy poczynają bez Boga — rzekła panna Katarzyna — a najpiękniejsze kwiaty schną i więdną w ich rękach.

— Szukałem w pracy lekarstwa i ukojenia; ale go nie znalazłem: szukałem go w brataniu się z cierpiącymi, ocierałem łzy ludzkie i sypałem złoto na wszystkie strony, ale to nawet nie dało mi zapomnienia. Byłem szanowany, podziwiany, nazywano mnie „człowiekiem żelaznym“ i wielbiono moją siłę woli, a nie wiedziano, że rdza trawi żelazo... Osierocony i samotny, z sercem wystygłem i skurczonem z bólu, nie miałem się gdzie ogrzać!

— Biedny! — szepnęła.

— Lata całe borykałem się z tym bólem i przebiegłem wszystkie niemal kraje świata, nie odpoczywając nigdzie długo, bo wszędzie było mi źle... i jak „Żyd wieczny tułacz“, słyszałem ciągle głos wewnętrzny, wołający: idź dalej, idź dalej! Wreszcie instynkt jakiś podszeptał mi podróż w Tatry, o których wiele mówiono i pisano w Anglii, i gdzie też miałem nadzieję znaleźć roślinę, której nie znalazłem w Alpach, ani w Pirenejach. Teraz widzę, że był to tylko pozór, żeby się zbliżyć do was, pozór, w który sam mocno wierzyłem. Zdawało mi się, że mogę się na to odważyć, i że dawny człowiek zupełnie już umarł we mnie...

Gdy mnie powietrze rodzinne owiało, zimny byłem i czułem się prawie dumny z tego, że mam serce z granitu, bo tacy jak ja nie wracają z raz obranej drogi. Ale przeliczył swoje siły. Pierwszego zaraz wieczora spotkałem w chacie góralskiej obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej, taki sam jak ten, przed którym matka nasza uczyła nas pacierza, a widok ten piorunujące sprawił na mnie wrażenie. Lodowa powłoka poczęła się odtąd rysować. Z każdym dniem przybywało więcej tych rysów, a od chwili, gdy zobaczyłem w dolinie Kościeliskiej modlącego się Henryka, przeszłość chodzi ciągle za mną jak żywa, snuje obrazy dni dawno minionych, umarłych wskrzesza i sen z powiek odgania! Jakby na urągowisko, słyszę pieśni ptaków wędrownych, które przylatywały do mnie za morze, a na które dawniej bywałem głuchy... Uczepiły się mnie i wszystkie szarpiały mi serce, wołając chórem: Wróć, wróć, wróć! A serce moje tłucze się w piersiach, jak ptak o pręty klatki, i lecieć chce do nich, a z nimi razem wysoko, do słońca, i bije rozpaczliwie skrzydłami... Aż oto w takiej chwili, ty stajesz przede mną z twarzą mej matki i masz dla mnie same słowa potępienia, gdy ja przebaczenia łaknę, gdy ogrzać się pragnę przy was... bogaty nędzarz! Nie jestem już ten sam, com tu przybył: ognisko, przy którym grzałem się dotąd, stało mi się obce, a widzę z twoich słów, że i przy mojem rodzinnem niema już dla mnie miejsca. Utraciłem prawo do niego!

— A więc wróć! Wróć! — zawołała, wyciągając do niego obie ręce. — Zapomnijmy o latach rozłąki, wszakże sam chcesz tego!

Baronet zdławionym głosem zawołał:

— Chcę głodu, chłodu i trudu w pocie czoła, chcę jeść wasz chleb ościsty i złożyć kości na waszym cmentarzu. Chcę tego, chcę! Tęsknota mnie zabija!

Upadł na kolana i pochylił głowę tak nisko, że aż czoło oparło się na trawie, a ręce obie wyciągnęły się, jakby chciały ogarnąć uściskiem tę ziemię, której się wyrzekł



niegdyś, a do której teraz pragnął się przytulić, i łkanie gwałtowne wstrząsało całym jego ciałem. Gość dawno niewidziany, łzy, obfitym polały się strumieniem i niewstrzymane płynęły, niosąc ulgę stwardniałemu od zgryzoty sercu. Stwardniałość ta tajała, miękła, a z nią razem zmniejszał się ciężar, gniotący tę niepospolitą, ale zbłąkaną duszę.

Panna Katarzyna patrzyła na siwą głowę dumnego magnata, tarzającego się w pyle, a serce jej kochające wezbrało wielką dla niego litością. Cała jej dawna miłość odżyła dla tego brata, który oskarżywszy się z win popełnionych, kajał się teraz przed Bogiem i przed nią. Był jej w tej chwili tak droгим, jak nigdyś.

— Edziu! — przemówiła, klękając przy nim. — Bogu niech będą dzięki, żeśmy cię odzyskali. Wstań i pociesz się. Matka ci przebaczyła przed śmiercią, a Marcin ciągle miał nadzieję, że powrócisz. Miejsca twojego przy ognisku rodzinnym nie zajął nikt... Czeka cię ono. Pójdź zasiąść przy niem!

A gdy Warburton wstał i usiadł na kamieniu pod ścianą kościoła, objęła rękami jego głowę i przytuliła do piersi, płacząc z radości, a on szeptał:

— Byłem martwy, a teraz żyję: mogę płakać!...

Marysia, trzymając oburącz pęk kwiatów, zapędziła się do babuni, i stanęła niepewna, czy iść dalej, czy się cofnąć, ale sir Edward skinął na nią.

— Jak się masz, maleńka? — rzekł, wyciągając do niej rękę. — Czy poznałaś mnie?

— A jakże, pan przecie ratował moje króliki.

— Jestem twoim dziaduniem — powiedział, gładząc jej włosy z czułością. — Czy będziesz mnie kochała?

— O, będę — odrzekła, i gdy ją wziął na kolana, objęła go za szyję, jak nigdyś podczas wichru halnego, i dotknęła delikatnie ustami jego policzków.

Zamyśliła się bardzo nad tem, co się zdarzyło, ale nie pytała o nic — i gdy ją posadził na ziemi, wróciła do poprzedniego zajęcia, odgadując przeczuciem serca, że ten

nowy dziadunio i babunia Kasia mają sobie wiele do powiedzenia.

A brat i siostra, siedząc przy sobie, przytuleni jedno do drugiego, jak niegdyś w Miratyczach, nad jeziorem, ręka w rękę, gdy on był dorosłym prawie chłopcem a ona trzy-nastoletniem dziewczątkiem, jęli opowiadać sobie wzajemnie dzieje tych długich lat rozłąki, i łzy płynęły z oczu obojga. Tak byli zatopieni w rozmowie, że nie słyszeli, iż ktoś w pobliżu wymówił kilkakrotnie imię sir Edwarda.

W bramie cmentarnej ukazali się Henryk, Witold i Jakób. Chłopiec, ujrawszy babunię Kasię, siedzącą obok baroneta i trzymającą jego rękę w obu dłoniach, stanął jak wryty.

— Heniu! — zawołała Marysia, biegnąc ku niemu. — Ten stary pan, co mnie i moje króliki przyniósł na rękę, wtenczas kiedy był wicher halny, to nasz dziadunio!

Chłopiec patrzył, nie wierząc własnym oczom, ale w wyrazie twarzy babki wyczytał, że siostrzyczka mówiła prawdę.

— O, sir! — zawołał, rzucając mu się na szyję. — Czy to być może? Jesteś więc tym, którego u nas zawsze wyglądano? Mogę więc kochać cię swobodnie?

— Mów po polsku, chłopcze — odrzekł, przyciskając Henryka do piersi — bo jak widzisz, jestem naprawdę twoim dziadkiem! Nie chciałeś ze mną jechać do Anglii, więc ja zdecydowałem się pojechać z wami do Miratycz.

— O, co za szczęście — szeptał chłopiec, całując jego rękę — co za szczęście! Panie Jakóbie, panie Witoldzie, chodźcie tu, chodźcie! Wielka nowina: mam dziadka!

— Ja się tego dawno domyślałem — odezwał się Jakób, ściskając rękę Warburtona.

— I ja także — dodał Witold. — Ale sir, Walter z Dawidem szukają pana wszędzie.

— Czyżby się co stało mej synowej? — zapytał zaniepokojony, i podniósł się.

— Nie sądzę — odrzekł Witold — tylko podobno wnuk pański znalazł w Strążyskach różę bez kolców.

Dawid blady, wzruszony, zmieszany obecnością tyln

osób, których nie spodziewał się znaleźć tu razem, zbliżył się do dziadka i oddając mu gałązkę, otrzymaną od Henryka, przemówił głosem drżącym:

— Sir, oto jest *Rosa alpina*, ale nie ja ją znalazłem, tylko ten mały Polak — dodał, wskazując na swego rywala. — Ja mu pozazdrościłem tej zdobyczy, ja go skrzywdziłem niegodnym posądzeniem i on mi ją ustąpił!... Okazał się wspaniałomyślnym i szlachetnym, bo obraziłem go ciężko po dwakroć, a on ani razu nie poskarżył się przed tobą. A dziś, gdyby nie on, umarłbym może, bo zabił żmiję jadowitą, skradającą się do mnie, podczas gdy ja spałem, i nie powiedział mi nawet o tem!

— Brawo, Henryku — zawołał sir Edward — jestem z ciebie dumny, mój chłopcze! A i ty Dawidzie lepszym jesteś, niż myślałem, skoroś się zdobył na odwagę powiedzenia prawdy, skoroś się przyznał publicznie do błędu! Cieszy mnie to, bo widzę, że grunt jest w tobie prawy.

Dawid, który ciężką z sobą przedtem stoczył walkę, postanowił być uczciwym do końca i wyciągając rękę do Henryka, rzekł:

— Przebacz mi, jeżeli możesz i pozwól się kochać, bo nie śmiem cię prosić, żebyś mnie także... pokochał choć trochę.

Henryk, ujęty szczerością tych słów, wyciągnął do niego ramiona i obaj chłopcy uściskali się serdecznie.

— Jest ważna wiadomość, sir — odezwał się Walter, usuwając nieco Davego i wskazując na niemłodego człowieka w podróżnym ubraniu. — Oto pan Chwoyko, Słowak, ogrodnik z Osieka. Przybył dziś z Węgier. Spotkał się on z doktorem Strandem nad jeziorem Szczyrbskim, gdzie tamten zapuszczał ołowiankę.

— A więc Strand jest na węgierskiej stronie? — zapytał z ożywieniem Warburton.

— Tak. Otóż profesor, pamiętający ciągle, że sir Edward pragnie posiadać różę bez kolców, dowiedział się, że pan Chwoyko jedzie do Zakopanego, i wymógł na nim słowo, że natychmiast po przybyciu przedstawi się Waszej Miłości,

na bowiem ważną wiadomość do zakomunikowania. Pan Chwoyko hoduje róże błękitne.

— Co? — zawołał zdumiony Warburton. — Róże, których tajemnicę hodowli znali tylko Maurowie hiszpańscy i o których pisał d'Orbessan, że je widział na własne oczy, choć nikt mu nie wierzył? To niepodobna!

— Tak Wasza Miłości — rzekł, kłaniając się nisko przybyły — posiadam te róże i żadnych tajemniczych środków nie używam do ich otrzymania. Sprowadziłem je z Serbji, gdzie rosną na bagnach i trzęsawiskach. Róże te silnej budowy, są bezbronne. Na ich łodydze pojawiają się z początku małe, czerwone kolce, ale te odpadają później: kolor listków jest fioletowy.

Walburton popatrzył przez chwilę na mówiącego, a potem powiódł wzrokiem po otaczających i rzekł:

— Moi panowie, to, czego szukałem, przyszło zapóźno; nie pragnę już róży bez kolców! Zgrzeszyłem, ubiegając się za nią całe życie... Chrystus wieńczony był koroną z cierni... Odtąd będę hodował tylko róże z kolcami.

Słowa te, jakich nikt nie spodziewał się usłyszeć, zdumiały słuchaczy. Nikt nie pojmował, co to znaczy.

Sir Edward smutnie się uśmiechnął.

— Jestem przytomny — odrzekł — a to, co mówię, jest owocem dojrzałego namysłu. Niemniej okaz *Rosa alpina*, znaleziony przez Henryka, zostawiam sobie na pamiątkę, bo dzięki róży bez kolców, której szukałem w tych górach, kwiaty nadziei kwitną na nowo w mojem sercu!

— Gdzie jest Jego Miłość? — wołał zdaleka Jerry, biegnąc zadyszany i przepychając się przez wszystkich, otaczających baroneta. — Kurjer z Londynu przywiózł list do Waszej Lordowskiej Mości!

— Co to znaczy? — zapytał Warburton, spojrzawszy na grooma z brwią ściągniętą i wziął list z jego ręki. — Jak on mnie nazwał!... — i rzuciwszy okiem na pismo, szepnął: — Od lorda kanclerza.

Koperta była duża, a na niej śmiałym, zamaszystym charakterem, adres następujący:

„Do Jego Lordowskiej Mości Baroneta Edwarda Warburtona, pana na Rochdale“.

Płomień przebiegł po twarzy sir Edwarda. Złamał pieczęć, otworzył kopertę i czytał:

„Kochany Lordzie. Jej Królewska Mość, Najjaśniejsza Królowa Wielkiej Brytanji i Cesarzowa Indyj, w nagrodę za szczególne usługi, wyświadczone Królewskiej Rodzinie, oraz za obywatelską pracę nad polepszeniem bytu robotników w Twych posiadłościach i zakładach fabrycznych, tytuł Lorda Panu nadała i zrobiła Cię dożywotnim członkiem Izby Lordów. Pozwól, żebym Ci tego pierwszy powinszował i zarazem uczynił zapytanie, czy nie zechciałbyś przyjąć teki ministra handlu? Brakuje nam tu Ciebie bardzo, kochany Lordzie; mamy różne kłopoty, a Ty nie troszczysz się o nas i siedzisz bez końca w jakiejś górskiej wiosce! Potrzebujemy bardzo rad Twoich co do nowego bilu, jaki ma być uchwalony i wyglądamy Twego powrotu.

Życzliwy przyjaciel,

Salisbury“.

Skończywszy czytanie, Warburton stał zadumany z listem w ręku i tłum go myśli otoczył. Był u szczytu powodzenia: majątek, sława, władza garnęły się do niego. Trzeba tylko jednego jego słowa, a wielkie państwo odczuje siłę jego ręki! Niegdyś na losy ludów wpływała żądza podbojów; dziś przeważnie wpływają czynniki handlowe i ekonomiczne, bo one stanowią kwestję ich bytu — a interesy jednego narodu oddziałują, jak drgania świetlne, na sprawy innych w dalekim promieniu. One są gruntem, na którym rodzą się gromy wojen i gałązki oliwne pokoju. Jeśli stanie u steru rządu, miliony ludów na obu półkulach poczują wpływ jego na siebie. Znał słabe i silne strony lwa wielkobrytańskiego i w oka mgnieniu w genjalnym umyśle tego człowieka zarysował się plan potężny, mający na celu wzmo-

zenie potęgi ekonomicznej Wielkiej Brytanji. Cła protekcyjne, zdobycie nowych dróg wywozu, i cały szereg pomysłów, jeden od drugiego śmielszych, świetniejszych, przesunął się przed oczyma jego duszy.

— Kiedyż wracamy do Anglii, milordzie? — zapytał Walter, zgadujący kierunek myśli Warburtona, z wyrazu jego twarzy.

Lord ocknął się jak ze snu zbudzony.

— Nigdy, Walterze — odrzekł stanowczo — Anglja nie zobaczy mnie więcej.

— Jeżeli pan wracasz do swoich, to i ja z panem, milordzie, bo i mnie ciągnie rodzinny kraj mego ojca — rzekł młodzieniec.

— Nie, Walterze, nie teraz jeszcze; ty musisz mnie w Anglii zastąpić. Będziesz towarzyszył lady Chester do Rochdale i pomożesz jej w wychowaniu Dawida, aby nauczył się rozumnie używać majątku, jaki mu zostawię. Dopiero gdy on dojdzie do pełnoletności, powrócisz, jeżeli zechcesz, a ja powitam cię z radością, jeżeli żyć jeszcze będę. Zrobię cię teraz moim pełnomocnikiem z nieograniczonym prawem zarządzania, w sposób, jaki uznasz za dobry. Trud to niemały, obowiązki ciężkie i rozległe, ale wiem, że to zrobisz dla mnie, bo znam twe przywiązanie! I ja też mam coś dla ciebie. Wiem, że pokochałeś Fanny, i że ona ci sprzyja. Żeń się więc, oddaję ci ją za żonę!

Nikt z obecnych nie był przygotowanym na to, co usłyszeli; lord Warburton szybko powziął postanowienie i nie tracąc czasu, zaraz je w czyn wprowadzał. Gdy on umilkł, zagłębiwszy swoim zwyczajem palce w skręty brody, nikt się nie odzywał. Wśród ciszy słychać było tylko zdaleka dzwonki krów, a zbliżka dźwięk ęślików i piosenkę:

„Z orawskiego zamku<sup>1)</sup> chłopcy spozierają,  
Czy się pod Tatry buczki<sup>2)</sup> rozwijają“.

---

<sup>1)</sup> W zamku orawskim więziono zbójników. <sup>2)</sup> Buki.

\*

Lord Edward powrócił z rodziną do Miratycz i zasiadł na dawnym miejscu przy stole, gdzie lata całe puste nakrycie czekało na niego. Pan Marcin triumfował, a stara Urszula witała ze łzami radości tego, którego pragnęła jeszcze ujrzeć przed śmiercią. Swój olbrzymi majątek podzielił na trzy części. Zamek Rochdale wraz z ziemią i przyległościami zostawił dla Dawida; kopalnie i fabryki darował pracującym w nich robotnikom, a kapitały zachował dla siebie i użył na podniesienie gospodarstwa i rozwój jego w Miratyczach, oraz na kształcenie dzieci. Walterowi darował domy w Londynie, a Fanny hojnie wyposażył. Odkąd zamieszkał na wsi i przestał nazywać się Warburtonem na Rochdale, czuł się zupełnie szczęśliwym — jedna tylko myśl zasępiła mu czoło, jeden jeszcze węzeł wiązał go z Anglią: grób Ryszarda. Chciał jego ciało sprowadzić do Miratycz i pochować na skromnym wiejskim cmentarzu obok swych rodziców, ale porzucił tę myśl, bo Ryszard, zrodzony z matki Angielki i nie znający rodzinnej mowy ojca, był Anglikiem, i ziemia Miratycz byłaby dla niego obcą.

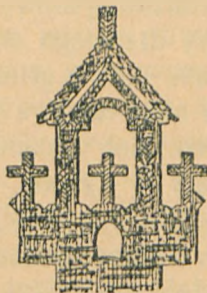
Sabała umarł w r. 1894 dnia 8 grudnia, dożywszy lat 83, i spoczął na cmentarzu obok doktora Chałubińskiego i księdza Stolarczyka. Pogrzeb miał wspaniałe: trumna jego poszła do ziemi spowinięta w dywan, wyszyty rękami pań zakopiańskich, w parzenice i gwiazdy zbójnickie. Maską, zdjętą zaraz po śmierci, zachowała jego piękne, oryginalne rysy, które już tylokrotnie utrwalano na płótnie i w marmurze. Doktor Mallakowski umarł w roku 1895 na wsi,

w Zbijewie, zostawiwszy po sobie dzieło, p. t. „Zdobienie i sprzęt ludowy na Podhalu“, którem zbudował prawdziwy pomnik sztuce góralskiej i zachował ją na wieki od zatury.

Zakopane, od czasu gdy sir Edward Warburton szukał w Tatrach róży bez kolców, bardzo się rozwinęło. Coraz mniej widzi się brzydkich szablonowych domów, bo mieszkający tam stale Stanisław Witkiewicz pracuje nad tem, aby nowo wznoszone zachowywały prawdziwy styl podhalański. Niektóre, będące połączeniem różnych motywów tego oryginalnego budownictwa, są tak piękne, że im się dziwią cudzoziemcy i zczasem styl ten znajdzie właściwe sobie stanowisko między stylami europejskimi, nie niższe od szwajcarskiego a może nawet wyższe. W Danji i Szwajcarii saskiej, oraz w Austrii nad jeziorem Gmünden, stoją już pierwsze domy w stylu podhalańskim, a staraniem doktora Benniego fabryka porcelany w Sévres zaczęła wyrabiać serwisy na wzór modeli rzeźbionych naczyń góralskich. Marzenie Matlakowskiego spełniać się zaczyna.

W Zakopanem nowy kościół z kamienia został już ukończony; wewnętrzne w nim ozdoby wszystkie składają się z motywów góralskich, począwszy od świeczników, a skończywszy na ołtarzu i konfesjonalach. Prawdziwem zaś arcydziełem jest kaplica Gnatowskich. Są to dzieła tak oryginalne, tak piękne, że opisywać je trudno.

Jedźcie i oglądajcie!



Wieszak od łyżnika.



## SPIS ROZDZIAŁÓW TOMU DRUGIEGO.

	Str.
I. Dwaj poeci . . . . .	1
II. Morski wąż . . . . .	29
III. Żywe kryształy . . . . .	50
IV. Pogrom . . . . .	64
V. Na falach morza . . . . .	77
VI. Zaczarowane klejnoty . . . . .	97
VII. Energja Dawida . . . . .	111
VIII. Przygoda Warburtona . . . . .	121
IX. W drodze do Wodogrzmołów . . . . .	127
X. Branchiopod . . . . .	150
XI. Kobieta bez złości . . . . .	171
XII. Powrót przez jezioro . . . . .	188
XIII. Potrawa Witolda . . . . .	198
XIV. Róża bez kolców . . . . .	216
XV. Promień słońca . . . . .	239
XVI. Kasia Sobczakówna . . . . .	251
XVII. List z Anglii . . . . .	267

